

# LAWHEAD

STEPHEN

W służbie  
króla smoków

SAGA O KRÓLU SMOKÓW



# LAWHEAD

STEPHEN

W służbie  
króla smoków

SAGA O KRÓLU SMOKÓW

SAGA O KRÓLU SMOKÓW

STEPHEN

LAWHEAD

W służbie króla smoków

Przełożyli

MAREK CEGIEŁA i JERZY GOCHNIO

ISKRY

Tytuł oryginału In the Hall of the Dragon King Projekt okładki i stron tytułowych

Dariusz Miroński

Redaktor

Małgorzata Pogoda

Redaktor techniczny

Elżbieta Kozak

Korektor

Grażyna Henel

Wydanie I

ISBN 83-207-1486-9

Text copyright © 1982 by Stephen Lawhead.

Original edition published in English under the title In the Hall of the Dragon King by Crossway Books, Wheaton, USA.

Copyright © 1982 Lion Publishing.

Copyright © for the Polish translation by Marek Cegieła and Jerzy Gochnio, Warszawa 1996

Copyright © by Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1996

Wydawnictwo „Iskry”,

Warszawa 1996 r.

Skład i diapozytywy:

Wydawnictwo „Spacja”.

Druk i oprawa:

Opolskie Zakłady Graficzne.

Zam, nr 120/96



# 1.

Świeży śnieg zalegał grubą warstwą w srebrzystym świetle poranka.

Na niebie unosił się kruk, który lustrował spokojny krajobraz, czarnymi skrzydłami rozcinając zimne, rzadkie powietrze. Chrapliwe wołanie ptaka – jedyny dźwięk w promieniu wielu kilometrów – przerywało ci-szę nieregularnym staccato. Jak okiem sięgnąć, ziemia była pogrążona w głębokim zimowym śnie.

Niedźwiedzie, lisy, zające i wiewiórki znajdowały się w swoich ciepłych legowiskach. Konie w stajniach trzymały łby w pełnych żłobach.

Krowy w oborach z wolna przeżuwały karmę. Z nieforemnych kominów chłopskich chat, gdzie w paleniskach płonął ogień, snuł się dym i wisiał

w nieruchomym powietrzu. Wioska, przycupnięta tuż obok potężnych murów wspaniałego zamku Askelon, spała bezpiecznie niby księżniczka w ramionach potężnego protektora.

Cała kraina była pogrążona w bezruchu oprócz kruka zataczającego nad nią złowróżbne kręgi.

Quentin leżał w swej celi dygocąc, skulony pod cienkim wełnianym kocem, który rozsądnie naciągnął na uszy, by się uchronić przed zimnem nocy. Zmarznięty obudził się na długo przedtem, nim szarość ponurego nieba pojawiła się w szczelinie wysoko umieszczonego okna. Mrok już ustąpił na tyle, by dało się dostrzec niewyraźne zarysy sprzętów stanowiących skromne umeblowanie celi.

9

Przy wypchanym słomą sienniku, gdzie sypiał, stał solidny dębowy taboret, wykonany ręką miejscowego wieśniaka. Takież stół zajmował

miejsce pod ścianą, naprzeciw siennika. Na blacie kilka przedmiotów osobistego użytku: gliniana miska, z której jadał, świeca w drewnianym lichtarzu, niewielki modlitewny dzwonek oraz rulon pergaminu, na któ-

rym wypisano wszystkie reguły postępowania i obowiązki nowicjusza.

Minęły już prawie trzy lata, a Quentin wciąż jeszcze miał trudności z ich zapamiętaniem.

Gdzieś we wnętrzu świątyni zabrzmiał dzwon. Chłopiec jęknął, a potem zerwał się z pościeli, owijając sobie ramiona kocem. Pamiętał, że to właśnie dzisiaj... Ten dzień miał tak wiele zmienić. Quentin się zastanawiał, jak to będzie, choć bowiem uważnie śledził wszelkie znaki, niczego nie mógł się domyślić.

Jednakże wszystko wskazywało, że nastąpi jakaś zmiana: pierścień wokół księżyca przez ostatnie trzy noce, zanim spadł śnieg, burza szalejąca w dniu jego imienin, pajak, który tak skrętnie zasnuwał drzwi celi pajęczyną, co wprawdzie wydarzyło się jakiś czas temu, lecz Quentin tego nie zapomniał.

Nie było cienia wątpliwości – wszystko zapowiadało zmianę.

Natura tej zmiany pozostawała tajemnicą, ale bogowie często znajdują przyjemność w częściowym ukrywaniu wróżb. W końcu jednak odgadł, kiedy nastąpi ta przełomowa chwila, miał bowiem sen, w którym wspinał się na wysoką górę, a potem zeskoczył z jej szczytu, lecz nie spadł, tylko poszybował w przestrzeń. Sny o lataniu zawsze są dobre.

Dotychczas tak się składało, że szczęśliwe dni Quentina bez wyjątku przypadają w święta, a właśnie dziś jest święto Kamali, może nie nale-

żące do najważniejszych, ale pierwsze po tamtym sennym widzeniu.

Niewątpliwie to, co miało się wydarzyć, nastąpi dzisiaj – znaki były bezsporne. Quentin jeszcze raz je sobie przypominał, wkładając grubą zgrzebną szatę nowicjusza przez głowę pokrytą krótko przyciętymi kasz-tanowymi włosami. Na nogi wciągnął workowate pończochy i ciasno 10

obwiązał je rzemieniami sandałów. Potem, schwyciwszy dzwonek modlitewny, wybiegł z celi w lodowaty mrok.

Był już w połowie wysoko sklepionego korytarza, gdy dzwon ponownie się odezwał trzema donośnymi uderzeniami w krótkich odstę-

pach. Po chwili znów się rozległy trzy uderzenia. Chłopiec się zastanawiał, co takie dzwonicie może oznaczać.

Nagle dotarło do niego, że to alarm.

Zatrzymał się skonsternowany. Kiedy się odwracał w kierunku, skąd dochodził dźwięk dzwonu, po ciemku zderzył się z krągłym, miękkim ciałem Biorkisa, który był jednym ze starszych kapłanów.

– No, no, chłopcze! – zawołał tamten dobrodusznie. – Nie należy od razu wpadać w panikę.

– Ależ to dzwon na alarm! – wykrzyknął Quentin, podskakując wo-kół korpulentnego kapłana. – Musimy się śpieszyć!

– Nie ma potrzeby. Słudzy Ariela nie biegają jak opętani, a poza tym – dodał Biorkis, puszczając oko – dzwon nie bije na alarm, lecz wzywa nas w jakiejś sprawie.

Quentinowi zrobiło się bardzo głupio. Czując, że się czerwieni, spu-

ścił wzrok. Jowialny kapłan położył mu ciężką dłoń na ramieniu.

– Chodźmy się dowiedzieć, co sprawiło, że tak wcześnie wyrwano nas ze snu w ten mroźny poranek.

Ruszyli korytarzem i wkrótce dotarli do obszernego przedsionka świątyni. Zimny, przesywający wiatr wpadał przez duże otwarte wej-

ście. Jakiś kapłan w szkarłatnej szacie strażnika świątyni już zamykał

ogromne drewniane drzwi. Trzech innych stało wokół dużego nieforem-nego tobołu, który leżał u ich stóp na posadzce. W mrocznym świetle poranka trudno było rozpoznać, co w nim jest, lecz najwyraźniej niedawno został wciągnięty z dworu, czego dowodziły ślady śniegu na posadzce. Śnieg pokrywał również tobół.

Zbliżając się Quentin spostrzegł, że to skulony człowiek, grubo owinięty przed zimnem. Kapłani już się pochylali nad nieruchomą postacią, 11

która nie dawała znaku życia. Biorkis powstrzymał chłopca i sam z wolna do nich podszedł.

– Któż to, dobrzy braciszku? Czyżby jakiś niesforny pielgrzym, który chciał wcześniej wejść do świątyni?

– Nie wygląda na pielgrzyma – odparł strażnik, zacierając ręce, aby je rozgrzać. – To raczej żebrak szukający resztek ze świątecznego stołu.

– Więc je dostanie – stwierdził Biorkis.

– Obawiam się, że nie zdoła niczego przełknąć – zauważył Izash, najstarszy kapłan z długą plecioną brodą, która była oznaką jego stano-wiska w świątyni – albo wkrótce jedzenie już na nic mu się nie zda.

Poklepał trzymaną w ręku świętą białą laskę i gestem nakazał odwró-

cić nieszczęśnika, by przyjrzeć się jego twarzy.

Dwaj młodszy kapłani uklękli obok nieruchomego kształtu i zaczęli delikatnie odkrywać ramiona leżącego człowieka. Z przesadną ostrożno-

ścią, jakby w obawie, że skalają się dotknięciem być może martwego ciała, bezskutecznie szarpali zeszywniały od mrozu kożuch. Biorkis niecierpliwie obserwował ich nieśmiałe zabiegi, aż wreszcie wybuchnął.

– Precz! Ja to zrobię! Nie obawiam się Azraela. Moje ręce dotykały gorszych rzeczy!

Schylił się nad ciałem i wziął je w ramiona.

Quentin zmienił miejsce, aby mieć lepszy widok. Aż go zatkało, kiedy zobaczył popielatoszarą twarz i sine zaciśnięte wargi tamtego człowieka. Wydawał się całkiem zamarznięty. Jednakże po chwili, gdy chłopiec dalej wpatrywał się weń przerażonym wzrokiem, zamrugał powiekami.

– Przynies wina, bracie – rozkazał Biorkis jednemu z młodszych kapłanów, zauważywszy oznaki życia. – I ampulkę balsamu. Migiem! –

Następnie zwrócił się do pozostałych: – Chodźcie tu! Pomóżcie mi go rozebrać. Może jeszcze uda

nam się wyrwać go z rąk Heoth.

Kapłani przypadli do nieruchomej postaci i zaczęli ostrożnie zdejmować zewnętrzne warstwy ubrania. Kiedy skończyli, na ich twarzach pojawiło się zdziwienie. Napotkali pytający wzrok kapłana, który 12

właśnie powrócił z winem i balsamem.

Na podłodze przed nimi leżał rycerz w kolczudze. Na głowie miał

skórzany hełm, wzmocniony skrzyżowanymi żelaznymi taśmami, a na torsie tak samo wykonany napierśnik z krótkimi kolcami. Nabite gwoź-

dziami ochraniacze osłaniały ramiona i golenie.

Biorkis, w dalszym ciągu przytrzymując głowę rycerza, szarpnął pasek pod jego brodą i hełm potoczył się z dźwiękiem po kamiennej posadzce. Wśród kapłanów rozległy się szepty. Quentin zobaczył, że głowa rycerza jest zalana krwią. Tuż nad skronią ziała otwarta rana, w której zmieszały się odłamki kości i strzępy skóry.

Uczynny kapłan, wciąż klęcząc z głową rycerza na kolanach, odgarnął mu z czoła zlepione włosy. Potem delikatnie rozluźnił paski napier-

śnika i dwaj młodszy kapłani odłożyli go na bok. Z gardła rannego dobywały się jęki, początkowo ciche, a później coraz głośniejsze.

Biorkis kazał sobie podać ampułkę, zanurzył w niej dwa palce i rozsmarował kojący balsam po twarzy rycerza. Aromatyczna woń wywarła natychmiastowy skutek, ranny bowiem znów zamrugnął powiekami i zaraz szeroko otworzył oczy jak człowiek, który usiłuje obudzić się ze snu.

– Wygląda na to, że zostanie z nami nieco dłużej – odezwał się Izash. – Dajcie mu trochę wina. Może się dowiemy, z czym tu przybył.

Stary kapłan zbliżył się i pochylił nad swymi braćmi, aby lepiej słyszeć, co tamten powie. Biorkis podał wino rycerzowi, który wprawdzie nie miał siły unieść głowy, ale pozwolił wlewać je sobie do gardła. Wino z ręki Biorkisa zdawało się mieć magiczny wpływ. Twarz rannego powoli odzyskiwała barwę, a jego początkowo płytki oddech wyraźnie się pogłębił.

– Witaj, dobry wojaku – z szacunkiem rzekł Izash. – Jeśli czujesz się na siłach, to może nam powiesz, skąd przybywasz.

Jasnowłose rycerz potoczył oczyma, próbując odwrócić głowę do mówiącego, ale wysiłek ten sprawił, że na twarzy pojawił się grymas bólu. Bezwładnie opadł na kolana Biorkisa.



łanych dźwiękiem dzwonu. Przyciszonymi głosami rozprawiali o dziwnym przybyszu, leżącym na posadzce. Rycerz ponownie otworzył oczy, błyszczące, o twardym wejrzeniu, jak gdyby powracały mu siły i wola.

Otworzył usta, by przemówić, poruszał wargami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Jeszcze wina! – zawołał Biorkis.

Kiedy podano mu kubek, zażywny kapłan wyciągnął z fałd szaty wo-reczek, wyjął zeń szczyptę jakiegoś proszku i wsypał ją do wina. Potem znów przytknął kubek do ust wyczerpanego rycerza, który z ochotą wszystko wypił i przez chwilę zbierał siły przed następną próbą, aby jeszcze raz przemówić.

– A teraz, mości panie, racz oświecić wścibskiego starca... jeśli nie masz istotnych powodów, by nie zdradzać nam, kim jesteś.

Izash pochylił głowę tak nisko, że siwą brodą niemal dotknął posadzki. Na jego pomarszczonej twarzy pojawił się lekki przymilny uśmiech, jak gdyby kapłan chciał, by jego słowa zabrzmiały życzliwiej.

– Nazywam się Ronsard – odparł rycerz łamiącym się głosem.

Po tym wysiłku otrzymał kolejny łyk wina. Spojrzeniem oczu, które wyglądały na stalowoszare w srebrzystym świetle poranka, objął zwarty krąg pochylonych twarzy.

– Gdzie ja jestem? – zapytał cicho.

– Wśród przyjaciół, panie – odparł Biorkis – w świętym przybytku Ariela, a myśmy jego pokorne sługi. Możesz mówić śmiało. Tu cię nie spotka żadna krzywda.

Jakby uspokojony tymi słowami, rycerz oblizał wargi i ze wszystkich sił, jakie zdołał zebrać, powiedział:

– Przychodzę od króla.

Te proste słowa zabrzmiały w uszach zgromadzonych kapłanów jak grom z jasnego nieba. Od króla! Wysłannik króla! Coraz głośniejsze szepty odbijały się echem od wysokiego sklepienia przedsionka. Jedynie 14

Izash, oparty na lasce, zdawał się obojętny.

– Czyjego króla? Naszego? – spytał.

– Króla Eskevara – z mocą odrzekł ranny rycerz.

Odpowiedź ta wywołała nową falę szeptów. Króla Eskevara tak dłu-go nie było w kraju, że jego imienia nie słyszało się nawet wśród poddanych. Teraz samo jego brzmienie wzbudziło w obecnych

nadzieję.

– Z czym przybywasz od króla? – ciągnął stary kapłan.

W owym dopytywaniu się miał swój cel – zajmując rycerza rozmową sprawiał, że tamten zapominał o ranach i bólu, który wykrzywiał mu twarz.

– Nie mogę tego powiedzieć nikomu oprócz królowej... Mam obowiązek przekazać to, co mi powierzono, wyłącznie jej... – Zmagając się ze słabością, mężczyzna gwałtownie chwycił powietrze; znowu oblizał

wargi. – Zaskoczono mnie wczorajszego wieczora... Rozbójnicy, którzy urządzili zasadzkę, śpią teraz w śniegu wiecznym snem...

Rycerz podniósł wzrok na twarze schylonych nad nim kapłanów.

Wskutek wysiłku rana ponownie się otworzyła i zaczęła się z niej sączyć świeża krew.

– Nie turbuj się – pocieszająco rzekł Biorkis. – Zostaniesz z nami, dopóki nie będziesz mógł na nowo podjąć swojego zadania. – Skinął

ręką na kilku młodszych kapłanów, żeby mu pomogli ułożyć rycerza na przyniesionej pryczy. – Nikt nie będzie cię wypytywał o szczegóły twojej misji. W tych murach twój sekret jest bezpieczny. Teraz odpoczywaj.

Nie podoba mi się ta rana.

– Nie! – chrapliwym głosem wykrzyknął rycerz z twarzą wykrzywioną straszliwym bólem, a potem dodał dziwnie świszczącym szeptem:

– Umieram... Musicie zawiadomić o mojej misji królową... Nie wolno z tym czekać...

Biorkis się pochylił, delikatnie podtrzymując głowę ранego, dopóki nie przeniesiono go na pryczę. Rycerz kurczowo chwycił drewniane krawędzie łóżka i podniósł się na łokciach. Krew spływała mu teraz 15

obficie po skroni i szyi, zostawiając na jego zielonym kaftanie ciemne rdzawo-szare plamy.

– Musicie mi pomóc! – zawołał. – Niech jeden z was, zamiast mnie, uda się do królowej.

Po tych słowach zemdlony opadł na pryczę. Twarz mu zszarzała.

Wydawał się martwy.

Kapłani spoglądali na siebie bezradnie. Biorkis, z którego rąk ścieka-

ły krople krwi rycerza, stał wyprostowany. Badawczo popatrzył na twarze braci i dostrzegł w nich

strapienie. Potem zbliżył się do Izasha, który gestem skierował go na stronę.

– Oto mamy niepotrzebny kłopot – zauważył starzec. – Nie widzę żadnego sposobu udzielenia mu pomocy poza tym, że wyleczymy go z ran i szybko wyślemy w dalszą drogę.

– A jeżeli to sprawa nie cierpiąca zwłoki?

– Obawiam się, że nie ma na to rady.

– Jednakże mimo wszelkich naszych wysiłków i umiejętności on i tak może umrzeć – zastrzegł się Biorkis. – Jeśli już nie jest za późno na kurację.

Coś w głosie rycerza, w jego wyglądzie, zafrapowało Biorkisa. Ten człowiek z pewnością stoczył nierówną walkę, a teraz, nawet na łożu śmierci, myślał wyłącznie o swojej misji. Dla niego owo posłanie od króla, bez względu na treść, miało największe znaczenie. Większe niż własne życie.

W tym momencie rycerz odzyskał przytomność, ale był zbyt słaby, żeby się unieść. Cicho jęknął przez zaciśnięte zęby.

– Jeszcze nas nie opuścił – rzekł Izash. – Jakże uparty jest ten kró-

lewski posłaniec.

Biorkis i stary kapłan nisko pochylili się nad umierającym.

– Mości panie Ronsardzie – szepnął Biorkis – nie nadwerężaj się przez wzgląd na własne życie. Mamy wielkie umiejętności leczenia ran i pokonywania chorób. Często wrywamy jakąś duszę z rąk Manes. Teraz odpoczywaj. Wykurujemy tę ranę, wzmocnisz się i sam doprowadzisz swoją misję do końca.

16

– Nie! – zaprotestował rycerz ze zdumiewającą siłą. – Nie ma czasu.

Jeden z was musi jechać do królowej.

Spojrzał na nich błagalnie.

– Nie wiesz, o co prosisz, panie – odparł Izash, gestem wskazując zebranych kapłanów. – Jesteśmy związani przysięgą i nie możemy opuszczać świątyni, chyba że z pielgrzymką lub w świętych sprawach najwyższej wagi. Losy narodów, królów i mocarstw nas nie interesują.

Służymy jedynie bogu Arielowi; jesteśmy tylko jego poddanymi.

Biorkis popatrzył na umierającego wzrokiem pełnym smutku.

– Brat z ciężkim sercem wspomniął o złożonej przez nas przysiędze.

Moje serce mówi mi „jedź”, lecz ja nie mogę wykonać tego zadania.

Opuszczenie świątyni w tym celu oznaczałoby złamanie naszej przysię-

gi. Każdy kapłan, który by to zrobił, straciłby dorobek całego życia i pozbawił się wiekuistego szczęścia. Nie ma tu nikogo, kto by podjął

takie ryzyko, nikogo też nie ośmieliłbym się o to prosić.

Kapłani kiwali głowami na potwierdzenie jego słów. Niektórzy, by nie ulec, odwracali się wzruszając ramionami. Inni bezradnie rozkładali ręce.

– Ani jeden z was nie poświęci swego życia, jak ja to uczyniłem?

Żaden nie narazi się na niezadowolenie boga dla ratowania króla?

Wyzwanie rycerza zabrzmiało w uszach otaczających go ludzi jak grom, choć przemawiał do nich jedynie szeptem.

– Ja pojedę – cicho odezwał się ktoś nieśmiałym głosem.

Biorkis, Izash i pozostali kapłani odwrócili się w tamtą stronę. W cieniu łukowatego sklepienia spostrzegli szczupłą postać, która powoli wyszła i stanęła przy umierającym rycerzu.

– Ty, Quentinie? – spytał zdumiony Biorkis. – Naprawdę chcesz pojechać?

Wokoło rozległy się gorączkowe szepty.

## 2.

Potężny rumak niósł drobnego jeźdźca bez najmniejszego wysiłku.

Balder, który przeszedł twardą szkołę walki, był zaprawiony do dźwignia dużych ciężarów i mógł nieść na swym szerokim grzbiecie rycerza w pełnej zbroi. Quentin przywarł do wspaniałej szyi zwierzęcia jak mokry liść. Wierzchowiec prawie nie czuł jego wagi.

Było jeszcze wcześniej, a choć niebo w dalszym ciągu pokrywały chmury jak poprzedniego dnia, to jednak pędziły nisko, zapowiadając rychłe roz pogodzenie. Wiatr się wzmógł i teraz nierównymi podmuchami rozdzierał kłębiące się białe obłoki. Każdy taki podmuch smagał ciało chłopca, przyprawiając je o drżenie. Quentin się zastanawiał, czy kiedykolwiek znów będzie mu ciepło, ale zbytnio nie przejmował się zimnem, wreszcie bowiem nastąpiła dawno zapowiedziana zmiana. Nie wiedział, dokąd go zaprowadzi i co oznacza. Na razie porywała go przygoda, lecz miał oczy otwarte na wszelkie znaki, jakie by mogły się pojawić.

Nie widział jednak nic prócz rozległej białej przestrzeni, na której tu i ówdzie ciemniały nieregularne bryły, wyrastające spod śniegu niczym grzyby. To chaty wieśniaków. Czasami dostrzegał twarze, gdy zerkano nań zza uchylonych drzwi. Kilka razy jakaś postać, ugięta pod ciężarem wiązki drewna na opał, brnąc w śniegu, nieśmiało pomachała mu ręką.

Quentin miał wrażenie, że w ciągu siedmiu lat jego klasztornego życia w świątyni kraina ta niewiele się zmieniła. Jednakże zaszła pewna zmiana – coś nowego niewątpliwie kryło się w oczach napotkanych wie-

śniaków. Za każdym razem wyraźnie to dostrzegał. Czyżby strach?

Ta myśl nie dawała mu spokoju. Czego w tej krainie mogli się bać owi prości ludzie?

Potężny kasztanowaty koń bojowy wytrwale parł naprzód. Gruba warstwa śniegu tłumiła odgłos jego kopyt. Z nozdrzy zwierzęcia buchała para, kiedy jego gorący oddech stykał się z lodowatym powietrzem. Quentin powrócił myślami do krótkiego łańcucha wydarzeń, które 18

zaprowadziły go na siodło Ronsarda, królewskiego rycerza.

Po tym, jak spontanicznie zgłosił chęć dokończenia misji zlecanej przez króla, nastąpiła gorączkowa wymiana zdań. Żaden z zainteresowanych – Biorkis, Izash i pozostali kapłani, a nawet sam rycerz – nie chcieli się na to zgodzić. Jednakże, kiedy wszystko dokładnie rozważono, okazało się, że nie ma lepszego rozwiązania. Stało na tym, że Quentin nie wyruszy od razu, lecz dopiero następnego dnia, by koń mógł się na-jeść i odpocząć. Zwierzę cierpliwie stało na dziedzińcu przed świątynią, gdzie je zostawił jego pan, nim wspiął się na schody i zemdlał. To wła-

śnie rzenie konia zaalarmowało strażników, którzy potem znaleźli rannego, na wpół zamrożonego rycerza.

Biorkis niechętnie zgodził się na przedsięwzięcie Quentina ze wzglę-

du na jego młody wiek, lecz uznał, że to jedyny logiczny wybór. Chłopiec był zaledwie nowicjuszem, nie kapłanem. Dotychczas nie złożył

ślubów ani też nie przeszedł inicjacji. Miał za sobą tylko siedem lat nauki. W wieku piętnastu lat musiałby się jeszcze wiele nauczyć, aczkolwiek jego rówieśnicy zostawali już młodszymi kapłanami. Droga do kapłaństwa była długa. Większość zaczynała jako małe dzieci, a choć Quentin poświęcił się swemu powołaniu, gdy miał osiem lat, to jednak zbyt późno.

Teraz jego kariera się skończyła. Nigdy więcej nie wpuszczą go do świątyni, chyba że przyjdzie jako sumienny wierny, aby błagać boga o pomyślność. Ariel to bóg zazdrosny – skoro raz się od niego odwrócisz, nie chce cię więcej znać. Tylko jakiś wybitny bohaterski czyn mógł dać Quentinowi nadzieję na odzyskanie jego łaski. Chłopiec poprzysiągł

sobie, że właśnie go dokona – i to jak najszybciej.

Ze świętego miasta Narramoor do królewskiej twierdzy w Askelonie konno jechało się dwa dni. Wedle starodawnych zwyczajów królestwa Mensandoru świątynię Ariela zbudowano u stóp gór, by się wznosiła nad krainą, chroniąc ją modlitwami. Wiosną i wczesnym latem z całego kró-

lestwa przybywali pielgrzymi, by się modlić o dobre zbiory i zdrową trzodę. Również wszystkie miasta i wsie miały jakąś małą świątynię 19

albo dom modlitwy z jednym lub kilkoma kapłanami, zależnie od potrzeb, ale wierni przeważnie woleli odbywać pielgrzymki do głównej świątyni co najmniej raz do roku, a w miarę możliwości częściej.

Droga wiała się w dół od stromych wzgórz u stóp starych Fiskillów o poszarpanych szczytach. Nie była zbyt szeroka, lecz dobrze utrzymana –

przynajmniej do chwili, gdy król opuścił kraj. Quentin w ogóle nie pamiętał tego wydarzenia, wtedy bowiem jeszcze nie umiał chodzić i matka trzymała go na ręku. Jednakże po wielu latach, jakie upłynęły od tamtego czasu, słyszał barwne opisy tego wspaniałego rozstania, przekazywane z ust do ust.

Król, w pełnym bojowym rynsztunku, pod sztandarem, na którym widniało godło monarchy – straszliwy, wijący się czerwony smok – wyprowadzał z zamku swych wiernych rycerzy. Między setkami łopoczą-

cych flag, przy dźwiękach fanfar tysiąca trębaczy na wysokich blankach, królewska armia maszerowała ulicami wśród wiwatujących tłumów, aż wreszcie wyszła na równiny Askelonu. Opowiadano, że pochód ten trwał

pół dnia, tak liczny był orszak króla.

Armia dotarła do nadmorskiego miasta Hinsenby, wsiadła na solidne okręty, czekające na nią w porcie, i odpłynęła. Okręty dostarczył król Selric, władca Drinu, niewielkiego wyspiarskiego kraju, którego obywatele cieszyli się sławą najlepszych żeglarzy świata.

Wkrótce do Eskevara przyłączyli się władcy innych krajów i razem stworzyli armię o niewyobrażalnej sile. Zamierzali walczyć z barbarzyń-

skim plemieniem Urdów, których prawie nikt nie ośmieliłby się nazwać ludźmi, byli bowiem tak zezwierzęceni, że samo ich istnienie zagrażało wszystkim ludom. Urdowie, zjednoczeni pod berłem swego króla, Gorra, wystąpili przeciwko całemu cywilizowanemu porządkowi, poprzysięgając narodom zniszczenie lub niewolę. Chcieli panować nad światem.

Spotkali się władcy dwunastu cywilizowanych krajów i wypowiedzieli wojnę Gorrowi. Popłynęli z armiami za morze, by stanąć do 20

bitwy ze złym królem na jego własnej ziemi, nim zdąży zebrać swoje wojsko na ich terytorium.

Wojna zaczęła się wczesną wiosną i przed nadejściem lata wyglądało na to, że kampania się skończy, zanim nastanie zima, wynik pierwszych starć bowiem okazał się pomyślny dla zjednoczonych królów. Chytry Gorr widząc, jak szeregi jego wojowników topnieją pod straszliwym naporem, wycofał się do swej fortecy Golgor. Ukryty za jej masywnymi murami, nieustępliwy renegat bronił się z taką energią i zaciętością, że nikt nie mógł tego przewidzieć.

Szalony olbrzym drwił sobie z dzielnych wojsk królów; jego wypady, chociaż likwidowane z ciężkimi stratami, nieustannie wyczerpywały siły zjednoczonych armii. Zima zastała przeciwników w martwym punkcie.

Wojna, tak pomyślnie rozpoczęta wiosną, ciągnęła się bez końca. Mi-jały lata, a ona wciąż trwała. Tysiące rycerzy poległo w tym odrażają-

cym kraju z dala od przyjaciół i bliskich. W siódmym roku kilku wład-ców postanowiło się wycofać i wrócić do domu z niedobitkami niegdyś dumnych armii, ale Eskevar, Selric, Brandon, Calwitha i Troen pozostali.

Z tego, co wiedział Quentin, wciąż jeszcze walczyli.

Chłopiec spojrzał na horyzont. Wydawało mu się, że jego wzrok się-

ga nieskończenie daleko. Płaszczyzna ziemi opadała z każdej strony, prawie niczym nie zakłócona, tylko bowiem gdzieś widać było ogromne głazy lub skały sterczące wśród wzgórz na widnokręgu. Spojrzenie szczupłego jeźdźca przesunęło się dalej, na pas lasu, który zdawał

się zbliżać jak zaczarowany.

Po drugiej stronie lasu leżał cel podróży chłopca, Askelon. Za nim, na zachód rozciągały się niziny z polami uprawnymi i miastami, wśród których najważniejsze było Bellavee: Daleko na północy znajdowało się zamożne miasteczko rolników i rzemieślników, Woodsend, położone nad rzeką Wilst, długą, leniwą odnogą Arvin, której górne dopływy, jak wszystkie rzeki królestwa, miały źródła w Fiskillach, powyżej Narramoor.

Jeździec stał tyłem do owych imponujących gór, za którymi leżały dwa rejony: Suthland na południu i Obrey na północy.

To były Dzikie Ziemie – pierwotne tereny, odosobnione i niezbadane, zamieszkane jedynie przez dzikie zwierzęta oraz jeszcze dzikszych ludzi, Dherów, często zwani Jherami. Byli ginącymi potomkami najbardziej prymitywnych mieszkańców tej ziemi. Trzymali się swojego tajemniczego trybu życia jak mech zwietrzałej skały, w ogóle się nie zmieniając od najdawniejszych czasów.

Podobno mieli wiele dziwnych uzdolnień sprawiających, że bardziej nadawali się na towarzyszy dzikich zwierząt, z którymi dzielili te surowe ziemie, niż cywilizowanych ludzi. Stronili od obcych, ale także obcy zostawiali ich w spokoju. Quentin, jak większość młodzieży, nigdy jeszcze nie widział żadnego z nich. Jherowie jawili mu się niczym postaci z bajek opowiadanych niegrzecznym dzieciom.

Chłopiec ocknął się z zadumy nad tymi i innymi sprawami, spostrzegł

bowiem, że zbliża się południe. Zaczął szukać jakiegoś osłoniętego miejsca, gdzie mógłby coś przekąsić i dać wytchnienie koniowi, choć zwierzę wcale nie wyglądało na zmęczone po takim wysiłku. Słabe zimowe słońce, które od rana próbowało przebić się przez chmury, nagle rozbłysło wysoko nad ich głowami. W jednej chwili krajobraz, pokryty upiornym całunem śniegu, wspaniale się roziskrzył oślepiającym światłem.

Słońce, choć na pozór małe i odległe, dawało ciepło. Przynajmniej takie wrażenie miał Quentin; czuł, jak rozchodzi mu się po ramionach i plecach, jak przesącza się przez grubą, podbitą futrem czapkę. Chłopiec zauważył przed sobą niewielki brzozowy zagajnik w otoczeniu mizer-nych krzaków i kilku małych iglastych drzewek. Miejsce to zapewniało niejakię schronienie przed dokuczliwym wiatrem, który się wzmógł, gdy tylko słońce wyszło zza chmur.

Chłopiec uznał słońce za dobrego towarzysza, kiedy skierował konia w bok i przywiązał wodze do najbliższej gałęzi. Zsunąwszy się z rumaka, otworzył mały plecak, wykonany przez Biorkisa, który zapakował

doń żywność na drogę. Quentin wyjął niewielki bochenek chleba z kminkiem, a potem rzucił opończę na ziemię, by usiąść i zabrać się do jedzenia.

Promienie słońca igrały mu na głowie, rozgrzewając zmarznięte płatki uszu i koniec nosa. Quentin zdjął czapkę i wystawił twarz na spływające z nieba ciepło. Znowu wrócił myślami do zamieszania poprzedzają-

cego wyjazd. Już więcej niż setny raz powtórzył sobie otrzymane rozkazy. Jedź do pustelnika w Pelgrińskim Borze. Nie zatrzymuj się, chyba żeby się posilić i dać odpoczynek koniowi. Z nikim nie rozmawiaj. List oddaj tylko do rąk własnych królowej, nikomu innemu.



Wykonanie ostatniego rozkazu zdawało się najtrudniejsze, lecz Ronsard, tuż przed utratą przytomności, przekazał chłopcu swój sztylet, któ-

ry ułatwi mu zdobycie posłuchania u władczyni. Ów złoty sztylet zostanie rozpoznany i zaświadczy, jak wielką ono ma wagę.

Quentin nie był tak bardzo oszołomiony czekającą go wizytą na kró-

lewskim dworze, jakby mogło się wydawać. W znacznie większym stopniu intrygowała go i przerażała – lecz ciekawość wzięła górę nad strachem – treść zagadkowego posłania, które teraz miał zaszyte pod podszewką zwykłego zielonego kaftana. Bezwiednie poklepał miejsce, gdzie znajdował się list. Co zawiera? Cóż może być aż tak ważne?

Choć go tak zaintrygowało tajemnicze pismo, to jednak gnębił się jeszcze jedną sprawą, której w ogóle nie chciał roztrząsać: swoją przyszłością. Unikał myśli o niej, jakby sprawiała mu ból, lecz ona tkwiła gdzieś w głębi jego świadomości, zawsze gotowa o sobie przypomnieć.

Delikatnie odsuwał ją od siebie za każdym razem, gdy powracała jak intruz...

Co będziesz robił, kiedy w końcu dostarczysz ten list?

Chłopiec nie miał odpowiedzi ani na to, ani na dziesiątki podobnych pytań, które co chwila tłoczyły się w jego głowie. Z każdą przejechaną 23

milą coraz bardziej obawiał się trudności związanych ze swą misją. Wła-

ściwie już od pierwszej chwili żałował, że się jej podjął.

Wtedy jednak miał wrażenie, jakby to robił nie z własnej woli. Coś mu kazało zareagować na wymówki umierającego rycerza. Zapewne pchnął go do tego sam bóg Ariel. A może uległ dramatycznemu nastro-jowi chwili? I te znaki... ale czyż wszystkie znaki się sprawdzają?

Z zamkniętymi oczami i twarzą wystawioną na słońce żuł chleb kminkowy, dumając nad swym losem. Wtem po twarzy przemknął mu zimny cień, jakby słońce na moment się skryło, i z góry dobiegł krzyk jakiegoś ptaka. Quentin uchylił powiekę jednego oka i aż się cofnął, oślepiiony ostrym światłem. Szybko mrugając i przysłaniając oczy ręką, w końcu odnalazł tego ptaka. W tej samej chwili ścisnęło mu się serce, ujrzał bowiem najgorszy znak, jaki można sobie wyobrazić.

Nisko nad głową chłopca krążył kruk, co jakiś czas rzucając mu na twarz cień skrzydeł.

### 3.

Błękitne, niemal bezchmurne niebo zmieniło się w fioletową kopułę, pokrytą żółtymi i czerwonymi kropkami, a biel śniegu przybrała barwę ciemnoniebieską, nim Quentin znalazł miejsce na nocny spoczynek –

skleconą z bierwion chatę Durwina, świątobliwego pustelnika z Pelgrin-skiego Boru.

Gmin znał go z tego, że udzielał pomocy podróżnym, opiekował się wieśniakami i ludźmi lasu, którzy często korzystali z jego sztuki leczenia. Miejscowa wieść głosi, że niegdyś był kapłanem, lecz odszedł, by czcić innego boga. Właściwie nic więcej nie wiadano o pustelniku poza tym, że gdy ktoś wymagał pomocy, on zawsze znajdował się w pobliżu. Niektórzy powiadali, że ma liczne dziwne moce, a wśród jego talentów wymieniali umiejętność wywoływania smoków z jaskiń, aczkolwiek nikt jeszcze tego nie widział.

24

Quentinowi wydawało się dziwne, że Biorkis może znać taką osobę czy zalecać korzystanie z jej pomocy, jeśli nawet pomoc ta ogranicza się do noclegu. To właśnie Biorkis dał mu srebrną monetę dla pustelnika mówiąc:

– Przywitaj się z tym bratem w imię boga i wręcz mu tę monetę.

Ona wiele wytłumaczy. Przekaż ode mnie pozdrowienia... – zawahał się.

– Powiedz, że szukam jaśniejszego światła. – Kapłan pośpiesznie się odwrócił i rzekł, jakby do siebie: – To mu więcej wytłumaczy.

Tak więc Quentin znalazł się na skraju boru w zapadającym zmierzchu tego wspaniałego zimowego dnia. Chata pustelnika stała w niewielkiej odległości od drogi, lecz całkowicie ukryta za ogromnymi dębami, drzewami iglastymi oraz gęstymi ciernistymi krzewami. Odszukanie jej zajęło chłopcu trochę czasu mimo szczegółowych wskazówek, jakie otrzymał od kapłana.

Wreszcie ją znalazł – była niska, przysadzista, jakby się składała głównie z dachu i komina. Miała dwa małe okienka, a wchodziło się do niej przez drzwi dziwnie zaokrąglone u góry. Ta skromna siedziba znajdowała się na pagórku po drugiej stronie naturalnej polany, z której otwierał się rozległy widok na niebo. Teren łagodnie się wznosił ku chacie, a zatem, by dotrzeć do frontowych drzwi, należało się posuwać nieco pod górę.

Quentin cicho podjechał do wejścia. Z siodła mógłby łatwo przeskoczyć na dach, lecz zsunął się z szerokiego grzbietu konia i otwartą dłonią uderzył w grube dębowe drzwi. Czekał niepewnie, jego stukania bowiem prawie wcale nie było słychać, a poza tym, gdyby nie dym, podejrzewał-

by, że nikogo tu nie ma. Ktoś jednak był – w śniegu na polanie widniały liczne ślady, wydeptane

przez ludzi i zwierzęta.

Zza pasa pod opończą chłopiec wyjął sztylet, który dostał od rycerza, i trzymając go za brzeszczot, kilkakrotnie mocno zastukał w drzwi ręko-jeścią, tym razem głośniej. Czekał.

Teraz niebo szybko ciemniało, słońce bowiem zaszło dość dawno.

Quentin czuł powracające zimno. Z wnętrza chaty nie dochodził żaden dźwięk.

25

Zebrawszy się na odwagę, chłopiec chwycił prymitywną klamkę i stwierdził, że pod naciskiem ustępuje. Oparł się więc ramieniem o z grubsza ociosane deski i pchnął. Drzwi bez trudu się otworzyły. Quentin wpadł do środka z większym ceremoniałem, niż zamierzał, potknął się bowiem o próg.

Izba była o wiele obszerniejsza, niż mógłby sądzić, patrząc na chatę z zewnątrz, a jej podłoga leżała znacznie niżej poziomu gruntu. Kamiennie schodki prowadziły do ciepłego, przytulnego wnętrza, oświetlonego tańczącymi płomieniami ognia na szerokim palenisku. W izbie znajdował się dziwny zestaw ręcznie wykonanych mebli: krzesła, stoły różnej wielkości, taborety i ogromne niezgrabne łóża, a także miła niespodzianka – księgi. Sterty zwojów pergaminu zalegały stoły i proste półki. Było ich znacznie więcej, niż Quentin kiedykolwiek widział. Nawet biblioteka świątyni nie miała takiego zbioru.

Wszystko to chłopiec objął wzrokiem, gdy jego oczy przywykły do mrocznego wnętrza izby. Spostrzegł też nieobecność gospodarza. Zapewne Durwin wybrał się do boru, by udzielić komuś pomocy. Quentin postanowił zaczekać do powrotu pustelnika, przysunął sobie stółek do ognia i usiadł.

Chłopiec nie wiedział, co go obudziło: dźwięk czy zapach? Wydawa-

ło mu się, że z oddali dobiegają czyjeś głosy, ale nie mógł rozróżnić słów. Rozmawiały dwie osoby, wprawdzie cicho, lecz z niejakim ożywieniem. Z bliska zaś docierała woń gorącej potrawy, mocno przyprawionej czosnkiem. Otworzył oczy.

Nakryty własną opończą, leżał w pewnej odległości od paleniska, przy którym ujrzał dwie postacie słusznej postury. Jedna z nich klęczała, mieszając warzączwią w dużym czarnym garnku na ogniu, druga siedziała na taborecie plecami do chłopca, nie mógł więc zobaczyć jej twarzy. Obaj mężczyźni byli ubrani w luźne ciemne opończe. Rozmawiali, a ich sylwetki tańczyły na przeciwległej ścianie izby jak w teatryku cieni.

26

Quentin ostrożnie się podniósł. Natychmiast zauważył to mężczyzna pochylony nad bulgocącym garnkiem.

– No, proszę! Nasz młody przyjaciel ożył! Mówiłem ci, Theido, że moja zupa przywróci go do

przytomności. – Mrugnął do swego towarzysza, który odwrócił się i rzucił chłopcu pytające spojrzenie. – Czary poskutkowały... Ba!

Speszony tym, że zasnął na stanowisku i teraz się znalazł w centrum uwagi, choć niewątpliwie życzliwej, Quentin nieśmiało podszedł do ognia i przemówił do nieznanym.

– Nazywam się Quentin i jestem do waszych usług, czcigodni mężowie.

– A my do twoich – odpowiedzieli zgodnie z obyczajem.

Chłopiec wydobył zza pasa srebrną monetę.

– Przywożę ci ją wraz z pozdrowieniami od Biorkisa, starszego kapłana w głównej świątyni.

Przywitał się z nimi bardzo sztywno i oficjalnie, nie miał bowiem pewności, jakiego przyjęcia może się spodziewać. Wręczając monetę Durwinowi, wiedział jednak, że nie musi się obawiać tego człowieka.

Pokryta zmarszczkami, opalona twarz pustelnika promieniała życzliwością. Jasnoblękitne oczy mrużyły się w uśmiechu. Krzaczaste kasztanowate brwi, kropka w kropkę takie same jak jego wąsy i broda, poruszały się, gdy mówił. Pod opończą miał zwykły strój kapłana, raczej szary niż brązowy.

– Więc to tak! Naprawdę ten stary lis cię z nią przysłał? – Pustelnik w zamyśleniu obracał w dłoni srebrną monetę. – No cóż, wypada się z tym pogodzić... Idzie o coś więcej, niż wielu mogłoby sądzić, i jestem pewien, że nie masz najmniejszego pojęcia, o czym mówię – rzekł do Quentina, który patrzył nań niepewnym wzrokiem. – Oczywiście, że nie masz, a jednak cię tu przysłał – mruknął święty mąż jakby do siebie. –

Czy polecił ci przekazać mi coś więcej?

– Tylko to, że... szuka jaśniejszego światła.

Wówczas obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Ten drugi, choć nic nie mówił, cały czas uważnie przysłuchiwał się rozmowie.

27

– Tak powiedział? Nie do wiary! – Durwin nie przestawał się śmiać.

– Na brody bogów, jeszcze będą z niego ludzie.

Quentin milczał, zaskoczony tym wybuchem wesołości. Czuł się skrępowany i nieco dotknięty żartami na temat rzeczy, o których zupeł-

nie nic nie wiedział. Zmarszczył brwi i widocznie tamci zrozumieli, że nie podziela ich rozbawienia,

Durwin bowiem od razu spoważniał i od-dał chłopcu monetę.

– Widzisz, otrzymują je wydalenii kapłani. – Sięgnął za pazuchę i wyjął podobny srebrny krążek, zawieszony na łańcuszku na szyi. – Ja też taką mam.

Quentin porównał obie monety. W każdym szczególe były istotnie takie same, z tym że należąca do pustelnika wyglądała na starszą i bardziej zużytą.

– Biją je w świątyni na specjalne okazje, kiedy jakiś kapłan umiera lub odchodzi. Są rodzajem zapłaty za służbę bogu. Ładna mi zapłata, co?

– To znaczy, że byłeś kapłanem? – spytał chłopiec.

– Tak, oczywiście. Biorkis i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Razem wstąpiliśmy do świątyni, by zostać kapłanami, i razem dorastali-

śmy.

– Dość wspomnienia dawnych czasów – odezwał się towarzysz pustelnika niecierpliwym głosem. – Lepiej przedstaw mnie swojemu go-

ściowi, Durwinie.

Quentin spojrział na mężczyznę o ciemnej cerze, na którego dotychczas prawie nie zwracał uwagi. Wzrost miał chyba więcej niż średni, lecz siedział na stołku ze skrzyżowanymi nogami, więc trudno było się zorientować. Jego ciemne ubranie o nieokreślonej barwie składało się z długiej opończy, luźno narzuconej na obcisłą bluzę, i spodni z tego samego materiału, co reszta. Stroju dopełniał czarny pas z przymocowaną doń sporą sakwą.

Chłopca uderzyły rysy jego twarzy, uwydatnione blaskiem ognia, i żywe, czujne oczy. Wysokie czoło ocieniały gęste czarne włosy, sięgają-

ce prawie do ramion. Ostry nos wysuwał się nad silnie zarysowane 28

wargi, kryjące proste białe zęby. Cały wygląd świadczył, że to człowiek czynu, energiczny, obdarzony szybkim refleksem, zapewne bystry.

– Quentinie – powiedział były kapłan – człowiek, na którego tak uważnie patrzysz, to mój stary druh, Theido, mile widziany, choć rzadki gość w tym skromnym domu.

Mężczyzna wytwornie pochylił nisko głowę. Chłopiec z szacunkiem mu się uklonił.

– Miło mi cię poznać, paniczku – rzekł tamten. – Kapłanów wydalo-nych ze świątyni znajduję świętymi przyjaciółmi.

Obaj mężczyźni znowu się roześmiali. A chociaż Quentin nie wiedział dlaczego, tym razem zrobił to samo.

Wszyscy trzej posilili się gęstą smaczną zupą, popijając mocnym jasnym piwem, doskonale warzonym przez samego Durwina.

Po całodziennych trudach Quentinowi dopisywał apetyt. Chłopiec kilka razy powiedział, że nigdy jeszcze nie jadł tak wspaniałej potrawy.

Później długo rozmawiali o najrozmaitszych sprawach. Quentin miał

wrażenie, jakby nie pominęli żadnego tematu, począwszy od pszczół, a skończywszy na książkach. Dotychczas nie zdarzyło mu się przebywać w takiej kompanii, w świątyni obowiązywała bowiem ścisła reguła, ograniczająca kontakty między kapłanami, które były bardzo oficjalne.

Chociaż więcej słuchał, niż mówił, przyjacielska atmosfera, dobre jedzenie i ciekawa wymiana zdań oszołomiły go. Chłonał to wszystko z zachwytem pragnąc, by ta noc trwała bez końca.

Wreszcie zmęczony Durwin wstał i pokiwał głową.

– No, moi mili, czas spać! Porozmawiamy jeszcze jutro.

– Jutro będę musiał odjechać – rzekł Quentin, przypomniawszy sobie o swojej misji.

Z zalem popatrzył na obu mężczyzn, którzy uważnie nań spojrzeli.

– Tak szybko? – odezwał się Durwin. – Myślałem, że zostaniesz z nami trochę dłużej. Chciałem ci opowiedzieć, co robiłem od czasu, gdy odszedłem ze świątyni.

29

– A jak będziesz podróżował? – spytał Theido.

– Mój koń! – wykrzyknął Quentin.

Zajęty rozmową przy stole pustelnika, całkiem zapomniał o swym wierzchowcu. Popędził do drzwi, otworzył je i wbił wzrok w ciemności mroźnej nocy, lecz po zwierzęciu nie było ani śladu. Przerażony, odwró-

cił się ku tamtym.

– Nie ma go! – zawołał.

– Jak wyglądał? – spytał Theido, mrużąc oczy.

– Kasztanowaty. Najpiękniejszy koń, jakiego widziałem w życiu, a ja go zgubiłem.

– Pójdź za mną – spokojnie powiedział Durwin. – Chyba uda nam się go znaleźć, jeśli nie odszedł zbyt daleko.

Pustelnik odwrócił się i znikł za półkami pełnymi zwojów pergaminu.

Quentin zajął tam i odkrył, że jest tam wejście do drugiej izby, zasłonięte ogromną skórą niedźwiedzia. Izba była ciemna i cicha, ale ciepła; mocno pachniała sianem i końmi.

Durwin trzymał w ręku ogarek świecy, od którego zapalał pochodnię na ścianie. Z pochodni unosił się gęsty dym, a wreszcie zajaśniała stałym światłem, rozpraszającym mrok.

Okazało się, że są w niewielkiej jaskini. Chatę pustelnika zbudowano tuż przy wejściu do niej, co wyjaśniało, dlaczego izba miała gładką kamienną podłogę. W bladym świetle pochodni Quentin zobaczył swojego rumaka, który z opuszczonym łbem stał pomiędzy dwoma nieco mniejszymi końmi i spokojnie jadł siano. Trochę zmieszany chłopiec z ulgą podziękował gospodarzowi za przezorność.

– Widząc twojego wierzchowca przed chatą nie uwiązane, domy-

śliliśmy się, że nie jesteś prawdziwym jeźdźcem – dobrodusznie zauwa-

żył Theido. – Inny koń by odszedł w poszukiwaniu jedzenia. Twój wygląda na dobrze wyszkolonego i przypuszczam, że nie jesteś jego panem.

Quentin ze smutkiem pokiwał głową.

– Należy... należał...

30

– Dość tego! – przerwał mu Durwin. – Idziemy spać, o tym wszystkim zaś porozmawiamy sobie rano, a jeśli się nie mylę, do rana już niedaleko.

## 4.

Nie pytając chłopca o zdanie, choć nie całkiem bez jego zgody, postanowiono, że Theido będzie mu towarzyszył w dalszej drodze. Zdecydowano o tym podczas śniadania, gdy cała trójka, rozmawiając wesoło, jadła gorącą owsiankę na mleku i chleb maczany w miodzie. Quentin, ożywiony myślą o czekających go przygodach, miał jeszcze większy apetyt niż przy kolacji.

Mężczyźni nie mogli się nadziwić, że chłopiec zdołał bez przeszkód dotrzeć do boru.

– Tu, w Pelgrińskim Borze, aż się roi od wyrzutków wszelkiego rodzaju. Mogliby otrzymać niezłą cenę za twojego konia – rzekł ze śmiechem Theido.

– I nieco mniejszą za jeźdźca – dodał Durwin.

– Nie ośmieliliby się mnie tknąć – nieostrożnie odezwał się Quentin pod wpływem nastroju. – Przecież wiozę list do królowej.

Wiadomość ta poderwała obu mężczyzn. Quentin zacisnął usta, gdy uświadomił sobie, że się wygadał.

– Do królowej? – powtórzył Theido, natychmiast się opanowując. –

Jakiż interes ty, mój chłopcze, mógłbyś mieć do królowej?

Quentin stał się ostrożniejszy.

– To wyłącznie moja sprawa – odrzekł trochę zły na siebie, że zdradził tajemnicę.

– Ten list chyba nie jest od króla? – dopytywał się Theido.

– Nic więcej ci nie powiem, panie – obstawał Quentin.

– Młody człowieku – wtrącił się Durwin – aczkolwiek chyba nie przyszło ci to do głowy, jednak ja i mój przyjaciel od pewnego czasu się domyślamy, że przybyłeś tu z czymś ważnym. Twój koń, na przykład, 31

mógłby należeć do jakiegoś znakomitego rycerza, lecz nie do nowicjusza. Idę o zakład, że nie opuściłeś świątyni z powodu niedotrzymania ślubów, ale raczej z konieczności, by wykonać zadanie, którego się podjąłeś. Pustelnik przerwał i badawczo popatrzył na chłopca.

Quentin lekko się spłonił, został bowiem przejrzany na wylot.

– Widzę, że nie jestem daleki od prawdy – dodał Durwin.

– Młodzieńcze, możesz nam zaufać – spokojnie rzekł Theido z głę-

bokim przekonaniem. – Nie chcemy ci szkodzić. Myślę, że nie znajdziesz dwóch innych ludzi, którzy



tak jak my strzegliby twojego sekretu niby własnego, nawet ryzykując życie:

Quentin mu wierzył, lecz siedział w milczeniu, nie wiedząc, czy powiedzieć im więcej czy nie.

– Masz w sobie tyle odwagi i zdecydowania, że wystarczyłoby tego na dwóch takich młodzieńców – odezwał się Durwin. – Bywają jednak wypadki, w których to nie wystarcza. Moim zdaniem Biorkis zdawał

sobie z tego sprawę i dlatego przysłał cię do mnie, mając nadzieję, że domyśle się, jak ważna jest twoja misja, i udzieli ci pomocy, jeśli zdo-

łam.

– Czy rozmowa z królową może być niebezpieczna dla jej poddane-go? – ze smutkiem spytał Quentin.

Mężczyźni w milczeniu pokiwali głowami.

– Samo spotkanie z królową oczywiście niczym ci nie grozi, pod warunkiem, że wejdiesz do zamku żywy – odparł Theido. – Są tacy, którzy chcą utrzymać ją w niewiedzy, jeśli idzie o to, co się dzieje poza dworem, aby tym skuteczniej siać ziarno zła.

– Bez naszej pomocy nigdy nie uda ci się dotrzeć do królowej – do-dał Durwin. – Jeśli nawet umkniesz bandzie rozbójników, schwyta cię ksiązę Jaspin.

– Ksiązę Jaspin?

Quentin się zastanawiał, czy kiedykolwiek słyszał to imię.

– Ksiązę Jaspin – wyjaśnił Durwin – jest młodszym bratem króla Eskevara. Chce zasiąść na tronie Askelonu. Ten zdrajca zabiega o to 32

coraz zuchwałej. Uczciwi ludzie, którzy mają odwagę wystąpić przeciwko niemu, boją się o swoje życie i majątek. Wielu szlachetnie urodzo-nych nie chciało brać udziału w intrygach tego chciwego drania, więc im wszystko zabrał.

Chłopiec pilnie notował to sobie w pamięci, lecz ciągle nie wiedział, jak postąpić. Wreszcie postanowił jednak zaufać byłemu kapłanowi i jego niezwykle przyjacielowi. Podzielił się z nimi resztą sekretu.

– Zamierzam spotkać się z królową, aby przekazać jej wiadomość o wielkim znaczeniu – rzekł powoli. – Dwa dni temu przybył do naszej świątyni jakiś ranny rycerz i poprosił o pomoc. Napadli go zbójcy i był

już umierający. Sam się zgłosiłem, że przekażę sekretną wiadomość w zapieczętowanym liście. Dostałem od rycerza konia, na którym jadę, i sztylet.

Quentin odrzucił do tyłu opończę i pokazał złotą rękojęść sztyletu. –

A ten rycerz... znasz jego imię? – szybko zapytał Theido.

– Nazywa się Ronsard.

– Ronsard! Jesteś tego pewien?

– Tak. Wszystko widziałem i słyszałem. Powiedział swoje imię i poprosił, by ktoś zawiózł tę wiadomość do królowej. Więc się zgłosiłem.

– Zatem jesteś odważniejszy, niż myśleliśmy – rzekł Durwin.

– W takim razie to wiadomość od króla – stwierdził Theido. – Ronsard należy do jego straży przybocznej. To rycerz niezrównanie waleczny i mężny. – Ze smutkiem spojrzął na chłopca. – Powiadasz, że nie żyje?

– Tak... to znaczy... tak mi się wydaje – niepewnie odparł Quentin. –

Nie śmiałem czekać, aż umrze, ale kiedy opuszczałem świątynię, był

bliski śmierci. – Umilkł przypomniawszy sobie wydarzenia, które go tu sprowadziły. Ogarnęło go przerażenie i poczuł się samotny. – Mogę wam zaufać? Nie oszukacie mnie?

Durwin wstał z krzesła, obszedł stół i położył chłopcu dłoń na ramieniu.

33

– Mój synu, wyświadczyłeś królowej wielką przysługę, dzieląc się z nami tą tajemnicą. Bardzo możliwe, że królowi oddałeś jeszcze większą.

Chyba także Ronsard byłby z tego zadowolony, gdyby wiedział, co się stało.

– Pustelnik mówi prawdę – odezwał się Theido. – Teraz musimy się zastanowić, jak przekazać tę wiadomość. Rozbójnicy to najmniejszy kłopot.

Theido i Quentin opuścili chatę pustelnika około południa, kiedy padały duże rzadkie płatki śniegu, które niknęły w białym puchu, pokrywającym ziemię grubą warstwą. Durwin został, by oddać się swoim zwykłym zajęciom.

– Będę czekał na was z gorącą zupą i zimnym napitkiem. Jadąc z wami, tylko bym zawadzał – rzekł na pożegnanie, a gdy wyprowadzali konie na wąski trakt, prowadzący do drogi, zawołał: – Niech was bóg prowadzi, abyście wrócili szybko i szczęśliwie!

– Jakiemu bogu służy Durwin? – zapytał Quentin po kilku minutach jazdy w milczeniu, kiedy to obaj zdawali się pogrążeni we własnych myślach.

Theido przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie przypominam sobie, by Durwin kiedykolwiek wymienił jego imię – odparł w końcu. – Być może jego bóg w ogóle nie ma imienia.

Bezimienny bóg? Myśl ta przez dłuższy czas nie dawała chłopcu spokoju.

Jechali przez gęsty dębowy bór. Poskręcane i splątane gałęzie starych drzew tworzyły jakby baldachim nad ich głowami. Tu i ówdzie smukłe sosny przebijały się do światła przez gąszcz dębów.

Konie bez trudu poruszały się po śniegu, który w lesie zalegał cienką warstwą. Przodem jechał Theido na swoim brązowym rumaku, a tuż za nim Quentin na potężnym Balderze. Chłopiec nasłuchiwał odgłosów lasu: szelestu śniegu zsuwającego się z gałęzi, skrzypienia drzew poruszających się na mrozie, krzyku samotnego ptaka w oddali. Jeśli wyteży 34

się słuch, nawet cisza jest pełna dźwięków.

– Sądzisz, że spotkamy rozbójników? – po jakimś czasie spytał Quentin, przypomniawszy sobie wcześniejszą rozmowę.

– Miejmy nadzieję, że oprócz drzew i śniegu nic się nie pojawi na naszej drodze. Powinieneś jednak wiedzieć, że wśród rozbójników są ludzie nie mniej uczciwi od nas, ale uciekli do lasu przed księciem Jaspinem i jego bandą łotrów.

W głosie Theida chłopiec wyczuł nutę buntu, lecz poza tym kryło się tam jeszcze coś, czego nie pojmował.

– Jeśli więc przypadkiem spotkamy kogoś w tym lesie, módl się, żeby nie służył księciu, lecz królowi smoków – ciągnął Theido. – Wiedz, że jestem znany.

– Być może padający śnieg zatrzyma ich w domu – zauważył Quentin.

Kiedy mówił te słowa, chmury zaczęły się przeredzać. W powietrzu wirowały ostatnie płatki śniegu.

– Owszem, to możliwe, ale podróżny jest łakomym kąskiem, zwłaszcza obecnie. Wielu spośród tych, którzy niegdyś swobodnie po-dróżowali po kraju, teraz najmuje zbrojną eskortę albo łączy się w większe grupy myśląc, że to odstraszy rabusiów. Przeważnie omijają lasy, lecz tylko nielicznym udaje się podróżować bez szkody. Ty, mój młody przyjacielu, miałeś wiele szczęścia, że dotychczas nikt cię nie zauważył.

Nie bałeś się?

– Nie wiedziałem, że z tymi rozbójnikami są aż takie kłopoty.

– Wieści nie docierają w góry, he? Ani bogów, ani ich sług, nie obchodzi, co się dzieje w świecie zwykłych ludzi? – dziwnie zaśmiał się Theido. – A w królestwie Mensandoru dzieje się bardzo źle: niegdyś uczciwi ludzie wzajemnie na siebie dybią, w biały dzień przelewa się niewinną krew.

Nastaly ciężkie czasy.

– Nic o tym nie slyszalem... – odparl Quentin na swoj4 obronę.

35

– Tak przypuszczam, ale może to i lepiej. Niewinność jest rzadkim darem. Chyba nigdy z własnej woli byś się nie podjął tej misji, gdybyś wiedział, co ci grozi.

Na godzinę przed zachodem słońca las wreszcie poczał rzedn4c. Cał-

kiem nieoczekiwanie jeźdźcy znaleźli się w rozległej dolinie, przeciętej głębokim, wąskim strumieniem, a po jej drugiej stronie ujrzeli wysokie mury obronne Askelonu.

Twierdza królewska leżała na szczycie wzgórza, które połyskiwało w świetle gasnącego dnia. Jej niebotyczne wieże, wyraźnie się rysujące na horyzoncie, panowały nad okolicą i zewsz4d było je widać z odległości wielu mil, Sylwetka potężnej fortecy złowieszczo ciemniała na purpurowym zachodnim niebie niczym fantastyczny smok, zwinięty na swym skalnym łożu.

Quentin zadrzał w siodle. Od dawna marzył o tym widoku, a teraz ujrz4ł go na własne oczy.

– Ludzie powiadają, że ten zamek jest najstarszą budowlą w naszym kraju – odezwał się Theido. – Ze wszystkich starożytnych cudów przetrwał jedynie Askelon. Król Celbercor, kiedy tu przybył, własnoręcznie położył kamień węgielny pod jego budowę, którą ukończono dopiero tysiąc lat później. Twierdza może pomieścić pięćdziesiąt tysięcy zbrojnych i konie dla połowy z nich. Ludzkie ręce jeszcze nie stworzyły drugiej tak potężnej fortecy. Wytrzymała wiele oblężeń i wojen. Te mury stały, gdy nasi ojcowie byli oseskami, i będą stały, gdy nasze ciała obró-

c4 się w proch.

– Nigdy jej nie zdobyto?

– Nigdy, przynajmniej nie z zewnątrz i nie siłą. Jednakże intrygi, wewnętrzne walki obaliły niejednego króla. Nawet owe potężne mury nie powstrzymają oszustwa.

Zjechali z łagodnego stoku wzgórza i szybko pokonali strumień, roz-bryzgując wodę. Dzień już się skończył, lecz migotały światła we wsi pod murami Askelonu, które dawały jej ochronę. Kiedy się zbliżyli, 36

wielka ciemna sylwetka zamku roztopiła się w mroku, ale z każdym ich krokiem okna chat rzucały na śnieg coraz milsze światło. Quentin slysz4ł

głosy dochodzące z wnętrza mijanych domów, a czasami do jego nozdrzy docierała woń gorącego chleba lub pieczonego mięsa. Nagle poczuł

się głodny i bardzo zmęczony.

– Czy pojedziemy prosto do królowej?

– Nie sądzę. Wystarczy, że udamy się do niej jutro. Najpierw chcę się wywiedzieć, jak stoją sprawy na dworze. Jakiś czas mnie tam nie było – powiedział Theido, wstrzymując konia, tak aby chłopiec znalazł

się obok. Potem odezwał się przyciszonym głosem: – Dziś dla ciekaw-skich jesteś moim bratankiem. Mów tylko wówczas, gdy ktoś cię zagad-nie, i w ogóle nie wspominaj ani o królowej, ani o królu. Cały czas pilnuj się mnie, rozumiesz?

Quentin żywo kiwnął głową.

– Zatem w porządku – ciągnął Theido swobodniejszym tonem. –

Nie zjadłbyś kolacji?

Quentin podniósł wzrok i zobaczył, że się zatrzymali przed sporą oberżą. Zniszczony szyld nad wejściem zapraszał podróżnych do środka.

Było na nim coś namalowane, lecz chłopiec nie potrafił rozpoznać co.

Kiedy zsiadli z koni, drzwi otwarły się szeroko i wybiegł z nich mały mężczyzna w krótkiej tunice i pantalonach. Wydatny brzuch miał owinięty białym płótnem.

– Witajcie, witajcie! – zawołał wesoło. – Właśnie podajemy kolację.

Jeśli się pośpieszycie, może jeszcze znajdziecie miejsce przy stole.

Szybko! O konie się nie martwcie, ja się nimi zajmę.

– Bardzo uprzejmie z twojej strony, Milcherze – powiedział Theido ze śmiechem. – Niedowidzisz jak zawsze... nawet nie wiesz, kogo zapra-szasz w tę ciemną noc. I nic cię to nie obchodzi!

– Wielkie nieba! Czyżby Theido? – Oberżysta podszedł bliżej i zajrzał w twarz wyższego podróżnika. – No, oczywiście! Od razu wiedzia-

łem, że to ty. Poznałem cię po głosie. Wchodźcie, wchodźcie. Jest za 37

zimno, żeby tu mleć jęzorem. Do środka! Obaj! Jazda! Wziął wodze z ich rąk i poprowadził konie za dużą nieforemną gospodę. – Pośpieszcie się! Kolację już podano! – wykrzyknął znikając za rogiem.

Podeszli do wejścia i Theido, otwierając szerokie drzwi, położył dłoń na ramieniu chłopca.

– Pamiętaj, co ci mówiłem – rzekł i przytknął palec do ust.

Quentin skinął głową z nieznacznym uśmiechem.

– Dobrze... stryju.

## 5.

Oberżę wypełniał zgiełk ludzkich głosów i pobrzękiwanie cynowych dzbanków z piwem. W nisko sklepionej sali unosił się dym ze świec na stołach, pochodni na ścianach i ogromnego kominka o słabym ciągu.

Panował tam jednak nastrój radosny i beztroski, a zarazem burzliwy i pełen zapalczywości. Po kilku krokach Quentin zdał sobie sprawę, że serdecznie się uśmiecha.

Theido skierował się wraz z nim w stronę długiego stołu nie opodal paleniska. Wbrew temu, co twierdził Milcher, było tam mnóstwo wolnych miejsc, jako że tego wieczoru goście przeważnie pili. Oberżysta miał jednak słuszność mówiąc, że trafili na kolację. Ledwie usiedli na prostej ławie przy końcu stołu, gdy zjawiły się półmiski z parującym jadłem. Góry mięsa i warzyw oraz kilka rodzajów pieczywa i sera podali tęga, skora do śmiechu kobieta o rumianych policzkach i chudy, gamoniowaty chłopiec, który niezdarne kładł na stole talerze.

– Uważaj, Otho! – dobrodusznie strofowała go kobieta. – Ty już jesteś po kolacji, więc pozwól tym szlachetnym panom zjeść w spokoju.

Śmieszna para wracała do kuchni tylko po to, by się zjawiać co chwila i gnębić gości donoszeniem jadła i napojów.

– Jedzcie! – gderała kobieta. – Jedzcie, proszę. No, jedzcie! W ogóle nic nie jecie!

38

Jedli wolno i z namysłem, zgodnie z poleceniem Theida, czujnie się rozglądającego, czy ktoś go nie poznaje. Jednakże nie zauważył niskiego ciemnowłosego mężczyzny, który stanął w drzwiach i po chwili jak cień wślizgnął się w ciemny kąt. Wkrótce szpieg niepostrzeżenie opuścił gospodę. Po kolacji Theido i Quentin ustąpili miejsca innym.

Niebawem zjawił się Milcher, zabiegany właściciel oberży, by sprawdzić, jak obsłużono przybyłych gości.

– Chyba tym razem u nas przenocujesz? – zapytał.

– Tak. Zdajemy się na twoją łaskę – odparł Theido z szerokim uśmiechem.

– Świetnie. Tak też myślałem. Wasze konie już umieściłem na noc.

Ale kim jest ten młodzieniec?! – wykrzyknął napotkawszy życzliwe spojrzenie Quentina. – Theido, nie przypominam sobie, żebyś mi przedstawiał swojego przyjaciela.

Pochylił nad chłopcem twarz poczerwieniałą od ciągłego biegania.

– Czyżby? – wymijająco odparł Theido. – Myślałem, że wiesz, kto to jest. Mój bratanek Quentin.

– O, naturalnie! Znam go bardzo dobrze, nieprawdaż? Jaki on już duży. Ale wyrósł!

Z tymi słowy niski oberżysta znów ich zostawił i teraz uwijał się jak pszczoła w kącie sali wypełnionej hałaśliwym tłumem.

– Miejmy nadzieję, że dziś już nikt więcej nie będzie się interesował

moją rodziną. Milcher by przegadał dwadzieścia bab. Wolałbym, żeby o naszej wizycie wiedziało jak najmniej ludzi.

– Sądysz, że ktoś mógłby nas szukać? – spytał chłopiec, któremu ta myśl właśnie przyszła do głowy.

– Niewykluczone. Kimkolwiek są ludzie, którzy zabili lub kazali zabić Ronsarda, muszą już wiedzieć, że on swojego sekretu nie zabrał do grobu. Możliwe jednak, że nie wiedzą o tej misji. Nie mamy więc pewności.

– Chcesz przez to powiedzieć, że rozbójnicy nie napadli go przypadkiem?

39

– Tak sędzę, młodzieńcze. Albo co najmniej niezupełnie przypadkiem. Mogli być do tego wynajęci, bo chybaby nie zaatakowali królewskiego rycerza tylko dla jego kiesy. Myślę, że nawet rozbójnicy bardziej cenią własne życie niż pieniądze. Prawdopodobnie ktoś wiedział o jego misji albo go o nią podejrzewał.

– Księżę Jaspin?

Intrygi na dworze były dla Quentina nowością, ale nieodparcie go po-ciągały. Bystry umysł chłopca rozważał wszystkie możliwości zmywy z szybkością lisa, który zakradł się na podwórko pełne tłustych kur.

– Być może – odparł Theido. – Niejeden raz wysługiwał się innymi, żeby sobie nie brudzić rąk. Myślę jednak, że to nie on... nie umiem powiedzieć, dlaczego tak uważam, ale czuję to tutaj – wskazał na swój brzuch. – No, a teraz, skoro już się najadłeś, najlepiej będzie, gdy udamy się na spoczynek. Powinniśmy mieć jasny umysł, bo jeszcze musimy znaleźć sposób, jak jutro spotkać się z królową.

Wrócił Milcher i pośpiesznie zaprowadził ich do pokoju, gdzie jego żona, owa pogodna, rumiana kobieta, ścieliła duże, solidne łóże. Przy kominku, który ogrzewał izbę, stało mniejsze, przenośne łóżko. Choć ten kwadratowy pokój wyglądał zwyczajnie i zgodnie z życzeniem Theida nie miał okien, to jednak było w nim przytulnie.

– Śpijcie zdrowo, mili goście – rzekł oberżysta, zamykając drzwi, i cicho odszedł na palcach.

– Na twoim miejscu tylko bym popuścił pasa – uprzedził chłopca Theido widząc, że Quentin zaczyna zdejmować tunikę, siedząc na brzegu mniejszego łóżka. – Tej nocy musimy być przygotowani na wszystko.



Niezbyt daleko od oberży, na szczycie wzgórza, w zamku Askelon, w obszernej i bogato urządzonej komnacie sypialnej dopalała się świeca.

Podłoga była z białego marmuru, a na ścianach wisiały gobeliny przedstawiające ulubioną rozrywkę gospodarza – polowanie. Na wspaniale rzeźbionym stole, nakrytym granatowym obrusem, haftowanym srebrną nicią, leżały mapy i zwoje pergaminu.

40

W jednym końcu owej komnaty, która miała sufit w kształcie kopuły, jako że znajdowała się na ostatnim piętrze wschodniej wieży, trząsał

ogień w kominku, ozdobionym dębową płaskorzeźbą herbu poprzedniego mieszkańca.

W dużym fotelu z wysokim oparciem i bocznymi skrzydłami, które chroniły przed chłodem ciągnącym od ścian starego zamku, siedziała zgarbiona postać, pełna melancholii. Fotel ów, a raczej niewielki tron, stał nie opodal kominka, lecz zdawało się, że siedzący mężczyzna ani nie odczuwa ciepła, ani nie widzi tańczących płomieni, wbił bowiem tępy wzrok w ogień, trzymając w ręku długą kulawkę z winem, którego nawet nie spróbował.

Był to książę Jaspin. Ledwie się poruszył, gdy usłyszał gwałtowne pukanie do drzwi i do komnaty wszedł zdyszany szambelan z wiadomo-

ścią, że jakiś rycerz prosi o posłuchanie. Dowiedziawszy się, o kogo chodzi, Jaspin wybuchnął gniewem.

– W tej chwili go tu przyślij, stary głupcze! Od wielu dni czekam na wieści od niego, a ty go zatrzymujesz w zimnym korytarzu. Powiniennem kazać obedrzeć cię ze skóry!

Szambelan, nawykły do humorów pana, nie słyszał dalszych słów, od razu bowiem wybiegł z komnaty, by przyprowadzić upragnionego gościa do rozwścieczonego księcia.

Jaspin zerwał się z fotela, gdy tylko rycerz wszedł.

– Powiedz mi, mości panie, jakie przynosisz wieści. Czy już go odnalazłeś?

– Tak, jest tutaj... we wsi – odparł Bran, nisko się kłaniając.

– We wsi! Gdzie? Każę go natychmiast schwytać!

– Nie polecałbym takiego posunięcia, wasza miłość. Przyciągnęłoby zbyt wiele uwagi. Nie wiemy, ilu ich tam jest... mógł ze sobą przyprowadzić jakichś swoich ludzi. W każdym razie lepiej byłoby to zrobić rano.

– Tak, chyba masz rację – rzekł książę i z powrotem usiadł na je-dwabnych poduszkach fotela, bardzo ucieszony wiadomością. – Nie 41

wolno nam przegapić tej okazji jak ostatnim razem. – Na moment umilkł, a potem spytał od niechcienia: – Jesteś pewien, że Ronsard nie żyje?

– Bez najmniejszej wątpliwości – odparł rycerz.

Był ubrany w podbitą futrem pelerynę, narzuconą na brokatową tunikę. Kiedy zaczął zdejmować rękawiczki, szambelan przysunął mu fotel i wziął od niego pelerynę. Potężnie zbudowany rycerz napełnił sobie kielich winem ze stojącego dzbana i jednym haustem wychylił połowę.

– Dobrze ci się żyje, mój książę – powiedział siadając naprzeciw Jaspina.

– Zapewniam cię, że tym wszystkim, którzy mnie wspierają w moich poczynaniach, niczego nie zabraknie. Mówiłem ci już, Bran, że za twoje starania mam zamiar wynagrodzić cię Crandallem? Ciekaw jestem, co z nim poczniesz.

– Daj, a zobaczysz – odrzekł rycerz.

– Pilno ci do niego, co? – zaśmiał się Jaspin. – Poczekamy, zobaczymy. Nawet w tej chwili bym ci go podarował, lecz przeszkadza mi to, że Theido, czy jak go tam zwa, ciągle jest na wolności i tutaj się kręci.

Nie powinniśmy dopuścić, by wystąpił ze swoimi roszczeniami... byłoby to dla nas niewygodne.

– Mogę się tym zająć – drwiącym tonem powiedział Bran, dolewając sobie wina.

– Tak jak załatwiłeś z Ronsardem? – zachnął się książę.

– Proszę pamiętać, że do chwili potyczki z nim w ogóle nie wiedzieliśmy, że to Ronsard. W każdym razie z powodu ran i mrozu daleko nie odszedł. To wiem.

– Ale nie znalazłeś jego ciała, prawda? – dopytywał się książę.

– Na Zoara, przecież padał śnieg! – ze złością prychnął rycerz. –

Czyżbyś mi nie wierzył? Po godzinie wszystko przykrył śnieg. Koń Ronsarda uciekł, pozostawiając go tam, gdzie padł, i jego ciało zasypał...

42

– Tak, tak, wiem... śnieg. Ty jednak obserwowałeś zasadzkę z pewnego oddalenia...

– Kiedy tam dotarłem, udało mi się znaleźć tylko ciała dwóch moich ludzi!

– Dobrze, że to już się skończyło. Teraz jeszcze należałoby załatwić sprawę tego przywódcy banitów... jak mu tam?

– Jastrzab – posępnie rzekł rycerz.

– Właśnie. Dziwne, że ten Jastrząb pojawił się tak nagle... i tak blisko. Jak to wytłumaczysz? – podchwytliwie spytał księżę.

– Nie będę tłumaczył! – Rycerz uderzył srebrnym kielichem w po-ręcz fotela; na dłoń chlusnęło mu wino. – To zwykły przypadek, nic więcej – dodał spokojniej, z wysiłkiem się opanowując. – Chociaż być może jeden z tych nicponi, których wynająłem do tamtego... przedsię-

wzięcia, wrócił do kryjówki rozbójników, żeby jak pies łąsić się do swojego dawnego pana.

– Możliwe, możliwe. Jak wiesz, psy nie mają pojęcia, co to honor –

dowcipkował Jaspin.

Przez pewien czas księżę sączył wino i siedział w milczeniu ze wzrokiem wbitym w ogień, który zaczął już przygasać.

– Przypuszczam, że jutro zapytamy o to naszego przyjaciela Jastrzę-

bia – powiedział w końcu.

Rycerz uśmiechnął się i wychylił kielich do dna. – O, tak, jutro z pewnością się tego dowiemy.

## 6.

Skończywszy swoje wino, Bran zamienił z księciem jeszcze kilka słów dotyczących sposobu ujęcia banity Jastrzębia następnego ranka. Po wyjściu rycerza, Jaspin wezwał szambelana i zwolnił go na nocny spoczynek.

Kiedy usłyszał trzask zamykanych drzwi, wstał, wziął ze stołu świecę i ruszył do ciemnej alkowy, ukrytej za jednym z ogromnych gobelinów 43

po drugiej stronie komnaty. Wślizgując się pod tkaninę, z fałd swoich szat wyjął niewielki klucz, którym otworzył tajne drzwi.

Cichutko wszedł do sekretnej izby, postawił świecę na małym stoliku i usiadł w fotelu. Na blacie stolika, zasłanym elegancką aksamitną ser-wetą, leżała nieduża ognistoczerwona szkatułka, inkrustowana złotem i wysadzana perłami, wspaniale połyskująca w migotliwym blasku świecy.

Księżę Jaspin nie tracił czasu: oburącz chwycił szkatułkę i odłożył ją na bok. Na serwecie przed nim pozostała osobliwa złota piramida z wy-rytymi na niej przedziwnymi hieroglifami. Całą jej powierzchnię pokrywały niespotykane fantastyczne znaki, które księżę uważał za źródło niezwykłej mocy tego przedmiotu.

Jaspin patrzył na swój skarb z dziwnym błyskiem w oku, jakby pod wpływem jakiejś nadprzyrodzonej siły, dobywającej się z głębi piramidy. Zawsze tak na niego działała; czuł się wówczas odważny, niezwycię-

żony i mądrzejszy od wszystkich ludzi.

Podarował mu ją Nimrood, znany jako Czarnoksiężnik. Ten przebiegły czarodziej był współnikiem Jaspina w jego łajdactwach. Księżę spę-

dził wiele nocy, chcąc poznać sekrety owego dziwnego przedmiotu i zgłębić wiedzę jego twórcy. Ostatnio jednak współnik pomagał mu coraz mniej i w sercu księcia zakiełkowało ziarno podejrzenia.

Położywszy dłonie na piramidzie, Jaspin przymknął oczy i cicho wypowiedział jakieś zaklęcie, a wtedy zaczęła świecić upiornym blaskiem, silniejszym z każdą chwilą. Owa niesamowita poświata wyostrzyła rysy twarzy księcia, rzucając cień jego pochylonej sylwetki na ścianę. Kiedy nieziemski blask osiągnął największe natężenie, ścianki piramidy jakby rozpląnęły się we mgle, choć Jaspin wciąż czuł je pod palcami. W tym niemal oślepiającym blasku, który z niej emanował, piramida stawała się przejrzysta – księżę widział przez nią niewyraźny zarys swoich dłoni. Po chwili zrobiła się całkowicie przezroczysta i prawie zniknęła. Jaspin długo patrzył w jej krystaliczne wnętrze.

Wtem pojawiła się tam zielonkawa mgiełka, która wkrótce zaczęła rzednąć. Jaspin dostrzegł w niej postać mężczyzny idącego ku niemu 44

jakby z wielkiej odległości. Choć mężczyzna szedł, to jednak zbliżał się z przerażającą szybkością,

tak że momentalnie stanął przed księciem, który poznał w nim starego czarodzieja.

Jego twarz, wykrzywiona okrucieństwem, nie mogła budzić zachwytu. Spod krzaczastych, groźnie nastroszonych brwi patrzyły świdrujące oczy. Mimo wyraźnie podeszłego wieku miał na dużej głowie ogromną grzywę zmierzwionych czarnych włosów z siwymi pasemkami. Całą twarz, pokrywała sieć zmarszczek, a każda z nich oznaczała jakieś wyrządzone przezeń zło.

– A, książę Jaspin! – powiedział czarodziej syczącym głosem. –

Spodziewałem się, że mnie wezwiesz. Ufam, że moje słowa się sprawdziły.

– Tak, wiadomości od ciebie, Nimroodzie, zawsze są pewne – odparł książę. Oczy mu błyszczały. – Dokładnie jak przewidywałeś, zjawił

się rycerz Ronsard, lecz został przechwycony, nim zdołał wykonać swoje zadanie. Niestety, nigdy się nie dowiemy, co było jego celem... zginął

w zasadzce.

– Szkoda. Nie wątpię, że mógłby nam wiele powiedzieć, ale mamy na to sposoby.

– Sprawdziły się jeszcze inne twoje słowa, czarodzieju. Ten wyrzutek Jastrząb znów wypłynął na powierzchnię. Tym razem jesteśmy dobrze przygotowani. Jutro do południa ta uciążliwa banda renegatów zostanie bez przywódcy.

– Nie zrób błędu, ponownie go nie doceniając – przestrzegał czarodziej. – Sam wiesz, że kiedyś wyprowadził cię w pole.

Nimrood skrzywił twarz w grymasie, którego nikt poza nim nie uznałby za uśmiech.

– Nie myśl, że znów pozwolę mu się wyslizgnąć. Miecz dowódcy moich ludzi spłynie jego krwią. Głowa Jastrzębia, wbita na pikę, ozdobi rynek we wsi. Ci bandyci się przekonają, że lekceważę ich groźby. Nie będę miał nic przeciwko temu, jeśli się zbierze Rada Regentów i obwoła mnie królem. Petycja jest już podpisana – rzekł książę, zacierając ręce na 45

myśl o tym wydarzeniu. – Wszystko gotowe.

– A królowa? – chytrze spytał czarodziej. – Tak łatwo zgodzi się ustąpić? Czyżby już nie miała nic do powiedzenia?

– Królowa zgodzi się spojrzeć na to moimi oczami. Istotnie jest silna, lecz to kobieta. Poza tym, jeśli stanie przed wyborem: głowa króla czy korona, chyba raczej wybierze jego głowę.

– Może jednak stracić i jedno, i drugie... tak samo jak król. He, he, he! – zarechotał Nimrood.

– Ale to twoja rzecz, nie moja. Mnie w to nie wciągaj. Ty dostaniesz króla, ja jego koronę... tak się umawialiśmy. Nie chcę żadnych kłopotów. Nie mogę sobie na to pozwolić, by lud mnie o coś

podejrzewał, bo potrzebuję jego poparcia. Przynajmniej na razie.

– Jestem do twoich usług, książę – rzekł czarodziej. – Masz jeszcze jakieś życzenia?

– Nie, nie sędzę. Już wszystko przygotowane – odparł Jaspin. – A mój braciszek dobrze się miewa?

– O, tak, przecież Eskevar ciągle jeszcze jest królem.

Nimrood nagle się roześmiał i wówczas Jaspin poczuł, że ogarnia go niezwykła wściekłość.

– Ale już niedługo! – wykrzyknął. – Wkrótce nowy monarcha za-siądzie na tronie. Obiecuję ci to!

Czarodziej nisko się uklonił i w tej samej chwili mgła zasnęła piramidę, której ściany znów stały się nieprzezroczyste. Jaspin na powrót przykrył ją szkatułką, wziął świecę i natychmiast opuścił alkowę. Nie wiedział dlaczego, ale sam dźwięk imienia brata wytrącił go z równowagi. Tej nocy miał męczące sny, pełne zwątpienia i strachu.

Quentin nagle się przebudził i ogarnął spojrzeniem dziwną komnatę.

Popatrzył na łoże Theida, zobaczył, że jest puste. Odrzucił kołdrę, wstał, wziął oponczę i wyszedł szukać swojego przyjaciela. Odnalazł go w stajni za oberżą, krzątającego się przy koniach.

46

– Dzień dobry, młodzieńcze. Cieszę się, że jesteś rannym ptaszkiem.

Sam dopiero co wstałem. – Wyprostował się, dorzuciwszy koniom siana.

– No, załatwione, a teraz pomyślmy o sobie.

Zasiedli do śniadania przy małym stole w kuchni, Theido nie chciał

bowiem, żeby goście im przeszkadzali, choć jeszcze nie było ani jednego.

– Wymyśliłem pewien plan, który powinien nam wystarczyć – odezwał się przyciszonym głosem.

Quentin jadł w milczeniu, pilnie słuchając.

Plan okazał się prosty: wejdą do zamku jako handlarze futer, którzy przybywają prosto z puszczy, gdzie je kupili, i najlepsze pragną pokazać królowej.

– Przecież nie mamy żadnych futer – zauważył chłopiec.

Theido wyjaśnił, że nie będą ich potrzebowali, bo tylko poproszą o spotkanie z królową, aby się z nią umówić i wziąć od niej szaty, które chciałyby ozdobić futrem. Takie spotkania z rzemieślnikami czy reno-mowanymi kupcami były rzeczą normalną. Kiedy już się znajdą przed obliczem monarchini, ujawnią swój fortel i powiedzą jej o prawdziwym celu wizyty.

– No, a gdyby stało się coś złego, natychmiast uciekaj ile sił – cią-

gnął Theido pewnym głosem, szczerze patrząc chłopcu w oczy. – Nie zatrzymuj się i nie rozglądaj, po prostu biegnij. Później wrócisz do Durwina i opowiesz mu, co się stało. On już będzie wiedział, co robić. Zapamiętaj moje słowa i bądź mi posłuszny. Rozumiesz?

Quentin z powagą skinął głową. Dotychczas nie zastanawiał się nad tym, że może im się nie udać. Theido przejrzał jego myśli.

– Nie martw się, paniczu – rzekł z uśmiechem. – Ludzie Jaspina już nieraz na mnie polowali. Oprócz tego, moje plany rzadko zawodzą.

Quentin nie wydawał się pocieszony.

Skończyli śniadanie i kuchennymi drzwiami wyszli na podwórkę.

Kiedy Theido otworzył szerokie wrota stajni, zatrzymał się jak wryty.

47

– Uciekaj stąd! – wykrzyknął odrzucając opończę i wy dobył krótki miecz z pochwy ukrytej w fałdach tuniki.

Chłopiec stał, sparaliżowany strachem. Theido zauważył to i popchnął go.

– Biegnij! Ty musisz być wolny!

W tym samym momencie ze stajni wypadło na podwórkę dwóch jeźdźców z wyciągniętymi mieczami. Do obrony przed ciosami mieli niewielkie okrągłe tarcze. Quentin odwrócił się i zaczął uciekać, przez ramię spoglądając za siebie. Zobaczył przyjaciela ściśniętego między końmi zbrojnych, z których jeden tarczą odparowuje cios Theida, drugi zaś unosi miecz, by zadać mu śmiertelne uderzenie.

– Nie zabijaj go, głupcze! – wykrzyknął jakiś głos za chłopcem.

Quentin odwrócił głowę i o włos uniknął zderzenia z koniem trzeciego napastnika. Po wspaniale kutej zbroi poznał, że to rycerz.

– Brać go żywcem! – wykrzyknął jeździec.

W tejże chwili złapał Quentina za opończę, omal go nie przewraca-jąc.

Chłopiec bez zastanowienia mocno kopnął konia w nogę. Podrażnione zwierzę szarpnęło łbem, przysiadło na zadzie i stanęło dęba. Rycerz natychmiast puścił opończę, a wtedy Quentin przemknął pod brzuchem cofającego się konia i uciekł. Przy rogu oberży jeszcze raz się obejrzał.

Zobaczył, jak jeździec rękojeścią miecza zadaje cios w głowę Theida, usłyszał głucho uderzenie.

Przyjaciel zwałił się na ziemię.



Quentin pędził na oślep wąskimi uliczkami – niektóre były ledwie szersze od ścieżek. Mijając pozamykane domy, co pewien czas rzucał za siebie pośpieszne spojrzenie. W każdej chwili spodziewał się zobaczyć atakującego jeźdźca. Poganiany strachem, szybko przebierał mocnymi nogami, biorąc kolejne zakręty. Uciekał ile sił.

Zdyszany wskoczył w przejście między dwoma domami stojącymi, jak mu się zdawało, przy głównej ulicy Askelonu. Ukryty tam, zatrzymał

się, by pomyśleć i nieco odetchnąć.

„Wrócisz do Durwina, on będzie wiedział, co robić”, przypomniał

sobie słowa Theida, lecz chłopiec stracił konia, a od pustelni dzielił go cały dzień jazdy. Samotnie i pieszo nie dotrze tam bez jedzenia, a nie miał pojęcia, jak zdobyć konia i zaopatrzenie.

Nie chcąc zbyt długo pozostawać w jednym miejscu, bez celu ruszył

ulicami miasta i nieświadomie skierował się w stronę zamku. Zdał sobie z tego sprawę, gdy podniósł wzrok i zobaczył jego wysokie mury. Wydawały się go przyciągać, kiedy bowiem umyślnie dwa razy zmienił, kierunek marszu, żeby zmylić pogoń, po chwili znów przed nim wyrastały, i to bliżej niż poprzednio.

Tymczasem przy ulicach, którymi szedł, kupcy otwierali sklepy.

Choć tego jasnego, bezchmurnego poranka z dachów pod czapami śniegu zwisały sople lodu, zdejmowali okiennice z wystaw, dając znak, że zaczynają kolejny dzień handlu. Wkrótce ulice, pokryte kocimi łbami, zadudniły szybkimi krokami ludzi podążających do pracy i zewsząd słyszało się donośne głosy sklepikarzy i sprzedawców ulicznych, wymieniających pozdrowienia, targujących się i zachwalających swoje towary. Niemało wieśniaków mimo zimna rozstawiło stragany z jajami, serem, jabłecznikiem i kilkoma rodzajami piwa. Przed straganami stały duże mosiężne kosze, w których płonął węgiel drzewny. Quentin krążył

blisko nich, grzejąc się i rozpaczliwie próbując wymyślić plan powrotu do Durwina.

W końcu postanowił zaryzykować i wrócić do oberży, by odzyskać konia, jeśli napastnicy go nie zabrali. Skręcił w jakąś ulicę, gdzie najwyraźniej mieszkali rzemieślnicy – zobaczył kilka domów z warsztatami.

W jednym była kuźnia, w drugim sprzedawano świece, a trzeci należał

do kuśnierza. Coś przyciągnęło Quentina do futer. Przez kilka chwil stał

w wejściu i po prostu patrzył zastanawiając się, dlaczego ma wrażenie, jakby sam handlował futrami. Dziwne uczucie, dotychczas bowiem nigdy nie był w takim miejscu.

49

Cofnął się nieco i spojrzął na szyld przedstawiający rudego lisa z niezwykle długim, puszystym ogonem. Wreszcie postanowił odejść, by właściciel nie wziął go za bezczelnego włóczęgę i nie przepędził. Kiedy się odwrócił, aby ruszyć dalej, zobaczył, że ulicą nadjeżdża niewielki dwukołowy powóz, ciągniony przez kudłatego, brązowego konika. Po-wóz był pomalowany czarną błyszczącą farbą i na drzwiczkach miał

herb – wijącego się czerwonego smoka w złotym polu.

Idący przodem woźnica zatrzymał konika podskakującego na mrozie.

Po chwili drzwiczki się otworzyły. Wewnątrz siedziała jakaś zakapto-rzona dama w grubej sukni. Już chciała wyjść, gdy spostrzegła stojącego nie opodal Quentina.

– Zbliź się, chłopcze – powiedziała z uśmiechem.

Odrzuciła na plecy kaptur, odsłaniając piękną twarz, okoloną długimi ciemnymi włosami, które opadały na ramiona. Quentin pomyślał, że nigdy w życiu nie widział tak ślicznej istoty. Co więcej, owa dama wyglądała na jego rówieśniczkę, a jeśli nawet nie, to była najwyżej o rok lub dwa starsza. Jej maniery i sposób, w jaki się nosiła, niewątpliwie wskazywały, że chłopiec znalazł się w obecności osoby należącej do rodziny królewskiej.

Podszedł do powozu, jakby miał nogi z drewna, przytrzymał

drzwiczki.

– Słucham, wasza wysokość.

Dziewczyna się zaśmiała, co sprawiło, że twarz chłopca oblał żywy rumieniec.

– Nie jestem królową, tylko... dworką jej królewskiej mości – odpar-

ła. – Moja pani pragnie, by po południu odwiedził ją twój mistrz. – Skinęła głową w stronę sklepu. – Trzymaj – rzekła wręczając zaskoczonemu Quentinowi mały złożony pergamin, przewiązany wstążką z woskową pieczęcią. – To cię zaprowadzi prosto do komnaty najjaśniejszej pani.

Co mam jej powiedzieć, jeśli spyta, o jakiej porze przybędziesz? Królowa proponuje po obiedzie.

50

Pamiętając o dworskiej etykiecie, Quentin nisko się uklonił i przemówił nieśmiałym tonem:

– Twój wdzięczny sługa przybędzie, jak sobie życzysz, miłościwa pani.

Pomylił się z odpowiedzią, której duch był jednak należyty. Dworka znowu się zaśmiała. Jej wesoły głos zdawał się płynąć wprost ze szczę-

śliwego serca.

– Jestem pewna, że przyniesiesz najlepsze futra, jakie macie –

oznajmiła.

Quentin ponownie się uklonił. Wówczas woźnica, patrząc przed siebie, wziął konia za uzdę i powóz ruszył.

Chłopiec spoglądał na wezwanie w swoim ręku, zdumiony tym nie-spodziewanym zrządzeniem losu. Zapewne bóg Ariel, do którego licznych przymiotów należało czynienie miłych niespodzianek, umożliwił

mu spotkanie z królową mimo wszystkich przeciwności.

Quentin uznał omyłkę dworki za cud najwyższego rzędu i schował

list na piersi pod tuniką. Szybko odszedł z nowym pomysłem, całkiem zapomniawszy o rozkazie Theida, by szukać pomocy u świątobliwego pustelnika Durwina.

Zostało mu jeszcze kilka godzin do spotkania z królową, postanowił

więc udać się pod bramy zamku i tam czekać do wyznaczonej godziny.

Zamierzał wykorzystać ten czas na dokładne przygotowanie sobie tego, co powie i zrobi w obecności władczyni: w jaki sposób przyzna się do podstępu i przekaze wiadomość od króla, a szczególnie jak wyjedna uwolnienie przyjaciela. Choć nie wiedział, dlaczego Theido został poj-many, domyślał się jednak, że ma to pewien związek z sekretnym pismem, ukrytym w kaftanie.

W przekonaniu, że sprzyjają mu bogowie, Quentin zapomniał o strachu przed zbrojnymi, a także o rannej potyczce z nimi na podwórzu oberży. Pewnym krokiem szedł śmiało, jakby miał na sobie zbroję 51

królewskiego rycerza. Widok chłopca w zwykłej brązowej opończy, ciemnozielonej tunice, przydużych spodniach i pończochach obwiązanych rzemieniami od grubych chłopskich sandałów, dumnie paradujące-go środkiem ulicy niby oddział królewskich żołnierzy, przyciągał wzrok mieszczan.

Gdyby Quentin spostrzegł, jaką uwagę zwraca swoim marszem do bram zamku, zawstydzony uciekłby chyłkiem gdzie pieprz rośnie. W

ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy, pochłonięty myślami o wielkich czynach i szczęśliwym zrządzeniu losu.

Jednakże jego postawa uległa gwałtownej zmianie, kiedy dotarł do fortecy. Prowadząca do niej brama okazała się bowiem gigantyczną konstrukcją z żelaza i drewna, tak szeroką, że mogłaby pomieścić cały pułk rycerzy jadących konno w dwunastu szeregach. Stanowiła wyzwanie dla tych wszystkich, co zrobiliby najgorszą rzecz w życiu, wojując z królem Eskevarem – brama oparła się ogniovi, toporom i niszczącym uderzeniom taranów podczas licznych oblężeń.

Stojąc u stóp długiej pochylni, która do niej prowadziła, Quentin aż otworzył usta z podziwu nad wspaniałym widokiem. Ogromny zamek wznosił się wysoko pod samo jasne zimowe niebo. Wiatr trzepotał czerwono-złotymi flagami na szczytach dwudziestu wież i bastionów. Chłopiec słyszał ich łopot w mroźnych powiewach.

Spośród pięciu starożytnych cudów świata przetrwał jedynie Askelon. Wszystkie pozostałe – ogniowe fontanny Pelagii, lodowe świątynie Sanarrath, jaskiniowe grobowce braldureańskich królów i śpiewające skały Syphrii – rozpadły się na proch w zamierzchłych czasach, lecz Askelon, potężne królewskie miasto na wzgórzu ze śpiącym pod nim smokiem, będzie istnieć wiecznie.

Fundamenty zamku wykuto w litej skale wzgórza, które już samo by-

ło trudne do zdobycia i pyszniło się wdzięcznym kształtem. Masywne mury wzniesiono potwornym wysiłkiem dwóch tysięcy kamieniarzy i robotników pod kierunkiem dwustu murarzy. Prace trwały nieprzerwanie 52

przez sto lat. Kiedy wzniesiono mury obronne z bastionami, rozpoczęła się budowa bramy, która zawsze jest najbardziej narażona na ataki wroga. Stawiana i ulepszana przez kolejne pięćdziesiąt lat, okazała się wyjątkowym osiągnięciem inżynierów. Później zaczęła się praca nad wznoszeniem murów wewnętrznych, otaczających pomieszczenia dla królewskiej świty, rycerzy, służby, kucharzy i całej armii urzędników potrzebnych do należytego rządzenia imperium.

Zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne mury obronne miały dwie ściany, między które wsypywano gruz, by wytrzymały niszczące uderzenia tarana. Po zbudowaniu pierścienia wewnętrznego i jego bastionów przystąpiono do prac nad apartamentami królewskimi i koszarami. Z

upływem lat układ komnat i innych pomieszczeń bez przerwy się zmieniał, każdy kolejny monarcha zarządzał bowiem przebudowę, by dostosować je do swoich gustów i panującej mody.

Choć wolniej, zmieniał się również wygląd zewnętrzny. W ciągu tysiąclecia zamek rozrósł się i przeobraził, a teraz stał w całej swojej buńczącej lek krasie, podziwiany przez Quentina, który z zadartą głową próbował objąć go jednym spojrzeniem, napawając się tym wspaniałym widokiem.

Po jakimś czasie wszedł na pochylnię i rozpoczął długą wspinaczkę ku bramie. W drodze pod górę minęło go kilka wozów z dostawami dla zamku, ciągnionych przez woły. W ogóle nie zwrócił na nie uwagi, zapatrzony w blanki i bastiony fortecy przerastającej jego najśmielsze wyobrażenia i to, co jego zdaniem z przesadą mu o niej opowiadano. Maszerował dłużej, niż się spodziewał.

Staął, kiedy wreszcie dotarł do końca pochylni, gdzie się znajdował

zwodzony most nad zawrotną przepaścią głębokiej, suchej fosy z dnem pokrytym skalnym rumowiskiem. Nie chcąc ściągnąć na siebie uwagi strażników o srogich spojrzeniach, ukrył się w cieniu jednego z budynków wzniesionych schodkowo wzdłuż pochylni. Znalazł tam schronienie przed wiatrem, więc usadowił się pod ścianą i czekał.

53

Spiesznie mijali go ludzie zajęci własnymi sprawami, lecz Quentin jakby ich nie widział, myśląc wyłącznie o swoim zadaniu. Próbował

sobie wyobrazić królową Alineę. Słyszał o jej wielkiej urodzie, ale przy swoim ograniczonym doświadczeniu z kobietami nie wierzył, by ktokolwiek mógł być piękniejszy od panny, którą niedawno spotkał tego ranka. Powiadano, że królowa ma długie kasztanowe włosy, czerwono połyskujące w słońcu, a jej ciemne, zielone oczy przypominają barwę las w letnie popołudnie. Głos Alinei był czarujący i cudownie się perlił, kiedy śpiewała, z czego powszechnie ją znano. Quentin dowiedział się tych oraz wielu innych szczegółów przy stole kapłanów, a także z rozmowy między pielgrzymami, przypadkowo podsłuchanej pewnego wieczoru latem, gdy obozowali pod świątynią, czekając na prorocstwo. Mó-

wili jeszcze, że wdzięk i uroda królowej Alinei są doskonałym uzupeł-

nieniem siły i żywotności króla Eskevara.

Kiedy Quentin uznał, że południe już minęło, z radością się poderwał, zmarł bowiem w czasie czekania i chcąc się rozgrzać, żwawym krokiem ruszył ku wejściu do zamku. Główna brama była zamknięta, lecz boczna otwarta na oścież, a choć mniejsza, mogły się w niej minąć dwa wozy. Pilnowali jej strażnicy o mocnych szczękach. Quentin nie znał

protokołu i nie wiedział, jak należy się zgłaszać do królowej, ale przypuszczał, że wystarczy o tym powiedzieć pierwszej napotkanej osobie, a dalej wszystko potoczy się normalnie.

Tą pierwszą osobą był oczywiście strażnik i chłopiec zbliżył się doń z szacunkiem. Kiedy jednak otworzył usta, by przemówić, tamten machnął

halabardą, co oznaczało, że Quentin ma iść dalej. Wszedł do ciemnego, niskiego tunelu, który prowadził na zewnętrzny dziedziniec zamku.

Nie mając pojęcia o budowlach obronnych myślał, że od razu znajdzie się u celu, tak jak w głównej świątyni. Tymczasem droga tunelem się przedłużała, a do tego przeraziła chłopca opadająca krata z ostrymi 54

żelaznymi zębami, musiał bowiem pod nią przejść, i to szybko.

Wreszcie stanął na dziedzińcu zamku otoczonego jakby swoim własnym miasteczkiem, utworzonym przez domy dla służby, stajnie, kuchnie i magazyny. Niektóre wzniesiono z kamienia, inne z drewna i gliny wymieszanej z trzcina, podobnie jak budynki w mieście.

Quentin niezwłocznie skierował się do bramy zamku, pilnowanej przez strażników. Tu dokładniej kontrolowano wchodzących. Zapytany przez żołnierza, w jakiej sprawie przybywa, chłopiec pokazał mu złożony pergamin. Strażnik spojrzął na pieczęć i od razu go wpuścił.

Quentin nieśmiało wyszedł z bramy na spory dziedziniec, a właściwie elegancki ogród. Znajdowały się tam pięknie kwitnące drzewa i inne rośliny z całego świata. Teraz pokrywał je śnieg, lecz wiosną obsypywa-

ły się bujnym kwieciem o najrozmaitszych barwach.

Kiedy chłopiec niepewnie się rozglądał, spod kamiennej arkady wynurzył się mężczyzna w brokatowym płaszczu, oblamowanym sobolowym futrem – pewnie jakiś wielki pan lub książę, sądząc po stroju. Quentin zaczekał, aż tamten go minie, a potem ruszył za nim. Człowiek ów przeciął zaśnieżony ogród i – z Quentinem tuż za plecami – wszedł do innej części zamku.

Wewnątrz zniknął za jakimiś drzwiami w głównym korytarzu. Chłopiec właśnie się zastanawiał, dokąd ma iść, gdy z tyłu ktoś się odezwał

grubym głosem:

– A ty czego tu szukasz, smarkaczu?

Quentin obrócił się na pięcie i zobaczył barczystego mężczyznę, który groźnie zmierzał w jego stronę.

– Przybyłem zobaczyć się z królową – odparł pierwszymi słowami, jakie przyszły mu do głowy.

– Czyżby? – Mężczyzna gniewnie zmarszczył brwi. – Jazda stąd!

Nie będziesz mi się tutaj kręcił! Powiadam, wynoś się stąd!

55

Quentin odskoczył i wyciągnął rękę trzymającą pergamin, jakby chciał się zasłonić przed uderzeniem.

– Proszę, panie, spójrz na ten list.

– Co się tu dzieje, strażniku? – spytał jakiś głos.

Chłopiec spojrzął w tamtą stronę i w otwartych drzwiach zobaczył

szlachcica, za którym wszedł do zamku.

– Ten tutaj mówi, że ma zobaczyć się z najjaśniejszą panią, ale moim zdaniem to głupi kawał.

– Pokaż mi ten list – powiedział mężczyzna, zbliżając się do Quentina.

Chłopiec gwałtownie przełknął ślinę i podał mu pergamin. Szlachcic spojrział na pieczęć, złamał ją i uważnie przeczytał pismo.

– A gdzie twój mistrz? – zapytał, bacznie przyglądając się Quentinowi.

– On... on nie mógł przyjść, więc wysłał mnie, abym w jego imieniu prosił królową o wybaczenie.

– Hm... powiedz swojemu mistrzowi, żeby na przyszłość z większym szacunkiem traktował prośby najjaśniejszej pani, skoro nie chce utracić jej łask... i korzyści, jakie czerpie z dostaw dla dworu. – Oddał

chłopcu list. – No dobrze, chodź ze mną.

Mężczyzna ten nie był księciem, jak przypuszczał Quentin, lecz szambelanem królowej. Labiryntem przejść i schodów zaprowadził go do wysokiego korytarza na jednym z górnych pięter zamku.

– Zaczekaj tu – rozkazał wreszcie.

Quentin usiadł na niskiej ławce naprzeciwko ogromnych rzeźbionych drzwi. Na wewnętrzny dziedziniec wychodziło okno pokryte grubą warstwą szronu. Chłopiec patrzył w nie tępym wzrokiem, daremnie próbując sobie przypomnieć to, co zamierzał powiedzieć królowej.

Szambelan kilkakrotnie pojawiał się w drzwiach komnaty, wchodząc i wychodząc podobnie jak inne osoby, głównie służące. Raz czy dwa Quentinowi się zdawało, że sama królowa opuszcza komnatę, ale wkrót-ce odkrył, że te wszystkie piękne damy to jej dworki, chociaż dla 56

niedoświadczonego oka chłopca strojem i zachowaniem przypominały swoją panią.

Po jakimś czasie szambelan znowu wyszedł i zbliżył się do Quentina.

– Teraz najjaśniejsza pani życzy sobie widzieć ciebie – rzekł i dodał

dla dobra chłopca: – Po wejściu do komnaty należy klęknąć i czekać, póki królowa cię nie poprosi, byś wstał.

Quentin skinął głową i ruszył za nim do apartamentów królowej. Znalazł się w dużej sali, obwieszanej gobelinami i bogato umeblowanej.

Kilka kobiet siedziało przy krosnach, rozmawiając ze sobą. W jednym kącie grajek akompaniował kilku śpiewającym damom. Wszyscy zdawali się z przyjemnością oddawać tym czarującym zajęciom. Quentin zastanawiał się przez chwilę, która z tych pięknych pań jest królową Alineą, lecz szambelan szedł dalej przez salę do jej prywatnej komnaty.

Tylko raz zapukał w cudownie rzeźbione drzwi, po czym je otworzył, nie czekając na odpowiedź. Nisko się uklonił i wprowadził chłopca, któ-

ry padł na kolana, nie śmiejąc podnieść wzroku.

– Wasza wysokość, kuśnierz – zaanonsował go szambelan i natychmiast się oddalił.

Głos, który chłopiec teraz usłyszał, należał do królowej.



## 8.

– Jakże młody jest nasz kuśnierz i jakże układny – rzekła Alinea. –

Wstań, młodzieńcze.

Quentin pomyślał, że królowa rzeczywiście ma perlisty głos, jak opi-sywali poeci, ale tylko z obawą na nią spojrział, niepewnie podnosząc głowę. Kiedy jednak już ją zobaczył, nie mógł oderwać oczu.

Stała przy oknie. Błękitne niebo zimowego popołudnia stanowiło doskonałe lazurowe tło, podkreślające jej kasztanowe włosy. Wdzięczną postać spowijała prosta turkusowa suknia z kapturem, która miękkimi fałdami opadała na podłogę. Szczupłą kibić opinał pas przetykany złotem i wysadzany perłami, a łabędzią szyję zdobiła taka sama wykwinna 57

kolia. Połyskliwe włosy, zaczesane do tyłu, odsłaniały szlachetne wysokie czoło, przystrojone prostym złotym diademem. Opadając w puklach na ramiona, okalały tak otwarte i szczere lico, że rozbrajało każdego, kto nań patrzył. Oczy skrzyły się humorem, widocznym również w kącikach jej ślicznych ust, zawsze skorych do śmiechu. Wszystko to natychmiast spostrzegł Quentin, który oniemiał z zachwytu, bezwstydnie gapiąc się na królową, zapomniawszy o dobrych manierach.

– Brio, nasz młody gość wydaje się oczarowany twoją urodą – rzekła królowa.

Dopiero wtedy Quentin zauważył, że obok królowej, trzymając na kolanach tamborek, siedzi młoda dworka, którą spotkał tego ranka. Widocznie Alinea uczyła ją haftowania.

– Wstań, młody kuśnierzu – powiedziała Alinea, zbliżając się do niego.

Chłopiec zerwał się na równe nogi i nisko uklonił.

– Przyniosłeś mi coś do pokazania, młodzieńcze? – spytała uprzejmie. – A może najpierw mam ci opisać moje kaprysy, żeby później twój mistrz zadziwił mnie swoim kunsztem?

Nagle Quentin z przerażeniem uświadomił sobie, że nie jest kuśnierzem ani jego uczniem, a nawet nie wie, jak tamten się nazywa. Drżącą ręką szukał listu, dla którego Ronsard ryzykował życie. Królowa dostrzegła wahanie chłopca.

– Co się stało? Dlaczego nie odpowiadasz?

– Najjaśniejsza pani... Nie jestem pomocnikiem kuśnierza – wyją-

kał, a widząc pytające spojrzenie królowej dodał: – Przyniosłem ci jednak coś cenniejszego, niż mogłabyś sądzić. Jest to... – urwał zerkając na towarzyszkę królowej. – Myślę, że wolałabyś, pani, otrzymać to bez świadków.

Królowa skwitowała jego konspiracyjny ton uśmiechem, lecz skinęła głową na Brie, która natychmiast wyszła, rzuciwszy chłopcu gniewne spojrzenie, pełne dezaprobaty.

– No więc cóż to wymaga tak wielkiej tajemnicy? – rzekła królowa, splatając dłonie.

58

– List, wasza wysokość – odparł Quentin i rozchylił opończę.

Wyciągnął zza pasa sztylet ze złotą rękojeścią i rozpruł nim szew w kaftanie, gdzie ukrył pismo.

– Pokaż mi ten sztylet – odezwała się królowa z nagłym zainteresowaniem.

Wzięła go od chłopca i obracała w dłoniach, uważnie oglądając złotą rękojeść.

– Kiedyś już widziałam ten nóż – oświadczyła po chwili – ale nie pamiętam gdzie.

Quentin wyjął pergamin spod podszewki i bez wahania podał go królowej.

– Przesyła ci to właściciel sztyletu.

Chłopiec patrzył, jak królowa łamie pieczęć, rozwija szeleszczący pergamin i zaczyna czytać list. Nie znając jego treści, Quentin po minie królowej próbował się zorientować, co zawiera. Pamiętał, że ktoś już zapłacił życiem za to, co tam napisano.

Quentinowi się zdawało, że przeczytana wiadomość ledwie dociera do królowej, lecz nagle Alinea zbladła i wypuściła sztylet, który z brzę-

kiem upadł na podłogę, a jej oczy wypełniła trwoga. Królowa sprawiała wrażenie, jakby chciała list odepchnąć.

– Król... – szepnęła.

Quentin stał niczym granitowy posąg, nie śmiejąc się poruszyć, by uszanować smutek władczyni. Pięknej królowej bezwładnie opadły ręce, jakby nagle straciła siły. Opuściła głowę na piersi. Chłopiec poczuł w sercu ból na widok tej łagodnej kobiety, tak bardzo wstrząśniętej. W tej samej chwili sobie poprzysiągł, że bez względu na przyczynę jej nieszczęścia, on, Quentin, wszystko naprawi, a jeśli jest już za późno, ze-mści się na tym, kto ją tak zasmucił.

Podszedł do niej ze ściśniętym sercem. Królowa odruchowo chwyciła go za ramię i znów przebiegła list wzrokiem. Przez jakiś czas milczała.

Quentin się zastanawiał, czy nie powinien udać się do sąsiedniej komnaty po pomoc, ale nie śmiał zostawić królowej samej. Stał więc, służąc jej 59

ramieniem, gotów oddać za nią życie. Wreszcie królowa odezwała się zmienionym głosem.

– Czy wiesz, co zawiera ten list? – spytała, lecz Quentin nic nie odrzekł. – Powiedz mi więc, jak

wszedłeś w jego posiadanie, obawiam się bowiem, że to nie żart. Zbyt dobrze znam ten podpis. Ponadto wystarczającym dowodem jest ów sztylet na podłodze.

– Nazywam się Quentin i jestem nowicjuszem w głównej świątyni Ariela. Trzy dni temu zjawił się tam jakiś ranny rycerz i poprosił o pomoc. Mówił, że wykonuje zadanie o wielkiej wadze dla królestwa... że wiezie wiadomość od króla. Nie bał się śmierci, ale czując jej przed-wczesne nadejście, nie mógł osobiście przekazać ci wieści. Napisał więc to, co trzymasz w swej dłoni.

– Zatem Ronsard... dzielny Ronsard... w zamian przysłał cię, nowicjusza ze świątyni?

Królowa spojrzała na chłopca zdumiona, że sam się zgłosił, by wy-pełnić tę misję. Chłopiec jednak opacznie zrozumiał jej pytanie.

– On nie pragnął przysłać akurat mnie, najjaśniejsza pani, lecz nikt inny nie chciał się tego podjąć...

– A co z Ronsardem? – spytała królowa i odwróciła głowę, jakby obawiając się odpowiedzi. – Umarł?

I znów Quentin milczał, nie miał bowiem serca jej zasmucać.

Wówczas królowa się wyprostowała, podniosła czoło. Kiedy ponownie zwróciła się do chłopca, była już niezwykle opanowana, dając dowód wyjątkowej siły ducha.

– Zaufał ci, a tym samym złożył w twoje ręce bezpieczeństwo króla i przyszłość naszego kraju. Nie pozostaje mi nic innego, jak także ci zaufać.

Podeszła do dużego fotela, który stał przy oknie. Widoczne za nim niebo, tak niedawno czyste i jasne, teraz było zamglone, jakby przysło-nięte woalem.

Alinea usiadła i ruchem głowy wskazała chłopcu ławeczkę we wnęce okiennej. Kiedy się tam usadowił, rzekła:

60

– Quentinie, ten list zapowiada straszne przejścia każdej osobie, znającej jego treść. Nasze królestwo jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Król stał się więźniem czarodzieja Nimrooda wskutek zdrady własnego brata, księcia Jaspina, który chce zasiąść na tronie. W liście nic więcej nie ma, lecz łatwo się domyślić, co z tego wyniknie. Przez wszystkie te lata byłam ślepa. Zwracałam uwagę na zamorskie wojny, a tymczasem król, podczas swojej nieobecności, tracił władzę w kraju, zagrabioną przez Jaspina i jego wynajętych pachołków. Zbyt późno to sobie uświadomiłam... sama zostałam więźniem we własnym zamku. Miałam tylko nadzieję, że wróci król, napełni strachem serca tych kruków i wyrówna z nimi rachunki. Teraz chyba już do tego nie dojdzie. Obawiam się, że nasza sprawa jest stracona.

Królowa spojrzała przez okno nie widzącymi oczyma. Quentin bardzo jej współczuł, ale równocześnie zapalał gniewem do Jaspina.

– Więc musimy ratować króla – powiedział pewnym głosem.

Królowa odwróciła do niego twarz i uśmiechnęła się smutno.

– Jesteś prawdziwym mężczyzną. Ronsard słusznie ci zaufał. Czy jednak zdołam zebrać dostateczne siły w taki sposób, by nie narażać króla na utratę życia? Widzisz, Jaspin od razu wszystkiego się dowie.

Wszędzie są jego szpiedzy. Kiedy w Pelgrińskim Borze liść spadnie z drzewa, natychmiast mu o tym donoszą.

– Mam przyjaciół – upierał się chłopiec. – Bywa, że kilka osób potrafi zrobić to, czego nie dokona wielka liczba ludzi.

Nawet się nie zastanawiał, ilu ich jest, bo przecież poza Biorkisem tylko Theida i pustelnika Durwina uważał za jedynych przyjaciół na świecie.

– Ty chcesz ratować króla? Sam ze swoimi przyjaciółmi? – Wydawało się, że Alinea zamierza odrzucić propozycję chłopca, lecz się zawahała. Uważnie popatrzyła na niego, pochylając na bok głowę, jakby wzrokiem zdejmowała zeń miarę. – To zakrawa na szaleństwo, ale być 61

może twoje słowa są mądrzejsze, niż sądzisz. Kim są ci twoi przyjaciele?

Quentin pobladł, uświadomiwszy sobie, jak niewielu ich ma. Poza tym nie było wśród nich ani jednego rycerza. Mimo to odparł z całym przekonaniem:

– Durwin, świątobliwy pustelnik z Pelgrińskiego Boru, i niejaki Theido.

Zawstydził się, że jest ich tak mało, lecz w ciemnozielonych oczach królowej pojawił się błysk.

– Szczęśliwy ten, kto za przyjaciela ma szlachetnego Theida! – wykrzyknęła. – Czy wiesz, gdzie się teraz znajduje?

Odpowiedź na to pytanie sprawiła chłopcu kłopot, nie miał bowiem pojęcia, gdzie on jest. W istocie niewiele wiedział ponad to, że tego ranka Theido został schwytyany przez żołnierzy. Quentin dopiero teraz o tym sobie przypomniał. Nie potrafił nic powiedzieć i już otwierał usta, by się do tego przyznać, lecz królowa nie dała mu dojść do słowa.

– Od dawna nikt go nie widział – ciągnęła. – Theido jest szlachcicem i był jednym z najlepszych rycerzy króla. Śmierć ojca zmusiła go do powrotu z wojny. Kiedy znalazł się w domu, Jaspin i jego poplecznicy fałszywie oskarżyli go o zdradę, a także skonfiskowali mu zamek i wło-

ści. Zdołał jednak umknąć i od tego czasu prowadzi żywot człowieka wyjętego spod prawa.

Królowa wstała, odwróciła się od okna i ciepło spojrzała na chłopca.

– Jemu też mogłabym powierzyć swe życie. Nic mi nie wiadomo o świątobliwym pustelniku

Durwinie, ale skoro ty i Theido macie w nim przyjaciela, chyba będzie również moim. Lecz dlaczego tak na mnie patrzysz? – spytała widząc zakłopotanie chłopca. – Czyżby coś się stało?

–

Najjaśniejsza pani – wyjąkał Quentin, z trudem dobywając głosu.

– Dziś rano Theida zabrali żołnierze, którzy urządzili nań zasadzkę.

Mnie udało się uciec i dotarłem do ciebie, ale nie wiem, co się stało z moim przyjacielem ani gdzie on może teraz być.

62

Reakcja królowej na to smutne oświadczenie zdumiała i ogromnie ucieszyła chłopca.

– Tę zagadkę łatwo rozwiązać – rzekła Alinea z nutą goryczki. –

Tylko jedna osoba miałaby czelność tak napastować niewinnych poddanych króla w biały dzień... czyn, na który nawet najgorsi zbroje odważają się jedynie ciemną nocą. To książę Jaspin porwał naszego przyjaciela. –

Zastanawiała się przez chwilę. – Tak zuchwałej zbrodni nie utrzyma się w tajemnicy mimo tych grubych murów.

Królowa szybko podeszła do drzwi komnaty, otworzyła je szeroko i wezwała szambelana, który zjawił się w okamgnieniu. Przez chwilę szeptem rozmawiali w progu i wkrótce szambelan znów pośpiesznie się oddalił.

– Niedługo się dowiemy o losie Theida. Posłałam Oswalda, by dyskretnie wypytał nadzorcę lochu, czy dzisiejszego ranka nie przekazano mu nowego więźnia. Zobaczymy, czy moje domysły się sprawdzą.

Czekali na powrót szambelana. Quentin bardzo się denerwował. Miał

ochotę pobiec do lochu, by samemu odszukać przyjaciela i jak najszybciej go uwolnić. Alinea zachowywała iście królewski spokój. Jeżeli nawet jest zdenerwowana, pomyślał Quentin, nie daje tego po sobie poznać.

Wreszcie szambelan Oswald powrócił i z niskim ukłonem zbliżył się do królowej.

– Dziś rano uwięziono jakiegoś banitę, wasza wysokość – rzekł. –

Nadzorca nie wie nic ponad to, że rycerz, który doprowadził jeńca, nie pozwolił nikogo doń wpuszczać ani odnotować jego obecności.

– Czy nadzorca lochu zna nazwisko tego rycerza?

– Był to szlachcic Bran – odparł Oswald.

Królowa mu podziękowała i kazała odejść.

– Myślę, że rozwiązaliśmy tę zagadkę – zwróciła się do Quentina. –

Teraz jednak pozostaje nam o wiele trudniejsza sprawa: jak uwolnić więźnia?

## 9.

Quentinowi się zdawało, że popołudniowe słońce zbyt szybko skłania się ku zachodowi. Komnatę wypełniał mrok i wkrótce służący poczną zapalać liczne świece w apartamentach królowej. Mijał dzień pełen wra-

żeń, szczególnie w ciągu ostatnich kilku godzin.

Chociaż wszystko było gotowe, jeszcze nie wyruszyli.

– Wyglądasz mi niespokojnie, młodzieńcze – rzekła królowa, podchodząc do chłopca, który kręcił się na ławce we wnęce okiennej. Alinea właśnie wróciła z sąsiedniej komnaty, gdzie dokonała ostatnich przygotowań do wyjścia. – Nie denerwuj się, Quentinie.

Uśmiechnął się blado, powoli odwróciwszy wzrok od okna, skąd dłuższy czas obserwował służących, którzy przebiegali zaśnieszony dziedziniec, w pośpiechu załatwiając jakieś tajemnicze sprawy dla królowej.

– Nie denerwuję się – skłamał. – Może tylko trochę...

Patrzył na piękną Alineę w gasnącym świetle dnia. Jej wygląd ogromnie się zmienił. Dopiero co występowała we wspaniałych królewskich szatach, teraz zaś stała przed chłopcem w zwyczajnym ubraniu: ciemnozielonej tunice – innej niż jego – i purpurowej opończy, bardzo grubej, lecz świetnie uszytej. Męskie spodnie miała spięte szerokim skó-

rzanym pasem. Stroju dopełniały wysokie buty do konnej jazdy.

– Jak ci się podoba odzienie królowej? – spytała ze śmiechem, chcąc uspokoić Quentina. – Chyba oboje mamy tego samego krawca.

Chłopiec uśmiechnął się z przymusem i wstał.

– Kiedy wyruszamy, najjaśniejsza pani? Słońce jest już bardzo nisko... Czy to długo potrwa?

– Nie, niedługo – pocieszała go królowa. – Oswald da nam znać, kiedy wszystko będzie gotowe. Nie powinniśmy się denerwować. Sprawa jest w dobrych rękach.

Quentin niepokoił się bardziej niż przedtem. Posmakował już niebezpieczeństwa związanego ze swą misją i na własne oczy widział, co się 64

przydarzyło Theidowi. Do tego doszły wypadki z ostatnich kilku godzin: przekazanie królowej listu od Ronsarda, pośpieszne spiskowanie w celu uwolnienia przyjaciela, gorączkowe przygotowania do podróży, a teraz jeszcze owo czekanie.

Chłopiec miał wiele czasu na to, by przemyśleć wszystko, co się do tej pory wydarzyło, by zwątpić w swoją niedawno ujawnioną odwagę i ponownie zastanowić się nad znakami, które widział. Po raz

setny żałował, że opuścił świątynię, i przeklinał swoją ślepą popędliwość, która zawiodła go na ścieżkę tej niebezpiecznej przygody.

Znów posępnie spojrzął w okno. Zamkowy dziedziniec tonął w głę-

bokim fioletowym cieniu. Nad jedną z południowych wież pojawiła się już pierwsza gwiazda, migocząc jak światło przewodnie. To dobry omen, pomyślał chłopiec i nieco się rozchmurzył.

Rozległo się pukanie do drzwi i zaraz potem do komnaty królowej wszedł Oswald. Chłopiec ledwie go poznał, szambelan był bowiem ubrany w strój osoby znacznie wyższej rangi, choć Quentin nie potrafił

jej określić.

– Oswaldzie, wyglądasz niczym wspaniały księżę – powiedziała królowa. – Jesteś gotów do odegrania swej roli?

Szambelan się uklonił i odwrócił do nich plecami.

– Możecie odejść! Wychodzić! – krzyknął ochrypłym głosem, a później znów się odwrócił i grzecznie spytał: – Czy to wystarczy do naszych celów?

W jego tonie Quentin wyczuł nutę sarkazmu i aż się poderwał, uświadomiwszy sobie, że szambelan odgrywa rolę tajemniczego Jaspina.

– Myślę, że świetnie wypadniesz... Tylko mam nadzieję, że nie stracę mego szambelana – odparła Alinea i odezwała się do chłopca: – Jemu to się pewnie spodoba, ale gdyby nawet został księciem na zawsze, z pewnością nigdy by nie był takim nikczemnikiem jak Jaspin.

Po jej słowach Oswald wyszedł z komnaty. Quentin usłyszał, że wzywa strażnika.

65

– Pora iść – rzekła królowa, zwracając się do chłopca. – Pójdiesz ze strażnikiem, który zaprowadzi cię do tylnej bramy, gdzie czekają na nas konie z niezbędnymi zapasami. My postaramy się przyjść tam jak najszybciej. A teraz ruszaj.

Quentin poszedł za strażnikiem, mężczyzną niskim, grubym, lecz silnym jak tur; miał czarne oczy i ciemne kędzierzawe włosy. W każdym calu wyglądał na żołnierza; którym niegdyś w istocie był.

Chłopiec w podskokach pędził jego śladem, z trudem dotrzymując mu kroku w drodze prowadzącej przez zakamarki i rzadko używane korytarze zamku.

Szybko maszerowali, nie zatrzymując się i nie rozglądając, ale Quentinowi udało się zerknąć do kilku komnat, których bogactwo i luksus przekraczały jego wyobrażenia. Aż do bólu żałował, że nie może stanąć i choć przez chwilę podziwiać ich z korytarza.



Po drodze mijali rozmaite apartamenty, zbrojownię, różne izby i przedpokoje. W pewnym momencie przeszli przez wielkie dębowe drzwi, pokryte płaskorzeźbami. Były szeroko otwarte, jakby na powita-nie. Za nimi podwójna kolumnada podpierała niezwykle wysokie łukowate sklepienie ogromnego pomieszczenia. Zdawało się, że są tu wszystkie skarby królestwa. Quentin jeszcze nigdy nic podobnego nie widział; miał wrażenie, że w tej sali mogłaby się zmieścić cała świątynia Ariela.

Strażnik zauważył jego wytrzeszczone oczy.

– To Wielka Sala króla smoków – wyjaśnił. – Drugiej takiej nie znajdziesz w całym świecie.

Quentin uwierzył mu bez zastrzeżeń.

Ledwie strażnik skończył mówić, błyskawicznie odwrócił się do chłopca i chwycił go za kark. Zaskoczonego Quentina ogarnęło przera-

żenie. Począł się wrywać, podskakując jak luźno zawieszona marionet-ka i wymachując rękami.

– Spokój, łobuzie, bo cię rzucę psom na pożarcie! – ryknął strażnik.

– Czy potrzebujesz pomocy, Trennie?

66

Quentin odwrócił głowę i zobaczył dwóch bogato ubranych męż-

czyzn, wchodzących do ogromnej sali. Jeden z nich wyglądał na rycerza, jakiego chłopiec jeszcze nie widział. Jego srebrna zbroja była wypolero-wana do oślepiającego połysku, a purpurowa opończa podbita sobolo-wym futrem, tak samo jak rękawice i buty.

Człowiek stojący obok niego miał na sobie jedwabny płaszcz, przetykany złotem, i tunikę barwy królewskiej purpury. Pod dużym złotym kołnierzem wisiał herb przedstawiający sępa z dwiema głowami, skierowanymi w przeciwne strony.

Quentin sądził, że to rycerz odezwał się do strażnika, lecz nie był te-go pewien.

– Poradzę sobie, mój panie – odparł Trenn, z kurtuazją pochylając nisko głowę. – Schwytaliśmy go, jak buszował w spiżarni.

– Więc daj mu posmakować twojego pasa! – warknął człowiek w płaszczu.

Mężczyźni odwrócili się i odeszli, a wówczas Trenn wciągnął chłop-ca za skrzydło ogromnych drzwi i położył mu na ustach dłoń.

– Bądź cicho, paniczu – szepnął chrapliwie. – Nikt nie powinien nas tu zobaczyć.

Potem cofnął rękę i jeszcze raz go uprzedził, by głośno nie mówił.

– Kim byli ci szlachetni panowie? – szeptem spytał Quentin.

– Orphe, dopomóż! Przecież to sam książę Jaspin z jednym ze swych popleczników, panem wielkiego rodu, Grenettem. Ten Grenett jest najpodlejszym szlachcicem, jakiego znam.

– Więc chodźmy stąd! – powiedział chłopiec, nie widząc powodu, dla którego mieliby pozostać tam dłużej.

– Nie możemy. Oswald nic o nich nie wie i w każdej chwili może wpaść w pułapkę. Musimy coś zrobić, żeby temu zapobiec.

Plan królowej był dość prosty, lecz nie pozbawiony ryzyka. Jej szambelan miał udawać księcia Jaspina, potajemnie zdobywszy kilka jego

strojów. Nadzorcy lochu wręczono sfałszowany rozkaz, by wysłał więź-

nia pod strażą do Wielkiej Sali, spiskowcy uważali ją bowiem za jedyne miejsce, w którym pojawienie się księcia było mało prawdopodobne. Ich najgorsze przewidywania jednak się potwierdziły, co w takich wypadkach często się zdarza.

Książę Jaspin z jednym ze swoich rycerzy wybrał akurat tę porę na sekretne pertraktacje w Wielkiej Sali, gdzie za chwilę miał się pojawić Oswald w jego przebraniu. Tylko dzielny Trenn i Quentin wiedzieli o tym niepomyślnym zrzędzeniu losu.

– Boję się, paniczu, że bogowie nam nie sprzyjają. Zaraz przyjdzie tu Oswald i wkrótce przyprowadzą więźnia.

W głębi korytarza rozległy się pośpieszne kroki. To pewnie szambelan zmierzał na umówione miejsce.

– Możemy zrobić tylko jedno – ciągnął Trenn. – Odwrócić uwagę księcia.

Wyjrzał zza skrzydła wielkich drzwi i wskazał ciemną łukowatą niszę po przeciwnej stronie hallu.

– Widzisz tamto wejście? – spytał. – Prowadzi do magazynu stołów, ławek i różnych sprzętów, używanych w czasie uroczystości. Są tam również flagi, proporce i inne fatałaszk... Podpal je! – Z sakiewki u pasa wyjął niewielkie krzesiwo i wcisnął chłopcu w niepewną dłoń. – Za chwilę podniosę krzyk, by przyciągnąć uwagę tych dwóch. Jak tylko mnie usłyszysz, rzucaj wszystko i uciekaj. Nie mamy zbyt wiele czasu, ale może go wystarczy.

– Rozumiem.

– Ruszaj więc.

Trenn popchnął chłopca z taką siłą, że ten aż się przewrócił i rozcią-

gnął jak długi w wejściu do sali. Z ręki wypadło mu krzesiwo, potoczyło się po czarnej marmurowej

posadzce i zatrzymało niespełna pięć kroków od księcia i jego towarzysza, którzy stanęli, by porozmawiać. Quentin zerwał się na równe nogi i rzucił ku nim, chcąc odzyskać zgubę.

– Łapać złodzieja! – wykrzyknął Trenn.

68

Tamci odwrócili się i ujrzeli biegnącego chłopca. Chwyciwszy krzesiwo, chłopiec popędził z powrotem ku drzwiom. Grenett bez namysłu za nim skoczył, książę zaś nie ruszył się z miejsca, wściekły, że w tak niestosowny sposób przerwano mu ważną rozmowę.

Quentin dopadł do drzwi magazynu i nacisnął żelazną klamkę, lecz stwierdził, że są zamknięte od środka, choć trochę ustąpiły. Grenett już go doganiał. Chłopiec napał na drzwi całym ciałem, a gdy zamek puścił, wślizgnął się do środka i od razu zatrzaskał je za sobą. Kiedy zasunął

rygiel, usłyszał łomotanie ciężkiej pięści rycerza.

W pomieszczeniu panował niemal zupełny mrok; tylko nieco światła wpadało przez wąską strzelnicę, umieszczoną wysoko w ścianie. Przy akompaniamencie gniewnych okrzyków Trenna, wyzwisk Grenetta i walenia w drzwi Quentin niepewnie doszedł do kąta, gdzie stały flagi i sztandary. Zwalił je na podłogę i zaczął krzesać ogień.

Początkowo jego wysiłki okazały się próżne, jako że nie miał nic na podpałkę. Gwałtownie rozglądał się za czymś takim. Wreszcie spostrzegł kawałek pergaminu z odezwą przygotowaną na jakieś już zapomniane święto. Położył go pod drzwiami i znów użył krzesiwa.

Stary, kruchy pergamin zajął się od iskry. Chłopiec począł ostrożnie dmuchać w żarzący się kawałek i wnet pojawił się płomień. Drżąc z emocji, Quentin podsunął tłący się pergamin do progu, by dym wydostał

się pod drzwiami na zewnątrz.

– Pożar! – wykrzyknął Trenn. – Ten drań podpalił magazyn!

Książę Jaspin, coraz bardziej zirytowany bezczelnością rzekomego łobuza, energicznym krokiem podszedł do mężczyzn, którzy wciąż bili pięściami w drzwi.

– Wezwijcie strażę! – wrzasnął. – Każę im natychmiast wyważyć te drzwi!

– Nim to zrobimy, cała sala stanie w ogniu – oponował Trenn. – Panie mój, pozwól mi tu zostać, a tymczasem pan Grenett wejdzie do środka drzwiami z drugiej strony.

69

– O ile wiem, jest tam jeszcze jedno wejście – wycodził książę, szybko tracąc panowanie nad sobą.

– A może ty sam, panie, byś się nim zajął? – podsunął mu Trenn.

Jaspin sprawiał wrażenie, jakby chciał odrzucić tę propozycję, ale zauważył, że spod progu wydobywa się coraz więcej dymu.

– Na Azraela! Własnoręcznie obedrę go ze skóry! – zaklął i popę-

dził w stronę tylnego wejścia, choć niezbyt dokładnie wiedział, gdzie ono się znajduje. – Mości Grenett, zajmij swoje stanowisko! – krzyknął.

– Trzeba wreszcie z tym skończyć!

Kiedy obydwaj się oddalili, Trenn z twarzą przy drzwiach zawołał:

– Paniczu, już odeszli! Uciekajmy!

Usłyszawszy to, Quentin kaszląc wyszedł z magazynu. Z całkowicie spalonego pergaminu została tylko kupka popiołu na podłodze. Trenn chwycił chłopca za rękę, niemal wyrywając mu ją ze stawu, i pociągnął

go za sobą. W wejściu do Wielkiej Sali spostrzegli zdezorientowanego Oswalda, który z przerażeniem obserwował tę scenę.

– Odkryli nasz plan – powiedział, kiedy się zbliżyli.

– Nie – odparł Trenn przyciszonym głosem – ale to nie znaczy, że musisz tu stać całą noc. Trochę zyskaliśmy na czasie. Rób, co do ciebie należy, a potem uciekaj.

Oswald nie wydawał się zbyt przekonany, kiedy jednak z korytarza dobiegły go głosy i zobaczył nadzorcę lochu ze strażnikami, którzy prowadzili więźnia, natychmiast się zdecydował. Ruszył w głąb sali i stanął

plecami do wejścia.

Trenn i Quentin nie czekali, by obejrzeć wszystko do końca, lecz po-pędzili na umówione miejsce – do tylnej bramy.

Quentin poczuł na twarzy mroźne powietrze, gdy wypadli z zamku na rozległy zewnętrzny dziedziniec. Jak cienie przemknęli po śniegu, a później, przekradłszy się niskim przejściem w kamiennym murze, 70

wyszli na ośnieżony kwadrat małego podwórka przed tylną bramą. Tam czekały na nich trzy konie, obciążone zapasami. Krzątał się przy nich jeden z członków drużyny Trenna sprawdzając, czy prowiant i siodła są odpowiednio przygotowane do drogi.

– Wszystko w porządku, panie – zameldował, gdy się zbliżyli.

– To dobrze – odparł Trenn. – Teraz idź zobaczyć, czy już opusz-czono most. Pozostali zaraz tu będą.

Mężczyzna odwrócił się i pośpiesznie odszedł. Trenn rzucił przez ramię niespokojne spojrzenie na zamek i cicho odezwał się do chłopca:

– Nam szczęście tymczasem dopisuje, a tamci są w rękach bogów. –

Umilkł, lecz po chwili dodał chrapliwym szeptem: – Posłuchaj! Ktoś idzie!

# 10.

Quentin drżał z zimna. Ogromny srebrzysty dysk błyszczącego księ-

życa zaczął się wysuwać zza wschodniego muru między dwiema wie-

żami. Chłopiec obserwował go niecierpliwie, chciał bowiem jak najszybciej odjechać. Stał w śniegu, trzymając wodze Baldera, odzyskanego dzięki zapobiegliwości królowej. Schwytawszy Theida, napastnicy w ogóle nie pomyśleli o koniach swych ofiar, pozostały więc w stajni za oberżą.

Nie opodal królowa cicho rozmawiała z Trennem, który zawzięcie się przy czymś upierał.

– Mój dobry strażniku – rzekła. – Wcale bym nie należała wiedząc, że nie narażasz się na poważne niebezpieczeństwo. Książę tam szaleje.

Szuka winnych i chce się z nimi policzyć. Z pewnością uważa, że spiskowałeś przeciwko niemu i go zdradziłeś. Nie spodoba mu się ta kome-dia, którą dopiero co przed nim odegrałeś w Wielkiej Sali. Kiedy się dowie o ucieczce więźnia, zażąda twojej głowy.

71

– Skąd może wiedzieć, że miałem coś wspólnego z jego cennym więźniem? – oponował Trenn.

– Podejrzliwy nie musi mieć powodów, by kogoś podejrzewać. Jaspin skaże cię na śmierć choćby po to, by dać przykład tym, którzy go lekceważą. Pozostając w zamku, nie będziesz bezpieczny.

– Już bywało, że jego gniew skrupiał się na mnie. Przetrzymam i to.

– Nie, nie tym razem. Jego nic nie zadowoli, oprócz twojej głowy zatkniętej na włócznie. Musisz jechać z nami.

Akurat w tym momencie z niskiego przejścia wybiegli dwaj męż-

czyźni: przodem wysoki, ubrany na czarno, a tuż za nim drugi w opoń-

czy, która połyskiwała w świetle księżyca.

– Theido! – wykrzyknął Quentin, kiedy się zbliżyli.

– Czy to ty, chłopcze? – spytał ten wyższy, nieco zaskoczony.

– A teraz szybko – powiedział Trenn. – Naprawdę nie ma ani chwili do stracenia. Musicie natychmiast odjeżdżać.

– Trenn, zabierasz się z nami – rzekła królowa stanowczym tonem i zawołała do jednego ze strażników, który stał w pobliżu: – Przygotuj jeszcze jednego konia.

– Nie ma na to czasu, najjaśniejsza pani – zaprotestował Trenn. –

Bardziej ci się przydam, jeśli tutaj zostanę. Jedź, pani, i o mnie się nie martw.

– Rzeczywiście musicie natychmiast jechać – odezwał się Oswald. –

Lada chwila nadzorca lochu wyśle strażę po więźnia i wówczas Jaspin się zorientuje, że doszło do zdrady.

Quentin już siedział na swoim wielkim bojowym koniu. Balder parsknął i potrząsał grzywą. Pobrząkiwanie wędzidła w mroźnym powietrzu przypominało chłopcu daleki dźwięk modlitewnych dzwonek. Theido także dosiadł swojego gniadosza, który rzucał łbem i co chwila bił kopytami w ziemię, jakby chciał powiedzieć, że czas ruszać. Wdrapawszy się na siodło z pomocą Trenna, królowa udzielała Oswaldowi ostatnich wskazówek.

72

– Moja nieobecność nie powinna budzić podejrzeń Jaspina co najmniej przez dwa dni. Starajcie się przeciągać tę grę tak długo, jak to będzie możliwe. Niech wszyscy myślą, że nagle trochę zaniemogłam, leżę w łóżku i nie życzę sobie, by mi przeszkadzano. Moje damy mają się zachowywać stosownie do takich okoliczności, a ty musisz zapomnieć, że znasz tych ludzi.

Oswald się uklonił, Trenn skinął na strażnika, żeby otworzył bramę i jeźdźcy ruszyli. Podkowy zaklekotały na kamieniach, a potem dudniły na niewielkim zwodzonym moście nad szerokim rowem pomiędzy bramą a stromą skalistą drogą, prowadzącą zboczem wzgórza, na którym stał zamek. Owa droga, obudowana murami, wiała się do ostatniego mostu zwodzonego, łączącego brzegi suchej fosy. Kiedy dotarli do jego końca, Theido odwrócił się w siodle i na krótko wstrzymał konia, by pozostali mogli się z nim zrównać.

– Bez względu na to, komu jestem winien wdzięczność za uwolnienie, muszę podziękować mojemu druhowi – powiedział kłaniając się Quentinowi, a później spojrzął na królową i rzekł: – Dziękuję też jego wpływowej przyjaciółce.

– Wkrótce będziemy ci dziękowali za nasze uwięzienie, jeśli natychmiast się nie oddalimy – odparła królowa ze śmiechem i dodała już poważniejszym tonem: – Mój dobry Theido, jest mi niewymownie przykro z powodu tego, co cię spotkało, lecz może bogowie kiedyś naprawią zło wyrządzone ci przez okrutnego księcia Jaspina. Cieszę się, że żyjesz i jesteś u mego boku. Nikomu innemu nie oddałabym się w opiekę tak chętnie jak tobie.

– Najjaśniejsza pani, jesteśmy ledwie na początku naszej drogi. Mo-

że jeszcze będziesz miała powody, by przeklinać tego, któremu sprawiasz tak wielki zaszczyt.

– Nie. Zbyt często widywałam, jak dawałeś świadectwo swej wielkiej odwagi. Niczego nie będę żałować bez względu na to, co nas spotka.

– Jednakże, póki nie jest za późno, mogłabyś wrócić i...

– Powzięłam już decyzję i nic mnie nie powstrzyma – przerwała mu królowa. – Nie potrafiłabym dłużej mieszkać w tym zamku wiedząc, co uczynił Jaspin... i na co się porywa. A skoro to wiem, znalazłabym się w śmiertelnym niebezpieczeństwie jak jeleń schwyty w sidła. – Wzięła głęboki oddech i zwróciła twarz ku wschodowi. – Nie, moja przyszłość jest tam, gdzie czeka mnie król.

Theido potrząsnął wiodzami.

– Wobec tego ruszajmy!

Konie skoczyły do przodu, wyrzucając spod kopyt grudki śniegu, któ-

re w srebrzystym świetle księżyca połyskiwały niczym diamenty. Trzej kołyszący się jeźdźcy cicho sunęli po gładkiej pustyni – trzy cienie, po-

śpiesznie uciekające przez uśpiony świat. Pędzili na wschód w stronę ciemnego pasma Pelgrńskiego Boru, który szybko się zbliżał. Ich czarnym sylwetkom wybiegały naprzeciw srebrne nitki promieni wstającego księżyca.

Nisko pochylony Quentin mocno przywarł do potężnej szyi Baldera wiedząc, że straci wszelką nadzieję na utrzymanie się blisko przyjaciół, jeśli poluzuje wodze. Nie był doświadczonym jeźdźcem, w świątyni bowiem prawie nie używano koni, zaniedbując tę dziedzinę na rzecz studiów bardziej odpowiednich dla kapłanów.

Tak więc chłopiec wstrzymywał rumaka, smagany jego rozwianą grzywą, patrząc w mrok zmrużonymi oczami, z których pęd powietrza wyciskał lodowate łyzy. Cierpliwie znosił uderzenia grudek śniegu wyrzucanych spod kopyt galopujących przed nim koni.

Księżyc już stał wysoko na niebie, kiedy dotarli do rzadkich zarośli na skraju boru. Theido omijał małe drzewa i krzaki, póki nie wjechali głębiej. Tu, blisko brzegu lasu, zatrzymał się, by konie mogły wytchnąć.

Wszyscy odwrócili się w siodłach i skierowali wzrok na Askelon, od którego dzieliło ich teraz wiele mil.

Quentin wyciągnął szyję, żeby dostrzec niewyraźną sylwetkę zamku w świetle księżyca, przypominającą ciemną górę na tle jeszcze 74

ciemniejszego nieba. Wysoko w górze migotały tysiące gwiazd, rzucając zimny blask na jeźdźców. Z koni unosiły się blade kłęby pary.

– O świcie powinniśmy dotrzeć do chaty Durwina – rzekł Theido i znów się odwrócił ku rozległej białej pustyni, którą dopiero co przebyli.

– Nie widzę, żeby ktoś za nami jechał, ale myślę, że należy się tego spodziewać. Z pewnością będą próbowali nas zatrzymać. Jedyne nadzieje w tym, że odsadzimy się od nich tak daleko, żeby nie



zdołali nas dogonić.

– Może uda się nam jechać szybciej niż oni albo zgubić ich po drodze – powiedziała królowa.

– Być może. W każdym razie to najlepszy sposób. Księżę ma jednak w całym kraju mnóstwo szpiegów oraz różnych takich, którzy mu wiele zawdzięczają. Postara się to wykorzystać. Jeśli dostatecznie długo bę-

dziemy ich unikać, być może uda nam się zgubić pogoń przed opuszczeniem kraju. Spróbujemy przejechać przez las jak najciszej, tak cicho jak tylko może grupa posuwająca się z dużą szybkością. Muszę jednak zatrzymać się w pewnym miejscu, i to wkrótce.

Skierował konia między drzewa, a pozostali ruszyli za nim.

Teraz Quentinowi jechało się nieco łatwiej – już siedział bardziej wyprostowany, chociaż nieustannie musiał się schylać pod nisko zwisającymi gałęziami. Z położenia księżycy, który od czasu do czasu prze-

świtywał między drzewami, chłopiec się zorientował, że od dwóch godzin Theido utrzymuje szalone tempo.

Znajdowali się tuż przy głównym trakcie przez bór, nie opodal starego dębu, którego pień miał ogromny obwód. Tak wielkiego drzewa Quentin dotychczas nie widział. Theido kazał im się zatrzymać, a sam przejechał kilka kroków do przodu.

Potem uniósł się w siodle, zdjął rękawicę i wsadziwszy dwa palce w usta, cicho świsnął. Jeszcze raz zaświstał i wrócił tam, gdzie czekała królowa z chłopcem. Już otwierał usta, żeby się odezwać, gdy w odpowiedzi rozległ się długi, przenikliwy gwizd.

75

– Za mną – rzekł. – Możemy jechać dalej.

Przy dębie skręcili, opuszczając ścieżkę, i wówczas Quentin zobaczył

przejście w gąszczu zarośli nie do przebycia. Było tak wąskie, że ledwie mógł się w nim zmieścić tylko jeden człowiek na koniu lub pieszy, jeśli wiedział, gdzie go szukać, stary dąb całkowicie je bowiem zasłaniał.

Przecisnąwszy się przez zarośla, jeźdźcy znaleźli się na nieckowatej polanie. Po przeciwnej stronie ujrzeli skalisty pagórek z młodymi brzo-zami. Wszędzie wokół niego rosły krzaki ostrokrzewu, gęste i ciemne w świetle księżycy.

Theido poprowadził ich na środek niecki, gdzie się zatrzymali.

Quentin nie mógł odgadnąć, po co tu przybyli i kto odpowiedział na sygnał jego przyjaciela, bo bez wątpienia był to sygnał. Nie musiał długo czekać na zaspokojenie swej ciekawości. Siedząc i

rozglądając się dookoła, z początku nic nie zauważył, lecz nagle spostrzegł, że krzaki ożywają i z szelestem zaczynają wstawać. Zafascynowany chłopiec patrzył

na zbliżających się ludzi, sprytnie zamaskowanych gałęziami różnej wielkości, przymocowanymi do pleców i ramion. W sumie było ich szesnastu. Przywódcą zdawał się wysoki mężczyzna w kapeluszu z suchych liści, nasuniętym głęboko na czoło. Swobodnym krokiem podszedł do Theida i nisko się uklonił.

– Witaj, szlachetny Jastrzębiu – rzekł. – Twe sygnały obudziły nas z długiej zimowej drzemki, ale zawsze i w każdej potrzebie jesteśmy gotowi służyć tobie i twoim przyjaciołom. Czego sobie życzysz?

– Jesteś bardzo łaskaw, Vossie. Pragnę jedynie porozmawiać z wa-mi, a później wszyscy wróćcie do swojej przytulnej jaskini.

Mężczyzna znowu się uklonił i tym razem, w świetle księżyca odbijającego się od śniegu, chłopiec zobaczył jego szeroką, dobrą twarz. Voss skinął na swoich towarzyszy, by się zbliżyli, i wkrótce trójkę jeźdźców otoczyła gromada dziwnych ludzi. Każdy z nich niósł krótki miecz i długi łuk.

Quentin nie dostrzegł strzał, ale się domyślił, że były ukryte pod maskowaniem.

76

– Dziś rano żołnierze Jaspina uwięzili mnie w lochu – oznajmił Theido.

– A to pies! – wykrzyknął Voss.

W kręgu ludzi krzaków rozległ się groźny pomruk. Quentin miał

wrażenie, że gdyby w tym momencie na odległość strzału z łuku pojawił

się Jaspin albo nawet pięćdziesięciu jego rycerzy, wówczas ci ludzie roznieśliby ich w puch.

– Jak zdołali cię podejść? – spytał przywódca.

– Nie wiem, ale teraz to mało ważne. Już jestem wolny dzięki bystrości moich przyjaciół.

Skinął głową w stronę Quentina i Alinei. Ludzie krzaki z szacunkiem się im uklonili, a Voss przemówił w ich imieniu.

– Pelgriński Bór zawsze mile was przywita, póki choć jeden z nas będzie żył. Wystarczy gwizdnąć w taki sposób – tu zagwizdał. – Wówczas otrzymacie pomoc i ratunek od człowieka lub zwierzęcia, a gdyby zabrakło wam jądła czy schronienia, możecie u nas jeść i spać do woli.

– Przyjmujemy twoje wspaniałomyślne obietnice, miły strażniku te-go boru – rzekła królowa. – Możesz być pewien, że was wezwę, jeśli kiedykolwiek znajdę się w takiej potrzebie.

– Pozwól, pani – przerwał jej Theido i zwrócił się do Vossa: – Wię-

cej nie będziemy was niepokoić tej nocy. Pragnę tylko dodać, że jedziemy prosto do chaty świątobliwego pustelnika Durwina. Czy moglibyście obserwować drogę i mnie ostrzec, gdyby w lesie pojawił się któryś z ludzi księcia?

– Łatwo to powiedzieć i łatwo wykonać – odparł Voss i skinął na kilku swoich towarzyszy, którzy natychmiast odeszli cicho jak cienie i zniknęli wśród drzew. – Masz jeszcze jakieś życzenia?

– Być może kiedyś będę chciał poddać próbie wasz kunszt, ale gdy przyjdzie na to pora. Nim odjedziemy, chciałbym już teraz awansem podziękować wam za tę pomoc, bo później mogę nie mieć na to czasu.

77

– Podziękowania są zbyteczne – odparł Voss, uśmiechając się szeroko. Błysnęły mu oczy, a zęby zaświeciły bielą w mroku. – Bardzo się cieszymy, że mamy okazję odwdzińczyć się za to, co dotychczas dla nas zrobiłeś. No to ruszajcie! – wykrzyknął nagle i klepnął konia Theida w szyję. – Do świtu możecie być spokojni.

Theido zasalutował barczystemu przywódcy i pokłonił się leśnym ludziom, którzy w odpowiedzi wysoko podnieśli długie łuki.

– Niech cię wiedzie Ariel! – zawołali.

Trzech z nich chwyciło konie za wodze, by odprowadzić jeźdźców do lasu. Quentin obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Voss i pozostali wciąż za nimi patrzą. Pomachał im, a wtedy przywódca ludzi krzaków odwzajemnił mu to pożegnanie. Chłopiec nie spuszczał z nich wzroku, póki nie zniknęli za drzewami.

# 11.

Quentina obudził zapach mięsa pieczonego z ostrymi przyprawami.

Ten wspaniały aromat sprawił, że chłopcu napłynęła do ust ślina, a w żołądku poczuł taką czezość, jakby ostatni posiłek zjadł przed miesią-

cem.

Nie miał siły unieść powiek, ciążyły mu bowiem niczym ołów. Leżał

więc nieruchomo, próbując równocześnie zebrać rozproszone myśli i zmusić, odporne członki do działania, lecz w obu wypadkach bez powodzenia.

Wreszcie głód i nęcące zapachy sprawiły, że odrzucił opończę, usiadł

i zaczął wyciągać sobie z włosów źdźbła słomy. Usłyszawszy głosy, z trudem wstał, wyszedł z wypełnionego słomą, suchego kąta, który służył

mu za łóżko, i ruszył ku długiemu stołowi pustelnika, gdzie Durwin cicho rozmawiał z Theidem.

–... a więc musimy być bardzo ostrożni. Każdy fałszywy krok może się okazać zgubny. Stawka jest tak wielka...

78

Te niepokojące słowa dotarły do uszu Quentina, kiedy się zbliżał do przyjaciół.

– Powinniśmy zatem stosownie się uzbroić – ciągnął Durwin. – Nie ma innego sposobu...

– Nie – zdecydowanie odparł Theido przyciszonym głosem. – O to nie mogę cię prosić. Musi być jakieś inne wyjście.

Właśnie w tym momencie Quentin podszedł do stołu. Przerwawszy rozmowę, serdecznie go przywitali.

– Durwinie, czy już ci mówiłem, że wczoraj nasz młody nowicjusz uratował mi życie? – spytał Theido, stawiając przed chłopcem kubek parującego napoju, a pustelnik natychmiast podał mu miskę gorącej owsianki i chleb.

– Tak, rano opowiadałeś mi o tym chyba z tysiąc razy, ale z przyjemnością znów posłucham – rzekł Durwin.

Theido więc barwnymi słowami ponownie opisał wydarzenia z poprzedniego dnia, od chwili, kiedy go pojмали, aż po śmiałą ucieczkę i jazdę w świetle księżyca.

– Gdyby nie jego nieposłuszeństwo, moje ciało dziobałyby teraz kruki.

– Jakie nieposłuszeństwo? Kiedy cię nie posłuchałem? – obruszył

się Quentin.

– Miałeś wracać do Durwina, gdyby mnie przydarzyło się coś złego, bo inaczej nasze plany wzięłyby w łeb.

Quentin dopiero teraz przypomniał sobie ten rozkaz, który w zamieszaniu spowodowanym zasadzką całkiem wyleciał mu z głowy. Później zaś, jak wiadomo, szczęśliwym zrzędzeniem losu chłopiec wpadł na lepszy pomysł.

– Quentinie – ciągnął Theido. – Nikt nie mówi, że źle zrobiłeś, ale od tej chwili zapamiętaj sobie raz na zawsze: musisz wykonywać moje rozkazy bez względu na to, czy wydają ci się słuszne czy nie. Rozumiesz?

79

– Tak jest – odparł Quentin niepewnym głosem, przed kilkoma mi-nutami bowiem chwalono go za dzielność i odwagę, a teraz czuł się su-rowo zganiony.

– Ejże, Theido! – rzekł Durwin. – Nie upieraj się tak. Uważam, że to bóg kierował jego poczynaniami. Powiadam ci, widać w tym rękę boga.

Świątobliwy pustelnik z uznaniem skinął chłopcu głową. Quentin był

mu bardzo wdzięczny za wstawiennictwo.

– Będę we wszystkim posłuszny – rzekł i usiadł na ławie.

Zaczął kruszyć chleb, by wsypać go do parującej owsianki. – Czy mogę teraz zapytać o jedną rzecz, nad którą się zastanawiam?

– Pytaj, młodzieńcze. Między nami nie powinno być sekretów.

– Dlaczego ludzie nazywają cię Jastrzębiem?

– To się wiąże z moim rodowym herbem, przedstawiającym polują-

cego jastrzębia. Ludzie z boru i inni, którzy się tam kryją, zwą mnie Jastrzębiem, uważają mnie bowiem za takiego samego banitę jak oni. –

Wzruszył ramionami. – To im bardziej odpowiada, a ja mogę się swobodnie poruszać tam, gdzie inne imię sprawiałoby mi kłopoty. – Przerwał, a potem dodał lżejszym tonem: – Moi najbliżsi przyjaciele zawsze wołają na mnie Theido.

– A ci, którzy znają to imię, nigdy by sobie nie życzyli wierniejsze-go przyjaciela.

Był to głos królowej, która stanęła tuż za Quentinem. Obudzona ich rozmową, cicho podeszła do stołu. Durwin wydawał się nieco zmieszany i natychmiast zaoferował jej najlepsze miejsce, czyli swoje własne.

– Wasza wysokość – powiedział z głębokim ukłonem – To dla mnie wielki zaszczyt, że mogę cię gościć w mojej skromnej chacie.

– Doceniam twoją uprzejmość – odparła królowa, siadając na pod-suniętym jej fotelu – lecz od tej chwili jestem tylko Alineą... Zdjęłam koronę i nie będę królową, póki nie wróci król i nie upomni się o tron, a ja nie odzyskam swojego. Zatem, mój dobry pustelniku, zrezygnuj wobec mnie z tych ceremonii.

– Jak sobie życzysz, Alineo – gładko odparł Durwin.

80

Miał dar właściwego traktowania ludzi wszelkich stanów, dzięki czemu w jego obecności czuli się szanowani i mile widziani. Quentin od pierwszej chwili odnosił takie wrażenie.

– Teraz jednak – ciągnął pustelnik – lepiej powstrzymajmy się od rozmów, dopóki wszyscy dobrze się nie pożywimy.

Z oczami nabiegłymi krwią Jaspin pędził jak szalony korytarzami starego zamku. Nie spał przez całą noc i przed chwilą mu doniesiono, że królowa zaniemogła, leży w łóżku i nikogo nie przyjmuje, co udaremniło jego zamiar wypymania jej. Książę był wściekły. Nocą wysłał wezwanie swym najwierniejszym stronnikom, by w południe doń przybyli i zapoznali się z jego planem, który od pewnego czasu przygotowywał.

Ucieczka więźnia tak Jaspina rozgniewała, że postanowił wprowadzić ów plan w czyn bez dalszej zwłoki.

Z twarzą czerwoną ze złości i wyczerpania wpadł do sali rady kró-

lewskiej. Pod swoimi sztandarami stało tam ponad dwudziestu szlachciców i rycerzy, czekając na jego przybycie. Wygląd wielu z nich świadczył, że musieli odbyć długą i ciężką podróż, by zdążyć na czas.

– Siadajcie, mości panowie. Mamy wiele do omówienia.

Wszyscy nisko mu się uklonili przed zajęciem miejsc przy stole.

Książę wskazał Branowi fotel po swej prawej stronie, po lewej zaś Grenettowi. Blisko Jaspina zasiadł również szlachcic o chytrych małych oczkach, wywijający odęte wargi. Człowiek ten, posiadacz wielkich dóbr i ogromnego bogactwa, miał zostać kanclerzem nowego króla. Nazywał

się Onteskusz, a jego imię nie cieszyło się dobrą sławą wśród niewolników obrabiających mu pola, oni bowiem dźwigali główny ciężar zaspokajania wygórowanych ambicji właściciela.

– Panie mój – zwrócił się do Jaspina – wyglądasz, jakby trapiły cię złe myśli. Mam nadzieję, że nic ci nie zakłóciło nocnego spoczynku.

Przypuszczał, że księżę tylko szuka okazji, by opowiedzieć im, co go tak wzburzyło. Szlachcic sam chętnie by tego posłuchał.

8 i

– W istocie tak jest – odparł Jaspin. – Niestety, tej nocy nie spałem, lecz nie czas o tym mówić. – Księżę nie skorzystał z okazji podzielenia się z nimi swymi kłopotami, natomiast zajął się pilniejszą sprawą. – Mo-

ści panowie! – zawołał. – Cieszy mnie wasza obecność. Wszyscy aż za dobrze wiemy, że kraj od pewnego czasu pozostaje bez króla i jest rzą-

dzony przez Radę Regentów. Mam dowody na to, że niektórzy jej członkowie udzielają pomocy banitom kryjącym się po wszystkich lasach królestwa, a te wyrzutki dopuszczają się grabieży i sieją bunt. Nie dalej jak wczoraj moi żołnierze aresztowali księcia owych banitów... Kazałem go uwięzić w tych murach, póki nie wyrzeczy się swojej bandy i nie wskaże przywódców innych band, z którymi jest w wielkiej zażyłości.

Moim celem jest oczyszczenie gór i lasów z tych opryszków, aby kupcy i inni ludzie znów mogli swobodnie korzystać z dróg. Jednakże, nim zdążyłem rzucić okiem na tego bandytę, uwolniły go osoby wysoko po-stawione i bardzo utytułowane. Jeszcze nie zatrzymałem ludzi, którzy to zrobili, ale znam nazwiska ich pomocników. – Przerwał i zobaczył, że wszyscy się weń wpatrują, nadstawiając uszu. – To panowie Weldon i Larcott!

– Nieprawda! – natychmiast ktoś wykrzyknął.

Był to Larcott, który uderzył pięścią w stół, zerwał się i gwałtownie protestował utrzymując, że jest niewinny. Oniemiały Weldon siedział

bez ruchu. Głos Larcotta utonął we wrzawie, jaką podniosła reszta szlachciców i rycerzy, domagających się wymierzenia sprawiedliwości.

Jaspin uciszył ich podniesieniem ręki.

– Jako panowie, szlachetnie urodzeni w tym królestwie, obydwaj będziecie mieli szansę odparcia wytoczonych przeciw wam zarzutów.

Na razie jednak, do czasu sądu nad waszymi występkami, udacie się do wieży, gdzie zostaniecie osadzeni.

Skinieniem głowy księżę nakazał uzbrojonej straży odprowadzić obu szlachciców do lochu. Znów podniósł się tumult, kiedy brutalnie pojmano nieszczęśników, a potem usunięto ich z sali.

– Na Zoara! – krzyczał Larcott. – Zapłacisz za tę zniewagę! Jeszcze ujrzę twoją głowę zatkniętą na włócznie!

Weldon kroczył w milczeniu. Na jego poszarzałej twarzy malował się głęboki żal i niezmierny smutek. Ci, którzy napotkali jego wzrok, szybko odwracali oczy, spojrzeniem bowiem szlachcic zdawał się przepalać im dusze.

Kiedy wyszli i zapanował spokój, księżę natychmiast przystąpił do wprowadzania swojego planu w czyn: zaczął od obsadzenia dwóch świeżo zwolnionych miejsc w radzie.

– Szlachetni panowie! Jak wiecie, dobro ludu coraz bardziej zależy od mocnej władzy, która jest zdolna utrzymać porządek. Proponuję więc, byśmy teraz wybrali dwóch nowych członków rady, i to niezwłocznie.

– Brawo! Brawo! – zawołali stronnicy Jaspina, zachwyceni rozsądkiem i dalekowzrocznością swojego przywódcy.

Kiedy okrzyki ucichły, podniosła się jakaś postać. Był to Holben, rycerz cieszący się niemałą sławą i przyjaciel Larcotta, wybrany do rady przez króla Eskevara.

– Nie mogę przystać na tę propozycję – rzekł. – Wybór nowych członków rady oznaczałby potwierdzenie winy ich poprzedników. Tymczasem nie ma wyroku i nie ogłoszono go publicznie, a ponieważ chodzi o szlachciców, jest to sprawa wielkiej wagi i może ją rozsądzić jedynie sam król, kiedy wróci.

Po tych słowach Holben usiadł.

– Ma rację – powiedział ktoś. Inni mieli jednak przeciwne zdanie.

– Nie można z tym czekać! – wołali.

W sali znów rozbrzmiewały spierające się głosy, póki Onteskusz nie uciszył ich podniesieniem rąk.

– Zapewne księciu leży na sercu jedynie dobro królestwa, a więc popieram jego decyzję w tej sprawie – rzekł, chytrze się uśmiechając do Jaspina.

– Ja też – oznajmił Bran.

'83

Do wyrażenia tej opinii skłonił go widok Grenetta rzucającego gniewne spojrzenia każdemu, kto się ośmielił mieć inne zdanie niż on.

W końcu chętnie lub z ociąganiem się stanęła po ich stronie większość prócz Holbena i kilku jego sąsiadów, którzy nie lubili księcia.

– Dalej obstaję przy tym, by sądził ich król – oświadczył Holben. –



Do jego powrotu nie można podejmować przeciwko nim żadnych kroków.

– Doskonale! – warknął rozzłoszczony książę. – Sprawa będzie wstrzymana. Jednakże naruszeniem królewskiego prawa jest również pozostawienie wolnych miejsc w Radzie Regentów. Tych dwóch muszą zastąpić nowi członkowie. Skoro już wszyscy tu jesteśmy, nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy przystąpić do wyboru nowych regentów.

Holben zerwał się na równe nogi, chcąc się temu sprzeciwić, lecz za-krzyczeli go poplecznicy Jaspina.

– Cieszę się, że radzie odpowiada moja propozycja – ciągnął książę.

– Wobec tego zgłaszam kandydatury mości Brana i mości Grenetta do waszego uznania.

– Jestem za! – wykrzyknął Onteskiusz.

Mężczyźni siedzący wokół stołu kolejno powtórzyli to samo jak echo. Prawie wszyscy ochoczo poparli kandydatów księcia. Od głośno-wania wstrzymała się jedynie grupa Holbena, a tylko on miał odwagę głosować przeciw.

– Mości Grenecie i mości Branie – powiedział rozpromieniony Jaspin – już jesteście regentami. W ciągu dwóch tygodni będziecie zaprzy-siężeni, stosownie do wymagań królewskiego prawa – dodał fałszywie, kłaniając się Holbenowi, który zaciskał pięści pod stołem. – A co wy na to, śmiali rycerze? Czy przyjmujecie obowiązki powierzone przez ludzi równych wam stanem?

– Przyjmujemy – odpowiedzieli.

W tym momencie w sali powstało zamieszanie. Wśród gniewnych przekleństw, gwałtownych gestów i groźnych spojrzeń Holben i jego 84

przyjaciele dumnym krokiem opuszczali obrady na znak protestu.

Uśmiech, jeszcze przed chwilą jaśniejący na mięsistych ustach księ-

cia, teraz powoli zgasł. Również inni członkowie rady zaczęli wychodzić z sali razem ze swymi paziami i chorążymi, którzy nieśli ich godła i sztandary.

Jaspin wstał i przywołał do siebie Onteskiusza.

– Kilka osób nie dość głośno poparło moich nowych regentów. Idź i rozwiej ich wątpliwości wszelkimi sposobami, jakie uznasz za najlepsze.

Muszę mieć tych ludzi po swojej stronie. Tylu, ilu on zdobył łaskawo-  
ścią.

– Oczywiście, mój książę. Ty, jak zawsze, najlepiej wiesz, co czynić. Twoja sprawa nie ucierpi, nie

zbraknie mi bowiem hojności. Przyprawdzą ich z powrotem – oświadczył przyszły kanclerz, a jego chytre oczy ukradkiem rzuciły spojrzenia za wychodzącymi, kiedy obliczał, ile trzeba będzie zapłacić za ich wierność.

– To dobrze – powiedział Jaspin i dodał: – Czy już mówiłem, że rozważam możliwość podarowania ci Crandall? Nie? To jednak prawda.

Wystarczy tylko, że okażesz odrobinę lojalności, a będzie twój. Powiadają, że to największa posiadłość w królestwie.

– Pochlebiasz mi, panie mój.

– Idź i jak najszybciej mnie zawiadom o powodzeniu swej misji. Teraz wzywają mnie inne sprawy. Idźże!

Onteskusz pośpieszył za wychodzącymi szlachcicami i z każdym oddzielnie przeprowadził rozmowę, obiecując złote góry i dożgonną wdzięczność księcia, w którego imieniu pięknymi słówkami zapewniał, że spełni ich wszelkie zachcianki.

Jaspin szybko wyszedł bocznymi drzwiami i udał się do swych apartamentów, gdzie w przedpokoju czekało na niego pięciu mężczyzn.

– A to łotry! Durnie! – wściekał się pędząc. – Przekonają się, jak książę Jaspin radzi sobie z intrygantami. Ale najpierw za tym przeklętym Jastrzębiem i jego żalosnymi przyjaciółmi trzeba wysłać Łapaczy!

## 12.

– Sprawa jest pilna... już może być za późno. Nie nalegałbym, gdyby znalazł się inny sposób albo udało się to osiągnąć mniejszym kosztem. Decyzja należy do mnie, a ja powiadam, że musimy jechać do Dekry – rzekł Durwin.

Quentin się zorientował, że dyskusja, która się zaczęła, kiedy sprzątnięto ze stołu po śniadaniu, była dalszym ciągiem wcześniej przerwanej rozmowy. Nie mając nic do roboty, siedział na podłodze i niemal drzemał w żółtych promieniach zimowego słońca, wpadających przez okno o grubych szybach. Czuł, jak ciepło rozchodzi mu się po ciele.

– Nie – ponownie sprzeciwił się Theido i chłopiec odniósł wrażenie, że w tym uporze kryje się boska opatrność. – Znajdziemy inne wyjście.

Mamy jeszcze trochę czasu, a przecież nie wiemy, co zamierza Jaspin...

– Otóż to! Nie znamy jego planów, lecz z pewnością są nikczemne i niebezpieczne. Najprawdopodobniej już je wprowadza w czyn, ale on chce jedynie korony. Nimrood nie zadowolony takim drobiazgiem...

pragnie zawładnąć całym światem! Dlatego musimy udać się do Dekry.

Quentin nie miał pojęcia, kto lub co to jest Dekra. Rozmowa jednak tak długo się ciągnęła, że wreszcie przestała go interesować, więc wrócił

na swoje posłanie, by się jeszcze przespać. Królowa dalej siedziała przy stole razem z mężczyznami, jednak od dłuższego czasu nic nie mówiła.

Chłopiec wiedział, że tamci niczego nie ustalą, póki nie dojdą do porozumienia. W końcu wstał, ziewnął i owiniąwszy się w opończę, cicho wyszedł na dwór. W płucach poczuł ukłucie mroźnego powietrza. Ostre słońce, odbijając się od śniegu, wycisnęło mu z oczu łzy, które otarł

grzbietem dłoni. Po raz pierwszy od wyjazdu ze świątyni pomyślał o dobrodusznym, zażywnym Biorkisie, swoim jedynym przyjacielu wśród kapłanów. Zastanawiał się, co on teraz może robić. Bez wątpienia przygotowuje lekarstwa albo targa za uszy jakiegoś biednego nowicjusza, ślęczącego nad pergaminami.

86

Usłyszał skrzypnięcie drzwi. Kiedy się odwrócił, zobaczył za sobą Alineę. W stroju leśnika wyglądała tak samo pięknie jak w królewskich szatach. Jej włosy błyszcząły w słońcu, a policzki zaróżowiły się od mrozu.

– Tęsknisz za świątynią? – spytała patrząc na chłopca ciepło i ze zrozumieniem, jak rzadko kto.

– Tak, ale nie za bardzo – odparł szczerze. – Właściwie nie miałem na to czasu.

– Rzeczywiście! – powiedziała królowa z melodyjnym śmiechem, którego Quentin nie słyszał od chwili, gdy przyszedł do niej z listem Ronsarda. – Istotnie byłeś bardzo zajęty tą ucieczką. – Uśmiechnęła się i ruszyła wolnym krokiem, pociągając za sobą chłopca. – Jak doszło do tego, że zostałeś nowicjuszem?

– Niewiele o tym wiem. Byłem bardzo mały. Moi rodzice umarli na zarazę, która szalała w kraju podczas wiosny zwanej później Wiosną Śmierci. Zupełnie ich nie pamiętam, a nasz dom ledwie sobie przypominam. Czasami jakbym widział jakąś twarz... może to moja matka. Prawie całe życie spędziłem w świątyni.

– Dlaczego więc z własnej woli ją opuściłeś, skoro nie masz żadnego innego domu?

– Poczułem... – zawahał się szukając odpowiednich słów. – Czułem, że coś mnie pcha... że powinienem tak zrobić... że to jest właśnie dla mnie... Nigdy jeszcze niczego takiego nie przeżywałem.

– To musiało być doprawdy bardzo silne, skoro zostawiłeś wszystko, co miałeś... bezpieczne schronienie i przyjaciół.

– W świątyni nie mam żadnych przyjaciół oprócz Biorkisa, jednego ze starszych kapłanów.

– Nie czułeś się tam osamotniony?

Początkowo Quentin nie wiedział, jak odpowiedzieć.

– Nie... to znaczy chyba nie. Świątynia jest... kapłani są po to, by służyć bogu, a nowicjusze służą kapłanom. Mamy regulamin i określone zadania. I tyle.

87

Królowa w zadumie pokiwała głową. Quentin nie odczuwał samotno-

ści, nie znał bowiem niczego poza rygorystycznym porządkiem w świą-

tyni, gdzie każdy miał swoje miejsce i obowiązki.

– Co byś robił, będąc tam w tej chwili? – zapytała po dłuższym milczeniu.

– O, na pewno bym studiował. Musiałem się dużo uczyć... czasami ponad siły. Wkrótce zaczęlibyśmy się szykować do powitania Ariela wracającego ze swej zimowej podróży. Przybędzie jak zwykle wiosną i świątynia musi być przygotowana. Trzeba dokonać rytuału oczyszczenia, obmyć święte głązy, a potem je namaścić. Jest z tym mnóstwo roboty.

– Wierzę.

– Ale później, kiedy wszystko jest gotowe, przybywa bóg i odbywają się uroczystości, które trwają tygodniami – ciągnął Quentin z roziskrzonym wzrokiem, podniecony swoją opowieścią. – Odbywają

się biesiady, igrzyska i panuje ogólna radość. Otwiera się świątynię pielgrzymom zgromadzonym pod jej murami i wszyscy razem się weselą.

– Tak, lud się wtedy dobrze bawi. Byłam na kilku takich uroczysto-

ściach... jako mała dziewczynka. Zawsze bałam się kapłanów. Wydawa-

ło mi się, że są bogami.

– Im też czasami się tak wydaje – zauważył Quentin. Jego twarz na chwilę rozjaśnił uśmiech. – Albo chcą, żeby ludzie tak myśleli. Sądzę jednak, że w tym wszystkim jest coś więcej. Zresztą, bo ja wiem...

Chłopiec zawiesił głos, jakby nie umiał wyrazić, co naprawdę czuje.

Akurat w tym momencie zeszli z pagórka, na którym stała chata pustelnika.

– Wiem, o co ci chodzi – powiedziała królowa z przekonaniem. –

Często odnoszę wrażenie, że bogowie ani trochę się nie interesują nami i naszymi sprawami. Czasem wydaje mi się, że oni w ogóle nie istnieją. A jednak... pomimo tych wątpliwości, czuję jakąś obecność, której nie potrafię wytłumaczyć. Ogarnia mnie wzruszenie, moja dusza do czegoś tęskni...

88

– A zatem ty, pani, też to czujesz – zdecydowanym tonem rzekł Quentin. – Chyba właśnie dlatego opuściłem świątynię. Już dłużej nie mogłem tam wytrzymać. Często nie spałem w nocy, palony dziwną gorączką. Przysięgłbym, że ktoś wołał mnie po imieniu, lecz wokoło panowała cisza. Mówiłem o tym kapłanom. Twierdzili, że to wzywa mnie bóg, bo ma dla mnie jakieś szczególne zadanie. Nie wierzyłem im. W końcu Biorkis mi poradził, abym żadnemu z nich więcej o tym nie wspominał.

Kiedykolwiek jednak znowu słyszałem ten głos albo czułem ów ogień, biegłem do niego i rozmawialiśmy o tym. Pytał, co według mnie to oznacza.

– A twoim zdaniem co to mogło znaczyć?

Quentin głęboko wciągnął powietrze i spojrzał w niebo pełne słońca.

– Nie jestem kapłanem, ale uważam, że wzywał mnie jakiś bóg, lecz o wiele potężniejszy od innych. Większy i mądrzejszy. I że mnie zna.

– Jesteś wyjątkowym chłopcem – powiedziała Alinea, głaszcząc go po twarzy. – Wiedziałam to od pierwszej chwili, gdy ujrzałam cię zde-nerwowanego w mojej komnacie. Wiedziałam też, że nie jesteś kuźnikiem – dodała ze śmiechem.

Powietrze wydało się jeszcze ostrzejsze, kiedy w nagłym podmuchu wiatru śnieg zawirował wokół

nich. Odwróciwszy się bez słowa, ruszyli w górę stokiem pagórka w stronę chaty.

Jaspin siedział rozparty w swoim fotelu ze skrzydłami, obracając w palcach skórzany worek pełen złotych monet. Grenett i Bran stali po jego bokach. Wszyscy z pewnym niepokojem przyglądali się trójce go-

ści. Po chwili zastanowienia książę oznajmił:

– Chcę, byście ich odnaleźli i z powrotem tu sprowadzili... tego Jastrzębia i jego przyjaciół, kimkolwiek są. Nie obchodzi mnie, jak tego dokonacie i jakich sposobów użyjecie.

89

Grenett i Bran, jako rycerze zahartowani w boju, nie wiedzieli, co to strach, a jednak nawet oni zadrżeli na widok Łapaczy, zawziętych i brutalnych istot, pozbawionych ludzkich uczuć i litości.

Łapacze, jak ich zwano w królestwie Mensandoru, byli potomkami okrutnych Shothów, pradawnego ludu tej ziemi. To wojownicze dzikie plemię zabijało dla przyjemności i rozkoszowało się zadawaniem bólu.

W wyniku długich nieustannych wojen rozwinięli w sobie szczególne umiejętności, które pozwalały im bezbłędnie ścigać wrogów, a prosty lud uważał je za nadprzyrodzone. W ciemnościach widzieli jak koty, węchem potrafili odnajdywać ślady i z daleka wyczuwali czyjąś obecność. Zdawało się, że przechwytyują cudze myśli, i wielu w to wierzyło.

Shothowie byli na wymarciu, a tych nielicznych, co jeszcze pozostali na świecie, zatrudniano jako najemnych żołnierzy albo tropicieli przestępców. Za owe usługi otrzymywali od swoich mocodawców surowe wynagrodzenie – tyle, ile sobie życzyli, nikt bowiem nie chciałby mieć ich za wrogów. Łapaczy bał się każdy, kto ich znał lub przypadkowo napotkał, choć takie spotkania należały do rzadkości.

Długie włosy splatali w dwa grube warkocze, połączone w jeden na szerokich plecach. Przeróżający wygląd ich twarzy o wilczych rysach podkreślały niebieskie tatuaże. Nosili proste ubrania, szyte ze zwierzę-

cych skór z wypaloną sierścią, i takie same wysokie buty, obwiązane rzemieniami od kostek po kolana. Piersi ozdabiali naszyjnikami z włosów i kości palców swych ofiar, a muskularne ręce bransoletkami z ludzkich zębów.

Zobaczyć Łapacza znaczyło poznać strach. Ich dziwny wygląd miał

jeden cel – wzbudzić przerażenie, by sparaliżować nieszczęsną ofiarę.

Używali długich wąskich mieczy z ząbkowanymi ostrzami, co sprawiało, że zadane nimi rany trudno się goiły, choć właściwie było to mało istotne, tylko niewielu bowiem zdołało ująć z życiem przed taką niebezpieczną klingą. Nosili też małe drewniane tarcze, obite skórą. Malowali 90

na nich symbole swej barbarzyńskiej religii, której regułą, jak powiadano, było składanie w ofierze ludzi.

Łapacze wynajmowani do ścigania posługiwali się także ptakami, najczęściej sokołami, choć używali również niewielkich orłów czy kruków, by pomagały im z daleka wytropić uciekiniera. Wozili je ze sobą na swych dziwnych mocnych konikach o krótkich nogach, na specjalnych ozdobnych grzędach, przymocowanych do siodeł ze skóry i kości –

znów ze skóry i kości ofiar.

– Jest ich co najmniej trzech, może więcej – powiedział Jaspin. –

Jeden ze strażników meldował, że wczoraj wieczorem widział trzech jeźdźców, kierujących się w stronę Pelgrińskiego Boru. – Księżę raptownie wstał i cisnął trzos najbliższemu Łapaczowi, który zręcznie chwycił go w locie i wsunął za pazuchę. – Po powrocie dostaniecie wię-

cej. Nie poskąpię grosza. – Jaspin uderzył się pięścią w otwartą dłoń, by podkreślić wagę swoich słów. – Tylko mi ich znajdźcie!

– Zrobi się – odparł Gwert, najwyższy spośród nich.

Potem, bez jednego słowa czy spojrzenia, gęsiego wymknęli się z komnaty, tak cicho jak dym unoszony wiatrem.

Kiedy odeszli, Bran przeciągle gwizdnął przez zaciśnięte zęby.

– Sprawiedliwy księżę, taki obrót sprawy mi się nie podoba. Wolał-

bym, żebyś o sprowadzenie tego więźnia poprosił mnie i moich żołnierzy. Ci Łapacze to barbarzyńcy i nie można im ufać. Zapewne będziesz go miał wraz z jego przyjaciółmi, ale nie wiadomo, w ilu kawałkach.

– Nie dbam o to! – gniewnie odparł Jaspin. – Chcę jedynie, by ich odnaleźli i zatrzymali.

– Panie mój – wtrącił się Grenett – właściwie dlaczego ów człowiek... ten Jastrząb... jest dla ciebie aż takim zagrożeniem? Przecież to tylko banita wyjęty spod prawa, a gdyby nawet był ich przywódcą, ostatecznie większą stratę poniesiesz, płacąc za jego schwytanie niż w wyniku szkód, jakie mógłby ci wyrządzić. Czemu więc tak zawzięcie się sta-rasz, by z nim skończyć?

91

– To moja sprawa, mości panie, i tobie nic do tego! – odburknął

księżę i dodał groźnym tonem: – Obaj macie zatrzymać to dla siebie.

Słyszycie?! Poza tym – głos mu złagodniał – nie wypada, by moi nowi regenci zajmowali się tak kłopotliwym pościgiem. Trzeba załatwić waż-

niejsze sprawy... Chodźcie, zabierzmy się do planowania naszej kolejnej niespodzianeczki. – Podprowadził ich do stołu, na którym leżała srebrna taca z dzbanem wina i pucharami. – Przyjaciele moi, za wasze zdrowie i nieprzerwane sukcesy! – rzekł unosząc kielich, gdy już im nalał.

Wszyscy trzej pociągnęli głęboki łyk, a kiedy oderwali usta od pucharów, rycerze odwzajemnili toast:

– Za nowego króla Askelonu!



# 13.

W wielkiej mrocznej sali, na pięciokątnym kamiennym ołtarzu leżał

starzec. Dymiące pochodnie, zatknięte w rogach ołtarza, rzuciły dziwne migotliwe światło na twarz mężczyzny, który zdawał się głęboko uspiiony lub martwy, a mimo to z jego rysów nie ustąpił wyraz potwornego zła. Miał tak przewrotną duszę, że złośliwie psuł wszystko, czego się tknął. Jego twarz była maską nienawiści, tym bardziej przerażającą, że równocześnie biła z niej nadzwyczajna inteligencja.

Nimroodowi, on to bowiem tam leżał, wydawało się, że z ogromnej wysokości spada przez kolejne warstwy dymu. Krew gwałtownie pulsowała mu w skroniach, tępy ból przeszywał członki, ale czarodziej sam chciał, by to spadanie trwało.

Dym powoli rzedł, a wreszcie całkiem się rozproszył. Nimrood spojrział w dół i zobaczył przesuwaną się ziemię. Wciąż opadając z dużą szybkością, zaczął szybować i teraz dokładnie widział krajobraz. Przeleciał nad wysokim łańcuchem Fiskillów z czapami śniegu na szczytach. Z

prawej strony srebrzyła się wstęga rzeki Wilst, którą w krętej drodze do morza powstrzymał mróz. Daleko przed sobą czarodziej miał ciemny 92

szarzielony masyw wielkiego Pelgrńskiego Boru, częściowo zasłonięty chmurami i zbyt zamglony, by wyraźnie go widzieć. Jeszcze dalej, poza zasięgiem wzroku, leżał Askelon, miasto na wzgórzu.

Nimrood opadał coraz wolniej. Słyszał świst zimnego powietrza, lecz nic nie czuł. Zamknął oczy, a kiedy znów je otworzył, odwrócił głowę i spostrzegł dwa czarne skrzydła, które z furkotem rytmicznie falowały na mroźnym wietrze, zdążył już bowiem przybrać kształt kruka. Teraz szybko frunął dalej.

Zbliżając się do Pelgrńskiego Boru, swym bystrym kruczym wzrokiem dojrzał w oddali niewyraźny zarys Askelonu. Gasły ostatnie blaski dnia i świat pogrążał się w mroku długiej zimowej nocy.

Będzie już całkiem ciemno, gdy czarodziej dotrze do zamku, lecz je-mu to nie przeszkadzało, jako że ze wszystkich rzeczy najbardziej lubił

właśnie ciemność. Korzystał z czarnej nocy, by ukryć swoje nieczne czyny.

Nimrood dogłębnie poznał sztuki tajemne; manipulował sekretami ukrywanymi od początku świata. Wiele podróżując, uczył się od rozmaitych czarodziejów i czarnoksiężników wszelkich ras. Jako młody człowiek był nienasyconym uczniem i studiował u wszystkich mistrzów czarnej magii, aż stał się tak potężny jak przed nim jeszcze nikt. Dotarł

do jądra największych tajemnic i wykorzystywał ludzkie słabości, by zdobyć władzę, która ciągle mu się wymykała, choć tak bardzo jej pragnął: możliwość naginania każdego człowieka do swojej woli.

Kiedy w końcu pod postacią kruka doleciał do celu, zaczął coraz ni-

żej krążyć nad zamkiem, a wreszcie nurkiem skierował się ku wieży, w której mieszkał Jaspin, i wylądował na wąskiej półce strzelnicy wysoko nad oknem jego komnaty. Książę był sam i siedział w fotelu przy kominku. Nimrood bezszelestnie sfrunął na podłogę, a kiedy miękko wylą-

dował, znowu przybrał ludzką postać.

– Nie spodziewałeś się mnie, książę, prawda? – powiedział zadowolony, że go przeraził.

93

– Na Zoara! Ale mnie wystraszyłeś... – Jaspin wcisnął plecy w fotel, chwytając się za serce. – Nie, na Azraela, pewnie, że nie. Nikogo się nie spodziewałem... a najmniej ciebie, Nimroodzie. Jak się tu dostałeś?

– To chyba nie było dla ciebie zbyt interesujące. W rzeczywisto-

ści wcale mnie tu nie ma. Widzisz jedynie zjawę, odbicie mojego ciała i duszy... zresztą nazywaj to sobie, jak chcesz.

Zbliżając się do księcia, przeszedł między nim a kominkiem. Zdumiony Jaspin spostrzegł, że języki ognia przeświecają przez upiorną postać czarodzieja.

– Ale co ty tutaj robisz? Skoro mi nie powiesz, jak się tu dostałeś, ręcę, że mi zdradzisz, dlaczego się zjawiałeś.

– Istotnie.

Nimrood skrzyżował ręce na piersiach i patrząc z góry na księcia, rzucał mu wściekłe spojrzenia, aż tamten się zmieszał i jeszcze głębiej wcisnął w poduszki fotela.

– Pozwoliłeś mu uciec! – wykrzyknął nagle, a jego głos zabrzmiał w uszach Jaspina niczym grom.

– Ktoś mu pomógł... ma jakichś przyjaciół na zamku. Już kazałem ściąć nadzorcę i strażników lochu...  
Ja...

– Zamilcz! – warknął Nimrood przez zęby. – Sądzisz, że ugłaskasz mnie przelaną krwią tych nicponi strażników? Czy to przywróci nam zbiega?

Zmarszczywszy gniewnie brwi, począł krążyć przed kominkiem.

Przerażony Jaspin przyglądał mu się jak sparaliżowany.

– On jest mój! Muszę go mieć! – ze złością pokrzykiwał czarodziej.

– Dwukrotnie dałeś mu uciec! Hm!

– Dwukrotnie? – spytał Jaspin nieśmiało. – Chyba jesteś w błędzie.

Przecież złapaliśmy go tylko raz...

– Ja jestem w błędzie?! – Choć oczy Nimrooda miały błyskawice, z jego gardła dobył się pusty pogardliwy chichot. – Za mało mnie znasz, książę szakali... Ty głupcze! – wykrzyknął nagle, znów tracąc nad sobą panowanie. – Nie wiesz, że ten cały Jastrzab to nikt inny jak tylko 94

szlachcic Theido, pan na Crandallu i największy wojskowy umysł naszej epoki?

– Nie... ja... – wyjąkał książę, jakby z wrażenia odjęło mu mowę.

– Tak, to właśnie on. Miałeś go w swych rękach, kiedy wrócił z wojny, ale pozwoliłeś mu umknąć.

– Wówczas to co innego – zaprotestował Jaspin, podskoczywszy w fotelu.

– Znow mi się sprzeciwiasz?! – wrzasnął czarodziej.

W tym momencie z kominka buchnął ogień i wyrzucił na komnatę deszcz iskier z chmurą popiołu. Jaspin poczuł na twarzy gorąco.

– Ostrożnie, książę, bo zamienię tę kupę kamieni w dymiące zglisz-cza.

Nimrood przygładził sobie zmierzwione włosy długimi, chudymi dłońmi i ponownie zaczął krążyć po komnacie.

– Co masz zamiar zrobić w tej sprawie? – spytał wreszcie.

– Ich tropem wysłałem Łapaczy – odparł Jaspin urażonym tonem. –

Za parę dni na pewno będziemy go mieli.

– Hmm... w porządku. Widzę, że jednak potrafisz używać głowy, kiedy się ciebie przycisnie, ale natychmiast daj mi znać, jak znowu znajdzie się w twoich rękach. Chcę go mieć, żywego czy martwego. Stworzyłeś sobie jeszcze jedną szansę i być może ocalisz swoją koronę. Tylko tym razem mnie nie zawieź, bo będzie to twój ostatni czyn za życia.

Cha, cha! – zły czarodziej zaśmiał się szyderczo.

Potem odwrócił się do księcia i wbił w niego straszny wzrok. Jaspin czuł, że traci władzę w członkach, które stały się ciężkie; spojrzenie to zmroziło mu serce.

– Zapewniam cię, że bywa los gorszy niż śmierć – powiedział Nimrood. – Znam parę sposobów... wszystkie równie przerażające. Trzymam je dla tych, co sprawiają mi szczególny zawód. Masz jeszcze jedną szansę... nie zawieź mnie.

Widząc to, Jaspin zerwał się na równe nogi. Nimrood zachichotał, a jego postać jakby rosła i stawała się coraz bardziej przezroczysta.

– Wiedziałaś, że Ronsard nie zginął? – spytał tuż przed zniknięciem.

– Nie? No cóż... długo nie pożyje. Wysłałem swoich ludzi, żeby go schwytali.

Znowu się zaśmiał, a potem całkiem zniknął w płomieniach. Jaspin słyszał tylko słabnące echo jego złego śmiechu, które wkrótce ucichło.

Księżę ze śmiertelnie bladą twarzą opadł z powrotem na fotel.

Ogień na kominku Durwina przygasał. Quentin drzemał, skulony w swym ciepłym kącie nie opodał paleniska. Czuł, że nareszcie jest wy-spany; głowę miał jeszcze pełną mglistych sennych marzeń. Dzień minął

spokojnie na rozmowach i drobnych przygotowaniach, w których chłopiec prawie nie brał udziału. Przeważnie jadł i drzemał, gdy nie oporzą-

dzał koni. Dbał o to, by otrzymały dodatkową porcję jedzenia za ciężką jazdę poprzedniego wieczoru.

Theido i Durwin siedzieli przy kominku, kurząc długie drewniane fajki, nabite aromatycznymi liśćmi roślin uprawianych przez pustelnika.

Milczeli, wszystko bowiem zdążyli już omówić. Co pewien czas pykali z fajek i pochrząkiwali, zadumani nad jakimiś sprawami.

Alinea spała, wygodnie wyciągnięta na niskim drewnianym łożu Durwina. Przez cały dzień niewiele mówiła, lecz z wyrazu jej oczu Quentin domyślał się, co przeżywała. Owe dwa szmaragdy były pełne udręki z powodu króla. Mimo swoich zmartwień królowa znajdowała miłe słowa dla chłopca, kiedy przebywali razem. Z wdzięczności poprzysiągł sobie w razie potrzeby oddać za nią życie przy pierwszej okazji.

Wreszcie Durwin wstał, przeciągnął się i popukał fajką w kominek, by wysypać z niej popiół. Potem, zawinawszy się w opończę, ruszył do przeciwległego kąta izby, pozostawiając Theida jego własnym myślom.

96

Quentin, który na przemian budził się i drzemał, usłyszał ostry gwizd i pomyślał, że to Durwin tak dziwnie zachowuje się w środku nocy. Kiedy jednak gwizd się powtórzył, półprzytomny chłopiec uniósł się na łokciach i zobaczył, że Durwin stoi nasłuchując. Theido, siedzący z nogami wyciągniętymi w stronę kominka, przestał pykać z fajki i też nadstawiał ucha.

Znowu rozległ się gwizd, tym razem bliżej. Theido wstał, podszedł

do drzwi i wyslizgnął się na dwór. Powiew zimnego powietrza otrzeźwił

chłopca. Na zewnątrz zabrzmiał inny gwizd. To Theido odpowiadał na sygnał.

Alinea już się obudziła i teraz stała obok Durwina. Pochyliwszy głowę, mówiła coś do pustelnika, lecz jej słowa nie docierały do Quentina.

Mimo napiętej uwagi chłopiec słyszał jedynie trzask ognia w kominku i swój własny oddech.

Potem z dworu dobiegły zbliżające się ciche kroki, stłumione przez śnieg. Do środka wszedł Theido, rozcierając zziębnięte dłonie.

– Voss i jego ludzie krzaki prowadzą nam gościa – wyjaśnił. – Właśnie nadchodzą.

Ledwie wypowiedział te słowa, ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

Kiedy je otworzył, zobaczyli krępego przywódcę leśnych ludzi, a za nim jakiegoś mężczyznę, którego na powrozie przyciągnęli towarzysze Vossa.

– Wejdz – rzekł Theido. – Pokaż nam, kogoście schwytali.

Znalazłszy się w chacie, Voss skinął ręką na swych ludzi, by wprowadzili obcego.

– Trenn! – wykrzyknęła królowa, kiedy w świetle lampy ujrzała swojego strażnika.

Słaniał się na nogach i omal nie upadł, ale Voss podtrzymał go pewną ręką, Durwin zaś posadził na stołku.

97

– Obserwowaliśmy go, zanim wjechał w las. Kiedy skierował się w tę stronę, został schwytany – obojętnie powiedział Voss.

– Co ty tu robisz, Trenn? – spytała królowa, wzrokiem szukając odpowiedzi w jego twarzy. – Czy Jaspin przejrzał naszą grę?

– Tak jak przypuszczałem, najjaśniejsza pani – odparł Trenn, z głę-

bokim ukłonem zrywając się ze stołka. – Przybyłem tu, by was ostrzec, że Jaspin wysłał za wami Łapaczy. Modliłem się do wszystkich bogów, jakich znam, żebym zdążył.

Na wzmiankę o tych przerażających tropicielach pobladła nawet szeroka twarz Vossa.

– To straszna nowina – stwierdził.

Alinea zasłoniła ręką usta i natychmiast spojrzała na Theida, który stał nieporuszony.

– Mamy na to sposób – rzekł Durwin.

– Jak dawno wyruszyli? – spytał Theido, siląc się na spokój.

– Dziś przed południem widziałem, jak wjeżdżali do zamku tylną bramą, prowadzeni przez kilku rycerzy księcia. Poza tym rano w głównej bramie panował duży ruch... pełno rycerzy i szlachciców, niektórzy przyjechali aż z odległych nizin. Krąży plotka, że Jaspin pośpiesznie zwołał Radę Regentów, by ukarać tych, którzy pomogli ci w ucieczce.

– Co? On chyba oszalał – powiedział Theido.

– To był jednak tylko wybieg – ciągnął Trenn. – Księżę Jaspin oskarżył dwóch szlachciców o udzielanie ci pomocy. Nadzorca lochu...

nowy nadzorca – wyjaśnił i szybkim ruchem dłoni pokazał, co się stało z poprzednim – mówił mi, że jest tam Weldon i Larcott.

– A to łajdak! – cicho rzekł Theido. – Wykorzystał moją ucieczkę jako pretekst do zmiany w składzie rady. Mniemam, że niezwłocznie kazał wybrać nowych regentów. Czy wiesz, kto zajął miejsca tamtych?

– Nie jestem całkiem pewien, ale sądzę, że Bran i Grenett – odparł

Trenn. – Słyszałem, że podobno Holben sprzeciwił się księciu i uratował

98

życie oskarżonym, powołując się na królewskie prawo.

– Im na razie uratował, ale prawdopodobnie stracił własne – odparł

Theido.

– Czyżby Jaspin śmiał zrobić coś takiego? – spytała królowa, przerażona myślą, że na jej dworze mogłoby dojść do tak ogromnej zuchwa-

łości. – Nigdy bym nie przypuszczała...

– Tamtym nie możemy pomóc – ze smutkiem powiedział Theido. –

Teraz musimy pomóc sobie.

– Trenn, w jaki sposób udało ci się tu dostać, że Łapacze cię nie zauważyli?

– Wyjechałem przed nimi, a ponieważ wiedziałem, dokąd zdążam, bez trudu szybko tu dotarłem, choć prawie zajeździłem dobrego konia.

– Ruszą twoim tropem, co im bardzo ułatwi zadanie – zauważył

Voss.

– Nie jestem taki głupi – zachnął się Trenn. – Wziąłem ze sobą kilku moich ludzi, żeby zatarli ślady. Przejechali ze mną kawałek, a potem każdy skierował się w inną stronę. To wszystko, co mogłem zrobić.

– Doskonale – rzekł Theido, ruszając się z miejsca. – Dzięki temu trochę zyskamy na czasie.

– A ja i moi towarzysze jeszcze bardziej opóźnimy pościg – oznajmił Voss. – Natychmiast zagonię ich do roboty, żeby pozacierali ślady.

Możemy wodzić tych drani po lesie przez wiele dni.

– Uważajcie. To Łapacze, a nie zwykli myśliwi – przestrzegł ich Theido.

– My też nie jesteśmy zwykłą zwierzyną – z dumą odparł Voss. –

Nie martw się, Jastrzębiu. Nie zobaczą nas i nie zorientują się, że to fortel, póki na dobre się nie oddalicie. Nie zdołamy jednak ich powstrzymać.

– Moglibyśmy z nimi walczyć – podsunął Trenn.

– I zginąć – powiedział Theido. – Nie, jedyna nadzieja w tym, że nas nie dogonią, dopóki nie przekroczyliśmy Wielkiego Muru. Wątpię, by nawet Łapaczom udało się nas odnaleźć na Dzikich Ziemiach.

99

– A więc jednak! – triumfalnie wykrzyknął Durwin. – W końcu przyznałeś mi rację. Jedziemy do Dekry.

– Owszem, jedziemy do Dekry. Stanęło na twoim, przyjacielu. To nasza ostatnia szansa. Zatem do Dekry... i to już.

# 14.

Pod osłoną ciemnej nocy z pustelni w samym sercu Pelgrinńskiego Boru wyruszyła w drogę niezwykła wyprawa ratunkowa – niewielka grupka ludzi prawie bez nadziei, że powiedzie się ich plan uwolnienia króla z rąk złego czarodzieja Nimrooda.

W ciągu dwóch tygodni na szlaku, prowadzącym przez dzikie ostępy boru i niskie wzgórza u stóp Fiskillów, nie spotkali żywego ducha. Fakt ten uznano za pomyślną okoliczność, znaczył bowiem, że nie natknęli się na Łapaczy, a tego najbardziej się obawiano. Czasami trwożnie oglą-

dali się za siebie sądząc, że pozostali tego nie zauważą, lecz nie widzieli ani śladu bezlitosnych tropicieli.

Durwin, ponaglany przez Theida, wiódł ich na północ okrężną trasą przez lesiste wzgórza Askelonu, omijając zdradliwe góry, by potem skręcić na wschód w stronę Wielkiego Muru Celbercora. Kiedy już go przekroczą, a pokonanie tej ogromnej przeszkody samo w sobie stanowi-

ło ciężką próbę, skierują się prosto ku zatoczce Malmar, którą pieszo przejdą po lodzie. Na drugim brzegu zatrzymają się na krótki postój w niewielkiej wsi rybackiej Malmarby, jednej z najdalszych siedzib ludzkich na rozległym półwyspie Obrey. Mieli nadzieję, że wystarczy im czasu na uzupełnienie zapasów i znalezienie przewodnika, by poprowadził ich do Dekry.

Quentin w końcu się dowiedział, że Dekra to nie osoba, lecz zapomniane miasto tajemniczego ludu, który dawno temu gdzieś zniknął.

Teraz już nikt nie pamiętał, co się stało z jego dziwnymi mieszkańcami.

100

Pozostawili jednak niezwykle bogate i piękne siedziby, sławione w pieśniach i legendach, lecz tylko nieliczni zdołali dotrzeć do tego miasta.

Jeszcze mniej wierzyło w jego istnienie uważając, że wymyślili je bardowie i poeci, by mieć naiwnych. Niektórzy zaś utrzymywali, że ono rzeczywiście istnieje, ale jest to złe miejsce, gdzie ludzie nie są mile widziani – ci, co udali się na jego poszukiwanie, już więcej nie powróci-li.

– Nigdy nie słyszałeś o Dekrze, mój chłopcze? – zdziwił się Durwin, unosząc krzaczaste brwi, gdy Quentin o nią zapytał. – Choć wła-

ściwie nie mogłeś o niej słyszeć. Kapłani Ariela niezbyt chętnie przyznają, że ona istnieje. Cóż, będziesz miał okazję zobaczyć ją na własne oczy.

– Czyżby to było aż tak bardzo złe miejsce? – dopytywał się Quentin. – Czy dlatego Theido nie chciał się tam udać?



Jechał na Balderze niemal pierś w pierś z pustelnikiem, wróciwszy z końca kawalkady, gdzie zwykle cwałował tuż przed Trennem. Lubił

jeździć z przodu, obok Durwina, gdy tylko pozwalała na to szerokość szlaku.

– Nie... – odparł pustelnik po chwili zastanowienia nad doborem właściwych słów. – Dekra nie jest złym miejscem, aczkolwiek wielu tak uważa. Należy do siedmiu punktów na ziemi, w których dawniej koncentrowała się energia, a choć energia ta już zanikła, to jednak jej resztki gdzieś tam pozostały i są dostępne dla tych, co wiedzą, jak jej szukać.

Również Theido nie uważa, że to miejsce jest złe, i nie dlatego sprzeciwiał się naszej podróży. Po prostu wiedział, że ta droga, długa i niebezpieczna, mogłaby się okazać niepotrzebna, gdybyśmy nie znaleźli tego, czego szukamy.

Quentin musiał się zadowolić tymi wyjaśnieniami, Durwin bowiem nie chciał nic więcej powiedzieć o tajemniczym mieście ani o powodach, dla których tam jechali. Pustelnik coś ukrywał – chłopiec wyczuł to w jego głosie. Quentin, kierowany młodzieńczą ciekawością, bardzo chciał

się tego dowiedzieć. Stale więc podsłuchiwał rozmowy Durwina 101

z Theidem w czasie posiłków czy nocą przy ognisku, licząc na to, że z czymś się zdradzą, ale spotkało go rozczarowanie.

Theido nieustannie ich popędzał, nie pozwalając na dłuższy postój czy rozpalanie ogniska za dnia. Wyznaczono krótkie nocne odpoczynki –

zatrzymywano się o zmierzchu i zaledwie po kilku godzinach snu wstawano, by dobrze przed świtem ponownie ruszyć w drogę.

Quentin opanował sztukę spania w siodle, gdy oczy już same mu się zamykały. Stwierdził, że szybko staje się coraz lepszym jeźdźcą. Codziennie zdobywał nowe umiejętności i poznawał las dzięki Durwinowi, który okazał się niewyczerpanym źródłem informacji. Chłopiec potrafił

już nazwać około trzydziestu różnych drzew i krzewów. Umiał rozróż-

niać ślady wszystkich zwierząt, nie zapadających w zimowy sen, i dość trafnie przepowiadać pogodę. Owe umiejętności uważał za bardziej po-

żyteczne niż wszystko to, czego nauczył się w świątyni, chociaż musiał

przyznać, że i ta wiedza jakoś się przydawała.

Z tych i innych powodów, głównie wynikających z poczucia przynależności do grupy, której przyświecał wspólny cel, chłopiec z wielką ochotą poddawał się rygorom podróży, łatwo zapominając o niewygodach życia na szlaku. Prawie nie pamiętał o niebezpieczeństwie grożą-

cym im na każdym kroku – o znieprawionych Łapaczach – wydawało się bowiem, że nic nie

wskazuje na ich obecność.

Theido jednak co pewien czas zostawał z tyłu na kilka godzin, by szukać w lesie oznak świadczących, że ktoś za nimi jedzie. Za każdym razem meldował po powrocie, że nie widział śladu Łapaczy, ale wydawał się coraz bardziej zmartwiony.

– Obawiam się, że czekają, aż znajdziemy się na otwartej przestrzeni – rzekł pewnego wieczoru.

Słońce właśnie zaszło i wszyscy siedzieli wokół ogniska, opatuleni w opończe i grube skórzane ubrania.

– Nie uważasz, że mogliśmy już ich zgubić? – spytał Tremn z nadzieją w głosie. – Przecież Voss i jego leśni ludzie mieli ich wyprowadzić w pole...

102

– Nie – posępnie odparł Theido, wolno kręcąc głową. – Boję się, że Vossowi tylko przez jakiś czas udało się ich zwodzić, ale spotkania z nimi nie można wykluczyć, choć szybko posuwamy się naprzód i stale jesteśmy czujni. Z każdym dniem coraz bardziej wyczuwam ich obecność. Wydaje mi się, jakby przyciągali nas do siebie myślami.

– Dlaczego sądzisz, że czekają, aż wydostaniemy się na otwartą przestrzeń? – odezwała się Alinea. – Czemu nie chcą nas zaatakować w lesie?

Theido znów pokręcił głową.

– Tego nie wiem. Zapewne coś ich powstrzymuje, choć nie umiem powiedzieć co. Kiedy jednak wyjedziemy z lasu, a to nastąpi za dwa dni, bez trudu nas zobaczą. Tym, którzy chcą się ukryć przed czymś bystrym wzrokiem, wzgórze nie daje dostatecznego schronienia latem, a tym bardziej zimą.

– Ale jeśli tylko zdążymy je przejechać i dotrzeć do Wielkiego Mu-ru, będziemy mieli szansę – wtrącił się Durwin; on jeden nie tracił nadziei.

– Musimy jednak znaleźć sposób na pokonanie Muru – przypomniał

Tremn. – Samo jego przejście może potrwać wiele dni. Nie wiem, jak tego dokonamy, chyba że naszym koniom wyrosną skrzydła.

– Musi być jakiś sposób – powiedziała Alinea. – Wielki Mur to bardzo stara budowla i zapewne są w nim wyrwy...

– Najjaśniejsza pani – z szacunkiem przerwał jej Tremn – módlmy się, żeby ich nie było. Każde takie ułatwienie przyniesie jeszcze większe korzyści naszym prześladowcom.

– To nie Łapacze są w tej chwili naszymi prześladowcami – dziwnie odezwał się Quentin.

Wszyscy umilkli i spojrzeli na niego, oderwawszy wzrok od ognia.

Jego mina wyrażała zarazem strach i zdumienie, a ciemne oczy spoglądały poza jasny krąg światła rzucanego przez ognisko.

– Widzicie tych ludzi? – zapytał.

Theido pierwszy skierował wzrok za spojrzeniem chłopca.

103

Od razu dostrzegł krąg twarzy, prawie niezauważalnych w mroku, lecz ich obecność zdradzały płomienie odbijające się w dużych oczach.

Byli więc otoczeni.

Wioski Jherów, jeśli ich siedlisko można tak określić, prawie nie da-

łoby się bardziej zamaskować. Składała się z podziemnych schronisk na pięćdziesiąt czy więcej osób. Każde z nich, przykryte dachem w kształ-

cie spłaszczonej kopuły, było zbudowane z gałęzi, kory i liści. Gdyby nie ludzie stojący przed tymi prymitywnymi domami lub wyglądający z wąskich otworów wejściowych, Quentin mógłby przejechać przez sam środek wioski, nawet nie zauważając, że ktoś tu mieszka, o czym świadczyły tylko liczne ślady stóp na ubitym śniegu.

Okazało się, że Jherowie jak zwykle spędzali tu całą zimę. Polując i zastawiając sidła na północnych krańcach Pelgrińskiego Boru, urządzili sobie zimowy obóz w lesie. Wiosną znów powrócą w swoje rodzinne strony – na Dzikie Ziemie Obreyu.

Oglądając teraz Jherów w pełnym świetle dnia, Quentin się dziwił, co go tak w nich przestraszyło, kiedy owej długiej zimowej nocy zobaczył

ich wokół obozowego ogniska. Do samego rana trwało to osobliwe czuwanie i tylko twarze trochę się zmieniały, gdy jeden zastępował drugiego. Wówczas chłopcu się zdawało, że z ich rąk czekają go straszliwe tortury, w tej chwili jednak, widząc szerokie, smagłe twarze o pięknych, choć nieco grubych rysach, patrząc w brązowe oczy, spokojne i mądre, jakby wszytkowiedzące, wstydził się, że wtedy tak źle myślał o tym prostym ludzie.

Kiedy zaczęło świtać, do ogniska podszedł ich przywódca, niejaki Hoet. Theido i Durwin wstali, by go przywitać, bez względu na jego zamiary. Nagle całkiem nieoczekiwanie Durwin wszystkich zadziwił, nie wyłączając samych Jherów, którzy aż krzyknęli z zachwytu, przemówił

104

bowiem w ich własnym śpiewnym języku. Później odwrócił się do swoich towarzyszy i z zakłopotaniem wyjaśnił:

– Przepraszam, drodzy przyjaciele. Powinienem was uprzedzić, że tych ludzi nie trzeba się obawiać, ale postanowiłem być ostrożny, ponieważ od dawna żadnego z nich nie spotkałem w tej części boru, a tymczasem świat się bardzo zmienił. Nie miałem pewności, jak nas przyjmą, lecz nie opuszczała mnie nadzieja, że przyjaźnie. I tak właśnie się stało.

Potem znów się odezwał do przywódcy Jherów w owym dziwnym języku.

Podniecony Hoet gwałtownymi gestami przywołał swoich ludzi, a było ich zaledwie kilkunastu. Zbliżyli się pomrukując z podziwu – oto biały człowiek mówi ich językiem. Dla nich wyglądało to na cud.

Jherowie byli koczownikami. Ich proste zwyczaje nie uległy zmianie od tysiąca lat. Nie budowali

miast, nie wznosili ołtarzy, nie potrafili czytać, jako że nie znali pisma. Byli ludem starszym od znienawidzonych Shothów, a nawet od ziemi, na której polowali. Ich przybycie otaczała niezgłębiona tajemnica – jedna z wielu, w jakie obrósł ten płochliwy lud niczym wiekowy dąb w korę.

Już rzadko widywano ich w okolicach Askelonu. Wypierani przez cywilizację, przenosili się coraz dalej na północ i wschód, w głąb Dzikich Ziem. Niewielu mieszkańcom miast udało się kiedykolwiek spotkać łagodnych Jherów, lecz wieśniacy żyjący blisko północnych obrzeży Pelgrńskiego Boru czasami mieli okazję przelotnie ich ujrzeć. Zdarzało się, że znikali z jakiegoś rejonu na całe pokolenie lub dłużej, by później znów nagle się tam pojawić.

Byli spokojnym, nieśmiałym ludem bez żadnych wrogów, prócz okrutnych Shothów, na których polowali jak na jelenie, będące podstawą ich życia. Zakrawało na cud, że ci skromni ludzie w ogóle potrafią walczyć, że z kimkolwiek mogą znaleźć się w konflikcie. Jednakże przy wszystkich zdumiewających zaletach żywili wrodzoną nienawiść do ostatnich ze swoich odwiecznych wrogów.

105

Durwin naradzał się z Hoetem pośrodku niewielkiej polanki. Zdaniem Quentina rozmowa ta toczyła się bardzo powoli. Ciągłe powtarzali te same słowa, żywo przy tym gestykulując. Chwilami zapadało krępują-

ce milczenie, ale odnosiło się wrażenie, że Durwin robi postępy. Coraz częściej potakująco kiwał głową i jakby rzadziej zadawał pytania. Chłopiec tylko się tego domyślał, gdyż w mowie Jherów normalne słowa zdawały się nie istnieć. Ich język bardziej przypominał naśladowanie odgłosów natury niż ludzką mowę. Mimo to dziwnie pięknie, a nawet wzruszająco brzmiał w uszach Quentina, który słyszał w nim głosy przyrody o różnych porach roku – szum drzew na wietrze, plusk wody płyną-

cej po kamieniach, igraszki zwierząt. Język Jherów był pełen urody lasu i żyjących w nim stworzeń.

W czasie, gdy obaj przywódcy starali się wzajemnie zrozumieć, Quentin nawiązywał kontakt na swój własny sposób – po prostu bezwstydnie się gapił na dziwnych ludzi, zgromadzonych dookoła. Jherowie równie śmiało przyglądali się cudzoziemcom, tak bowiem nazywali każde-go, kto nie był Jherem, a także ich koniom i stalowym nożom.

Chłopiec stwierdził, że Jherowie są nieduzi i lekko się poruszają.

Skórę mieli gładką, ciała zgrabne i niezbyt muskularne, zupełnie jak jelenie. Tak długo przebywali z tymi zwierzętami, że w końcu się do nich upodobnili. Quentina uderzyło, że nawet patrzyli niczym jelenie; ich oczy były duże, ciemne i spokojne jak leśne stawy.

Nosili ubrania z jelenich skór, pozszywanych nićmi z jelit tych zwierząt igłami z ich kości. Żywili się ich mięsem, stopionym zaś łojem na-pełniali lampy z ich czaszek. Byli całkowicie od nich uzależnieni i podą-

żali za owymi rączymi zwierzętami przez cały rok, gdziekolwiek wę-

drowały.

Na wszystkich prymitywnie zdobionych ubraniach i osobistych przedmiotach Quentin widział namalowane, wyrzeźbione czy wydrapane wizerunki jelenia lub słońca, także czczonego przez Jherów.

106

Tak samo jak płochliwe jelenie posługiwali się instynktem i jak one mieli błyskawiczny refleks. Wszystko to w połączeniu ze świetną znajomością otoczenia pozwalało im ukrywać się przed wzrokiem hałaśliwych i niezdarnych białych ludzi, którzy w lesie nie zdawali sobie sprawy, że tuż obok, niemal na wyciągnięcie ręki, są jakieś żywe istoty.

Quentin akurat rozmawiał na migi z kilkorgiem bardziej śmiałych dzieci, kiedy Durwin wstał i poczłapał z powrotem do swoich towarzyszy, siedzących na jeleniej skórze, rozłożonej na śniegu, i oczekujących wyników pertraktacji.

– Hoet mówi, że jesteśmy skazani na śmierć – oznajmił, a gdy uświadomił sobie, jak bardzo ich przeraził, natychmiast dodał: – Och, nie! Nie przez Jherów! Ojej, ale palnąłem! Wybaczcie... próbowałem zebrać do kupy jego słowa i nie wiedziałem, co gadam. A więc Hoet twierdzi, że tropią nas Łapacze, o czym wiemy, lecz są już bliżej, niż sądziliśmy. Dodał, że z tego powodu zostali z nami i czuwali przez całą noc, by tamci nie mogli nas schwytąć. Nieświadomie znaleźliśmy się nie opodal ich zimowego obozu, a nie chcieli, by Shothowie za bardzo się do nich zbliżyli.

– Aha, to dlatego chronili nas przez całą noc – rzekł Theido. – Jestem im wdzięczny za pomoc, ale co się z nami stanie, kiedy stąd odejdziemy? Łapacze tylko czekają, żebyśmy ruszyli w dalszą drogę.

– Już zdążyliśmy to omówić – odparł Durwin z uśmiechem. Skłonił

głowę w stronę Hoeta, który stał w odległości kilku kroków i odpowiedział mu tym samym. – Dostaniemy od niego ochronę i przewodnika, żeby nas odprowadził daleko od Shothów tylko sobie znanymi drogami.

– Ile osób z nami pójdzie? – spytał Trenn, szukając wzrokiem kandydatów w grupce Jherów. – Myślę, że pięciu lub sześciu z tych silniej-szych powinno wystarczyć.

W swoim wojskowym umyśle już sformował z nich bojowy oddział, wyposażony w hełmy, puklerze i skórzane zbroje piechoty.

Durwin wyglądał na nieco zakłopotanego.

107

– Nie umiem powiedzieć, ilu Hoet zamierza nam przydzielić.

Odwrócił się i podszedł do przywódcy Jherów, który stał z założonymi rękami i opuszczoną głową. Pochylili się ku sobie i znów zaczęli pertraktacje, wsparte żywą gestykulacją. W końcu Hoet

gwizdnął i pomachał ręką w stronę grupki mężczyzn z podziwem oglądających konie.

Wówczas jakiś szczupły młodzieniec, niewiele starszy od Quentina, podbiegł do Hoeta, który przedstawił go Durwinowi.

– Oto nasz obrońca i przewodnik – oznajmił Durwin, wróciwszy wraz z chłopcem do swoich przyjaciół.

– Co?! – wybuchnął zaskoczony Trenn.

Wybałuszył oczy, szczeka mu opadła. Młody Jher nie wyglądał na takiego, który mógłby sobie poradzić nawet ze swoim ziomkiem, a co dopiero z trzema żądnymi krwi Łapaczami.

– Nazywa się Toli – rzekł pustelnik.

Później obszedł całą grupę, kolejno przedstawiając chłopcu przyjaciół. Toli nie próbował powtarzać ich imion, tylko się uśmiechał i grzecznie skłaniał głowę.

– Kiedy wyruszamy? – spytał Theido z westchnieniem.

On też miał wątpliwości co do ich obrońcy. Spojrzał w niebo, które zaciągnęło się chmurami, gdy czekali, aż Durwin zakończy pertraktacje.

– Hoet proponuje, żebyśmy się przespali kilka godzin. Możemy odjechać wieczorem. Powiada też, aby się nie martwić. Toli pokaże nam sekretne przejście w Wielkim Murze, podobno nie znane Shothom.

## 16.

Król siedział po ciemku w głębokim lochu twierdzy Kazakh, górskiej fortecy Nimrooda. Dookoła leżały porozrzucane części jego zbroi, która 108

rdzewiała wskutek panującej tu straszliwej wilgoci. Głowę, niegdyś dumnie uniesioną, strapiony monarcha opuścił teraz na pierś; przymknął

wpadnięte oczy, by nie widzieć swojej hańby. Długie czarne włosy i broda, poprzednio tak starannie utrzymane, zwisały w brudnych zlepionych kosmykach, posiwiałe na końcach.

Król w duchu przeklinał swoją głupotę i krótkowzroczność. Tak bardzo chciał wrócić do domu, że w przyływie dobrego humoru zostawił

wojsko pod komendą dowódców i jedynie z garstką wiernych rycerzy udał się prosto do portu, by zdążyć na ostatni statek przed porą jesiennych sztormów, uniemożliwiających nawigację.

Mimo złych przeczuć kapitana, wsiadł na pokład i wypłynął, choć fale już się podnosiły, a niebo zapowiadało gwałtowną zmianę pogody.

Burza zerwała się czwartego dnia i kapitan skierował statek do najbliż-

szego portu, którym był Fallers na cyplu Elsendor, wysuniętym daleko na południe. Rozsądnie odmówił dalszej podróży, więc Eskevar z rycerzami wyruszyli na przełaj lądem. Po dwóch dniach zostali napadnięci.

Uzbrojeni ludzie czekali, aż wejdą do ciasnego wąwozu, by tam ich zaatakować.

Król i jego rycerze dzielnie się bili ze znacznie liczniejszymi napastnikami, lecz ostatecznie ulegli ich przewadze. Związani i wrzuceni na wozy, przez wiele dni jechali skalnymi drogami, przykryci żaglowym płótnem.

Jednemu z rycerzy, Ronsardowi, udało się uwolnić z więzów i uciekł, odzyskawszy konia i broń, ale musiał pozostawić króla i swych towarzyszy. Rycerz śledził wozy, aż dotarły do celu – statku z czarnymi żaglami, stojącego przy brzegu w odludnym miejscu. Podążając za wozami, miał

nadzieję, że nadarzy mu się okazja uwolnienia towarzyszy. Kiedy jednak ujrzał czarny statek i jego krzepką załogę, zrozpaczony utratą przyjaciół, którym sam nie zdołałby pomóc, ruszył do Mensandoru, by zawiadomić o wszystkim królową.

109

Mijały miesiące, każdy dzień wydawał się trudniejszy do zniesienia od poprzedniego. Król Eskevar starał się nie poddawać doskwierającej mu beznadziei. Początkowo złorzeczył swojemu gnębicielowi głosem pełnym słusznego gniewu, rozbrzmiewającym niczym grom w salach i korytarzach twierdzy Kazakh.



Nimrood krążył po swoich komnatach, chichocząc jak szaleniec. Jego dzikie oczy pałały jakimś dziwnym nieziemskim blaskiem.

Po wielu tygodniach zszedł do lochu, by wreszcie popatrzeć na więź-

nia. Król żądał wyjaśnień, błagał o wolność dla rycerzy, proponował

oszałamiający okup, chciał się dowiedzieć, czemu go porwano. W odpowiedzi usłyszał, że to jego własny brat, księżę Jaspin, kazał go zatrzymać w bezpiecznym miejscu, póki nie zdobędzie korony.

Potem Nimrood odszedł, pozostawiwszy nieszczęśnika z krwawią-

cym sercem, pełnym rozgoryczenia i gniewu. Od tej krótkiej rozmowy król już nie widział żywego ducha.

Eskevar usłyszał brzęk żelaznego rygla, zgrzyt zawiasów, po czym na krętych schodach, wiodących do lochu, rozległy się kroki. Pomyślał, że to strażnik z jedzeniem.

Później na surowej ścianie wykutego w skale korytarza, wzdłuż któ-

rego znajdowały się cele, dostrzegł migotliwy odblask pochodni. Nasłuchiwał. Po szuraniu butów domyślił się, że tym razem strażnik nie jest sam. Wkrótce niezwykle jasne światło pochodni oślepiło zmętniałe oczy więźnia. Kiedy spojrział na strażnika, w głowie poczuł przeszywający ból.

Eskevar z trudem wstał. Był wyższy od strażnika i jego dwóch niego-dziwych towarzyszy.

– Cofnij się! – wrzasnął strażnik, wetknąwszy pochodnię między pręty.

110

Zgrzytnęły stare zardzewiałe drzwi i do środka ostrożnie wślizgnęli się dwaj żołnierze z włóczniami gotowymi do ciosu. Jeden z nich trącił

króla tępym końcem włóczni i Eskevar wyszedł na korytarz chwiejnym krokiem niczym starzec. Musiał się zgarbić, wilgotny korytarz był bowiem wąski i niski. Po to, by zachować odstęp i przypomnieć królowi, że jest więźniem, w drodze do krętych schodów od czasu do czasu kłuto go włócznią.

Na stopniach Eskevar dwa razy się potknął, ale utrzymał równowagę.

Teraz szedł wolniej i ostrożniej, aby mieć czas na choćby częściowe odzyskanie sił i przyzwyczajenie wzroku do bladego światła, jaśniejsze-go w miarę wychodzenia z lochu.

Wreszcie król znów ujrzał pełne światło dzienne, które zdawało się paraliżować jego przytępione zmysły. Oddychał głęboko, wciągając do płuc czyste, zimne powietrze. Wracała mu jasność myśli, ostatnio tak zmaconych. Z trudem się wyprostował i wysoko zadarł głowę.

Weszli do wielkiej sali, gdzie na wysokim czarnym tronie siedział

Nimrood.

– Coś takiego, więc nasz więzień jeszcze żyje? – syknął. – Szkoda.

Nasi ulubieńcy będą musieli trochę poczekać, nim dostaną jego ścierwo na pożarcie.

Zaśmiał się pod nosem. Wówczas Eskevar spostrzegł ohydny łeb straszliwego węża, który łakomym wzrokiem patrzył nań spod tronu.

– Uwolnij mnie lub zabij – powiedział król. – Ty nie dostaniesz żadnego okupu, a mój brat nie zasiądzie na moim tronie. Regenci nigdy na to nie pozwolą.

– Być może twoi regenci, dumny królu, ale niektórzy z nich są podejrzani o pewne niecne czyny. Dwóch nawet zamknięto w głębokich lochach zamku Askelon, gdzie czeka ich nieubłagany los.

– Ty łajdaku! – wykrzyknął Eskevar i skoczył do przodu.

Strażnik zagroził drogę włócznią, lecz król wyrwał mu ją z rąk i 111

odepchnął go jego własną bronią. Potem zamiótł nią dokoła, by pozostali dwaj nie mogli się zbliżyć, i z opuszczonym ostrzem groźnie ruszył na Nimrooda. Czarodziej podniósł ręce nad głowę i wykrzyknął zaklęcie:

– Borgat Invendum cei Spensus witso borgatti!

– Twoje zaklęcia nic ci nie...! – zawołał król i urwał.

Nagle jakby ołowiana sieć skrępowała mu członki i poczuł, że opuszczają go siły. Uniósł potężne ramię, by cisnąć włócznię, ale broń zdała się ważyć tyle, co ogromne żelazne drzwi lochu. Rzut okazał się za słaby i włócznia upadła na kamienną posadzkę.

– Zobaczysz, jak działają moje zaklęcia! – warknął rozzłoszczony czarodziej. – Tylko na to czekałem. Związać go i odprowadzić do wieży!

– Zabij mnie! – wściekle krzyczał Eskevar. – Jeśli nie zrobisz tego teraz, będziesz żałował przez całą wieczność!

Strażnicy podbiegli do króla i skrępowali go łańcuchami, a potem za-ciągnęli do wieży, gdzie ponownie został zamknięty, ale nie w celi, lecz w dziwnej, wysokiej komnacie, na której ścianach widniały niezwykle malunki i napisy. Ledwie tam się znalazł i zatrzaśnięto za nim drzwi, Eskevar nagle poczuł, że ogarnia go nieodparta senność.

Z posadzki pod stopami zdawały się unosić odurzające opary o silnej woni. Potrząsnął głową, która opadała mu na ramiona, zamrugał powiekami. Wkrótce kolana się pod nim ugięły i całym ciałem runął na drewnianą podłogę. Jeszcze próbował wstać, ale tylko zdołał nieporadnie klęknąć, jako że

na więcej nie pozwalały mu łańcuchy.

– Mam nadzieję, że tu sobie odpoczniesz – syknął Nimrood.

Eskevar poderwał głowę i przez zakratowane okienko w drzwiach ujrzał wykrzywioną twarz swego prześladowcy.

– Bądź przeklęty, podły czarodzieju – rzekł król i splunął.

Kiedy wypowiadał te słowa, język mu zdrętwiał, powieki się zamyka-

ły. Znowu próbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Bez czucia osunął się na bok, głęboko uśpiony.

112

– Ostatni raz spójrz na ten świat okiem śmiertelnika, wielki królu.

Przyjmij ode mnie ten prezent, a rzadko go daję. Kiedy się obudzisz, będziesz już należał do moich własnych nieśmiertelnych. Niech ci się dobrze śpi.

# 17.

Przez cztery dni po opuszczeniu obozu koczowniczych Jherów Durwin i jego przyjaciele pokonywali teren w ogromnym tempie. Wszystkich zdumiewały umiejętności i bystrość umysłu młodego przewodnika.

Szczególnie dziwił się Trenn, który przedtem tak bardzo wątpił, że uda im się przetrwać w borze dłużej niż godzinę.

Toli znał las jak swoje pięć palców. Instynktownie wyczuwał, gdzie należy skręcić i którą ścieżkę wybrać. Wyglądało na to, że w lesie nic nie może się ukryć przed jego czujnymi oczyma – ten szczupły brązowo-skóry młodzieniec rzeczywiście potrafił czytać wszelkie znaki równie łatwo jak Durwin zwoje pergaminów. Quentin sądził, że tropienie jeleni przez wiele pokoleń zbliżyło Jherów bardziej do świata zwierząt niż ludzi, dzięki czemu w lesie czuli się jak w domu. Spostrzeżenie to zgadzało się z powszechną opinią, że ów lud raczej wraca do zwierzęcego trybu życia, a nie odeń odchodzi.

Nigdzie by nie znaleźli lepszego przewodnika i gdyby nawet zamiast niego otrzymali sześciu innych, jemu podobnych, nie mogliby się bardziej uchronić przed niebezpieczeństwem wykrycia przez Łapaczy. Toli wiedział, kiedy należy zrobić postój i kiedy ruszać dalej. Ciągłe zmieniał

pory odpoczynku i wymarszu, nigdy nie trzymając się żadnych stałych godzin, niczym przebiegłe zwierzę, choć podróżowali głównie nocą.

Nikt jednak nie wątpił, że nadal są ścigani. Toli zgadzał się z nimi, że nie będą bezpieczni, dopóki nie przekroczą Wielkiego Muru. Na krótko przed codziennym wyruszeniem w dalszą drogę i tuż po zatrzymaniu się 113

na odpoczynek, często odbywał narady z Durwinem. Pustelnik był coraz ostrożniejszy w miarę zbliżania się do tej potężnej budowli.

Ów cud starożytnej architektury od tysiąca lat chronił Mensandor przed rabusiami i najeźdźcami, stanowił świadectwo siły narodu i jego zdecydowania w obronie swojej wolności. Najstarsi ludzie nie pamiętali, by jakiś wróg ośmielił się przekroczyć Mur ze swoją armią.

Wielki Mur Celbercora, jak go dawniej nazywano, wznosił się na wysokość osiemdziesięciu piędzi\* od skalistego gruntu po zębate blanki. U

szczytu był tak gruby, że z łatwością mógł zmieścić trzech rycerzy, jadą-

cych konno obok siebie, albo maszerującą kolumnę piechoty. Przecinał

stumiłowy pas szarej nieurodzajnej ziemi pomiędzy zatoczką Malmar, gdzie stał w wodzie, a skalną ścianą góry Ostenkell na północnym skraju łańcucha Fiskillów.

\* Ok. 18,30 m (przyp. tłum.).

Mur miał oddzielać Askelon od całego pustkowia Suthlandu, lecz nigdy nie został ukończony. Zbudowano jedynie północny odcinek od mroźnej zatoczki Malmar do zdradliwych Fiskillów, i to wielkim kosztem. Stał jednak nietknięty. Zdumiewające osiągnięcie: ani jednej szczeliny czy pęknięcia, choć minęło tyle lat, a przecież mur wzniesiono bez użycia zaprawy – bloki skalne dopasowano i tak dokładnie połączono ze sobą na całej długości wyłącznie dzięki wielkiemu kunsztowi kamieniarzy.

Quentin dotychczas nie widział Wielkiego Muru, ale znał go z opowieści, których często słuchał. Na myśl, że wreszcie go ujrzy, czuł

dreszcz emocji, przebiegający aż po czubki palców stóp w sandałach.

–

Dziś wieczorem przejdziemy Mur i z pewnością Łapacze spróbują nas zatrzymać – oznajmił Durwin zebrany przyjacielom, ale nie był w lepszym nastroju niż dotychczas. – Toli uważa, że są niedaleko za nami i prawdopodobnie już czują, co zamierzamy zrobić. Kiedy tylko wyjdziemy spod osłony lasu, będziemy narażeni na ich atak. Bór kończy się na jakąś milę od Muru, ale przed nami jest niewielka dolinka, którą podą-

żymy możliwie najdalej.

114

– A co potem? – spytał Trenn.

Czuł się dotknięty na żołnierskim honorze. Uważał, że to hańba tak przemykać nocą jak tchórzliwe psy, ale nie uśmiechało mu się skrzyżowanie mieczy z trzema takimi świetnymi wojownikami jak Łapacze.

– Co potem? Jak to co? Ten młodzieniec zaprowadzi nas do sekretnego przejścia Jherów. Jeśli uda się nam tam dotrzeć, to wątpię, czy Shothowie będą nas dalej ścigali. Minie wiele tygodni, nim znajdą miejsce, gdzie mogliby przeprowadzić konie, a obejście Muru zajęłoby im całe miesiące.

– A jak my przeprowadzimy konie? – odezwała się Alinea.

– Właśnie – rzekł Theido. – Zabierzemy je czy nie?

Durwin przywołał chłopca i obaj spędzili kilka chwil na omawianiu tej sprawy. Pustelnik odwrócił się z posępną miną.

– On nie wie. Jherowie nie mają koni, więc nigdy się nie zastanawiali, czy można je tamtędy przeprowadzić. Widzicie, owo sekretne przejście nie jest nad Murem, ale pod nim. To tunel.

– Do pioruna! – mruknął Trenn, któremu ten plan coraz mniej się podobał.

– Czy będzie nam tak trudno podróżować dalej bez koni? – spytała królowa.

– Bardzo trudno – odparł Theido.

– To wprost niemożliwe – wtrącił Trenn.

– Skądże znowu – powiedział Durwin. – Pamiętajcie, że Toli i jego ziomkowie mieszkają na Dzikich Ziemiach. Chłopiec pokaże nam, jak je przejść. Oni przecież stale koczują po całej tej krainie.

– Szkoda tylko, że utrata koni znacznie opóźni naszą podróż. Do Dekry jeszcze daleka droga, zwłaszcza piechotą.

Quentin ze smutkiem przysłuchiwał się tej rozmowie. Nie mógł pogodzić się z myślą, że będzie musiał zostawić Baldera i wydać go na łup wilków albo, co gorsza, Łapaczy. Odwrócił się i podszedł do zwierzęcia, z którym tak się zżył w krótkim czasie, kiedy przebywali razem.

115

– Oni mówią, że cię zostawią, Balderze. Wolałbym, żeby to mnie zostawili – rzekł ze łzami w oczach, pociągając nosem. – Nie chcę cię opuszczać.

Jedną ręką objął konia za szyję i przycisnął policzek do jego umięśnionej łopatki. Balder cicho zarżał, opuścił łeb i delikatnie chwycił chłopca zębami za ramię.

– Bardzo polubiłeś to zwierzę.

Quentin odwrócił się i spostrzegł Theida, który stał za nim i wyciągał rękę, by poklepać Baldera po białym czole.

– Do tej chwili nie zdawałem sobie z tego sprawy – odparł Quentin, rękawem rozmazując łzę na policzku.

– To żaden wstyd. Rycerz musi lubić swego konia... w boju są part-nerami. Zapewniam cię, że ten dzielny wierzchowiec najlepiej wie, jak ochraniać jeźdźca w walce.

– Kiedy puścimy je wolno, on sobie poradzi, prawda?

– Sądzę, że tak... chyba nawet lepiej od nas. Ja jednak nie zamierzam ich wypuszczać, póki się da. Konie są nam ogromnie potrzebne.

Quentin dostrzegł zmarszczki strapienia w kącikach oczu przyjaciela.

– Czy droga przez Dzikie Ziemie jest aż tak trudna?

Chłopiec nie zdawał sobie sprawy, że będzie znacznie się różniła od dotychczasowej podróży przez

bór.

– Owszem. Trudniejsza niż można sobie wyobrazić, jeśli się jej nie zna. Nie ma tam żadnych dróg, ścieżek ani szlaków. Wszędzie nic tylko gąszcz ciernistych krzaków na zdradliwych trzęsawiskach. Przynajmniej będziemy mieli pożytek ze śniegu i mrozu, które dadzą nam pewniejszy grunt pod nogami. Mimo to musimy uważać: w wielu miejscach na bagnach są podziemne źródła gorącej wody. Zimą trzęsawiska tam nie zamarzają, choć czasem pokrywa je śnieg. Jest jeszcze parę groźniejszych pułapek.

Quentin z ponurą miną przyjął to wszystko do wiadomości. Pragnął, by ta podróż jak najszybciej się skończyła. Zaczynało go męczyć nie-ustanne rozbijanie i zwijanie obozu, a także długa jazda w chłodzie. Już 116

dawno przestał myśleć o Łapaczach i o strachu, jaki budzili. Po tylu dniach ciągłego niepokoju i nocach czuwania z dłonią zaciśniętą na ręko-jeści sztyletu po prostu nie chciał o nich myśleć, a teraz ponownie został

zmuszony do zastanawiania się nad tym, co mogą mu zrobić, jeśli go złapią.

O zmierzchu znów wyruszyli w drogę. Las wokoło nich rzedł, kiedy coraz bardziej zbliżali się do Wielkiego Muru. Coraz bardziej rósł też ich niepokój. Ani na chwilę nie przestawali myśleć o tym, co jeszcze może ich spotkać.

W drodze do Muru Quentin czuł się trochę bezpieczniej od innych, Toli bowiem jechał razem z nim na Balderze. Był to największy z ich wierzchowców, zatem obaj siedzieli wygodnie.

Jherowie nie mieli własnych koni, lecz się ich nie bali, a kiedy nadarzyła się okazja, nie najgorzej sobie z nimi radzili. Quentin okazał się jednak lepszym jeźdźcem z tej dwójki, więc on trzymał wodze Baldera, Toli zaś wskazywał drogę.

Jadąc gęsiego za Balderem, grupa pokonała już z górą milę. Nad ich głowami rozciągało się mroczne niebo; niskie, pędzone wiatrem chmury przysłoniły księżyc i gwiazdy. Quentin pomyślał, że to nawet lepiej, bo być może Łapacze ich nie zobaczą.

Wreszcie dotarli na skraj boru. Toli bez wahania poprowadził ich między nagie wzgórza, najeżone ostrymi skałami, wystającymi z ziemi pod dziwnym kątem. Wokół rozciągał się pustynny krajobraz obnażonych skał podziemnego masywu, który parciem na ląd utworzył góry Fiskille. Krajobraz ten wywarł na Quentinie przygnębiające wrażenie –

odludne, zapomniane miejsce, nagie i ponure.

Coraz szybciej zjeżdżając stromym zboczem, Toli poprowadził ich na dno szerokiego wąwozu, wyłobionego przez lodowate wiosenne wody.

Posuwali się łożyskiem wyschniętego strumienia, między jego pionowymi brzegami, z których zwisały sople lodu. W szczelinach skał świszczwał wiatr.

Ani z przodu, ani z tyłu niczego nie zauważyli, a nad sobą widzieli tylko puste, czarne niebo, coś ich jednak wstrzymywało, odczuwali niemal wstręt do dalszej drogi. Każdy krok i każdy zakręt okupiony był

ogromnym wysiłkiem. Mimo ponagleń Toiego zwolnili i często przy-stawali.

Quentina zaczął oblatywać strach, jakby ktoś mu go narzucał. Jako nowicjusz uczestniczył w obrzędach, podczas których kapłan wzywał

boga, by wstąpił w jego ciało i w ten sposób uczynił zeń boską wyrocznię. Wtedy chłopiec doznawał podobnego uczucia, tym samym dając upust swoim nadmiernym emocjom, wynikającym z panującej tam at-mosfery.

Teraz jednak nie znał źródła owej powstrzymującej go mocy, lecz nagle uświadomił sobie jej pochodzenie – Łapacze. W końcu nadchodzi-li.

Kiedy tylko to pomyślał, po plecach przeszły mu ciarki. Obejrzał się za siebie. Niczego nie zauważył, ale potem, gdy już odwracał wzrok, w oddali mignął mu jakiś cień, który rozpląnął się w mroku. Nie dostrzegł, co to było, lecz w głębi duszy wiedział, że Łapacze na nich czyhają.

Gwałtownie ściągnął wodze. Balder stanął jak wryty, tak że omal się z nim nie zderzył koń Theida, niepewnie stąpający w ciemnościach.

– Przed chwilą za nami coś zobaczyłem – chrapliwie szepnął Quentin.

W mroku twarz Theida wyglądała jak czarna maska.

– Daleko?

– Trudno powiedzieć – cicho odparł Quentin. – Widziałem tylko, że coś się cofnęło. Posłuchaj!

Gdzieś daleko za nimi rozległ się łoskot kamieni spadających do wą-

wozu. Dźwięk ten poniósł się słabym echem, które szybko ucichło.

– Jedźmy! – wyszeptał Theido.

Jego ponaglający szept był tak cichy, że zdawał się dochodzić z większej odległości. Theido zawrócił konia i powtórzył to słowo reszcie przyjaciół. Quentin klepnął Baldera, popuszczając wodze. Ze stukotem kopyt pomknęli w mrok.

Jechali krętym wąwozem. Mocno trzymając się Quentina, Toli wykrzyknął mu coś do ucha. Chłopiec tego nie zrozumiał, lecz spojrzawszy przed siebie zauważył, że łożysko strumienia lekko się wznosi,



a brzegi stają się coraz niższe. Ostatni skok i już byli na otwartej przestrzeni.

W oddali ujrzeli ogromny falisty kształt Muru Celbercora. Ów potężny szaniec zdumiewającej wielkości majaczył na horyzoncie.

Quentin popędził konia, zza niskich chmur wyrzał bowiem księżyc.

Teraz chłopiec wyraźnie widział Mur, którego blanki wznosiły się wysoko, niemal nad ich głowami, choć od jego podstawy dzieliła ich jeszcze pewna odległość.

Księżyc się schował, kiedy zgodnie z poleceniem Toiego skręcili i ukosem zbliżali się do Muru. Stukot końskich kopyt za plecami Quentina świadczył, że przyjaciele trzymają się blisko.

Galopem przejechali w poprzek jakiś inny wąwóz, a gdy znaleźli się na przeciwległym brzegu, znowu wyrzał księżyc, na chwilę ukazując dziki krajobraz. W tym krótkotrwałym strumieniu światła Quentin z przerażeniem dostrzegł błysk stali i dwóch jeźdźców przecinających im drogę. Toli pociągnął go za prawe ramię, chłopiec więc skierował konia w bok, prosto w stronę Muru.

W tym samym momencie usłyszał przeraźliwy krzyk. Z początku myślał, że to głos kobiety, ale zaraz rozpoznał w nim wołanie polującego sokoła. Obok nich przemknął Theido z uniesionym mieczem w dłoni.

– Szybko do Muru! Prowadźcie pozostałych! – zawołał.

Toli też coś krzyczał, dając im ręką znaki, by podążali za nim.

– Atakują nas! – wrzasnął Trenn i spadł z konia, który się potknął.

Jadąca tuż przed nim królowa obejrzała się i chciała zawrócić, lecz Durwin jej nie pozwolił.

– Naprzód! Ja się nim zajmę!

Jej szybki rumak zręcznie przemykał jak cień po niepewnym gruncie i królowa w jednej chwili znalazła się przy chłopcach.

119

Zza skał dochodził Quentina dźwięczny szczeł stali i dzikie rzenie nacierających na siebie koni. Dotarli do jakiejś osłoniętej kotliny. Toli zeskoczył na ziemię i podbiegł do Muru. Quentin zamrugał oczami, kiedy w świetle księżyca spostrzegł, że młody Jher nagle znikł, jakby rozplynał się w ogromnych blokach, tworzących fundamenty Muru Celbercora.

Toli prawie natychmiast wrócił. Zaczął coś gwałtownie mówić i popychać ich w stronę Muru. Quentin znów usłyszał nad sobą ów krzyk, tym razem bardzo blisko. Instynktownie się odwrócił, zasłaniając sobie ręką twarz. W tej samej chwili Toli skoczył jak kot, chwycił chłopca i ściągnął go na ziemię.

Spadając Quentin usłyszał świst i coś obok niego przeleciało. Równocześnie poczuł ostry ból w ramieniu, którym osłaniał głowę. Zobaczył

nadchodzącego ciężkim krokiem Durwina, prowadzącego konia z przewieszonym przez grzbiet Trennem, który po chwili zsunął się na ziemię.

Chłopiec podniósł wyżej wzrok i ujrzał dwa białe skrzydła, odlatujące w mrok nocy. Popatrzył na swoje ramię i spostrzegł, że z rozdartej rękawa tuniki spływa cieniutka strużka krwi.

– Tu jest tunel! – wykrzyknął ktoś.

Quentin poczuł, że czyjeś ręce podnoszą go i stawiają. Po chwili razem z innymi biegł do Muru. Z łoskotem końskich kopyt przycwałował

Theido i coś wykrzykiwał. Nagle chłopiec uznał, że nie powinien uciekać jak spłoszony jeleń, zapragnął usiąść. Głosy przyjaciół dudniły w głowie; zrobiło mu się gorąco. Zwolnił i obejrzał się. Theido coś do niego powiedział i wówczas Quentin zadarł głowę ze zdziwienia, przyjaciel bowiem mówił doń jakimś obcym językiem.

Chłopiec zatrzymał się i spojrzawszy w górę, zobaczył dwa księżyce, unoszące się tuż nad jego głową. Wyciągnął rękę, jakby chciał jeden z nich chwycić. Usłyszał muzykę – odległe bicie świątynnych dzwonów.

Wówczas mroczne niebo zmieniło barwę z czarnej na krwistoczerwoną.

Quentin zmrużył oczy i usiadł, podziwiając ten zdumiewający cud. Poczuł, że głową uderza w gładką ścianę Muru. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, 120

była twarz Durwina, który patrzył nań jakby z ogromnej wysokości, mówiąc coś niezrozumiałym językiem.

Po policzku chłopca spłynęła łza i całkiem stracił świadomość.

# 18.

Quentin widział mieniące się koła migotliwego światła, choć oczy miał zamknięte. W półśnie śledził ich grę całymimi godzinami. Skądś z oddali, z sąsiedniej komnaty, a może z innego świata, słyszał muzykę.

Wysokie tony dzwoneków dobiegały uszu chłopca prostą melodią.

Nie wiedział, jak długo tak leży, obserwując tańczące światło i słuchając kryształowych dźwięków. Może kilka godzin, może dni, a może zawsze.

Trwał w półcieniu między mrokiem a światłem, niemal dowolnie przekraczając granicę dzielącą nieświadomość od czuwania. Z niczego nie zdawał sobie sprawy prócz tego, że słyszy dzwonienie i widzi obracające się barwne koła, czasem czerwone lub niebieskie, ale najczęściej różowozłote. Poza tym nic do niego nie docierało.

Okna komnaty, gdzie leżał Quentin, wychodziły na zachodnią stronę pasma niskich zalesionych wzgórz, łagodnie falujących niczym grube szczeciniaste futro jakiejś mitycznej bestii, która spokojnie śpi odwiecznym snem. Z wysokiego balkonu można było oglądać płomieniste zachody słońca.

Codziennie po południu, na swej drodze ku ziemi słońce zalewało komnatę pełnym światłem, wpadającym przez podwójne łukowate drzwi balkonu. Teraz pod wpływem tego światła blado woskowa twarz leżącego bez ruchu Quentina zdawała się ożywać. Dzwoneczki zwisające pod łukiem drzwi tańczyły w podmuchach lekkiej bryzy.

Przy wysokim, szerokim łóżku chorego siedziała staruszka w białej wełnianej chuście. W dłoniach trzymała niewielki słoiczek wonnej maści, którą co jakiś czas smarowała skronie Quentina oraz pewne miejsce na jego piersi, tuż nad sercem. W przerwach wymawiała szeptem kilka 121

krótkich słów, unosząc ręce nad nieruchomym ciałem ledwie zipiącego chłopca.

Przez cały dzień do pokoju nieprzerwanie zaglądali goście, by chwilę postać przy łóżku albo choćby w progu. Zawsze rzucali staruszce to samo pytające spojrzenie i zawsze odchodzili z tą samą odpowiedzią w jej oczach – bez zmian.

Od czasu do czasu kobietę przy łóżku Quentina zastępował Durwin.

Siedział, godzinami wpatrując się w nieruchome ciało. Wieczorem przynosił kubek letniego rosółu, którym karmił przyjaciela za pomocą krótkiej kościanej rurki. Pustelnik wlewał tę płynną strawę powoli, by chory się nie zakrztusił. Nigdy nie było żadnej reakcji.

Któregoś wieczoru karmił go jak zwykle, kiedy wszedł Theido.

– Wciąż żadnych zmian?

– Żadnych. Dalej jest zawieszony między życiem a śmiercią. Czasami mam wrażenie, że się budzi:

otwiera oczy, wydaje się, jakby chciał

wstać... ale po chwili znów traci przytomność i wraca do poprzedniego stanu.

– Jak sądzisz, wyzdrowieje? To już prawie dwa miesiące...

– Bo ja wiem? Dotychczas jeszcze nie zetknąłem się z taką chorobą.

Wszyscy giną od trucizny Shothów. Jednakże mieszkańcy Dekry mają sposoby, nieznane nigdzie indziej. Gdyby jego rana była głębsza albo znajdowała się bliżej serca, umiejętności tej kobiety na nic by się nie zdały... umarłby w ciągu godziny, jeszcze na szlaku. – Durwin westchnął, patrząc smutnym wzrokiem na wychudzone ciało chłopca. – Nic nie poradzimy. To moja wina, że został ranny.

– Nie obwiniaj się, mój panie. Winnego trzeba szukać gdzie indziej.

To Jaspin wysłał za nami Łapaczy.

– Jednakże przybywając tu, jeszcze niczego nie osiągnęliśmy, a już mamy straty. I to wszystko przez mój upór i zadufanie. Właśnie dlatego Quentin teraz cierpi.

122

- Ale to dzięki twojemu leczeniu, dobry pustelniku, on w ogóle jeszcze żyje.

Theido umilkł na dłuższy czas. Później jednak odezwał się pośpiesznie, jakby w obawie przed słowami, które miał powiedzieć.

– Już dłużej nie możemy czekać, Durwinie. Musimy wyruszyć przed końcem tego tygodnia. Wkrótce pierwsze statki opuszczą zimowi-sko w porcie Bestou na Tildeenie. Powinniśmy znaleźć jakiś statek, by dotrzeć na Karsh.

Pustelnik ze zdziwienia uniósł brwi.

– Myślisz, że znajdziesz kapitana, który zechce narażać swój statek na takie ryzyko?

– Dla króla, tak.

– Ani dla żadnego króla, ani dla żadnego królestwa. Żeglarzy nie obchodzą losy królów czy państw. Ich lojalność zależy tylko od ciężaru twojej sakiewki.

– Zatem kapitan, który się tego podejmie, otrzyma królewskie wynagrodzenie za swoje trudy. Rękojmnią będzie moje słowo, a poręczy je sama królowa.

– Nie bądź taki pewny. To dzika i podejrzliwa banda. Są gorsi od chłopów, gdy przychodzi do poświęceń. Poza tym mogą tak się obawiać wyprawy na Karsh, że nawet żądza złota ich nie przekona.

– Zobaczmy. W każdym razie nie mamy innego wyjścia. Przecież nie umiemy fruwać.

– No chyba. Wątpię, by nawet stary Nimrood to uwzględnił – za-

śmiał się Durwin.

Choć było to powiedziane żartem, Theido spochmurniał na wspomnienie o czarodzieju.

– Myślisz, że on widzi tak daleko i wie o naszej wyprawie?

– Bez wątpienia... albo dzięki czarnej magii, albo szpiedzy mu donieśli. Nie sędzę jednak, by myślał, że pięć osób...

– Cztery – poprawił go Theido.

Durwin już zamierzał mówić dalej, gdy otworzyły się drzwi i ujrzeli wchodzącą Alineę. Zbliżyła się do łóżka i położyła ciepłą dłoń na

zimnym czole chłopca. Popatrzyła smutnym wzrokiem na jego nieruchomą twarz, a później podeszła do rozmawiających mężczyzn.

– Czy już nic więcej nie możemy dlań uczynić?

Z głosu królowej przebijała troska o zdrowie młodzieńca, jej oczy wyrażały głębokie współczucie dla chorego przyjaciela.

– Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy. Teraz pozostaje nam tylko czekać i patrzeć, co z tego wyniknie – odparł Durwin.

– Tak, wiem. Często mi to powtarzasz. Ja jedynie pragnę, by coś przeważało szalę. Ostatnie tygodnie były niełatwe.

– Nasze czekanie długo nie potrwa – rzekł Theido, a na pytające spojrzenie królowej wyjaśnił: – W końcu tygodnia musimy wyruszyć na wyspę Tildeen. Wkrótce znów wypłyną statki, a mnie zależy na tym, byśmy zapewnili sobie przeprawę.

– Więc mamy go zostawić?

– Uważam, że to najlepsze wyjście – odparł Durwin. – Rzecz oczywista w tym stanie nie może podróżować. Jeśli nawet odzyska przytomność, przez najbliższe tygodnie będzie zbyt słaby, żeby nam towarzyszyć. Nie, musimy go tu zostawić pod opieką Curataków. Kiedy nabierze sił, może powrócić do Askelonu. Toli przeprowadzi go bezpiecznie do Pelgrińskiego Boru.

– Tak, to najlepsze wyjście – przyznał Theido. – Nie wiemy, co jeszcze nas w tej misji spotka. Dla Quentina byłoby lepiej przeczekać w chacie Durwina.

– Jak się dowie, że nas nie ma, pęknie mu serce – powiedziała Alinea. – Przeszedł taki szmat drogi

tylko po to, by...

– Nic się na to nie poradzi, najjaśniejsza pani – przerwał jej Theido.

On też nie mógł się pogodzić z myślą, że zostawią Quentina, który okazał się takim dzielnym i zacnym przyjacielem.

– Powiadasz, że kiedy mamy wyruszyć? W końcu tygodnia? Zdamę jeszcze napisać chłopcu list żelazny na wypadek, gdyby w drodze spotkał ludzi Jaspina.

124

– Sądysz, pani, że to naprawdę mu pomoże? – spytał Theido.

Królowa w milczeniu rzuciła obu mężczyznom smutne spojrzenie.

– Nie – wreszcie odparła cicho. – Ale jedynie to mogę dlań uczynić.

– Istotnie – przyznał Durwin. – Ja też zostawię mu list, żeby wyja-

śnić, co się stało i jakie mamy zamiary. Łatwiej będzie mu znieść naszą nieobecność, gdy się dowie, że nie opuściliśmy go bez powodu.

– Znakomicie! Świetny pomysł. A ja się zabiorę do przygotowywania zapasów i wyposażenia – rzekł Theido, już spokojniej myśląc o wyjeździe.

Jak wszyscy rycerze nie chciał zostawiać ранego towarzysza, póki nie zapewni mu możliwie najlepszych warunków. Opuścił komnatę pewniejszym krokiem niż wówczas, gdy do niej wchodził. Teraz było mu lżej.

– Bo ja wiem...? – mruknął pod nosem Durwin.

– Co cię trapi, przyjacielu? – spytała Alinea. – Czyżbym jeszcze czegoś nie wiedziała?

– Tak, przyznaję... – Podeszedł do łóżka, na którym leżał chłopiec, i przysiadł na krawędzi. Na moment przyłożył rękę do piersi Quentina. –

Kiedyś mu powiedziałem, że ma w tym wszystkim do odegrania pewną rolę... i nadal tak uważam. Obawiam się jednak, że bóg, któremu służę, niedostatecznie mnie oświecił. – Spojrzał czule na postać leżącą obok bez ruchu. – Może to nie jest dla niego koniec, lecz początek.

Alinea tylko skinęła głową i położyła dłoń na ramieniu pustelnika. Po chwili milczenia oboje wyszli, zostawiając chłopca pod opieką staruszki.

Na wewnętrznym dziedzińcu zamku Askelon leżał topniejący śnieg.

Czyste, bezchmurne niebo, po którym hulał wiatr, zwiastowało rychłe nadejście wiosny. Służący rozmaitej rangi przebiegali dziedziniec, starając

się omijać błoto i kałuże. Wszyscy sprawiali wrażenie, że są pochłonięci jakimś ważnym zadaniem. Widok ten przypominał mrówki uwijające się szybciej niż zwykle.

Przez komnaty Jaspina, gdzie księżę odbywał sąd mimo krzątania służby, zajętej pakowaniem mebli i dobytku, ciągnął nieprzerwany sznur rycerzy i szlachciców, między innymi ci, którzy mieli się znaleźć w jego orszaku. Wszyscy oni przybyli tu, aby zapewnić księcia o swej wierności i poparciu dla jego sprawy, w zamian oczekując łask. Pochlebca Onteskusz stał z lewej strony Jaspina i pochylając się szeptał mu do ucha, ile kosztowało posłuszeństwo danego szlachcica lub czym można kupić tego i owego rycerza.

Wszedł i ukląkł przed Jaspinem pewien młody rycerz, który pragnął

otrzymać pozwolenie na to, by mógł siłą odzyskać włości roztrwonione przez ojca. Zapytany, z czym przybywa, wyłożył swą prośbę. Księżę się do niej przychylił, wysłuchawszy napomnień Onteskusza.

– Czy zechcesz udać się z nami do letniej rezydencji na zamku w Erlott Fields? – spytał, gdy rycerz wstał i nisko się pokłonił.

– Jeśli tylko sobie tego życzysz, najjaśniejszy panie.

Kilku młodszych rycerzy i paru szlachciców, niepewnych swych pozycji, zaczęło z szacunkiem zwracać się do Jaspina jak do króla, czym sprawiali ogromną przyjemność zachłannemu księciu, który uważał, że ma do tego prawo. Ci, co wiedzieli, jak w rzeczywistości wyglądała ta sprawa, przezornie trzymali język za zębami.

– Miło mi będzie widzieć cię u mego boku, szlachetny rycerzu –

odparł księżę, uwielbiał bowiem z wielką paradą jeździć po kraju, gdy wybierał się w podróż. – Śmiem twierdzić, że liczne gry i turnieje okażą się dostatecznie zajmujące dla dzielnego młodzieńca, który pragnie zdobyć mir wśród równych sobie.

– Twoja uprzejmość jest dla mnie zaszczytem, panie – odrzekł rycerz, ponownie się kłaniając.

Wprawdzie wolałby się zająć odzyskiwaniem postradzonych włości, ale życzeń księcia nie należało lekceważyć.

Kiedy młody człowiek odszedł, Jaspin zwrócił się do Onteskusza.

– Rozumiem, że wysłałeś przodem szambelana z ludźmi, aby przygotowali Erlott na mój przyjazd, nieprawdaż?

– Tak, oczywiście. Odjechali przedwczoraj i już powinni wyglądać twojego przybycia – odparł Onteskusz, który zdaniem Jaspina zajmował

ostatnio coraz ważniejszą pozycję dzięki chytrym posunięciom. – Mo-

żemy wyruszyć w każdej chwili, gdy tylko rozkażesz.

– Bardzo dobrze, bo zmęczyło mnie przebywanie w tej przeklętej wieży i znów chciałbym zobaczyć moje włości. Nie podoba mi się, że królowa zniknęła. Za długo jej nie ma. Nie dała znaku życia i nie wiemy, gdzie jest.

– Niby dlaczego miałoby cię to martwić, panie?

– Coś jest nie w porządku. Czuję to. Nie martwię się o jej bezpieczeństwo, a raczej o swoje własne, skoro ona jest na wolności i kto wie, co robi. Może podburza jakichś wicherzycieli przeciwko mnie?

– Gdyby podburzała wicherzycieli, natychmiast byś się o tym dowiedział. Zresztą momentalnie byś ich pokonał, a ją samą kazał zakuć w łańcuchy za sprawianie kłopotów.

– Zakuć królową? O, to jest myśl! Już dawno powinienem tak uczynić, ale nie miałem śmiałości. Jednakże o wiele spokojniej bym odpoczywał wiedząc, gdzie ona jest. – Umilkł i nieco spochmurniał. – Muszę też się czegoś dowiedzieć o moich Łapaczach. Już dawno powinni wró-

cić z jeńcami albo przywieźć ich ciała. To mnie martwi bardziej niż nieobecność królowej...

– A cóż złego mogło im się przydarzyć? Czyż nie udowodnili, że potrafią wywiązywać się ze swych zadań... i to z nadzwyczajną przebiegłością? Ręczę, że w ciągu kilku dni wszystkiego się dowiemy.

Książę trochę się rozchmurzył i rzucił swojemu doradcy niepewne spojrzenie.

127

– Chyba masz rację, ale jechałbym do mojej letniej rezydencji w lepszym nastroju, gdyby te sprawy już się rozwikłały.

– Tym się nie przejmuj. Jeśli zechcesz, zostanę tu, póki nie będę mógł osobiście ci przekazać wiadomości, których pragniesz.

Onteskusz uśmiechnął się najbardziej przymilnie i ujmująco, jak umiał.

– Jesteś naprawdę dobrym doradcą – odparł Jaspin uradowany, że ktoś zajął się tą sprawą. – Powiem ci jeszcze, że tacy ludzie jak ty będą mi potrzebni, kiedy dojdę do władzy... a to nastąpi już



niedługo. Również Bran i Grenett są nieźli, ale to żołnierze i nie rozumieją finezyjnych spraw dworu i rządu, ty zaś, choć może nie chcesz się do tego przyznać, masz w tym względzie szczególne talenty.

– Jesteś dla mnie zbyt łaskawy, panie mój.

Onteskusz nisko się uklonił z odpowiednio skromną miną, by zasłu-

żyć na taką opinię. W duchu jednak podskakiwał z radości, że jest blisko celu.

W podróż do letniej rezydencji Jaspin zabrał w sumie pięćdziesięciu rycerzy i szlachciców. Razem ze służbą i zbrojnymi świta okazała się pięciokrotnie liczniejsza.

Taka przeprowadzka do Erlott Fields, prywatnego zamku księcia, w którym przebywał jakieś cztery lub pięć miesięcy w roku, wymagała więcej zachodu, niż była warta, ale Jaspin nie chciał z niej zrezygnować.

Letnia rezydencja leżała w odległości godziny konnej jazdy od morza, więc panował tam nieco chłodniejszy klimat w porze upałów, a zamek, choć znacznie mniejszy od Askelonu, był dobrze ufortyfikowany i odpowiadał potrzebom księcia. Łatwo też mieścił jego liczną świtę.

Przyjazd księcia do pobliskiego miasteczka Hinsenby zawsze odbywał się z wielką pompą. Ludzie stali wzdłuż drogi, by zobaczyć królewski orszak. Zachwycali się widokiem rycerzy na koniach, podziwiali ich zbroje, a także wspaniałe meble, pieczołowicie umieszczone na wozach.

128

Temu widowisku towarzyszyły uroczystości pełne wesela i świątecznego nastroju. Zazwyczaj uczestniczył w nich sam książę, który obficie do-starczał mięsiwa i wina.

Tego roku Jaspin pragnął udać się do swojego zamku wiele tygodni wcześniej niż zwykle, by znaleźć bezpieczne schronienie za jego murami. Miał dwa powody: coraz bardziej niepokoił go sojusz z Nimroodem, który okazał się przewrotnym i ambitnym sprzymierzeńcem, oraz nie chciał być w Askelonie, kiedy zbierze się Rada Regentów i obwoła go królem. Wkrótce potem zamierzał triumfalnie wrócić do wielkiego miasta, już jako monarcha.

Pozostając w stolicy, nie mógłby odpowiednio uświetnić najważniejszego wydarzenia w swoim życiu. Jaspin upajał się pompą i splendorem takich uroczystości. Wiedział, jak zadowolić pospólstwo, umiał zdobywać sobie względy prostych ludzi okazałymi widowiskami i tanią rozrywką, by odwrócić ich uwagę od codziennych kłopotów i w ten sposób uciszyć nieprzychylne języki.

Zimny, choć słoneczny ranek żegnał księcia oraz jego armię szlachciców i rycerzy, służby i zbrojnych, a także najrozmaitszych minstreli, wodzirejów i dam, zaproszonych do towarzysztwa na chłodne wieczory.

Dzień dobrego marszu na południe dzielił ich od Hinsenby, gdzie staną obozem. Po całodniowych rozrywkach będą mieli jeszcze pół dnia drogi na zachód do Erlott.

Pogoda sprzyjała podróży i przed zmrokiem dotarli do Hinsenby.

Służba zajęła się stawianiem różnobarwnych namiotów na rozległych błoniach przy zachodnim skraju miasteczka. Jego mieszkańcy powitali rozkwitające namioty radosnymi spojrzeniami i wesołym śmiechem. W

środku obozu zapłonęło wielkie ognisko, liczne mniejsze zaś przy wejściach do namiotów, gdzie przyrządzano strawę.

Uczta potrwa całą noc, a rano odbędzie się pokazowy turniej z udziałem rycerzy i co biegleszych zbrojnych. Przygotowano go dla zabawy 129

i ćwiczenia rycerzy oraz ku uciesze gawiedzi, która tłumnie otoczy plac, by podziwiać dzielnych, groźnie uzbrojonych jeźdźców, walczących ze sobą na wspaniałych koniach. Bardzo dbano o to, aby żadnemu z uczestników przypadkowo nic się nie stało, rana w pokazowym turnieju przynosiła bowiem ujmę, a poszkodowany rycerz tracił nie tylko honor, lecz i źródło dochodów. Większość rycerzy, jak wszędzie, korzystała ze swych umiejętności w posługiwaniu się bronią, chcąc zapewnić sobie przychyłność i opiekę bogatej szlachty, szczególnie w wypadku rycerzy niskiego urodzenia.

Jaspin już spał niespokojnym snem w swym obszernym namiocie, stojącym na drewnianym podwyższeniu, lecz zachrypnięte głosy hulają-

cych biesiadników słyszało się jeszcze długo w nocy. Księżę wcześniej opuścił wesołą kompanię oświadczywszy, że chce wypocząć przed ju-trzejszym turniejem. W istocie był zdenerwowany po całodziennych rozmyślaniach nad zniknięciem królowej i brakiem wiadomości od Łapaczy, wysłanych za zbiegami.

Położył się w kiepskim nastroju i natychmiast zapadł w ciężki, niespokojny sen, w którym pojawił mu się duch starszego brata. Eskevar pochylał się nad nim i oskarżycielskim tonem pytał, co się stało z jego żoną Alineą.

Księżę dwukrotnie budził się w nocy, wyczuwając w pobliżu czyjaś obecność – jakby na zewnątrz ktoś się skradał. Za każdym razem wzywał swego szambelana, ten zaś sprawdzwszy otoczenie namiotu, wracał

z informacją, że wszystko jest w porządku.

Rano Jaspin prawie zapomniał o nieprzyjemnej nocy, bardzo podniesiony na duchu perspektywą turnieju. Z nocnych lęków pozostało mu jedynie mgliste, nieokreślone przecucie, że otrzyma jakieś złe wieści.

Niepokój księcia jednak znikł, gdy rozpoczęto przygotowania do turnieju. Wytyczono granice pola zmagania i zaznaczono je czerwonymi i złotymi proporczykami na włóczniach wbitych w ziemię. Namioty przy 130

obu końcach pola oddano do użytku rycerzom, którzy mieli uczestniczyć w potyczkach. Przyszykowano też broń – wszystkie ostrza zabezpieczono skórą, a na kopie założono drewniane ochraniacze. Hełmy, tarcze i pancerze wyczyszczono do połysku; wytarte herby i znaki zostały odmalowane.

Wczesnym rankiem na nieco podmokłe błonia zaczęli nadciągać mieszkańcy Hinsenby i okolic, niektórzy musieli wyruszyć z domu poprzedniego wieczoru. Większość z nich niosła koszyki z jedzeniem i piciem na cały dzień, pozostali zaś liczyli na handel wymienny z miejscowymi kupcami, ci bowiem, korzystając z napływu gości, sprzedawali przysmaki specjalnie przyrządzone na tę okazję: bułki z kiełbaskami oraz niewielkie paszteciki z ostro przyprawionym mięsem.

Wszystko było gotowe, gdy słońce zaczęło przygrzewać. Jaspin w towarzystwie swoich ulubionych szlachciców zasiadł pod baldachimem na podium przed szrankami. Niżej, przed podwyższeniem, siedziały damy, skromnie zasłaniając twarze od słońca. Aczkolwiek publicznie potępiały brutalność turniejów, to jednak się nie wzdragały przed szczę-

kiem broni i widokiem krwi, nierzadkim w czasie potyczek.

Wszyscy współzawodnicy w pełnej gotowości wsiedli na mocne bojowe konie i dwukrotnie objechali szranki. Wówczas mistrz ceremonii zajął swoje miejsce i odczytał regulamin turnieju uczestnikom, teraz stojącym rzędem przy obu końcach placu.

Pociągnięto losy, by ustalić kolejność walczących rycerzy. Grenett pierwszy wjechał w szranki, zbliżył się do podium i zwrócił twarz w stronę księcia.

– Ku chwale Mensandoru! – wykrzyknął.

– Za wolność! – zawołał tłum. – Walczcie!

Księżę skinął głową, a wtedy Grenett podjechał do rycerza, którego sobie wybrał za przeciwnika, i kopią dotknął jego tarczy. Był nim Weilmara. Obaj zajęli pozycje na przeciwległych krańcach pola.

Jaspin dał sygnał do rozpoczęcia walki, rzucając rękawicę.

131

Rycerze spięli konie i ruszyli naprzód z uniesionymi kopiami. Zbliżając się do siebie w środku pola, opuścili je, gotowi do wymiany ciosów.

Weilmara miał dobry cel – trafił dokładnie w pierś przeciwnika. Grenett jednak okazał się nie gorszy. Zderzenie zachwiało obu końmi. Kopia Weilmara ześlizgnęła się z grubego pancerza, pękając jak zapałka. Grenettowi poszłoby nie lepiej, gdyby nie miał silnych ramion i nieco korzystniejszej wagi. Jego cios uniósł Weilmara, lecz ten, jako doskonały jeździec, nie wypuścił wodzy z rąk i zdołał się utrzymać, ale pękły mu popręgi. Jego siodło się przekrzywiło i razem z nim zsunęło po zadzie konia na ziemię. Grenettowi zaliczono jedynie przewagę, w istocie bowiem nie zrzucił przeciwnika.

Wszystko to rozegrało się w mgnieniu oka wśród ogólnej wrzawy tłumu, okrzykami zagrzewającego

do walki swoich faworytów, liczni widzowie bowiem założyli się, kto wygra. Mistrz ceremonii ogłosił Grenetta zwycięzcą, a Weilmara pokonanym. Dostatecznie wykazawszy się swoim męstwem, obaj zjechali z pola, by ustąpić miejsca kolejnej parze rycerzy i spokojnie oglądać następne potyczki. Grenett otrzymał w nagrodę złotego suwerena, Weilmarowi zaś pozostał na pamiątkę jedynie urwany popręg.

Potyczki odbywały się dalej normalnym trybem ku uciechu widzów.

Rycerz za rycerzem próbował swych sił i zręczności w posługiwaniu się bronią.

W połowie turnieju, gdzieś po drugiej stronie pola, naprzeciw podwyższenia, gdzie pod baldachimem siedział książę, nagle rozległy się trwożliwe głosy. Kolejni jeźdźcy, czekający na sygnał do rozpoczęcia walki, spojrzeli w tamtą stronę, by zobaczyć, co się stało.

– Cóż to, na Orphe?! – zaklął Jaspin, gdy widzowie, najwyraźniej czymś przestraszeni, rozpierchli się po błoniu.

– Niewątpliwie ktoś zobaczył węża w trawie – zaśmiał się Bascan z Endonny, siedzący blisko księcia. – Jestem pewien, że nie ma się czym przejmować.

132

– Lepszy wąż w trawie niż szczur w celi! – odezwał się inny, pod-chwytyjąc żart.

Wszyscy się roześmiali.

Uznawszy to za złośliwą aluzję do uwięzienia Weldona i Larcotta, książę wybuchnął gniewem.

– Kto tu ma czelność kpić z moich decyzji?! Przyznać się!

– Powiedziałem to ot tak, najjaśniejszy panie... To był tylko niewinny żart... – tłumaczył się Bran. – Zapewniam cię, że nie miałem zamiaru nikogo urazić...

W tym momencie damy pisnęły z przerażenia i kilku szlachciców zerwało się na równe nogi.

– Azraelu, miej nas w swej opiece! – zawołał ktoś.

Rozstąpiwszy się szeroko, tłum po drugiej stronie placu przepuścił

samotnego jeźdźca, który sunął naprzód powoli i dostojnie, jakby trochę złowieszczo. Twarz księcia straciła swoją żywą barwę, jego dłonie leża-

ce na kolanach drżały jak schwytyany ptak.

Samotny Łapacz przejechał szranki i zatrzymał konia przed podium.

Na ramieniu miał dużego sokoła, a u boku nieforemny tobołek.

Bez słowa go rozwiązała i wyjął to, co się w nim znajdowało. Potem urągliwym gestem, tak by wszyscy widzieli, wysoko uniósł zakrwawio-ne odcięte głowy swoich dwóch towarzyszy.

## 20.

Quentin stał na balkonie, patrząc na ciemny las, osnuty mgłą. Zostawiony przez przyjaciół, czuł się niepotrzebny i zlekceważony. W zwisającej dłoni wciąż trzymał ich listy, które właśnie przeczytał kolejny już raz.

Odwrócił się usłyszawszy za sobą jakiś szmer. Zobaczył Mollenę, swoją wiekową pielęgniarkę. Utykając weszła do komnaty, zerknęła na puste łóżko i zbliżyła się do balkonu. Spostrzegła chłopca i wtedy uśmiechnęła się doń bezzębnymi ustami.

133

– Wejdz do środka, paniczu. Zziębnieś stojąc tak na dworze. Ciepło kiedyś zawita w te stare góry, lecz nieprędko. Jeszcze długo będzie ci potrzebna opończa.

Quentin nic nie odpowiedział, ale niechętnie wrócił do komnaty i rzucił się na łóżko.

– Widzę, że czujesz się lepiej, nie powinieneś jednak się przemę-  
czać. Twoje nogi rwą się do chodzenia, serce zaś wymaga odpoczynku. –

Na chwilę umilkła i spojrzała na zmartwioną twarz chłopca. – Czy to, co przeczytałeś, tak dręczy twoją duszę, odważny młodzieńcze?

– Molleno, dlaczego oni mnie zostawili?

Quentin znał odpowiedź. Chciał po prostu, by ktoś go pocieszył, że nie został zapomniany.

– Nie było innego wyjścia. Ja to wiem.

Powiedziała te słowa jakoś dziwnie, aż Quentin obrócił się na drugi bok i popatrzył na nią badawczym wzrokiem. Curatacy byli osobliwym ludem, wiele rzeczy widzącym na swój sposób.

– A co wiesz? – spytał tonem osoby proszącej wróżkę, aby przepowiedziała jej przyszłość.

– Wiem, że na dole oczekuje cię twój przyjaciel, Toli. Chodźmy.

Uważam, że ten spacer dobrze ci zrobi.

Chłopiec zsunął się z łóżka i ruszył do drzwi, powłócząc nogami.

– Trzymaj – odezwała się Mollena, gdy przekraczał próg. – Nie zapominaj o ciepłym okryciu.

Wziął opończę, narzucił ją sobie na ramiona i razem ze staruszką zszedł na dół, by spotkać się z Tolim.

Pod opieką starej znachorki Quentin wrócił do zdrowia i trzy dni po wyruszeniu przyjaciół w drogę

odzyskał przytomność. Otworzył oczy jak po głębokim nocnym śnie, głodny i lekko oszołomiony. Długo leżał, bezskutecznie próbując sobie przypomnieć, skąd się tutaj wziął.

Gdzieś w zakamarkach jego umysłu przetrwało jedynie mgliste wspomnienie snu, w którym odgrywał pewną rolę, ale wszystko zdawało

się tak odległe w czasie i przestrzeni, jakby dotyczyło kogoś innego, a on tylko o tym czytał.

I rzeczywiście – w listach zostawionych przez Alineę i Durwina.

Drugiego dnia wstał i trochę spacerował po komnacie, a trzeciego obszedł już całe piętro. Od Molleny dowiedział się pewnych rzeczy o mie-

ście Dekrze i tajemniczych Curatakach, którzy strzegli jego ruin.

Dekra była ostatnią twierdzą bardzo wielkiego i potężnego ludu, któ-

ry zniknął bez śladu tysiąc lat wcześniej, nim przybył tu Celbercor i zaczął budować swoje królestwo. Curatacy, inaczej zwani Stróżami, dawno temu osiedlili się w zrujnowanym mieście, a potem nieustannie je chronili, zwalczając wszędobylskie chwasty i dzikie zwierzęta, a czasem nawet przepędzając dzikich lokatorów.

Z pyłu walących się murów i kolumn niegdyś dumnego miasta szlachetnego ludu uratowali pamięć o Dekrze i jej dawnych mieszkańcach.

Zgłębili ich przeszłość, poznali tryb życia i zwyczaje, a nawet odbudowali dużą część głównego rynku i siedzibę władz. Właśnie tam, w wielopokojowym ogromnym Pałacu Gubernatorskim, gdzie mieszkali Curatacy, ulokowano Quentina z przyjaciółmi.

Chłopiec jeszcze dobrze nie obejrzał miasta, ale to, co już zdążył zobaczyć, przekonało go, że otaczająca je atmosfera strachu jest zupełnie bezpodstawna. Legendy o Dekrze, które ludzie opowiadali sobie wieczorami przy ognisku, niechybnie mijały się z prawdą, choć może wymy-

ślono je specjalnie, by chroniły Curataków i ich misję.

Quentin się dowiedział, że owa misja – całkowite przywrócenie miastu dawnej świetności – jest dla nich wyrazem najwyższej czci dla ludu, któremu zdawali się oddawać modły jak bogom.

Stróże wierzyli, że Arigowie, pierwsi mieszkańcy Dekry, pewnego dnia wrócą, by upomnieć się o swoje miasto. Wierzyli również, że tego dnia, w nagrodę za pracę pełną poświęcenia, sami staną się Arigami.

Nie wiadomo, skąd przybyli Curatacy, sprawiali bowiem wrażenie, jakby własna historia w ogóle ich nie interesowała, chyba że była

związana z dziejami Dekry. Jednakże z upływem lat początkowo mała grupka Stróżów rozrosła się do kilkuset osób. Co pewien czas do miasta zabłąkał się obcy i zostawał, by podjąć pracę. Curatacy

bynajmniej nie mieli nic przeciwko gościom przybywającym do nich w uczciwych za-miarach lub pragnącym studiować dawne zwyczaje.

W istocie zawsze byli wręcz uszczęśliwieni, gdy tylko mogli obdarować dziełami sztuki Arigów każdego, kto o nie poprosił. Również to uważali za swój święty obowiązek.

Durwin już kilkakrotnie odwiedzał Dekrę. Raz spędził tu ponad trzy lata. W tych ruinach wiele widział i mnóstwa rzeczy się dowiedział, a nawet sam pomagał w odnawianiu jednej z głównych budowli – świątyni boga Arigów, samotnego boga bez imienia.

– Myślisz, że niedługo nabiorę sił i będę mógł wyjechać? – spytał

Quentin, gdy dotarli na dół.

Znajdowali się w niewielkiej izbie, zapewne wydzielonej z dużego pomieszczenia, lecz jasnej i dość przestronnej, chociaż w innych, zna-nych chłopcu budynkach, byłaby to zwykła ciemna suterena o solidnych ścianach. Zdyszany Quentin, utrudzony schodzeniem z licznych stopni, przysiadł na trójnożnym stołku, a Mollena zaczęła się krzątać w kącie.

Toli najwyraźniej gdzieś popędził, nieustannie bowiem otrzymywał jakieś zlecenia.

– Chcesz wkrótce wyjechać? Wszystko zależy od ciebie. Zrobisz to, gdy uznasz, że musisz. Możesz też zostać tak długo, jak ci się spodoba –

w końcu odparła Mollena.

Chłopiec popatrzył na staruszkę – miała pomarszczoną twarz, siwe włosy i zgarbione plecy. Gdzie indziej uważano by ją za jedną z cór Orphe, ale tutaj stanowiła taki sam nieodłączny element naturalnego otoczenia jak owa dziwna architektura i egzotyczne freski na ścianach niemal każdego budynku. W tej kobiecie było coś, co sprawiało, że wydawała się równie młoda i pełna życia jak wszystkie panny, które znał Quentin, choć w istocie znał ich tylko kilka.

136

Bez przerwy odnosił wrażenie, że Mollena stara się za dużo mu nie mówić, że wie znacznie więcej, niż chciałaby powiedzieć. Zresztą nie tylko ona – inne osoby, które spotkał w ciągu ostatnich paru dni, rozmawiały z nim w ten sam zagadkowy sposób.

– Może byś mnie czegoś nauczyła? – spytał obserwując staruszkę, zajęętą przygotowywaniem dlań drobnej przekąski.

Odwróciła głowę i pochyliwszy ją w bok, jakby coś rozważała, przez dłuższą chwilę patrzyła na niego z ukosa.

– Kilku rzeczy bym mogła, lecz są inni, o wiele bardziej uczeni ode mnie. A czego chciałbyś się nauczyć?



– Bo ja wiem...? Myślę, że... Właściwie nie wiem, od czego miał-

bym zacząć. Powiedz mi, co według ciebie powinienem wiedzieć o tym mieście i w ogóle o świecie.

– Moje zdanie tu się nie liczy. Sam musisz o tym zdecydować – odparła Mollena, stawiając przed nim niewielki stolik z miską suszonych owoców i kubkiem żółtego gorącego płynu. – Ale teraz jedz, odzyskuj siły. Rozważ sobie, co ci pomoże osiągnąć cel, a ja cię tego nauczę.

Quentin usłuchał jej rady, lecz jeszcze nie miał odpowiedzi na to pytanie, gdy skończył jeść.

– Nic z tego – oświadczył odsuwając miskę i ocierając usta wierzchem dłoni. – Zbyt mało wiem o was i waszym mieście, abym mógł sam zdecydować, co najbardziej mi się przyda.

– Dobrze powiedziane – rzekła staruszka z ciepłym uśmiechem. –

To pierwszy krok do wiedzy. Chodź, oprowadzę cię po mieście i razem spróbujemy znaleźć odpowiedzi, których szukasz.

Akurat wychodzili, gdy w drzwiach pojawił się Toli, poszli więc we troje.

Trwała przyjaźń rozwinęła się między Quentinem a spokojnym Jherem, który zdawał się traktować go z nabożnym szacunkiem jako osobę o niezwykłych mocach. Zdaniem Tołego, a także prostych ludzi, każdy, 137

kto przeżył atak zatrutych szponów sokoła Łapaczy, nie jest zwykłym śmiertelnikiem, lecz bóstwem. Postanowił więc go chronić i służyć mu za giermka, a także nauczyć się jego języka, by móc robić to jak najlepiej.

Quentin z kolei uważał, że wciąż jest między żywymi tylko dzięki bystrości i błyskawicznemu refleksowi Tołego, który tamtej koszmarnej nocy ściągnął go z konia na ziemię. Swoimi pazurami z metalu, wypeł-

nionymi trucizną, sokół tylko drasnął go w ramię, a nie rozdarł mu gardła, do czego był szkolony.

Z wdzięczności Quentin chętnie zajął się uczeniem Tołego, równocześnie przyswajając sobie śpiewny język łagodnego Jhera. Ze zdziwieniem odkrył, że w przeciwieństwie do skomplikowanego języka, oficjalnie używanego przez kapłanów w świątyni, którego opanowanie sprawiało mu wiele trudności, mowa Jherów okazała się łatwiejsza niż przypuszczał. Była w niej tylko garstka podstawowych dźwięków, odpowiednio łączonych przy budowaniu słów i zdań. Pracując wytrwale i cierpliwie, chłopcy zaczęli się coraz lepiej ze sobą porozumiewać.

Staruszka poprowadziła ich szerokimi, obsadzonymi drzewami ulicami miasta, które pewnego dnia, jak to sobie wyobrażał Quentin, będą pełne wozów i ludzi, zarówno kupujących, jak i sprzedających. Przyglą-

dał się domom wysokim jak wieże, wznoszącym się z niezwykłym wdziękiem. Choć późniejsi budowniczowie Askelonu użyli takiego samego kamienia, to jednak architekci Dekry wykorzystali go

inaczej. Ich sztuka sprawiła, że nawet największe budynki wyglądały bardzo lekko, miały wspaniałe proporcje i były eleganckie. Po prostu, jakby miasto zaprojektowali poeci.

Jedyna świątynia w Dekrze znajdowała się w środku miasta. Ulice biegły koncentrycznie wokół niej i rozchodziły się promieniście od placu, na którym stała. Była wystarczająco duża, by z łatwością pomieścić wszystkich mieszkańców.

138

To właśnie w stronę świątyni Mollena prowadziła chłopców. Quentin, niczym śniąc na jawie, szedł cichymi ulicami, mniej lub bardziej odnowionymi. To miasto ludu, który niegdyś zniknął, było bardzo niezwykle i obce, jak ze snów. Chłopiec lękliwie rozglądał się dokoła, ze zdumieniem patrząc na tę dziwną miejscowość. Zastanawiał się, jak też wyglądali dawni gospodarze.

– Co się stało z tym ludem? – spytał.

– Nie wiadomo. O, czasami znajdujemy pewne rzeczy i mamy wiele teorii. Ciągle jednak odpowiedź na pytanie, które najbardziej nas nurtuje, pozostaje tajemnicą. Wiemy tylko to, że wszyscy razem nagle opuścili miasto. Znaleźliśmy garnki ze zwęgloną strawą, którą w nich przygotowywano, stojące w popiele paleniska. W mieszkaniach kupców odkryli-

śmy otwarte szkatułki, pełne monet. Kiedyś znaleziono stół z przyborami do pisania i nie dokończony list... pióro leżało obok słowa urwanego w połowie, jakby piszący został nagle wezwany i nigdy nie powrócił.

Staruszka zatrzymała się i rozejrzała dokoła. Jej twarz zdradzała nie mniejsze podniecenie niż twarz Quentina.

– Odpowiedź jest tutaj, w tych domach i murach. Pewnego dnia ją znajdziemy.

Quentin milczał, kiedy szli dalej. Po jakimś czasie znów zadał pytanie.

– A jak oni wyglądali, Molleno? Czy bardzo się od nas różnili?

– Powierzchnością chyba niezbyt, choć byli wyżsi i silniejsi.

Wiemy to z malowideł, których jest takie mnóstwo na ścianach każdego domu i budynku. Mieli wielu artystów i pisarzy o niezrównanych zdolnościach. Do najwcześniej odnowionych budynków Dekry należy biblioteka z ogromnymi zbiorami pism. Sporo zwojów pergaminu wciąż moż-

na czytać. Pozostałe wprawdzie się zachowały, lecz musieliśmy poddać je konserwacji, a to proces długotrwały i nie zawsze skuteczny. Jednakże nauczyliśmy się je odczytywać i wielu Curataków całkowicie się po-

święciło badaniom nad wiedzą starożytnych uczonych. Dzięki temu 139

wiemy, że ów lud był mądry, życzliwy i odznaczał się wysoką inteligencją. Jego nauki niełatwo

zrozumieć, lecz wiele już zgłębiliśmy, choć znacznie więcej czeka na rozszyfrowanie.

Szli w stronę świątyni jedną z prostych ulic, przecinających miasto od centrum aż po krańce. Słuchając słów staruszki, zafascynowany Quentin patrzył, jak w miarę powolnego zbliżania się rośnie sylwetka tej budowli. Świątynia majestatycznie wyrastała ponad wierzchołki otaczających ją drzew – swym strzelistym kształtem wskazywała niebo.

– Kim oni byli? – zapytał Quentin.

Skierował to pytanie bardziej do siebie niż do Molleny, mając dziwne uczucie żalu i podniecenia, jakby ktoś, o kim wiedział, że nie istnieje, mógł się w każdej chwili pojawić.

– Kim oni byli? – powtórzyła Mollena, kiedy wyszli na rozległy plac wokół niebotycznej świątyni. – Nazywali się Arigami, czyli dziećmi boga.

– A co to za bóg? – dopytywał się Quentin. – Czy coś o nim wiadomo?

– Wielu o nim wie, ale nie zna jego imienia. Bóg Arigów go nie ma.

Jest jedyny, najwyższy i bezimienny. W ich świętych pismach czasami spotyka się słowa „Whist Orren”, czyli „Najwyższy”, albo „Peran Nim Gadre”, czyli „Król bogów”. Najczęściej zwali go „Dekron”, co znaczy

„Jedyny” albo „Jedyny Najświętszy”. Nigdzie jednak nie napisali jego imienia, jeśli nawet je ma.

Bez dalszych wyjaśnień Mollena wprowadziła chłopców do wielkiej świątyni. W jej wnętrzu Quentin zobaczył spokojnie pracujących Curataków. Zwalił się fragment zachodniej ściany, więc wzniesiono rusztowanie i teraz robotnicy starannie ją odbudowywali. Quentin odniósł wra-

żenie, że wszyscy wykonują swoje zadania z ogromnym nabożeństwem.

– My, Curatacy – wyjaśniła Mollena – w pewnym sensie staliśmy się Arigami przez to, że czcimy ich bezimiennego boga jak własnego. –

Zauważywszy pytające spojrzenie Quentina dodała: – Tak samo jak ci, 140

którzy zniknęli, wierzymy, że ich bóg ma wiele dzieci.

– A gdzie mieszkali jego kapłani? – spytał Quentin, rozglądając się dokoła.

Całe wnętrze świątyni zajmowała ogromna sala. W jednym końcu wznosiło się okrągłe podwyższenie, do którego prowadziły kamienne stopnie. Chłopiec doszedł do wniosku, że kapłani nie mogli tu mieszkać, chyba że ich kwatery znajdowały się w podziemiach.

– Nie było żadnych kapłanów, to znaczy takich jak u was. Arigowie sami bezpośrednio zwracali się do boga, choć mieli lektorów, którzy dogłębnie studiowali święte pisma i rozmawiali z nimi podczas zgromadzeń, by przypomnieć im zasady ich wiary. Jednakże nie istnieli kapłani pośredniczący w

kontaktach z bogiem.

Kiedy wyszli i ponownie znaleźli się na dworze, chłopiec nagle przypomniał sobie sprawę, o którą często chciał zapytać Durwina w drodze do Dekry, lecz jakoś się nie składało.

– Molleno, dlaczego Theido bał się tutaj przybyć? Dlaczego nie chciał, by Durwin się tu pokazał?

Staruszka spojrzała na niego przymrużonymi oczyma.

– A kto ci powiedział, że on się bał?

– Słyszałem, jak o tym rozmawiali. Durwin od początku twierdził, żebyśmy jechali, a Theido był temu przeciwny. Później, gdy Trenn przybył z wiadomością, że ścigają nas Łapacze, Theido się zgodził. Czego przedtem się obawiał?

– Ja nie umiem udzielić ci odpowiedzi na to pytanie, ale zwróć się z nim do Yesepha, jednego z naszych przywódców. Być może on potrafi.

Znowu zagadkowe słowa, pomyślał Quentin. Cóż takiego Curatacy przed nim ukrywają? Z pewnością dotychczas nie zauważył nic, czego miałby się obawiać. Zastanawiał się nad tym przez resztę dnia, a potem jeszcze długo w nocy, póki nie zmorzył go sen. Następnego ranka obudził się z postanowieniem, że musi odszukać Yesepha i zapytać, dlaczego Theido bał się o Durwina i dlaczego później zmienił zdanie.

# 21.

– Na razie dopisuje nam szczęście, moi przyjaciele! – wykrzyknął

Theido, gdy wrócił z portu w Bestou.

– Czyżbyś znalazł statek, który zabierze nas na Karsh? – spytała Alinea.

Siedziała z Durwinem w gospodzie „Pod Latającą Rybą” czekając, aż Theido załatwi przeprawę na wyspę, gdzie znajdowała się twierdza czarodzieja Nimrooda.

– Tak, choć nie przyszło mi to łatwo. Pytałem co najmniej połowy kapitanów w porcie, czy nie znajdą dla nas miejsca, ale za każdym razem słyszałem jedną i tę samą odpowiedź: „Trzymamy się z dala od Karshu.

Za żadne skarby i za żadnego boga nawet się tam nie zbliżymy!” W koń-

cu jeden z nich sam się do mnie zgłosił i powiedział, że jest właścicielem statku, który wkrótce będzie przepływał nieopodal Karshu, i że mógłby nas wysadzić na brzeg, jeżeli jest tam jakieś dogodne miejsce.

– Powiadasz, że sam się zgłosił? – spytał zamyślony Durwin. – To podejrzane, że tak chętnie zaoferował swą pomoc. Czy to nie człowiek Nimrooda?

Theido niecierpliwie zbył tę uwagę.

– Nie możemy bez przerwy szukać szpiegów za każdą skałą i każ-

dym drzewem. Trzeba polegać na własnej inicjatywie, należy działać!

– Mój przyjacielu, ja też całkowicie jestem za tym, ale musimy być ostrożni. Naszym przeciwnikiem jest bardzo sprytny zły czarodziej. Nie cofnie się przed żadnym draństwem, a sieć jego intryg sięga daleko.

– Możliwe – odparł nieco zagniewany Theido. Niecierpliwiła go bezczynność i jako człowiek czynu pragnął natychmiast działać. – Nie możemy jednak bez końca czekać na jakiś znak z nieba. Czy twojemu bogu to się podoba, czy nie, musimy ruszać.

– Ależ, mości panowie! Błagam, powstrzymajcie swoje zapędy dla dobra sprawy – odezwała się Alinea. – W ostatnich dniach widziała 142

rosnące zniecierpliwienie Theida, kiedy czekali na wyniki jego starań w porcie. Często musiała występować w roli rozjemcy, by łagodnym słowem czy delikatnym dotknięciem uśmierzać gorące sprzeczki między dwoma mężczyznami. – Tak samo jak każdemu z was mnie również bardzo zależy, abyśmy jak najszybciej dotarli do celu, jednak nie za cenę waszej niezgody. Obawiam się, że byłaby to katastrofa nie tylko dla nas, ale także dla króla.

Theido skinieniem głowy przyjął tę reprimendę. Również Durwin przyznał, że niepotrzebnie się denerwuje.

– Masz słuszość, pani – powiedział kładąc rękę na jej dłoni. – Nie przysłużymy się naszej sprawie ciągłymi kłótniami.

– Więc darujcie je sobie, moi przyjaciele. Niech wśród nas zapanuje spokój. Różnimy się zdaniem tak nieznacznie, że lepiej nie zwracać na to uwagi. – Spojrzała na zmęczoną twarz Theida i zwykle pogodne, lecz teraz zatroskane oblicze Durwina. – Mój król małżonek nigdy nie miał

szlachetniejszych od was poddanych, ani nawet w połowie tak odważnych jak wy. Nie znajdzie słów, by wyrazić wam swą wdzięczność.

– Dla mnie najlepszą zapłatą będzie ujrzeć go żywym i bezpiecznym

– oznajmił Theido z uśmiechem, który jednak nie wygładził zmarszczek strapienia wokół jego oczu.

Do Bestou na wyspie Tildeen dotarli po forsownym marszu przez gę-

sty las, otaczający Dekrę. Podróżowało im się pewniej i łatwiej od chwili, gdy znaleźli się w wiosce rybackiej Tuck, ledwie zasługującej na to miano ze względu na swą skromną wielkość.

Tam wsiedli na pokład promu regularnie kursującego przez wąską cieśninę na Tildeen, jedną z większych Siedmiu Wysp Tajemniczych. Po prawdzie nie było nic szczególnie tajemniczego w tym archipelagu, tyle że przed wiekami największa z jego wysp, Corithy, stanowiła pierwotne sanktuarium pewnej zagadkowej religii. Powiadano, że niesamowite 143

rzeczy wciąż się dzieją na tej wyspie o dziwnym kształcie, często spowitej we mgle.

Na Tildeenie zaś, drugiej co do wielkości, znajdował się ruchliwy morski port Bestou. Ten ośrodek handlu służył za zimowe schronienie statkom z całego Mensandoru, ów ogromny port bowiem rzadko zamarzał, chociaż leżał tak daleko na północy.

Po przybyciu na Tildeen Theido, Durwin, Alinea i jej wierny Trenn zostali w grubiański sposób wysadzeni na brzeg przez nieokrzesanego właściciela promu. Teraz czekała ich żmudna wędrówka przez górski grzbiet wijącą się ścieżką, która prowadziła do portu leżącego po drugiej stronie wyspy.

Droga trwała dłużej, niżby tego sobie życzył Theido, lecz w końcu zobaczyli port, zbliżając się doń jak bandyci od strony gór. Theido musiał ciągle się usprawiedliwiać, że tak nieustannie pędzi naprzód. W dole widać było statki z kolorowymi żaglami, gotowymi do rozwinięcia, stojące na kotwicy w oczekiwaniu sprzyjającej pogody.

Po raz pierwszy od wielu tygodni spędziwszy noc w ciepłe przy kominku na kwaterze w gospodzie „Pod Latającą Rybą”, Theido rano szedł

nabrzeżem i rozmawiał zarówno z kapitanami, jak i marynarzami rozmaitych statków. Każdy

odmawiał popłynięcia na przeklętą wyspę, niektórzy

uprzejmie, inni wręcz niegrzecznie.

Ich niechęć wydawała się uzasadniona. Karsh, wyspa o dziwnym kształcie, była wierzchołkiem podmorskiej góry, sterczącym z wody na wschód od wybrzeży Elsendoru, królestwa sąsiadującego z rozległym Mensandorem. Od dawien dawna omijali ją przesądni żeglarze, jeszcze zanim czarodziej Nimrood uczynił z niej swoją siedzibę i wybudował

fortecę. To bezludne miejsce nadawało się jedynie dla niezliczonych morskich ptaków, gnieźdzących się na stromych skałach jej zachodniego brzegu, a także dla małych lądowych krabów, żywiących się zgnilymi rybami, wyrzucanymi przez fale, i pisklętami, które wypadły z gniazd.

144

Theido z Trennem za plecami przez dwa dni krążył po nabrzeżu, nim trafił na tego kapitana, co zgodził się ich przewieźć na nie lubianą wyspę. Zadowolony, że wreszcie dopiął celu, Theido nie zadał sobie trudu, by obejrzeć statek i jego załogę. Polegał na słowie kapitana, niewysokiego osobnika o wyglądzie dręczyciela, który powiedział, że nazywa się Pyggin i ręczy za dzielność swojego statku.

Zostawiwszy Trenna, by przeniósł na pokład ich skromne bagaże i postarał się o wszystko, co uzna za niezbędne w morskiej podróży, Theido wrócił do gospody, podśpiewując pod nosem. Trenn załatwił co trzeba i także wrócił do gospody, ale nie w tak dobrym nastroju.

– Z tym statkiem jest coś nie tak – powiedział po kolacji, odciągając Theida na stronę.

– Co tam widziałeś... czyżby coś było nie w porządku?

Na zmartwionej twarzy żołnierza rycerz szukał potwierdzenia swych obaw.

– Trudno mi powiedzieć, panie, ale zauważyłem, że załogi wszystkich innych statków w porcie szykowały się do wypłynięcia: ładowały i liczyły zapasy, naprawiały żagle, smołowały kadłuby i tak dalej, a tymczasem ludzie tego kapitana Pyggina nic nie robili. Przez cały czas, jak tam byłem, żaden z nich nie ruszył nawet palcem. Stali na pokładzie albo siedzieli na beczkach w ładowni... jakby na coś czekając. – Mocno zmarszczył brwi. – W ogóle mi się to nie podoba.

– Chyba że już są gotowi i tylko czekają na pomyślny wiatr, by wypłynąć. Tak mi powiedział kapitan – odparł Theido, starając się rozwiać wątpliwości Trenna.

– Owszem, to możliwe, ale jeszcze nie widziałem, żeby statek tej wielkości nie wymagał żadnych napraw, a kapitan pozwalał załodze leniuchować.

– Nie przejmuj się tym, Trennie – rzekł Theido. – Jestem pewien, że nie mamy się czego obawiać. Prosimy ich tylko o przewiezienie nas na wyspę i zapewne nic nam się nie stanie.

Trenn podrapał się po policzku i z bardzo nachmurzoną miną obstawał przy swoim.

– Na Ariela, oby tak było, jak powiadasz! Z tym statkiem jednak jest coś dziwnego...



## 22.

Kiedy Jaspin opuścił igrzyska, przerwane w sposób tak nagły i nieprzyjemny pojawieniem się Łapacza z jego straszliwymi pamiątkami, natychmiast udał się do swojego zamku w Erlott Fields. Wspaniałomyślnie oznajmił, że turniej będzie trwał. Przedtem uregulował dług wobec odrażającego tropiciela, który zażądał dwa razy większego wynagrodzenia, niż mu obiecano, i zapłaty należnej jego martwym towarzyszom.

Księżę znalazł się w niezręcznej sytuacji – nie chciał stracić twarzy przed pospólstwem, które każdego, kto miał konszachty z Łapaczami, uważało za takiego samego łotra jak oni, więc zaspokoił wygórowane żądania tamtego i kazał mu odjechać, by uniknąć widowiska.

Tak więc Jaspin rozkazał podjąć turniej na nowo, by zbytnio nie zawieść gawiedzi. Potem, zostawiwszy garstkę swoich zaufanych szlachciców, natychmiast odjechał, tłumacząc się sprawami państwowej wagi.

Wkrótce wraz z najbliższymi współpracownikami znalazł się w bezpiecznych murach zamku Erlott i pośpiesznie zwołał naradę, aby przedyskutować sytuację.

Spotkanie to przyniosło niewiele, jeśli idzie o pokrycie dopiero co poniesionych wydatków, a księżę nie mógł ujawnić prawdziwego powodu, dla którego Łapacz tak go przeraził, więc szybko ich zwolnił i udał

się do swojej komnaty, chcąc wszystko przemyśleć.

Kiedy zamknęły się drzwi i wystawiono przy nich strażę, by żaden intruz mu nie przeszkadzał, Jaspin wślizgnął się do tajnej izby, mrocznego pokoiku bez okien w grubym zewnętrznym murze zamku. Znalazłszy 146

się tam, zasiadł przed czarną emaliowaną szkatułką.

Zdjął wieko i przyłożył dłonie do ścianek złotej piramidki, a gdy zaczęła świecić, poczuł pulsowanie energii. Wkrótce jego ostre rysy rozja-

śnił niesamowity blask. Jaspin słyszał łomotanie swojego serca obserwując, jak nieprzezroczyste ścianki prezentu od Nimrooda pokrywają się mgłą.

Potem, jak zawsze, patrzył na mgłę rzednącą w głębi zaczarowanego przedmiotu i czekał, aż ujrzy przerażające oblicze złośliwego współnika.

– Czemu zawdzięczam to niespodziewane wezwanie, mój księżę?

Zgubiłeś spinę? A może straciłeś tron?

Czarodziej odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, który szybko ucichł. Nimrood utkwiał w księciu lodowate spojrzenie.

Jaspin z drżeniem serca myślał o wieści, którą musi mu przekazać.

Nie mając jednak wyboru, przygotował się na to, że tamten wpadnie w furję, i rzekł:

– Wrócili Łapacze.

– To dobrze. Ufam, że udało im się polowanie?

– N...nie – wyjąkał książę. – Wrócili z pustymi rękami... a właściwie tylko jeden, bo pozostali dwaj zginęli...

– Ty głupcze! Dałem ci jeszcze jedną szansę, a ty ją zmarnowałeś.

Jesteś skończony! Dostaniesz za swoje, bałwanie!

Gorączkowo się zastanawiając, jak by udobruchać rozwścieczonego czarodzieja i zapobiec jego dalszym pogróżkom, książę uczepił się jednej myśli, niczym tonący brzytwy.

– Wiem, dokąd się udali, Nimroodzie! – wykrzyknął.

Czarodziej opanował wzburzenie, lecz wciąż miał wściekłą minę i groźnie marszczył brwi.

– No więc dokąd? Mów!

– Najpierw musisz obiecać... – zaczął książę, ale Nimrood mu przerwał.

– Ja mam ci coś obiecywać? Ha! Posłuchaj, psi książę! Nikomu 147

niczego nie obiecuję! Nigdy o tym nie zapominaj! – Potem jednak zmienił ton i zaczął mówić słodkim głosem jak do nieszczęśliwego dziecka. –

Ale ci przebaczam. Tylko mi powiedz, gdzie są ci spiskujący nędznicy, a zapomnę o niesnaskach między nami.

Jaspin szybko przekazał mu znikome informacje, jakie zdołał wyciągnąć od Łapacza.

– Razem sześć osób, w tym jedna kobieta... chyba królowa. Prawie na pewno udali się do Dekry, prawdopodobnie po to, by się ukryć w jej ruinach. Przecież każdy wie, że tam nic nie ma.

– W tym mieście jest więcej, niż ludziom się wydaje – powiedział

Nimrood. Na jego pomarszczonej twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny cień zaniepokojenia, ale natychmiast znikł, gdy czarodziej butnie łypnął

okiem. – Opuszczą Dekrę, bo będą musieli. Dla tych śmiałych podróżników przygotuję specjalną niespodziankę. Tak, chyba wiem, co to powinno być – mruknął i ponownie zwrócił się do Jaspina: –

Nawet nie wiesz, jak mi się przysłużyłeś, dumny książę, więc już nie będę się na ciebie gniewał. Możesz mi się jeszcze przydać.

– Zapominasz się, czarodzieju! – zbuntował się Jaspin, rozdrażniony jawnym zuchwalstwem Nimrooda. – Przecież to ja ciebie wynająłem i to ty masz mi służyć!

– Męczą mnie te twoje ambicjonalne gierki – syknął Nimrood. –

Dawniej mi odpowiadało udzielanie ci pomocy w twoich dziecinnych intrygach, lecz teraz mam plany, jakich nawet nie potrafisz sobie wyobrazić. Służ mi dobrze, a podzielę się z tobą chwałą.

Piramidka straciła swą krystaliczną przejrzystość i stała się zimna jak lód.

Quentin upraszał i wręcz zamęczał Mollenę, by jak najszybciej umó-

wiła go na spotkanie z Yesephem. Robił to od chwili, gdy tylko otworzył

oczy rano, następnego dnia po krótkim zwiedzaniu miasta.

Podczas śniadania Toli siedział naprzeciwko Quentina i wskazując różne przedmioty w izbie, prosił go o podanie nazwy, by mógł się jej

nauczyć. Aczkolwiek czasem Quentinowi wydawało się to bardzo trudnym zadaniem, jednak aż promieniał z zadowolenia, widząc postępy swojego ucznia. Młody Jher potrafił już wypowiadać proste zdania i rozumiał prawie wszystko, co doń mówił Quentin, choć nie zawsze umiał to powtórzyć. W obecności innych osób zwykle jednak wracał do swojego rodzimego języka.

Siedzieli w kuchni, kończąc posiłek, gdy nagle Quentin usłyszał szuranie nóg staruszki na kamiennych schodach.

– Molleno, masz jakieś wieści? Kiedy będę mógł się z nim zobaczyć? – spytał niecierpliwie, ujrzawszy jej miłą pomarszczoną twarz.

– Ani jutro, ani w przyszłym tygodniu.

– Molleno...

– Dzisiaj... Pójdziemy, jak tylko będziecie gotowi.

– Ja już jestem gotowy!

– Jeszcze nie, bo nie skończyłeś śniadania. Musisz jeść, żeby odzyskać siły.

Toli słuchał ich rozmowy, jak zawsze uważnie i w milczeniu. Potem jednak zapytał Quentina w swoim języku, do czego się przygotowuje i co mu jest do tego potrzebne.

Nie przerywając jedzenia, Quentin opowiedział mu o dyskusji między Theidem i Durwinem

najprościej jak umiał,, a także o ich sprzeczce i postanowieniu, które przywiodło ich do Dekry. Toli skinął głową i rzekł:

– A ten przywódca, Yeseph, powie nam, co mamy robić?

Quentin pomyślał, że sam trochę inaczej by to ujął, lecz po chwili zastanowienia kiwnął głową.

– Tak, może on nam powie, co mamy robić.

Mollena, która z zachwytem obserwowała chłopców widząc, że coraz bardziej się ze sobą zaprzyjaźniają, teraz poderwała ich na nogi.

– Idziemy, leniuchy. Nie wypada zmuszać przywódcy Curataków do czekania.

Szli we troje pustymi ulicami, potykając się na nierównych kamiennych płytach. Quentin znów był pod wrażeniem uroku i wdzięku 149

miasta Arigów. Rozpadające się opuszczone budynki wciąż urzekały harmonią i funkcjonalnością. Zapewne kryły w sobie bezcenne skarby ludzkiej myśli.

Po drodze co pewien czas spotykali grupy Curataków ciągnących kamienie czy stawiających rusztowania przy walących się ścianach.

Mollena wyjaśniła Quentinowi, kim jest Yeseph i jak się należy do niego zwracać. Chłopiec słuchał uważnie, by wszystko zapamiętać i nie obrazić człowieka, który zna odpowiedzi na jego pytania.

Skręcili w wąski dziedziniec z licznymi przejściami po obu stronach, prowadzącymi do ogrodu, gdzie pod niskimi drzewami stały kamienne ławki.

– To czytelnia biblioteki Arigów – wyjaśniła Mollena.

Quentin zerknął w otwarte przejście i zobaczył skrybów zajętych przepisywaniem pergaminów.

– A gdzie jest biblioteka? – spytał uświadomiwszy sobie, że w pobliżu nie ma dostatecznie dużego budynku, który mógłby pomieścić tak ogromne zbiory, jakie mu opisywano. Rozejrzał się dokoła, by sprawdzić, czy przypadkiem go nie przeoczył.

Mollena zaśmiała się widząc, jak chłopiec wyciąga szyję w poszukiwaniu biblioteki.

– Nie, tam jej nie znajdziesz, bo właśnie na niej stoisz!

Zaintrygowany Quentin spojrzął pod nogi.

– Biblioteka jest w podziemiach. Chodźcie.

Zaprowadziła ich na koniec dziedzińca pod duże drzwi.

Weszli do środka i znaleźli się w wielkiej okrągłej sali o gładkiej marmurowej posadzce i ścianach pokrytych malowidłami przedstawiają-

cymi mężczyzn w togach.

– To przywódcy Arigów – oznajmiła Mollena, unosząc szeroko roz-

łożone ręce. – Na razie mało o nich wiemy, ale staramy się dowiedzieć czegoś więcej.

Pośrodku sali, w której nie było żadnych mebli, zobaczyli łukowate wejście. Kiedy się doń zbliżyli, Quentin spostrzegł schody wiodące do podziemnej komnaty.

150

– A, to tędy się wchodzi do biblioteki – powiedział.

– Właśnie. Zwróćcie uwagę, jak bardzo te schody są wytarte od stóp Arigów, którzy przemierzali je przez wieki. Byli miłośnikami ksiąg i wiedzy. To jest nasze najważniejsze zadanie – ponownie zakreśliła rę-

kami szeroki łuk – zabezpieczyć pergaminy Arigów, żeby ta wiedza nie zniknęła jak lud, który ją stworzył.

Quentinowi trochę się udzieliła nabożna cześć, z jaką mówiła staruszka; znów jak poprzednio doznał dziwnej emocji, połączonej z głębokim szacunkiem, jakby znalazł się w obecności potężnego i dobrego władcy, od którego ma otrzymać jakiś cudowny dar.

– Tam czeka na ciebie Yeseph – Mollena wskazała mroczne schody.

– Idź doń... obyś znalazł skarby, których szukasz.

Quentin ruszył naprzód i postawił nogę na pierwszym stopniu. W tej samej chwili ciemne schody z obu stron zalało światło. Chłopiec odwró-

cił się do Molleny i Tolego, którzy w pierwszej chwili wyglądali, jakby chcieli za nim zejść, lecz potem niepewnie się cofnęli. Quentin miał

dziwne przeczucie, że może nigdy nie wrócić, ale mimo to rzekł:

– Niedługo wrócę.

Ruszył w dół. Dotarł do końca schodów i wtedy usłyszał jakiś głos.

– A, Quentin. Czekałem na ciebie.

Chłopiec wszedł do ogromnego pomieszczenia i zobaczył więcej ksiąg, niż kiedykolwiek widział w jednym miejscu. Półki, trzykrotnie wyższe od człowieka, były pełne niezliczonych zwojów, z których

każdy miał swoją przegródkę zaopatrzoną we wstążkę z wypisanym tytułem, autorem i spisem treści. Oszołomiony tym widokiem nie zauważył niskiego mężczyzny, choć stał tuż przed nim.

– Jestem Yeseph, Starszy Curataków i kustosz biblioteki. Witaj.

Miał na sobie prosty strój: granatową tunikę i białą oponczę z brązo-wą lamówką.

– Miło mi cię poznać, szlachetny panie – odparł Quentin.

Był trochę rozczarowany, spodziewał się bowiem ujrzeć osobę o królewskim wyglądzie lub postawnego szlachcica, nie zaś niskiego, łysiejącego 151

mężczyznę, który lekko utykał, prowadząc go między rzędami półek.

– Chodź – powiedział kustosz. – Mamy wiele do pomówienia i wiele do oglądania. – Zatrzymał się między półkami. – Umiem rozpoznać miłośnika książek, kiedy go spotkam... tu jest twoje miejsce, i ty o tym wiesz.

Quentin chciał coś powiedzieć, ale słowa zaczęły mu umykać pod naporem niezwykłego doznania... miał wrażenie, że kiedyś już tutaj był... że wszystko to już gdzieś widział... jakby bardzo dawno temu...

Tak, na pewno tu był, a teraz powrócił.

## 23.

Zadumany Nimrood siedział na swym wielkim czarnym tronie, przypominając szmatę rzuconą przez wiatr. Wściekły na Jaspina za jego bez-skuteczne działanie, bez szczególnej ochoty myślał o tym, że przypadkowe spotkanie Theida z Pygginem jest lepszą okazją do ostatecznego pokonania pustelnika, niż mógłby sobie życzyć. Uważał, że Durwin wtrąca się w nie swoje sprawy i stoi mu kością w gardle.

Kiedy tak rozmyślał nad ostatnimi wydarzeniami, w jego głowie zaczęły nabierać kształtów nowy plan. Zawołał służbę i kazał przynieść sobie klucze, co natychmiast uczyniono, zawsze bowiem pośpiesznie wykonywano jego rozkazy, aby się nie narażać na gniew przewrotnego pana.

– Powiedz Eurykowi, że ma zaraz zejść do lochu – warknął do biednej trzęsącej się dziewczyny, która przyniosła mu wielkie kółko z kluczami, wyszarpnął je z jej drżącej ręki i zerwawszy się z tronu, jak nietoperz wybiegł z komnaty.

Euryk, człowiek niemal równie zły jak jego pan, znalazł Nimrooda, gdy ten bezskutecznie otwierał drzwi specjalnej celi w najgłębszej części lochu.

152

– Pozwól, panie, że ja to zrobię – mruknął smagły sługa przez szczerbate zęby.

Wziął klucze i po chwili odporne drzwi stały otworem. Czarodziej wszedł do mrocznego pomieszczenia. Klasnął w dłonie i z jego palców przeskoczył ogień na pochodnię w żelaznym uchwycie na ścianie.

Wręczył ją Eurykowi i gestem kazał mu oświetlać drogę.

Przez drzwi po drugiej stronie sali weszli do wąskiego korytarza z celami po obu stronach. Pośpiesznie je minęli i dotarli do wąskich kręconych schodów, prowadzących w dół do ciemnej piwnicy.

Kiedy się tam znaleźli, Nimrood ponownym klaśnięciem w dłonie zapalił pochodnie umieszczone wokół na ścianach. Ich migotliwy blask padł na dziewięć masywnych kamiennych stołów w trzech rzędach.

Na sześciu z nich leżały nieruchome postacie potężnych rycerzy w błyszczących zbrojach, z mieczami w zaciśniętych dłoniach na piersiach i tarczami na biodrach. Sprawiali wrażenie, że spokojnie śpią, gotowi w każdej chwili zerwać się na wezwanie. Mieli jednak szarą barwę ciała i zapadnięte oczy jak nieboszczycy.

– Legion Śmierci – syknął Nimrood. – Popatrz, Euryku. Budzi strach, nieprawdaż? Wkrótce będzie kompletny, a wtedy dam sygnał i ci rycerze wstaną jako moja armia. Z nimi zawojuję świat. Któż zdoła powstrzymać tych najśmielszych rycerzy, jakich kiedykolwiek widziano? –

Wymieniał ich, krocząc między kamiennymi stołami: – Hestlerid, Vorgil, Junius, Khennet, Geofric, Llewyn...

Euryk wskazał na trzy puste mary.

– Kto zajmie te miejsca?

– Jedno jest dla Ronsarda, który już by tu był, gdyby Pyggin i jego ludzie nie poszkapili sprawy... lecz dałem im jeszcze jedną szansę. Wiozą go teraz przez morze. Drugi stół jest dla króla Eskevara, który będzie dowódcą mojego legionu. Niedługo dołączy do swojego nowego oddzia-

tu. Jeszcze zwleka, bo ma bardzo silną wolę, ale moja wola jest silniejsza 153

i wkrótce będzie mój. Popatrz, jak spokojnie śpią, nawet śmierć nie ujęła im siły.

Oczy Czarnoksiężnika błyszcząły podnieceniem, kiedy patrzył na swe dzieło.

– A dla kogo jest ostatni blat, ten duży? – zapytał Euryk, który tak samo jak Nimrood uwielbiał czarną magię.

– Obawiałem się, że ostatnie miejsce musi zostać puste. Wielki rycerz Marsant zginął na tej mało ważnej wojnie z Gorrami, a ci ciemni barbarzyńcy spalili jego ciało. Ale jak się teraz okazuje, nie zabraknie mi rycerzy do kompletu, bo Theido, ten buntownik i renegat, nareszcie do nas dołączy. Niewątpliwie mi podziękuję, że umożliwiłem mu służenie jego królowi po śmierci tak samo, jak za życia.

– Ale jak to osiągnąć?

– Czyżbym ci nie mówił? Bogowie sprawili, że naprawdę mi się powiodło. Pyggin znalazł go na nabrzeżu w Bestou, gdzie statki czekają, aż będą mogły wypłynąć. Zdaje się, że ten durny rycerz chce się prze-prawić ze swymi towarzyszami na Karsh... przybędą tutaj. Skoro im tak pilno umrzeć, to nie sprawię im zawodu. Pyggin na pewno ich tu dostarczy, i to z taką kurtuazją, jakiej się nie spodziewają. Cha, cha!

Twarz Euryka promieniała w mdłym świetle pochodni. Aż błysnął

białkami oczu, z zachwytem myśląc o machinacjach swego podłego pana. Nisko mu się uklonił i rzekł:

– Na pewno będziesz rządził światem, Nimroodzie.

Przez kilka długich dni nikt nic nie robił, padał bowiem deszcz i port w Bestou spowijała mgła. Potem, któregoś dżdżystego popołudnia słoń-

ce nagle przedarło się przez chmury i zalało ziemię promienistą jasno-

ścią. Wszyscy marynarze ze swoim skromnym dobytkiem w płóciennych workach lub plecakach



jakby na sygnał wylegli z tawern i zajazdów, by potokiem ruszyć na nabrzeże. Tę noc spędzą już na statkach, a o świcie wypłyną.

154

Ledwie niebo nad horyzontem nieco się rozjaśniło, zapowiadając wschód słońca, Theido i jego towarzysze ruszyli do portu, gdzie wsiedli do łodzi z kilkoma innymi pasażerami, którzy mieli być przewiezieni na zakotwiczone statki.

Kilka z nich już płynęło w kierunku wąskiego wyjścia i one pierwsze znajdują się na pełnym morzu. Kiedy z pluskiem wiosła w zielonej wodzie odbijali od nabrzeża, Durwin i Alinea słyszeli głosy marynarzy nawołu-jących się z pokładów różnych statków i kapitanów obrzucających kł-

twami załogi zgnuśniałe przez zimę.

W miarę oddalania się od nabrzeża, garbaty grzbiet Tildeenu zdawał

się rosnąć w wiosennej mgiełce, wiszącej nad Bestou. Mewy cięły powietrze wąskimi skrzydłami, swym krzykiem jakby narzekając na ruch w porcie, kiedy przelatywały i nurkowały między statkami.

Trenn stał na dziobie łodzi, wskazując kierunek wioślarzom, Theido zaś siedział z tyłu i obserwował powoli oddalający się ląd.

– Wydajesz się smutny, dzielny rycerzu – zauważyła Alinea, widząc posępną minę Theida. – Powiedz nam, co cię trapi w taki piękny ranek.

Przecież w końcu wyruszyliśmy.

– Tej nocy źle spałem, pani. Miałem straszny sen i rzucałem się w łóżku. Obudziłem się zlany zimnym potem, lecz z tego koszmaru niczego nie pamiętam. Znikł jak mgła w promieniach słońca.

– Jednakże ciągle jesteś w ponurym nastroju, choć sen dawno się skończył.

Durwin przysłuchiwał się tej rozmowie, kiwając głową i pocierając dłonią policzek.

– Ja też miałem niespokojną noc – rzekł. – Mój sen wydaje się potwierdzać nasz wybór. Czasami powinniśmy wybierać najbardziej nie-prawdopodobne rozwiązanie... bóg ma swoje własne sposoby, często tajemnicze i zawsze nieobliczalne.

– Cóż, wyruszyliśmy jednak i nic nas nie powstrzyma – odparł Theido, wzruszając ramionami. – Co ma być, to będzie, ale bogowie

zobaczą, że nie siedzimy z założonymi rękami. Dobrze, że znów jesteśmy w drodze.

– Mam tylko nadzieję, że może zdążymy – powiedziała królowa.

Na chwilę odwróciła swą piękną twarz i w milczeniu spoglądała w dal.

– Tak... chyba wkrótce Jaspin zwoła regentów na naradę. O ile go znam, już ich przekupił, by zdobyć koronę – odezwał się Theido.

– Czasu nie da się poganiać – oświadczył Durwin. – Działamy tak szybko, jak możemy. Będę modlił się do boga, żeby tylko nic nie pokrzyżowało nam planów, a on jest sprawiedliwy i nie dopuści do naszego niepowodzenia.

– Dobrze mówisz, świątobliwy pustelniku. Ciągłe zapominam, że bóg, któremu ty służysz, jest inny niż nasi starzy bogowie. Ja tam jednak wolę polegać na sile mojego ramienia i mieczem walczyć o sprawiedliwość.

– Ramiona tracą siłę, a miecze tępieją, warto więc pamiętać, skąd się bierze siła twoich ramion i kto dzierży miecz, który nigdy nie tępieje.

– Świątobliwy pustelniku, opowiedz mi o swoim bogu – poprosiła Alinea, która uważnie przysłuchiwała się tej rozmowie. – Wydaje się, że on jest zupełnie inny niż kapryśni nieśmiertelni, których od dawna czci nasz lud. Jak myślisz, mogłabym go poznać?

– Ależ oczywiście, pani moja. On nie odprawia nikogo, kto doń przychodzi, a nauczanie osoby tak mądrej i pięknej jak ty będzie dla mnie zaszczytem i pozwoli wypełnić wolne godziny w czasie podróży –

odparł Durwin zadowolony, że będzie miał ucznia i pretekst do rozmów na swój ulubiony temat.

W tym momencie łódź dobiła do burty statku kapitana Pyggina.

– Pasażerowie! – zawołał Trenn, chwytając linę zwisającą z rufy.

156

Nad relingiem ukazała się twarz jakiegoś człowieka, który bacznie im się przyjrzał i zniknął. Po chwili spuszczone drabinkę linową.

Pierwszy wdrapał się na nią Trenn i pomógł wejść reszcie. Kiedy już byli na pokładzie, pojawił się zaspany Pyggin.

– Wszyscy są? Hm... wybaczenie, ale nie wiedziałem, że będę miał

honor podróżować z kobietą. Czuję się zaszczycony. Proszę tędy. – Po-

śpiesznie wskazał im drogę. – Pokażę wam, gdzie będziecie mieszkali.

Prowadząc ich przed sobą, kapitan dał załodze znak do odpłynięcia.

Nie widział tego ani Theido, ani Trenn. Nie zauważyli również, że kilku marynarzy skrada się za nimi

z kołkami w rękach.

– „Szara Mewa” to statek niewielki, ale mocny. Myślę, że wasza kwateryta okaże się należyta – powiedział Pyggin, wskazując wąskie drzwi, za którymi znajdowały się schody do ładowni.

– Nie ma więcej pasażerów? – zdziwił się Theido.

– Nie, w ogóle rzadko ich zabieramy... ale dla was, szlachetni państwo, zrobiliśmy wyjątek.

Po tych słowach otworzył drzwi i sprowadził ich na dół. Gdy tylko Theido wszedł do ładowni, a był ostatni, Pyggin zatrzasnął drzwi.

– Życzę przyjemnej podróży, szlachetni państwo! – zawołał.

Nim Theido zdołał zareagować, odgłos zasuwanych rygli i zamykanych klódek uświadomił im, że są uwięzieni. Theido bezskutecznie walił

w drzwi pięściami.

– Otwieraj, łajdaku! W imieniu króla! Otwieraj, powiadam!

Więźniowie usłyszeli szyderczy śmiech, a potem oddalające się kroki. Zostali sami.

– Więc jesteśmy w pułapce – rzekł Theido. – To moja wina... powinienem był słuchać rady naszego wiernego strażnika, Trena.

157

– Nie obwiniaj się, panie – powiedział Trenn. – To prawda, że miałem złe przeczucia, ale teraz lepiej się zastanówmy, co robić.

W tej samej chwili zza ściany z beczek dotarł do ich uszu ledwie uchwytny, cichy jęk.

– Cóż to za potwór tu się czai? – spytał Trenn nienaturalnym szeptem.

– Słuchajcie... – rzekł Theido.

Jęk się powtórzył; najpierw był cichy, potem coraz głośniejszy, a wreszcie zamarł, zupełnie jakby wydawało go jakieś zwierzę, które traci resztki sił.

– To nie potwór, lecz ranny człowiek – stwierdziła Alinea.

Po omacku szukając drogi w mrocznej ładowni, oświetlonej tylko przez nieliczne luki, przykryte kratami, królowa obesła zapleśniałe beczki, a za nią pozostali. W mdłym świetle dostrzegli sylwetkę człowieka z obandażowaną głową, leżącego na kupie brudnych szmat i lin.

Zobaczywszy współwięźniów, opadł na swe plugawe legowisko i zemdłał.

Coś w nieprzytomnym mężczyźnie zaintrygowało królową.

– Znam tego człowieka – oznajmiła nisko się nad nim pochylając. –

Ujęła w dłonie jego głowę i uważnie przyjrzała się twarzy pozbawionej czucia. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. – Czy to możliwe?

– Kto to, najjaśniejsza pani? – zapytał Trenn. – Poznajesz go?

– Sam zobacz – odparła pociągając Trenna za rękę.

Statek, który odpłynął już daleko od brzegu, zakołysał się i przez moment światło z luku padało bezpośrednio na twarz rannego.

– To Ronsard! – rzekła królowa, czule obejmując głowę wielkiego rycerza.

– Na wszystkich bogów! – wykrzyknął Trenn. – To naprawdę on!

## 24.

– Stoisz tam, szlachetny młodzieńcze, mrugając oczami – znowu odezwał się Yeseph. – Czy jest coś, czego twój język nie może powiedzieć, choć serce bardzo pragnie?

Wciąż pozostając pod silnym wrażeniem, że kiedyś stał w tym samym miejscu i rozmawiał z owym niskim sędziwym mężczyzną, zdumiony Quentin jedynie wybałuszał oczy.

W końcu wrażenie to minęło jak cień chmury, która na moment przykrywa słońce, i chłopiec przyszedł do siebie.

– Zdawało mi się, że już tu byłem i że ciebie znam – rzekł potrząsa-jąc głową, jakby chciał rozjaśnić sobie myśli.

Starszy Curataków uśmiechnął się ze zrozumieniem i lekko pochylił

czoło.

– Może i byłeś... tym bardziej więc mam powód, by traktować mojego gościa z honorami. – Odwrócił się i wprowadził chłopca między wysokie półki. – To całe moje życie – powiedział wskazując księgi dło-nią,

Idąc dalej, opisywał pracę w tej ogromnej bibliotece. Quentin, zafascynowany tym wszystkim, podążał za nim, słuchając w głębokim skupieniu, lecz ciągle miał wrażenie, że jest stąd, że w pewnym sensie wró-

cił do domu.

Zbliżyli się do rzędu stołów, przy których curatascy uczeni zawzięcie pracowali nad rękopisami, robiąc notatki i tłumaczenia. Yeseph zatrzymywał się obok każdego z nich, rzucał słowa zachęty lub odpowiadał na pytania. W końcu dotarli do jakichś otwartych drzwi i Quentin wszedł do pracowni Yesepha.

W tym niewielkim, skromnie umeblowanym pokoju zobaczył biurko z wysoką stertą zwojów i stół uginający się pod ciężarem jeszcze większej liczby ksiąg. Z okrągłego okna w suficie do wnętrza wpadało rześiste światło. Naprzeciwko siebie stały dwa lekkie krzesła. Yeseph 159

zamknął drzwi, żeby nikt nie przeszkadzał, a potem usiadł na jednym z nich, drugie wskazując chłopcu.

– Mollena mi mówiła, że masz pytania, na które podobno tylko ja mogę odpowiedzieć. A więc spróbuję – rzekł z zachęcającym uśmiechem.

Z początku Quentin zupełnie nie pamiętał, o co mu chodziło, lecz po chwili zastanowienia wszystko sobie przypomniał, ale teraz wydawało mu się to nieco mniej ważne wobec rzeczy, które tutaj zobaczył. Yeseph cierpliwie słuchał, kiedy chłopiec opowiadał mu o sporze między Theidem a

Durwinem i zastrzeżeniach rycerza w sprawie wyjazdu do Dekry.

– Ja jednak nie widzę podstawy do obaw, bo z pewnością nie ma tu nic złego – powiedział kończąc, a po chwili dodał: – Chyba że niebezpieczeństwo nie kryje się w Dekrze, lecz w powodach, dla których się do niej przybywa.

– Bystry jesteś – rzekł Yeseph z uśmiechem. – Sam bym tego lepiej nie ujął. Rzeczywiście nie ma tu żadnego niebezpieczeństwa, a te różne historie to jedynie zabobonna gadanina – zrobił drwiącą minę i z lekceważeniem machnął ręką. – Wymyślono je po to, by straszyć dzieci, ale muszę przyznać, że ich nie prostujemy. Nasza praca tutaj jest bardzo ważna i dobrze, że ludzie trzymają się z dala, tylko z rzadka nam prze-szkadzając. Nie dlatego jednak Theido się sprzeciwiał... on po prostu nie chciał, żeby Durwin tu przyjechał.

Yeseph wstał, założył ręce do tyłu i począł krążyć jak nauczyciel w czasie lekcji.

– Dekra jest jednym z ostatnich miejsc na ziemi, w którym istnieje energia, a Durwin to wie, tak samo jak Theido. – Zaśmiał się. – Jeszcze dobrze nie znasz swojego przyjaciela pustelnika, człowieka zdumiewają-

co utalentowanego. Niegdyś przyjechał do nas jako Najwyższy Kapłan świątyni Ariela. Przybył tu z pielgrzymką, by pogłębiać swoją wiedzę.

W owym czasie uważał, że tylko wiedza może przekształcić człowieka, uczynić go nieśmiertelnym, że dzięki niej człowiek dorówna bogom. U

nas jednak stwierdził, jak bardzo się mylił... To by zdruzgotało słabszego człowieka, lecz nie jego. On przeciwnie, stawał się coraz silniejszy, 160

odrzucając swoje dawne przekonania równie szybko, jak przyjmował

nowe. W ciągu trzech lat opanował wszystko, czego mogliśmy go nauczyć. Kiedy powrócił do świątyni Ariela, ogłosił swoje nowe poglądy i nową wiarę. Kapłani omal go nie zabili, a pewnie tak by się stało, gdyby nie obawa przed skandalem.

Starzec się zatrzymał, położył dłonie na oparciu swego krzesła i spojrzał na Quentina.

– Wówczas Durwin do nas wrócił, ale tylko na krótko, chociaż błagaliśmy go, by został i pracował razem z nami. Miał jednak ważniejsze rzeczy do zrobienia... bóg mu je objawił. Widzisz... wrócił tu tylko po to, by zostawić całą swą ziemską moc. Jako Najwyższy Kapłan długo studiował wiedzę czarnoksiężników, czarną magię, i sam ją biegle opanował. Widział ją jednak taką, jaka jest w rzeczywistości. Zdawał sobie sprawę, że to droga śmierci. Więc zostawił swą moc u nas, bo wiedział, że tutaj nikt nie wykorzysta jej do niecznych celów. Tak się złożyło, że gdy Nimrood powstał przeciwko Eskevarowi i jego królestwu, Durwin pomyślał, by tu wrócić, odzyskać swą moc i użyć jej w dobrej sprawie.

Zamierzał sam stawić czoło Nimroodowi. – Yeseph uśmiechnął się smutno. – Ale to niemożliwe.

Słowa starca powoli docierały do świadomości Quentina, a gdy chłopiec w pełni zrozumiał ich znaczenie, wykrzyknął:

– Więc co będzie z moimi przyjaciółmi?! Na spotkanie z takim wrogiem idą bez broni!

– Idą. Może i bez broni, ale nie bezbronni. Nie mogliśmy pozwolić, aby nasz czcigodny przyjaciel wziął na siebie takie straszne brzemie, bo by go zniszczyło. Również Theido to rozumiał, chociaż nie całkiem.

Wiedział jednak, że gdyby Durwin tu przybył, najprawdopodobniej oznaczałoby to jego śmierć.

– Ale zmienił zdanie... Dlaczego?

– Uległ wobec zagrożenia ze strony Łapaczy i na skutek uporu Durwina. Mimo wszystko to miało niewielkie znaczenie. Nie mogliśmy się zgodzić na ich plan. Durwin oddał swą moc, która jest i zostanie tutaj.

161

Quentinem targnęło rosnące wzburzenie, ale kierował się obawą o los przyjaciół i troską o ich bezpieczeństwo.

– Jak mogliście pozwolić im wyjechać?! – wykrzyknął zrywając się z krzesła.

O Nimroodzie wiedział tylko tyle, że wszyscy drżeli na dźwięk jego imienia. Wyglądało na to, że Czarnoksiężnik jest przyczyną wszelkich kłopotów w królestwie. Wprawdzie Quentin nie doznał nic złego ze strony Nimrooda, lecz w umyśle chłopca ukształtował się obraz niesamowitego zacięcia w straszliwej nienawiści, jaką żywił czarodziej, bliż-

szej zbrodniczemu potworowi niż istocie ludzkiej. Jego przyjaciele zaś wybrali się na poszukiwanie właśnie tego potwora, nie uzbrojeni w moc, którą Durwin mógłby rozporządzać.

– Jak mogliście pozwolić im wyjechać? – już spokojniej powtórzył z rozpaczą.

– A jak mogliśmy ich powstrzymać? – grzecznie odparł Yeseph.

– I co teraz będzie? – Quentin już spodziewał się najgorszego. –

Sami nie dadzą rady Nimroodowi.

Yeseph uśmiechnął się pewnie.

– Twoi przyjaciele nie są sami. Jest z nimi bóg.

Powiedział to tak zwyczajnie, z taką ufnością, że Quentin z całego serca pragnął w to uwierzyć, lecz przeszkadzały mu jego własne wątpliwości i wszystko, co widział w świątyni Ariela. Zrobił nieszczęśliwą minę.

- Bogowie mało dbają o sprawy ludzi. Nasze życie nic dla nich nie znaczy – powiedział z goryczą.
- Masz rację... a mimo to jesteś daleki od prawdy. – Yeseph podszedł do Quentina i wbił wzrok w jego brązowe oczy. – Najwyższy bóg jest jedyny. Inni bogowie to tylko plewy unoszone potężnym wiatrem, który się zrywa, kiedy on nadchodzi. Przy nim ich moc słabnie.
- Ale co sprawia, że ten bezimienny bóg różni się od wszystkich innych?
- On troszczy się o ludzi.

162

Znów Quentin bardzo pragnął w to wierzyć ze względu na przyjaciół.

Jednakże lata nauki w świątyni i jego dotychczasowa wiara zgasiły iskierkę nadziei, którą dały mu słowa starca.

– Chciałbym w to wierzyć.

– Nie martw się o swych przyjaciół – rzekł Yeseph, kładąc dłoń na ramieniu chłopca. – Ten bóg ma nad nimi pieczę.

– Oni wszyscy zginą! – wykrzyknął Quentin, przerażony samą my-

ślą, że jego bezbronni przyjaciele staną do walki z tym potworem Nimroodem.

– Mogą zginąć – przyznał Yeseph – lecz nie zostaną unicestwieni.

Są rzeczy straszniejsze od śmierci, choć nie sędzę, byś ty o nich wiedział. Byłoby gorzej, gdyby Durwin odzyskał moc, którą przed laty tu zostawił... ona by w końcu go zniszczyła. Stałby się taki sam jak Nimrood... Robiłby rzeczy, których tak nienawidzi. To znacznie gorsze niż honorowa śmierć. Ponadto – dodał Curatak łagodnym tonem – czy uwa-

żasz, że wiele by się zmieniło, gdybyś z nimi był?

Quentin opuścił głowę na pierś, policzki paliły go ze wstydu.

– Kimże jestem, by moja obecność mogła cokolwiek zmienić? –

drwił z siebie. – Nikim. W ogóle się nie liczę.

– Masz w sobie wiele wrażliwości, Quentinie – pocieszał go starzec.

– Jesteś młody, popędliwy... Kierujesz się bardziej sercem niż rozumem.

Jednakże to się zmieni.

– Ale czy mógłbym im w czymś pomóc? – spytał czując się jak po-rzucony niepotrzebny bagaż.



– Czy to dla ciebie naprawdę takie ważne? – rzekł Yeseph, badawczo mu się przyglądając.

Quentin w milczeniu skinął głową. Patrzył błagalnym wzrokiem na starca w nadziei, że ten podpowie mu jakiś sposób.

– Rozumiem. Drogi boga są rzeczywiście niezbadane. Zastanowię się nad twym pragnieniem i przedstawię je naszej radzie starszych. Są między nami tacy, którzy jaśniej ode mnie widzą, jak ręka boga kieruje losami ludzi. Do nich zwrócimy się o poradę.

Oczy chłopca zabłysły na te słowa i w jego sercu odżyła nadzieja.

Wychodząc od Yesepha, który wrócił do pracy, miał wrażenie, że ktoś zdjął zeń wielki ciężar, lecz nie wiedział, jak na to zareagować.

– Quentinie – odezwał się kustosz biblioteki, kiedy chłopiec był już w drzwiach. – Jesteś bystrzejszy, niż się wydaje. Spostrzegłem to natychmiast, gdy tylko zacząłeś mówić. Obiecuj mi, że kiedy to wszystko już się skończy, wrócisz i usiądziesz u moich stóp... wiele mógłbym cię nauczyć.

Tej nocy Quentinowi znów się śniło, że lata.

Jaspin zwołał wszystkich swoich zwolenników w głównej sali zamku Erlott. Wiosenne słońce stało już wysoko na niebie, mocno grzejąc ziemię. Z każdym dniem księżę zachowywał się coraz dziwniej – to był

zamyślony i melancholijny, to znów nadskakujący i wręcz jowialny.

Głębokie bruzdy wokół ust mówiły tym, co go znali najlepiej, że ma poważne kłopoty.

– Postanowiłem, że w ciągu dwóch tygodni trzeba zwołać Radę Regentów – powiedział zebranym.

Wielu rycerzy i szlachciców opuściło już Erlott Fields w swoich sprawach, lecz sporo zostało, by sprawić przyjemność księciu. Właśnie ci ostatni odpowiedzieli szemraniem na jego propozycję zwołania rady przed wyznaczonym terminem, czyli w połowie lata.

– Panie, musimy przeciwko temu zaprotestować – odważnie przemówił Naylor.

Tylko on i jego sąsiad, Holben, śmieli otwarcie sprzeciwić się księ-

ciu. Naylor, szef Rady Regentów, nie darzył Jaspina sympatią. Pozostali zaczęli trącać się łokciami i wyrażać swe poparcie dla Naylora kiwaniem głów.

164

– Po tylu latach rada zapewne może dalej wykonywać swoje obowiązki według ustalonego porządku. – Zaśmiał się z przymusem, świa-domy grożącego mu niebezpieczeństwa. – Nie widzę powodu, żeby od tego odstępować.

Wyzwanie to podrażniło ambicję Jaspina.

– Będzie, jak zdecydowałem – rzekł stanowczym tonem – i ty, mo-

ści panie, sam się o tym przekonasz. – Jaspin wbił w Naylora lodowate spojrzenie, a potem prowokującym wzrokiem kolejno przyglądał się każdemu, jakby szukał tego, który odważy mu się przeciwstawić. – I również ty, mości panie, przygotujesz i każesz wysłać zawiadomienia do wszystkich nieobecnych członków rady, że jej posiedzenie odbędzie się tutaj, w Erlott, a nie w Paget.

– A jeśli odmówię? – spytał Naylor z rosnącym wzburzeniem.

Księżę albo nie zdawał sobie sprawy, albo nie dbał o to, że pogarsza swoją sytuację zmuszaniem szefa regentów. Jaspin był jednak człowiekiem nie potrafiącym z niczego zrezygnować, niby kundel, który nie da sobie odebrać kości. Nawet ci, co z radością poparliby księcia, gdyby dał

im możliwość uczynienia tego z własnej woli, teraz niechętnie myśleli o wybraniu go na króla z jego rozkazu, podejrzewali bowiem, że właśnie takie ma plany. Ogarniało ich przerażenie na samą myśl, że elekcja mogłaby się odbyć w jego zamku, a nie w Paget, jak nakazywała tradycja.

Jaspin pragnął jedynie przyspieszyć zebranie rady, a nie wolno mu było brać w nim udziału, jako że jego wybór na króla miał być głównym tematem obrad. Wobec tego postanowił przenieść je do swojego zamku, by znacznie szybciej dowiedzieć się wyniku i oszczędzić sobie kilku-dniowej podróży do Paget. Tymczasem pomysł ten wywołał ogólne niezadowolenie. Gdyby Naylor nie rzucił księciu wyzwania, Jaspin pewnie dałby sobie wszystko wyperswadować, jeśli zrobiłby to ktoś bardziej opanowany, na przykład Onteskusz. Sprawa jednak zaszła zbyt daleko i księżę chciał postawić na swoim.

Szef regentów pośpiesznie naradzał się z Holbenem.

165

– Zrobię, co każesz, panie mój – w końcu oznajmił Naylor przez za-ciśnięte zęby – ale możesz jeszcze pożałować swojego uporu w tej sprawie. – Odwrócił się i ruszył do drzwi, odprowadzany chmurnym spojrzeniem księcia. – Za twoim pozwoleniem, panie – rzekł i wyszedł z sali.

Uwięzieni nie słyszeli już nic więcej, oprócz sporadycznych przekleństw swoich prześladowców, krzątających się po pokładzie, i plusku fal omywających burty. W ciągu czterech dni żeglugi tylko dwukrotnie nakarmiono ich razowym chlebem, ale ponieważ mieli dostęp do całych zapasów wody na statku, więc nie cierpieli z pragnienia.

Ronsard odzyskał przytomność dzięki opiece Alinei. Starania królowej i lekarskie umiejętności Durwina sprawiły, że z każdą godziną czuł

się lepiej. Choć Alinea nalegała, by spokojnie leżał, przeważnie jej nie słuchał, podniesiony na duchu obecnością przyjaciół. Mieli sobie wzajemnie wiele do powiedzenia.

– Przykro mi to mówić, najjaśniejsza pani, ale boję się o króla –

rzekł unosząc się na łokciu. – Nimrood to przebiegły wąż i jego knowań nie da się przewidzieć. Możemy jednak być pewni, że wszystkim, którzy są w jego zasięgu, grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

– To on namówił Jaspina do zdrady i bezczelnych starań o tron, aczkolwiek księcia nie trzeba było zbyt długo przekonywać – powiedział Theido. – Słyszałem też, a już ćwierkają o tym wróble, jakoby Nimrood szykował armię, choć nie mogę się nadziwić, że ktoś chce walczyć w jego imieniu. W Elsendorze krążą pogłoski o jakimś Legionie Śmierci.

– Na Orphe, nie! – wykrzyknęła przerażona królowa, z trudem chwytając powietrze. – To zbyt straszne, żeby o tym myśleć.

– Czyżby dysponował aż taką mocą? – zdumiał się Trenn.

166

– Niestety, a my nie mamy czym go powstrzymać... jeśli będziemy sami – odparł Durwin.

– Znajdziemy jakiś sposób – odezwał się Theido z oczami pełnymi gniewu na nikczemnego Czarnoksiężnika. – Powstrzymamy Nimrooda.

Klnę się na własne życie!

– A ja nie mogę nawet utrzymać miecza – lamentował Ronsard.

Jego towarzysze widzieli, jak walczy z bólem, próbując się podnieść.

– Nie wstawaj, dzielny rycerzu. Odpoczywaj, musisz najpierw odzyskać siły – rzekła Alinea i delikatnie położyła mu dłonie na ramionach.

– Co za los – żalił się Ronsard. – Choćbym nawet zdołał utrzymać dziesięć mieczy, to w potrzebie nie mam ani jednego.

– Obawiam się, że wkrótce, o wiele za wcześnie, zbraknie akurat nie oręża, lecz rąk, by nim władać. Jeszcze będziesz miał okazję, Ronsardzie. Ciesz się więc i módl o wyzdrowienie – łagodnie powiedział Durwin, wbijając wzrok w oczy nachmurzonego rycerza.

Tamten zamrugął, pokręcił głową, która za moment mu opadła, i usnął.

– Żebym to ja miał taką samą moc oddziaływania na naszych nieprzyjaciół jak na rany dzielnych rycerzy – westchnął pustelnik.

Trenn spojrzał nań z podziwem.

– Ręczę, że masz jej dość i wystarczy ci do różnych celów. Może ci się uda zaczarować tego Nimrooda, żeby usnął tak samo jak przed chwilą Ronsard.

–

Chciałbym. Niestety, pozostała mi tylko moc leczenia, którą w potrzebie można wykorzystać również do czego innego. Jednakże, gdybym jej użył na czyjąkolwiek szkodę, nawet Nimrooda, wówczas natychmiast bym ją stracił. – Zamyślił się i umilkł, a potem mówił dalej z ożywieniem: – Wciąż jednak wiem, jak używać różnych leczniczych wyciągów i naparów, a także jak mieszać różne składniki. Oj, że też wcześniej na to nie wpadłem. Zbliżcie się! Mam pewien plan.

167

Wkrótce potem więźniowie usłyszeli zgrzyt klucza w kłódce i odsuwanie zardzewiałych rygli. Brzęknęły opadające łańcuchy i przez szeroko otwarte drzwi do ładowni wpadł snop światła.

– Ufam, że moim pasażerom rejs się podoba – odezwał się ktoś po chwili grubym głosem.

Był to kapitan Pyggin, którego korpulentna postać ukazała się na schodach w towarzystwie dwóch innych łotrów.

– Daj im żarcie – rozkazał jednemu z nich, drugiego zostawiając na straży.

– Na Zoara! Ja wam pokażę! – wykrzyknął Trenn, zrywając się na równe nogi.

W ręku strażnika natychmiast błysnął długi nóż.

– Nie groź, jeśli ci życie miłe – ostrzegł go Pyggin. – Moi ludzie nie są tak grzeczni jak ja. Mordują dla zabicia czasu.

Trenn powoli się cofnął.

– Czego chcesz, piracie? – obojętnie spytał Theido.

– Pragnę tylko powiedzieć, byście się nacieszyli ostatnimi godzinami życia – odparł kapitan, lubieżnie spoglądając na urodziwą Alineę. –

Za dwa dni będziemy u celu.

Machnął ręką, a wtedy marynarz postawił przed nimi żelazny garnek i cisnął dwa bochenki chleba na brudną podłogę.

Pyggin zabrał się do wyjścia.

– Smacznego! – powiedział złośliwie i z drwiącym śmiechem wspiął się na schody.

Strażnik patrzył wyzywająco spod przymkniętych oczu, jakby chciał

ich sprowokować, aby się na niego rzucili. Kiedy wyszedł i zatrzasnął

drzwi, ponownie zrobiło się ciemno. Z powrotem założono łańcuchy i spięto je kłódkami.

– Pamiętajcie, to ostatnie dwa dni waszego życia! – szydził Pyggin przez kratę luku.

168

– I pomyśleć, że zapłaciłem temu draniowi za naszą podróż – mruknął Trenn, gdy kapitan odszedł.

– Przecież wiezie nas tam, dokąd chcieliśmy – zauważył Durwin.

– Owszem, ale nie tak, jakieśy sobie życzyli – odparł Theido. – W

ciągu dwóch dni jednak wiele może się zdarzyć.

## 26.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca barwiły niebo purpurą, a ob-

łoki fioletem. Quentin szedł swobodnie, choć nerwowo, między Mollena a Tolim. W oddali przed nimi wznosiła się wdzięczna sylwetka świątyni Arigów.

Tym razem Mollena była ubrana na biało, w długą, powiewną suknię ze srebrną lamówką, a siwe włosy miała zaczesane do tyłu, tak że opada-

ły jej na plecy. Zerkając na nią, Quentin pomyślał, że tego wieczoru obudziła się w niej kobieta. Nie wyglądała na swoje lata – jej skóra była gładka, zmarszczki bowiem znikły pod wpływem rozpromienienia, jakiego jeszcze u niej nie widział.

– Tak, tak, to Mollena, nikt inny – odpowiedziała na pełne zdumienia spojrzenie chłopca; jej oczy zabłyśły, kiedy się zbliżyli do oświetlonej pochodniami alei, która prowadziła do świątyni.

– Dziś jesteś piękna, Molleno – rzekł Quentin, równocześnie zmieszany i ucieszony.

Roześmiała się.

– Mówisz tak, bo jeszcze nie poznałeś naszych panien.

Quentin drgnął, uświadomił sobie bowiem, że w ogóle ich nie pozna

– rano zamierzali z Tolim wyjechać. Przeniósł spojrzenie z uśmiechnię-

tych ust Molleny na głęboko osadzone, ciemne oczy Jhera. Toli, podobnie jak Quentin, ubrany był w błękitną opończę i białą tunikę ze srebrnym haftem przy szyi. Ze swą brązową skórą i błyszczącymi czarnymi

włosami wyglądał niczym pelgriński książę. Choć początkowo mieli trudności z namówieniem go, by zdjął swoje surowe skóry, sprawiał

wrażenie osoby nawykłej do tak wykwintnego stroju.

Quentin był zbyt zdenerwowany, by cieszyć się swoim ubiorem – po-za krótkimi chwilami, gdy zapominał, co go czeka. Miał bowiem wziąć udział w specjalnych obrzędach, które przygotowano w świątyni na jego cześć. Yeseph mu wyjaśnił, że otrzyma szczególny dar – błogosławień-

stwo Arigów. Chłopiec mógł się jedynie domyślać, co to będzie.

– A więc jesteście – powiedział Yeseph.

Quentin nie od razu go dostrzegł, podziwiał bowiem smukłe kształty cienkiej jak palec środkowej wieży świątyni. Do wnętrza wlewał się nieprzerwany potok ludzi ubranych z równie prostą elegancją jak Mollena i Yeseph.

– Chodźcie, pokażę wam nasze miejsca – rzekł starzec.

Quentin usłuchał bez słowa, pochłonięty wszystkim, co się działo wokół niego. Kiedy wchodzili do przedsionka świątyni, chór zaintonował jakąś pieśń.

Yeseph prowadził ich zwawym krokiem. Między ogromnymi wiszą-

cymi tkaninami, które mijali pod drodze, chłopiec widział wiernych, niemal całkowicie wypełniających sanktuarium.

Obeszli półkoliste audytorium i znaleźli się przy bocznym wejściu, gdzie trzech mężczyzn, odzianych w długie białe togi, czekało w towarzystwie kilku młodzieńców, trzymających w dłoniach duże złote świece. Jeden z mężczyzn, których Quentin słusznie wziął za kapłanów, po-dał Yesephowi białą togę i starzec włożył ją.

– Teraz jesteśmy gotowi – powiedział. – Quentinie, idź za mną i rób, co ci wcześniej mówiłem. Molleno, zajmij z Tolim miejsca w pierwszym rzędzie. Stamtąd wszystko będziecie dobrze widzieli.

170

Trzej kapłani, czyli Starsi, utworzyli szereg. Yeseph do nich dołączył, mając za sobą Quentina. Młodzieńcy ze świecami ustawili się po obu stronach tworząc, jak pomyślał chłopiec, imponującą procesję. Potem wszyscy ruszyli szerokim przejściem w stronę podwyższenia, za którym wisiała ogromna złota tkanina, błyszcząca w blasku setek świec niczym w słońcu.

Miejsca siedzące tworzyły półkole na podwyższeniu za dużym kamiennym ołtarzem. Wszedłszy na ostatni stopień, kapłani zbliżyli się do swoich krzeseł, a młodzieńcy powstawiali świece do lichtarzy wokół

ołtarza. Yeseph zajął miejsce blisko środka; Quentin usiadł obok, po jego prawej ręce.

– Słuchaj uważnie i rób, co ci powiem – pouczył go starzec. – Teraz nastąpi inwokacja, czyli wzywanie Jedyne, by wysłuchał naszych modłów. Później starszy Themu wygłosi krótkie orędzie do ludu. Kiedy skończy, kolej na nas. Obaj podejmiemy do świętego miejsca. Ja pierwszy, ty za mną.

Kiedy Quentin skinął głową na znak, że zrozumiał, chór zaczął krótką pieśń, którą podchwycił jeden z kapłanów wstępujących na to, co chłopiec początkowo wziął za ołtarz, a było kamiennym sześcianem, ustawionym w środku podwyższenia. Z tyłu znajdowały się stopnie, by mówca mógł nań wejść. Wokół kamienia płonęły świece, umieszczone tam przez młodzieńców.

– O, wielki Peranienim-Perano, królu królów, ty, co zawsze słu-chasz naszych modłów, wysłuchaj nas i teraz!

Inwokacja wydawała się Quentinowi nieco podobna do tych, które znał ze świątyni w Narramoor, a równocześnie zupełnie inna. Te same słowa wypowiedano w całkiem odmienny sposób. Nie było w nich żadnego strachu, skrzepowania czy ostentacyjnej uniżoności wobec boga.

Starszy mówił prostym językiem, głosem pewnym, jakby z przekonaniem, że bóg go słyszy tak samo jak setki wiernych w świątyni. Quentin niespokojnie wiercił się na krześle, trochę onieśmielony świadomością, że bóg to wszystko widzi i słyszy.

171

Chłopiec próbował sobie wyobrazić, że czuje boską obecność, i nagle ze zdziwieniem doznał najprawdziwszego wzruszenia. Łamał sobie głowę nad tym, skąd się ono wzięło, a tymczasem ceremonia toczyła się dalej ustalonym trybem.

Kiedy w ogromnej sali przebrzmiały ostatnie słowa orędzia Themu, Yeseph wstał i za jego przykładem Quentin zerwał się na równe nogi.

Przez całą mowę chłopiec miał wrażenie, że śni na jawie – zdawało mu się, jakby dopiero przed chwilą usiadł, choć pamiętał śpiewy i czytanie świętych pism, ale wszystko to zlało się w jedną całość. Teraz szedł za Yesephem w stronę kamienia.

– Moi drodzy przyjaciele – zwrócił się starzec do zebranych wiernych.

Quentin nie widział nic, oprócz setek oczu lśniących w blasku świec.

– Dziś zgromadziliśmy się tutaj, by udzielić błogosławieństwa Arigów temu oto młodemu człowiekowi, który w Dekrze jest gościem –

ciągnął Yeseph, a kiedy wszyscy z uznaniem pokiwali głowami, dodał: –

Przyłączcie się więc do naszych modłów.

Dał znak młodzieńcom, którzy ruszyli przodem, niosąc płytkie miski ze świecami, a potem jeden za drugim skierowali się do tylnej części podwyższenia. Za nimi szedł Yeseph z Quentinem, a następnie pozostali Starsi. Kiedy wszyscy zbliżyli się do cudownej złotej tkaniny, dwaj młodzieńcy odsunęli ją na bok i chłopiec zobaczył wąskie wejście. Yeseph wszedł do krótkiego ciemnego korytarza, gdzie mrok rozpraszały jedynie świece, i poprowadził wszystkich do jakiejś komnaty.

Quentinowi przypominała pusty grobowiec, wykuty w skale. Przez całą długość jednej ściany biegł kamienny występ. W blasku świec, któ-

re młodzieńcy w milczeniu rozstawiali wokół, chłopiec nie zauważył

żadnych symboli ani ozdób. Usłyszał cichy plusk wody i wówczas w drugim końcu tego prostokątnego pomieszczenia spostrzegł niewielką fontannę, spokojnie tryskającą w zagłębieniu wydrążonym w podłodze.

172

Starsi zajęli miejsca na kamiennym występie, Yeseph zaś podprowadził Quentina do fontanny.



– Uklęknij – rozkazał.

Chłopiec wykonał polecenie i jego kolana dotknęły zimnego gładkiego kamienia. Panowała taka cisza, że słyszał oddechy Starszych i szmer fontanny. Wtedy Yeseph pochylił się nad nim i rzekł:

– Oto miejsce, gdzie znajduje się moc, święte miejsce Arigów, tutaj bowiem każdy młody Ariga, osiągnąwszy pełnoletniość, otrzymywał

błogosławieństwo. W ciągu całego życia otrzymywali wiele błogosławieństw, ale to było wyjątkowe, gdyż udzielał go nie Starszy czy kapłan, lecz Whist Orren, sam Najwyższy Bóg. Owo szczególne błogosławień-

stwo towarzyszyło im przez całe życie, stając się jego częścią. Nie moż-

na było sobie na nie zasłużyć, nie wymagało też ślubowania czystości ani posłuszeństwa. Po prostu jest darem boga. Chcąc je otrzymać, wystarczy tego pragnąć i mieć szczere serce. Wobec tego powiedz, czy istnieje jakikolwiek powód, który by ci uniemożliwił przyjęcie błogosławieństwa Arigów?

W czasie gdy Yeseph mówił te słowa, Quentin patrzył w fontannę.

Teraz podniósł wzrok i spojrzał w jego łagodne oczy.

– Nie – odparł cicho. – Moim pragnieniem jest je otrzymać.

– Niech więc się stanie – rzekł Yeseph i unosząc dłonie nad głową chłopca, zaczął się modlić: – Najwyższy Boże, oto ten, co chciałby być twym wyznawcą. Przemów doń, czerpiąc ze swej mądrości i prawdy.

Pobłogosław go.

Quentina znów uderzyła prostota tej modlitwy, która była zwykłą prośbą, niczym nie upiękzoną i wypowiedzianą spokojnie, z przekonaniem, że zostanie spełniona.

Yeseph schylił się nad fontanną i nabrawszy w dłonie wody, podał ją chłopcu.

– Pij – rozkazał.

Quentin wypił trochę, a wtedy starzec dotknął jego czoła mokrymi czubkami palców.

173

– Woda jest symbolem życia. Potrzebują jej wszystkie żywe istoty, a zatem jest symbolem Stwórcy Życia, Whist Orrena. Zamknij oczy –

rzekł i zaintonował starożytną pieśń.

Początkowo chłopiec nie mógł rozróżnić słów, wibrujący głos starca dudnił bowiem w skalnej komnacie. Pieśń Yesepha zdawała się wypeł-

niać pomieszczenie i wtedy Quentin uświadomił sobie, że już wszyscy śpiewają. Była to pieśń o bogu i jego obietnicy, że zstąpi, by własnymi drogami poprowadzić swój lud. Wzruszony chłopiec też ją podchwycił, gdy powtórzyła się jej prosta melodia.

Śpiew stopniowo ucichł i wówczas Quentin usłyszał jakiś głos. Nie wiedział, kto mówi. Może on sam? Ów głos zdawał się przemawiać w głębi jego serca.

Quentin widział siebie jak we śnie. W dalszym ciągu klęczał na kamiennej posadzce, ale wokół rozciągała się wspaniała bezgraniczna łąka w zielonej dolinie, skrzęcej się miodowym blaskiem. Nad doliną zdawa-

ła się unosić złocista mgiełka.

W powietrzu czuło się zapach sosny i delikatną woń świeżej trawy.

Niebo tworzyło jasnoniebieską kopułę, która mieniła się subtelnymi odcieniami błękitu. Słońca nie było, lecz zarówno niebo, jak i dolina sprawiały wrażenie, że są pełne światła.

Nie opodal płynął strumyk, a jego plusk brzmiał w uszach chłopca niczym wesoła muzyka. Krystalicznie czysta woda tańczyła po gładkich okrągłych kamieniach.

Scena ta tchnęła spokojem i Quentin czuł wzbierającą w nim radość, która wytrysnęła niby fontanna. Ze szczęścia serce wrywało mu się z piersi.

Głos, który przedtem słyszał, znowu się odezwał:

– Poznajesz mnie, Quentinie?

Chłopiec rozejrzał się nieco trwożliwie, ale w pobliżu nikogo nie dostrzegł. Był zupełnie sam. Głos jednak mówił dalej:

– Słyszałeś mnie w nocnej ciszy, szukałeś zaś w głębi swego serca.

Choć zmierzałeś do mnie przez świątynie innych bogów, to jednak cię nie odrzucam.

174

Quentin zadrżał i nieśmiało spytał:

– Ktoś ty? Powiedz mi, bym mógł cię poznać.

– Jestem Stwórcą, Jedynym i Najwyższym. W mej obecności inni bogowie trzęsą się ze strachu. Tylko ja jestem godny twego poświęcenia.

Quentin zdał sobie sprawę, że już wielokrotnie słyszał ów głos albo bardzo tego pragnął, gdy samotnie płakał w mrocznej celi w świątyni.

Znał go, choć dotychczas jeszcze nigdy nie brzmiał w jego uszach tak czysto i wyraźnie.

– O, Najwyższy, dopuść, by twój sługa cię zobaczył – błagał chłopiec.

W jednej chwili spokojną łakę zalało olśniewająco białe światło i Quentin zasłonił twarz ramieniem.

Kiedy odważył się zerknąć między palcami, ujrzał przed sobą migotliwą ludzką postać.

Ten wysoki mężczyzna o szerokich ramionach był dość młody, lecz jego rysy znamionowała mądrość dojrzałego przywódcy. Jego sylwetka zdawała się lekko falować, jakby chłopiec widział jej odbicie w wodzie.

Mężczyzna wyglądał na osobę z krwi i kości, ale o niewyraźnych konturach, jak gdyby był obrysowany żywym światłem lub otoczony tęczą aurą.

Uwagę Quentina przyciągnęła jego twarz, jaśniejąca niczym wypolerowany brąz. Chłopiec nie mógł oderwać wzroku od ciemnych oczu o niezwykle głębokim wejrzeniu, płonących jak rozżarzone węgle. Patrzy-

ły z miłością – łagodnie, choć zdecydowanie, władczo, a zarazem opiekuńczo. Biło z nich jakieś pragnienie, którego Quentin nie umiał nazwać.

Nagle poczuł obawę przed przebywaniem w zasięgu wzroku owej świetlistej postaci.

– Nie bój się – przemówił tamten niewypowiedzianie łagodnym tonem. – Od dawna jesteś pod moją opieką. Spójrz na mnie, a twoje serce się przekona, że masz we mnie przyjaciela.

Quentin popatrzył nań i wtem doznał olśnienia, czuł się, jakby przed chwilą, po długiej rozłące spotkał bliskiego druha albo brata. Do oczu napłynęły mu łzy.

175

– Błagam, nie jestem godzien...

– Mój dotyk cię oczyści.

Chłopiec poczuł na czole ciepło, kiedy dotknęły go dwa palce, i w miarę jak rozchodziło się po całym ciele, znikало wszelkie onieśmienie. Quentin miał ochotę skakać z radości, śpiewać i tańczyć przed świetlistą istotą, która się nad nim pochylała.

– Pragniesz błogosławieństwa – rzekł tamten. – Musisz tylko o nie poprosić.

Chłopiec bezskutecznie próbował znaleźć odpowiednie słowa.

– Nie wiem, jak to zrobić... chociaż w głębi serca czuję, że jest mi bardzo potrzebne.

– Więc poprośmy twoje serce, by nam ujawniło, co się w nim kryje.

Z gardła Quentina dobył się przeciągły jęk smutku i udręki, jakiego jeszcze nie słyszał. Chłopiec miał wrażenie, że w piersi pękła mu jakaś tama i wszystko, co powstrzymywała, wylało się na zewnątrz.

Jęk skończył się równie nagle, jak zaczął, i tylko w oddali nikło jego echo. Zdumiony Quentin zamrugał oczami, wstrząśnięty gwałtownością swoich własnych nie wypowiedzianych uczuć, to właśnie one bowiem wyrwały mu się z piersi.

– Twe serce ma liczne strapienia – rzekł Świetlisty. – Boisz się o przyjaciół. Trwoży cię to, co może ich spotkać, jeśli nie będziesz z nimi.

Pragniesz pewności, że uda ci się wyzwolić króla, który jest w rękach złego człowieka.

Quentin w milczeniu skinął głową. Rzeczywiście to wszystko odczuwał w ciągu ostatnich kilku dni.

– Jednakże jeszcze bardziej od tego pragniesz ważniejszych rzeczy: mądrości i prawdy. Chcesz się dowiedzieć, czy istnieją prawdziwi bogowie, do których ludzie mogliby się modlić i którzy by wysłuchali ich modlitw.

Tak było. Chłopiec przypomniał sobie wszystkie długie noce, które samotnie spędził w swojej celi, gorąco tego pragnąc.

176

– Quentinie – powiedział Świetlisty i unióś nad nim otwartą rękę. –

Moje drogi wiodą do mądrości, moje słowa są prawdą. Szukaj ich, a nie zaznasz strachu. Szukaj mnie, a znajdziesz życie. Prosisz o błogosławieństwo, więc ci je daję. Twoje ramię będzie silne, dłoń sprawiedliwa.

Choć ogarnie cię znużenie i choć będziesz kroczył w mroku, to jednak niczego się nie obawiaj. Ja ci dam siłę i oświetlę ci drogę. Będę twoim pocieszycielem i przewodnikiem. Nie zaprzyj się mnie, a przyniosę ci wieczny pokój.

Quentin głęboko zajrzał mu w oczy i poczuł, że zapada się w nieskończoną pustkę czasu, jak gdyby w mrok bezgwiazdnej nocy. Oczyma boga, nie własnymi, zobaczył przed sobą jeden ciągły, uporządkowany obraz przeszłości i przyszłości.

Wtem ujrzał jakiegoś mężczyznę. Wydał mu się znajomy. Był to rycerz gotowy do bitwy. Zbroja na nim błyszczała niczym diament; trzymał płonący miecz i tarczę, z której bił zimny blask, jakby rozpraszała światło niczym pryzmat.

Rycerz coś powiedział, unióś miecz i ciemność przed nim pierzchła.

Później jednym potężnym zamachem wyrzucił miecz w górę, a ten zawisł w powietrzu i wirował, miotając języki ognia po całym niebie.

Kiedy rycerz się odwrócił, wstrząśnięty chłopiec rozpoznał w nim siebie – starszego i silniejszego, ale siebie.

– Jestem panem wszystkiego – odezwał się tamten głos. – Jam Władca Wszechrzeczy.

Wizja zniknęła i Quentin znów patrzył w oczy Świetlistego. Teraz jednak wiedział, że to oczy samego boga, który tylekroć wołał go nocą po imieniu.

– Pójdiesz za mną, Quentinie? – łagodnie spytał bóg.

W przyływie wzruszenia chłopiec rzucił mu się do stóp i dotknął ich dłońmi. Do jego ciała przepłynęła strumieniem żywa energia i poczuł się tak silny, mądry i pewny jak nigdy. Miał wrażenie, że dotknął źródła samego życia.

– Pójdę – odparł cicho drżącym głosem

– Więc wstań. Otrzymałeś swoje błogosławieństwo.

177

Kiedy Quentin przyszedł do siebie, leżał w ciemności na boku. W

plytkiej misce płonęła jedna świeca. Przed nim tryskała fontanna, a jej plusk tylko podkreślał ciszę panującą w komnacie. Chłopiec uniósł głowę, rozejrzał się i zobaczył, że jest sam.

Wstał, by opuścić sanktuarium, a wówczas w prawej ręce poczuł

dziwne mrowienie – równocześnie gorąco i zimno. Zatrzymał się, przez chwilę ją rozcierał, a potem wyszedł.

Z niskich szarych chmur na ponurym niebie siąpiła bardzo nieprzyjemna mżawka. Droga coraz bardziej przypominała strumień błota, który powoli spływał stokiem wzgórza, wijąc się wśród ogromnych drzew iglastych. Quentin, jadący na Balderze, i Toli, dosiadający czarno-białego kuczka, pozostawionego przez przyjaciół, ześlizgiwali się szlakiem w głuchej ciszy, otulającej ich niby grube opończe, w jakie się owinęli, by nie zmoknąć. Droga z Dekry na wschód była jednak znacznie lepsza od bagnistego labiryntu, którym z trudem się posuwali, zmierzając do zrujnowanego miasta. Quentin zatem popuścił wodze Balderowi, a sam oddawał się rozmyśleniom. Przypomnił sobie pożegnanie z Yesephem, Molleną i pozostałymi Curatakami.

Było to smutne rozstanie, bardzo ich bowiem polubił, choć przebywał

z nimi tak krótko. Na pożegnanie powiedzieli tylko kilka słów – przy takich okazjach lud ten nie lubił dużo mówić w przekonaniu, że pewnego dnia wszyscy, którzy wierzą w boga, znowu się spotkają i zawsze będą żyli razem. Kiedy konie zaczęły niecierpliwie bić kopytami w ziemię, Quentin trochę niezgrabnie uściskał Mollenę i objął Yesepha.

– Wróc Quentinie, gdy już zrobisz to, co zamierzasz – rzekł starzec.

– Chciałbym mieć takiego ucznia.

– Wrócę, jak tylko będę mógł – obiecał chłopiec, wskakując na siodło. – Jestem wam wdzięczny za wszystko. Byliście bardzo mili. Dzię-

kuję.

178

– Niech was bóg prowadzi – powiedziała Mollena.

Odwróciła twarz, lecz Quentin zauważył, że w jej oku błysnęła łza.

Jeszcze raz tęsknie na nich spojrzął, a potem odwrócił konia i ruszył w dół stokiem wzgórza w stronę lasu. Długo oglądał się przez ramię, jakby chciał utrwalić w pamięci ten obraz. Pragnął na zawsze wszystko zapamiętać: jasne słońce na wysokim niebie z białymi chmurkami, wdzięcznie się wznoszące czerwone mury miasta, wiosenne powietrze, które uderzało do głowy, przyjaciół stojących w szeroko otwartej bramie i machających rękami na pożegnanie, póki nie przysłoniło ich wybrzuszenie zbocza.

Quentin dotychczas nie przeżył tak wzruszającego rozstania. Kapłani w świątyni zawsze odnosili się doń chłodno, nie zwykli nikogo witać ani żegnać.

Był bardzo podniecony. Serce trzepotało mu w piersi jak ptak wypuszczony z klatki po długiej niewoli. Chłopiec szybko otrząsnął się z melancholii, która go ogarnęła podczas rozstania, i teraz rozpierała go radość życia. Cieszył się, że wrócił na szlak, i znów odczuł ulgę, jakiej doznał po

wczorajszej wizji.

Ostatniej nocy bardzo źle spał. Po uroczystościach na jego cześć, po-

łączonych ze śpiewem, tańcem i grami, bardzo późno wrócił z Tolim do mieszkania Molleny w Pałacu Gubernatorskim.

Opowiedział im o swojej wizji. Yeseph i kilku innych Starszych, któ-

rzy również tam byli, uważnie go słuchali, kiwając głowami i skubiąc brody.

– Twoja wizja to ważny znak. Jesteś wybrańcem boga – rzekł Yeseph. – On ma dla ciebie jakieś szczególne zadanie.

– Błogosławieństwo Arigów samo w sobie jest źródłem mocy –

odezwał się zamyślony Themu – umożliwiał bowiem osiągnięcie celu, w jakim zostało udzielone. Najwyższy Bóg błogosławi każde czyste serce, dając mu równocześnie siłę urzeczywistniania własnych zamiarów. Re-alizując je, znajdziesz szczęście i spełnienie.

– Cóż zatem oznacza moja wizja? – spytał Quentin, zaintrygowany tymi słowami.

179

– Ty masz to odkryć. Być może bóg ci to objawi, gdy uzna, że nadeszła stosowna pora, ale najczęściej wiedza wymaga starań. Musisz sam dotrzeć do znaczenia swej wizji, a osiągniesz to jedynie czynem.

– To rzeczywiście różni się od postępowania innych bogów – powiedział chłopiec. – U nas w świątyni ludzie przychodzą po wyrocznie do kapłana, który przyjmuje ofiarę, a potem w imieniu pielgrzyma prosi bogów o jakiś omen. Później wyjaśnia jego znaczenie.

– Takie wyrocznie są tylko mamieniem ślepych ludzi... dymem bez ognia – stwierdził Themu.

Tamtej nocy, kiedy goście odeszli i Quentin został sam, po raz pierwszy modlił się do swojego nowego boga, poznanego w wizji, ta zaś cią-

gle mu się wydawała bardziej rzeczywista od jego własnej mrocznej komnaty i łóżka, w którym leżał.

– O, Najwyższy, pozwól mi zgłębić twoje zamiary. Daj mi siłę, bym ci służył.

Nie potrafił niczego więcej wymyślić. Po tych wszystkich ceremonialnych modlitwach, których musiał wyuczyć się na pamięć w świątyni Ariela, chłopiec miał wrażenie, że te słowa są niezbyt odpowiednie.

Ufał jednak Yesephowi, a on powiedział, że ten bóg zwraca większą uwagę na to, co jest w sercu, niż na długość modlitwy. Zresztą chłopiec miał głębokie wewnętrzne przekonanie, że jego modlitwa

została wysłuchana, i to przez kogoś, kto jest bardzo blisko.

Wczesnym rankiem, nim słońce wyrzało zza falującej linii horyzontu, Quentin i Toli omawiali swoje plany.

– Pragnę ruszyć za Theidem i resztą przyjaciół, by jak najprędzej ich dogonić – powiedział Quentin, żując chleb z kminkiem, a kiedy spostrzegł dziwne spojrzenie Tolego, spytał: – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Zmieniłeś się, Kenta – cicho odparł tamten.

W języku Jherów słowo to oznaczało orła, a jednocześnie przyjaciela, 180

mistrza i pana. Poza tym Tolemu, w jego mowie, wydawało się najbliż-

szym odpowiednikiem imienia Quentina, który jednak uważał, że przyjaciel niezbyt starannie je dobrał.

– Jakże mogłem się zmienić? – Quentin próbował się uśmiechnąć, ale wyszło tak, jakby zrobił to z przymusem. – Przecież jestem taki sam, jaki byłem.

Toli miał inne zdanie. Ceremonię błogosławieństwa oglądał z ogromnym szacunkiem i podziwem. Przypominała mu koronację króla i był

dumny, że taki zaszczyt spotkał jego mistrza, za którego już nieodwołalnie uważał Quentina.

– Nie, nie jesteś taki sam.

Nie chciał więcej o tym mówić, więc Quentin przeszedł do innych spraw. Powiedział, że udadzą się konno do Tuck, a później do Bestou, czyli tam, dokąd pojechali jego przyjaciele, o czym poinformowała chłopców Mollena.

Quentin wiedział jedynie, że Nimrooda można znaleźć na Karshu, lecz nie miał pojęcia, gdzie to jest. Mollena nie chciała mu tego zdradzić, mówiąc tylko, że Karsh to zła wyspa, a choć leży na końcu świata, to jednak i tak za blisko.

Ruszyli więc do Tuck prawie nie uczęszczanym szlakiem przez pół-

nocne bory, pełne rudych jeleni i dzików. Tylko one korzystały z tej ścieżki, a Curatacy jej nie potrzebowali.

Kiedy następnego dnia Toli obudził Quentina o brzasku, ranek był

ponury. Jak tylko zjedli śniadanie, przygotowane z zapasów, które specjalnie zapakowała Mollena, z chmur pokrywających niebo zaczął padać drobny deszcz. Narzucili na siebie opończe z kapturami i udali się w dalszą drogę przygaszeni, w melancholijnym nastroju. Deszcz całkowicie odebrał im wspaniały humor z wczorajszego dnia.



Podczas jazdy Quentin czuł się nieswojo; nie dawała mu spokoju natręt-na myśl, która uporczywie drażyła jego świadomość. Postanowił o niej wspomnieć Tolemu przy najbliższej sposobności. Kiedy więc zatrzymali się przy niewielkim strumyku, by napić konie, powiedział przyjacielowi o swoim strapieniu.

181

– Toli, czy wiesz, co jest przed nami? – spytał.

Młody Jher zmrużył oczy i spojrzał na ciemną ścieżkę.

– Nie – odparł z logiką typową dla jego ziomków. – Skąd mam to wiedzieć? Nawet dobrze znane ścieżki się zmieniają. Przezorny łowca porusza się ostrożnie.

– Nie... chodzi mi o coś innego. Jedziemy odnaleźć Theida, Durwina i resztę... najprawdopodobniej będzie nam groziło wielkie niebezpieczeństwo.

Spojrzał na twarz Tolego, szukając jakichkolwiek oznak zainteresowania, ale ich nie znalazł. Popatrzył na wartki strumień, w którym konie zanurzały pyski.

– Nie mam prawa cię prosić, byś mi dłużej towarzyszył. Zostałeś wysłany, żeby służyć za przewodnika. Skoro dotarliśmy do Dekry, a nawet dalej, twoje zadanie się skończyło. Teraz możesz wrócić do swoich.

Brązowa twarz Tolego posmutniała. Opadły mu kąciki ust, a w oczach pojawił się chłód.

– Jeżeli ty tego pragniesz, Kenta, powrócę do nich.

– To, czego ja pragnę, jest nieważne. Masz wrócić. Ta podróż jest w mojej sprawie, nie w twojej. Nie wolno mi cię prosić, byś ryzykował

życie. Ta walka nie dla ciebie.

– Musisz mi powiedzieć, co ty chcesz, żebym zrobił – odparł Toli, wyciągając ku niemu rękę.

– Nie mogę. Rozumiesz? – odpowiedział Quentin błagalnym głosem.

Toli nie zrozumiał. Spojrzał na przyjaciela z wyrzutem, jakby spotka-

ła go niewyobrażalna krzywda.

– Mógłbyś zginać – wyjaśnił Quentin. Jego znajomość języka Jherów szybko się wyczerpała, kiedy próbował wytłumaczyć przyjacielowi swoją rozterkę. – Jeżeli ze mną pojedziesz, nie będę mógł odpowiadać za twoje życie.

– Jherowie uważają, że każdy sam odpowiada za swoje życie. Jherowie są ludźmi wolnymi. Ja też jestem wolny. Nie znosimy, jeśli ktoś

chce nad nami panować, ale na własne życzenie Jher może sobie wybrać pana.

Kiedy Toli mówił dalej, zmieniał się wyraz jego twarzy, a głos przybierał na sile.

– Dla Jhera wybór pana i służenie mu we wszystkim aż do śmierci to najwyższy zaszczyt. Służba godnemu panu przydaje godności temu, kto mu służy. Niewielu moich ziomków spotkało takie szczęście jak mnie – powiedział z dumą, a oczy mu zabłyśły. – Sługa wielkiego pana sam staje się wielki.

– Ale niebezpieczeństwa...

– Ten, kto służy swojemu panu, dzieli z nim jego los... radości i niebezpieczeństwa, sukcesy i niepowodzenia, życie i śmierć. Jeśli pan do-stąpi jakiegoś zaszczytu, tym bardziej jego sługa.

– Ale ja cię wcale nie prosiłem, żebyś był moim sługą.

– Nie – odparł Toli z dumą. – To był mój wybór.

Quentin pokręcił głową.

– A co na to twoi ziomkowie?

– Z radością się o tym dowiedzą – rzekł Toli, a jego twarz rozpromieniło zadowolenie.

– Żałuję, ale nie bardzo to rozumiem – powiedział Quentin.

– Bo twój lud uważa, że służenie komuś jest słabością. U nas to do-wód siły.

– Mimo wszystko czułbym się jednak lepiej, gdybym sam cię o to poprosił.

– No to poproś, ale odpowiedź już znasz.

– Więc nie można się ciebie pozbyć? – zażartował Quentin.

Toli jednak wziął to poważnie i znów mina mu zrzędła.

– Zwolnienie sługi jest dla niego wielką hańbą i wstydem.

– Żaden szanujący się pan nie zwolniłby nikogo, kto ma o nim tak wysokie mniemanie – odparł Quentin. – Być może to ja powinienem ci służyć!

Jher wybuchnął śmiechem, jakby usłyszał najzabawniejszy dowcip.

183

– No, nie – śmiał się w kułak. – Niektórzy rodzą się panami, ale słu-

żenia trzeba się nauczyć za młodu. Lepiej, żebyś ja ci służył – rzekł i znowu spoważniał. – Nad tobą,

mój mistrzu, unosi się nimb chwały. To ja będę służył tobie. Jedynie u twego boku również mnie przypadnie chwała.

– Niech ci będzie – wreszcie zgodził się Quentin. – Tak naprawdę wolałbym nie jechać sam, a ty w żadnym wypadku nie chcesz mi na to pozwolić, więc zabierzemy się razem.

– Jak sobie życzysz – odparł uradowany Toli.

– Moje życzenia nie mają z tym nic wspólnego – powiedział Quentin.

Toli puścił tę uwagę mimo uszu i przytrzymał Baldera, by chłopiec mógł wsiąść, a potem wskoczył na swojego konia.

– Zatem do Tuck – rzekł Quentin.

Teraz było mu o wiele lżej na sercu. Nie chciał rezygnować z towarzystwa Tołego, gdyż w przeciwnym wypadku próbowałby mu wyperswadować dalszą podróż. Należało się jednak przyzwyczać do nowej sytuacji, w której on był panem, a Toli sługą. Dotychczas bowiem nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo lojalny jest wobec niego Jher. Zastanawiał się, czy w ogóle zdoła być dlań dobrym panem. Odpowiedzialność już ciążyła mu bardziej, niż mógłby przypuszczać.

Jechali w deszczu przez cały dzień, a wieczorem zatrzymali się obok szlaku pod drzewem, którego rozłożyste konary, sięgające ziemi, zapewniały skromne, choć niedostateczne schronienie.

Toli spętał konie i pozwolił im kawałek odejść, by mogły skubać kępki traw i liście. Quentin rozpakował prowiant i pod zwisającymi ga-

łęziami jodły przygotował suche, miękkie posłanie z jej pachnących igieł. Toli nazbierał kory oraz trochę kamieni i po chwili rozpałił niewielkie ognisko, przy którym mogli się ogrzać, a także wysuszyć prze-moczone ubrania.

Noc w lesie zapadła szybko. Obaj leżeli w mroku, słuchając kapania 184

kropel wody z gałęzi i trzasku ognia. Quentin wyciągnął się na posłaniu i głęboko oddychał balsamicznym powietrzem.

– Co myślisz o tym nowym bogu? – spytał z roztargnieniem, szukając w ciemności oczu przyjaciela.

W czasie pobytu w Dekrze ani razu nie rozmawiał z Tolim o religii Arigów. Teraz to przeoczenie wprowadziło go w zakłopotanie.

– On nie jest nowy. Jherowie znają go od dawna.

– Nie wiedziałem. A jak go nazywacie?

– Whinoek.

– Whinoek – powtórzył Quentin. – To imię bardzo mi się podoba.

Co ono znaczy?

– Po waszemu to ojciec... Ojciec Życia.

– To nikła szansa, ale zawsze jakaś szansa – powiedział Durwin, otwierając pierwszą beczkę z wodą.

– Zastanawia mnie tylko, dlaczegośmy nie pomyśleli o tym wcze-

śniej – zauważył Theido i szeptem zwrócił się do Tredda, który stał

przyczajony na szczycie schodów: – Przyłóż ucho do drzwi i w razie czego daj nam znak.

Durwin wziął garść żółtawego proszku z zawiniątka, które oburącz trzymała Alinea. Wsypał go do beczki, a Theido zamieszał wodę ułomkiem wiosła i z powrotem nasunął pokrywę.

– Myślisz, że dzisiaj przyjdą po wodę? – zapytała Alinea.

We troje podeszli do następnej beczki i zrobili to samo.

– Mam taką nadzieję – odparł Theido, spoglądając w górę. – Przychodzą co drugi dzień, by uzupełnić zapasy wody na pokładzie. Jeżeli będziemy mieli szczęście, to dzisiaj też się zjawią, choć mogą z tym zaczekać, bo już jesteśmy blisko lądu.

– Zrobimy, co w naszej mocy. Na wszelki wypadek tę wodę zostawimy dla siebie – powiedział Durwin, wskazując trzecią beczkę.

185

Wsypał resztę proszku i otrzepał dłonie. W tym momencie Tredd mocno tupnął nogą w schody.

– Uwaga, ktoś idzie! – odezwał się chrapliwym szeptem.

Theido szybko zamieszał wodę i z powrotem nasunął pokrywę za pomocą wiosła. Kiedy otworzyły się drzwi do ładowni, cała trójka była już na swoich zwykłych miejscach przy schodach.

– Przynieście, ile się da! – zawołał ktoś z pokładu do dwóch marynarzy, schodzących po stopniach.

– Cofnąć się! – warknął jeden z nich.

Drugi ruszył do kąta ładowni, gdzie leżały liny. Kiedy znalazł to, czego szukał, obaj wrócili na pokład, odprowadzani wzrokiem rozczarowanych więźniów.

– Nie upadajcie na duchu – odezwał się Durwin, gdy marynarze zamknęli za sobą drzwi! – Dzień jeszcze się nie skończył. Mogą znowu przyjść.

Tredd zdawał się w to wątpić.

– Trudno powiedzieć, jak daleko jesteśmy od lądu. Być może wkrót-ce rzucimy kotwicę.

– Istotnie, to możliwe, ale co ma być, to będzie. Jesteśmy w rękach boga i wszystko zależy od niego.

Przy tych słowach na pokładzie nastąpiło jakieś poruszenie, ktoś gwałtownie zdejmował kłódkę i łańcuchy zabezpieczające wejście do ładowni. Drzwi ponownie się otworzyły i więźniowie usłyszeli wrzask Pyggina, który wymyślał marynarzom.

– A dzienna racja wody, tępaki?! Dawać ją tu natychmiast! Chłosta was nie ominie!

Trzej nieszczęśni marynarze pośpiesznie zbiegli do ładowni, prowadzeni przez tego z liną. Popędzili do najbliższej beczki z wodą, nawet nie rzuciwszy okiem na gromadkę więźniów stojących w smudze światła, które wpadało przez otwarte drzwi. Chwycili beczkę opalonymi rękami i wynieśli ją po stromych schodach. Wyszli z wodą dla załogi na pokład, nie spostrzegłszy zadowolonych min więźniów.

186

– Dalej nie wiemy, czy Pyggin pije wodę z tej samej beczki, co jego ludzie, czy nie – rzekł Trenn, kiedy ucichły odgłosy kroków.

– Podejmiemy to ryzyko – odparł Theido, a potem zwrócił się do Durwina. – Jak szybko działa twój napój?

– Różnie. To zależy od wagi człowieka i od ilości wypitego płynu...

Przyrządziłem mocny roztwór, ale tak, by działał powoli. Kiedy wieczorem wszyscy zasną, do rana żaden nie wstanie, choćby się zerwała burza i fale wlewały na pokład. – Zaśmiał się, a jego oczy błysnęły w mrocznej ładowni. – Nie zapominajmy jednak, że mamy znacznie większe zmartwienie...

– Racja – odparł Trenn. – Jeżeli nie znajdziemy sposobu na wydostanie się z tej cuchnącej ładowni, to nieważne, jak długo te łotry będą spały.

– A może przez jeden z tych luków? – spytała Alinea, wskazując dwa kwadraty wycięte w pokładzie.

– Świetny pomysł, najjaśniejsza pani – odezwał się Ronsard.

Wszyscy się odwrócili i ze zdziwieniem ujrzeli rycerza, który trochę niepewnie stał za ich plecami.

– Ronsard! – wykrzyknął Theido – Długo już tak stoisz?

– W tej chwili masz się położyć! – rozkazała królowa.

Podbiegła do rannego rycerza, wzięła go pod ramię i chciała z powrotem zaprowadzić na nędzne posłanie. Kiedy zrobił jeden krok, skrzywił

się z bólu i chwycił ręką za głowę.

– Oj – powiedział odzyskując równowagę. – Już odwykłem od chodzenia.

– Przyzwyczajasz się – pocieszył go Durwin.

– Zapewne, ale od miesiący tak dobrze się nie czułem – odparł rycerz, siadając na beczce, do czego nakłoniła go królowa. – Mimo tego pulsowania w skroni jestem jak nowo narodzony.

– Miło to wiedzieć – rzekł rozpromieniony Theido. – Od dawna za-liczałem cię do zmarłych... a twój wygląd, kiedy cię znaleźliśmy i gdy tu leżałeś, niezbyt napawał mnie nadzieją. Teraz jednak widzę, że mimo wszystko będziesz żył.

187

– Tylko dzięki temu waszemu kapłanowi i jego czarom – odparł

Ronsard, w uśmiechu szczerząc zęby do Durwina.

– Nie zrobiłem nic wielkiego... zapewniłem ci jedynie odpoczynek, który był tak bardzo potrzebny twemu ciału. Przespałeś trzy doby.

– Mówiłeś coś, panie, o dziobowym luku – przypomniał Trenn i zwrócił się do Theida: – Jeśli wolno mi się wtrącić, uważam to za najpilniejszą sprawę.

– Oczywiście. Co wiesz o tym luku, Ronsardzie? Udałoby się tamtędy wyjść?

– Bardzo możliwe – odparł rycerz, powoli wstając z beczki. – Pa-miętam, że kiedy mnie tu wrzucono niezbyt delikatnie, przedni luk nie był tak dobrze zabezpieczony jak pozostałe.

– Obejrzyjmy go sobie.

Theido ruszył przodem, ostrożnie wybierając drogę między bezładnie umieszczonym ładunkiem i zapasami. Po chwili stanęli pod niewielkim lukiem i spojrzeli w górę przez jego kratę.

– Ani chybi ten luk jest za mały, żeby mężczyzna mógł się tędy wydostać – pesymistycznie stwierdził Trenn.

– Ale może zdoła zrobić to kobieta – rzekła królowa pogodnym głosem.

– Najjaśniejsza pani, nie pozwolę ci wyjść na pokład... Co będzie, jeśli choć jeden z tych piratów nie zasnął? Nie, to zbyt niebezpieczne –

oświadczył Trenn tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Theido i Durwin byli skłonni przyznać mu rację, lecz się nie odezwali.

– A więc bohaterskie czyny są tylko dla mężczyzn? – spytała Alinea z wyzywającym spojrzeniem. – Nie pokonam nikogo z bandy Pyggina, ale potrafię się skradać, oni zaś będą zaskoczeni. Nie mówiąc już o tym, że wierzę w umiejętności Durwina.

– Mimo wszystko to chyba najlepsze wyjście – rzekł Ronsard. – Już będzie ciemno.

188

– Owszem. I sędzę, że królowa może poruszać się ciszej niż który-kolwiek z nas – powiedział Theido.

– Ale jeszcze trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby unieść pokrywę luku

– zauważył Durwin. – Proponuję wziąć się do tego, póki mamy tu trochę światła.

– Słuchajcie – odezwał się Theido. – Pomóście mi ustawić te beczki i antałki. Zbudujemy naszej królowej schody do wolności.

Cały dzień, aż do wieczora, więźniowie pracowali nad wycinaniem jedyne go skobla, na który zamknięty był luk. Używali do tego kawałków metalu i paru rdzewiejących narzędzi, jakie znaleźli na dnie ładowni.

Kiedy zapadał zmierzch, po odgłosach dochodzących z pokładu zo-rientowali się, że ze statku dostrzeżono cel podróży – straszną wyspę Karsh. Poprzez tupot stóp i szuranie wleczonego takielunku słyszeli głos kapitana Pyggina, który aż ochrypł od wykrzykiwania rozkazów dziwnie ospałym marynarzom.

– Wy leniwe łamagi! Dziś nie dostaniecie rumu, czy zejdziemy na ląd czy nie. Ruscie się! Co was napadło?! Ktoś rzucił na was urok, czy co?!

– Aha... sędzę, że narkotyk zaczyna działać – odezwał się Durwin. –

On dziś chyba nie spróbuje płynąć do brzegu.

– Prawdopodobnie zaczekają na kotwicy w pewnej odległości od wyspy i nie będą ryzykować, żeby w ciemności nie porozbijać szalup na skałach – powiedział Ronsard ze swego posłania.

– I dobrze – stwierdził Trenn. – Zostanie nam więcej czasu. Przed świtem powinniśmy dotrzeć do brzegu, a wtedy ta łajba już będzie leżała na dnie.

– Nie pozwolę, żeby oni wszyscy utonęli wraz ze statkiem – sprzeciwiła się Alinea.

Siedząc okrakiem na szczycie stosu beczek, kruszyła drewno przy skoblu.

189

– Ja też przestrzegam przed takim czynem – poparł ją Durwin. – Nikomu nie wolno odbierać życia bez potrzeby.

– Przecież to wojna!



– Nawet w czasie wojny należy postępować po ludzku.

– Poza tym możemy później potrzebować tego statku, żeby uciec z wyspy – wtrącił Theido.

– Aha, rozumiem – mruknął Trenn.

W tej samej chwili z pokładu dobiegło brzęknięcie.

– Skobel wypadł! – zawołała królowa. – Luk jest otwarty!

– Doskonale. Teraz zejdz. Poczekamy, aż się ściemni, i zaczniemy działać – rzekł Theido. – Myślę, że niedługo będziemy musieli czekać.

Jaspin wściekle krążył po swojej komnacie w zamku Erlott. Rada Regentów obradowała już cały dzień, a księciu nie wolno było się tam zbli-

żyć, choć posiedzenie zwołano w jego sali.

– Zostaw im, panie, ich sprawy – przestrzegał go Onteskusz, jego przyszły kanclerz. – Nie obawiaj się, nie zapomną, kto jest ich dobro-dziejem. Jeżeli chcesz, każę przynieść z piwnicy twoje wspaniałe piwo.

Powinno odświeżyć im pamięć i ułatwić wykonanie zadania... a poza tym niech posmakują dostatku, jaki ich czeka pod twoim berłem, panie.

Chociaż samolubnemu Jaspinowi niezbyt spodobała się myśl o poje-niu regentów swoim najlepszym piwem, niemniej uznał to posunięcie za mądre, z pewnością bowiem im przypomni, kto ma wpływy.

– Tak, to świetny pomysł, Onteskuszu. Dopilnuj, żeby je niezwłocznie zanesiono – powiedział, w dalszym ciągu nerwowo krążąc. –

Ale oni długo tam siedzą! Ile to może jeszcze trwać? – narzekał. – Co im zabiera tyle czasu?

Wkrótce wrócił Onteskusz z jakimś listem w dłoni.

190

– Piwo już podają. Regenci chwilowo mają przerwę. Bran dyskretnie przekazał mi tę wiadomość dla ciebie.

Księżę niecierpliwie wyrwał list z ręki Onteskusza i od razu go przeczytał.

– Na brody bogów! – wykrzyknął tracąc nad sobą panowanie. – Obrady utknęły w martwym punkcie! Ten podstępny bandyta Holben przeciągnął na swoją stronę kilku ludzi bez kręgosłupa! – pieniał się Jaspin. –

Ci odszczepieńcy nie chcą mnie wybrać!

– Nie może być! Przecież nie są na tyle silni, by zamiast ciebie wybrać kogoś innego. Za tobą przemawia prawo dziedziczenia.

– To prawda, ale powołują się na jakieś zakurzone stare prawo i żądają niezbitego dowodu śmierci króla. Ja zaś tego dowodu przedstawić nie mogę.

– Czy taki dowód w ogóle istnieje?

– Powinieneś to wiedzieć równie dobrze jak ja – wymijająco odparł

Jaspin, ale szybko się poprawił: – Jeśli król nie żyje, to ten dowód istnieje.

– Chodziło mi tylko o to, że gdyby nawet król jeszcze żył, to jest niezdolny do panowania, i można by znaleźć jakiś dowód, który zadowoli tych intrygantów.

– Hmm... – Księżę zmarszczył brwi i przez chwilę się zastanawiał.

– W twoich słowach coś jest, przyjacielu. Potrafisz szybko myśleć.

– Czy mógłbym zaproponować, by rozpoczęto poszukiwania czegoś lub kogoś, kto zapewni potrzebny dowód?

– Owszem. To jest to – powiedział ucieszony Jaspin, zacierając ręce. – A według ciebie, gdzie powinniśmy zacząć owe poszukiwania?

Onteskiusz skrzywił twarz w grymasie, który wyostrzył mu rysy, i wesoło zmrużył chytre oczka. Pochylił się do ucha Jaspina i coś szepnął.

– Na Azraela! – półgłosem rzekł księżę. – Ale z ciebie szczwany lis.

Pośpieszmy się. Nie ma czasu do stracenia.

– Ćśśś! Bądź cicho! – nienaturalnym szeptem powiedział Toli.

Jedną dłonią przykrył Quentinowi usta, drugą skrapiał twarz przyjaciela wodą, by go zbudzić.

Quentin z trudem oprzytomniał, mrugając powiekami, z których spadały krople wody. Początkowo się zdziwił, lecz po chwili dojrzał szeroko otwarte oczy Toiego, w których strach mieszał się z zatroskaniem.

Toli cofnął rękę i znów go uprzedził, żeby zachował ciszę.

– Co się dzieje?

Quentin niemal wstrzymał oddech. Obrócił się i uniósł na łokciu, a potem skierował oczy na las tam, gdzie patrzył Toli. Nic nie słyszał.

Wyteżył wzrok.

Wszystko tonęło w ciemnościach, ognisko bowiem już zgasło. Quentin miał wrażenie, że do świtu pozostało jeszcze kilka godzin. Gruba warstwa chmur nie przepuszczała światła gwiazd ani księżyca, więc las był pogrążony w głębokim mroku.

Nagle jeden z koni cicho zarżał, a drugi nerwowo mu zawtórował.

Chłopiec znowu nadstawił uszu i wyteżył wzrok, ale niczego nie usłyszał

i nie zobaczył. Odczekał chwilę i już chciał się odezwać, gdy w oddali coś mignęło wśród drzew. Na tle czarnych pni dojrzał jakiś upiorny szaro-biały kształt, szybko przemykający w podszyciu, tuż przy ziemi.

Ów kształt prawie natychmiast zniknął.

– Co to? – spytał Quentin, przysuwając się do Toiego.

Dostrzegł spiętą twarz przyjaciela; na policzku czuł jego szybki oddech.

– Wilki.

Słowo to powoli docierało do świadomości chłopca, jakby było pustym dźwiękiem. Nagle zdał sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa. Wilki! Skradają się do nich wilki!

– Ile ich jest? – zapytał cicho, starając się mówić pewnie, obojętnym tonem.

– Widziałem tylko jednego – odparł Toli niemal szeptem – ale gdzie jest jeden, tam są inne.

Quentin odruchowo sięgnął po jedyną broń, jaką miał – sztylet kró-

lewskiego rycerza. Zacisnął dłoń na złotej rękojeści i wyciągnął nóż zza pasa.

Zerknął na tłące się ognisko pragnąc, by w jakiś magiczny sposób znów zapłonęło. Przypomniawsobie, że wilki boją się ognia. Kiedyś o tym słyszał i teraz zastanawiał się, czy to prawda. Jakby czytając w jego myślach, Toli pochylił się nad popiołem i zaczął dmuchać w żar, którego nikły blask padał mu na twarz. Na moment zamigotał pojedynczy język ognia, ale z braku paliwa zgasł i popiół całkiem wystygł.

Zza pleców chłopców dochodziło podzwanianie wędzideł, konie bowiem, niewidoczne w ciemnościach, rzucały łbami, próbując się uwolnić.

– Musimy je odwiązać, żeby mogły się bronić – powiedział Toli.

– Czy dojdzie aż do tego? – spytał Quentin.

W tych sprawach nie miał żadnego doświadczenia. Czuł się nieswojo i zaskoczyło go, że z tego powodu jest na siebie dziwnie zły.

Właśnie wtedy dostrzegł inny szary kształt, przemykający między drzewami z prawej strony. Tym razem zwierzę było znacznie bliżej.

– Okrążają nas – powiedział Toli.

Quentin uświadomił sobie, że wstrzymał oddech.

– I co zrobimy? – spytał zdenerwowany.

W odpowiedzi Toli wręczył mu grubą gałąź, jedną z tych, które zebrali na ognisko. Była dostatecznie ciężka, by dało się jej użyć jak maczugi. Z tą pałką w jednym ręku i nożem w drugim Quentin poczuł się tylko nieco raźniej.

– Pamiętaj, głowę trzymaj nisko, by osłonić gardło – przestrzegał go Toli, wolno się podnosząc.

W oddali posepnie zawył jakiś wilk. Quentina ścisnęło w żołądku.

Niesamowite przeciągłe wycie niczym echo powtórzyło się trochę bliżej.

193

Toli mocno chwycił Quentina za ramię i zmusił do wstania.

Nagle bardzo blisko rozległo się narastające warczenie. Quentin odwrócił się w tamtą stronę i zobaczył chudego wilka, który wypadł z lasu i pędził prosto na niego.

– Do koni! – krzyknął Toli, odwrócił się na pięcie i skoczył naprzód.

W tej samej chwili Quentin pomknął do Baldera. Po omacku znalazł

jego łeb i przeciął wodze, którymi zwierzę było na noc przywiązane do drzewa. Potężny bojowy koń odwrócił się do atakującego wilka.

Quentin odskoczył w bok, a tam, gdzie przed momentem była jego głowa, świsnęło kopyto uzbrojone w podkowę.

Balder z dzikim rzeniem wściekle bił powietrze przednimi kopytami.

Wilk, który wypadł z lasu, zrobił unik, by koń go nie dosięgnął.

Kątem oka Quentin zobaczył drugiego wilka, pędzącego na nich z boku. Skoczył ku niemu, wymachując nad głową namiastką maczugi i wrzeszcząc na całe gardło. Ten krzyk w takim samym stopniu zaskoczył

chłopca i przestraszył wilka, który na chwilę się zatrzymał, co pozwoliło Quentinowi wymierzyć mu cios prosto w długi pysk. Uderzenie sprawi-

ło, że szczęki zatrzasnęły się z tak gwałtownym kłapnięciem, aż chrupnęły zęby. Zwierzę się wycofało, żałośnie skowycząc.

Inny skowyt rozległ się w krzakach za plecami Quentina, a gdy chłopiec się odwrócił, zobaczył przyjaciela okładającego długim kijem duże-go szarego wilka, który czaił się do skoku pod nieskutecznymi ciosami.

Quentin ruszył Tolemu na pomoc, ale nie przebiegł nawet dwóch kroków, kiedy potknął się o korzeń i upadł.

Przewracając się usłyszał za sobą jakiś ruch i nim uderzył w ziemię, na plecy zwałił mu się jakiś ciężar. Odruchowo zasłonił głowę ramieniem, gdy długie zęby wilka rozorały mu odkryty kark. Starał się uwolnić rękę ze sztyletem, którą swoim ciałem przyciskał do ziemi.

194

Wilk szarpał zębami ubranie, chwycił za rękaw kurtki. Chłopiec kulił

się pod ciężarem zwierzęcia, próbując wyciągnąć nóż i uderzyć je w brzuch.

Wreszcie z nagłym błyskiem ostrza zadał cios od dołu. Zerknął pod ramieniem i ujrzał ciało wilka bezwładnie osuwające się na ziemię, jakby pozbawione kręgosłupa. Dopiero wtedy wysoko nad sobą dostrzegł

łeb Baldera, który stanął dęba i gotował się do zadania kolejnego ciosu każdemu drapieżcy, jaki by się ośmielił znaleźć w zasięgu błyskawicznych uderzeń jego kopyt.

– Kenta! – krzyknął Toli.

Quentin obejrzał się i zobaczył, jak przyjaciel opędza się od czterech wilków, kręcąc kijem młynka. Trzy inne wypadami skakały do gardła jego przerażonego konia.

Zerwawszy się na równe nogi, Quentin złapał swoją pałkę i rzucił się na pomoc Tolemu.

– Najwyższy Boże, ratuj nas! – zawołał.

Jeden wilk zostawił konia i w pełnym biegu zaatakował chłopca. Quentin chciał go uderzyć pałką, ale zwierzę zrobiło unik, chwyciło ją zę-

bami i tak mocno szarpnęło, że omal nie wyrwało mu ręki ze stawu.

Chłopiec puścił pałkę i wysunął do przodu nóż, gdy wilk szykował się do następnego skoku.

Quentin usłyszał zduszony krzyk Tolego i zobaczył, że jakiś wilk stoi na tylnych łapach, przednimi opiera się na jego plecach i dobiera mu się do karku, zajadle kłapiąc zębami.

Nagle przed chłopcem rozległo się warknięcie. Ujrzał wpatrzone weń złe żółte ślepia. Wilk wściekle warczał, pokazywał groźne kły i kręcił się przed atakiem niczym wąż.

Wtem z pobliskich krzaków dobiegło kwiknięcie. Następny wilk? –

pomyślał Quentin. Przecież one nie wydają takich dźwięków.

Usłyszał kolejne kwiknięcia oraz dziwne odgłosy, jakby coś dużego i ciężkiego przedzierało się przez gąszcz.

Również wilk to usłyszał. Odwrócił swoje złe ślepia od chłopca i spojrzał w tamtą stronę.

195

Nagle w krzakach rozległy się cienkie pokwikiwania i trzaski łamanych gałązek. Po chwili na polankę wypadły z lasu jakieś ciemne kształ-

ty, które przypominały toczące się głazy. Pędziły ku wilkom, kwicząc i chrząkając. Zaskoczone wilki warcząc odwróciły się do nowego wroga.

Jeden z owych ciemnych kształtów otarł się w pędzie o Quentina i niemal zwałił go z nóg. Dopiero wówczas chłopiec zdał sobie sprawę, że to dziki – odyńce i lochy.

Prowadzone przez ogromnego samca z długimi, wygiętymi kłami, z furią wpadły między wilki. Toli odskoczył w bok, gdy się z nimi starły.

W powietrzu fruwały strzępy futra, kiedy kły rozdzierały mięso i ła-mały kości. Słysząc było skowyt przerażonych wilków.

Wielki biały samiec, przewodnik stada, ten, co pierwszy zaatakował

chłopców, szczechnął i uciekł w las. Ocalałe wilki z podwiniętymi ogonami ruszyły w jego ślady, a dziki popędziły za nimi.

Wkrótce całkiem zniknęły. Słysząc było jedynie coraz cichszy tupot racic dzików ścigających wilki. Quentin stał na środku polany, ciężko dysząc.

Wówczas zbliżył się Toli i spojrzał nań z niemym podziwem. Miał

twarz mokrą od potu i krwi z niewielkiej rany nad okiem.

– Nic ci się nie stało, Kenta? – zapytał dotykając ramienia Quentina koniuszkami palców.

– Nie. Nic mi nie jest, ale ty krwawisz.

– To tylko draśnięcie.

Toli odwrócił się w stronę, z której dochodziły zamierające odgłosy pogoni.

– Jeszcze nigdy niczego podobnego nie widziałem – wysapał Quentin. – A ty?

Toli przecząco pokręcił głową.

– Wiadomo, że dziki czasem odganiają wilka, który zagraża ich młodym, ale żeby coś takiego... To na pewno jakiś znak. Whinoek osło-nił nas własną ręką.

196

– Bóg rzeczywiście musi się bardzo o nas troszczyć – odparł Quentin, przypomniawszy sobie, jak przed chwilą rozpaczliwie się doń modlił.

– O, tak – przyznał Toli głosem pełnym wdzięczności. – Ale z nimi było coś dziwnego.

Quentin czekał, aż Jher sam mu to powie.

– W tym lesie jest mnóstwo zwierząt, na które wilki mogą polować... jeleni, dzików, starych i chorych. To znacznie bezpieczniejsze niż atakowanie ludzi z koźmi. Wilki raczej nie rzucają się na człowieka...

jedynie bardzo rzadko zimą, gdy brak im pożywienia i głodują.

– Co je do tego skłoniło? – spytał Quentin, ze zdziwienia wytrzeszczając oczy. – Nimrood?

Toli tajemniczo wzruszył ramionami i spojrzał w górę tam, gdzie zbiegały się wierzchołki drzew. Widoczny skrawek nieba już wyraźnie poszarzał.

– Wkrótce wstanie słońce. Musimy ruszać.

Pospiesznie zajęli się uspokajaniem koni i zwijaniem obozu. Choć żaden z nich nie wspomniał o tym

ani słowem, było jasne, że obaj pragnęli jak najszybciej się stamtąd oddalić.



Wprawdzie kapitan Pyggin straszył, że załoga nie dostanie rumu, któ-

ry zgodnie ze zwyczajem otrzymywała po dopłynięciu statku do portu, ale jak większość jego pogroźek, również ta okazała się czczą. Kiedy zapadł zmrok, dzbanki napełniono rumem i marynarze rozpoczęli hała-

śliwą zabawę.

Więźniowie słyszeli zgiełk ochrypłych głosów i pijackie śpiewy. W

innych warunkach ta szalona hulanka przeciągnęłaby się do późnej nocy, ale rum w połączeniu z narkotykiem Durwina miał mocniejsze działanie.

Po odśpiewaniu kilku pieśni i wypiciu jednego czy dwóch kubków marynarze zwalili się na pokład tam, gdzie stali – normalna rzecz w taki 197

wieczór – lecz dzięki umiejętnościom pustelnika szybciej niż zwykle.

Śpiewy nagle się urwały i dało się słyszeć monotonne, ciche pochrapywanie na tle plusku fal.

– No i już! – oznajmił Durwin. – Środek poskutkował. A teraz do dzieła.

– Alineo, bądź ostrożna – przestrzegał Theido. – Jeden czy dwóch może jeszcze być na nogach. Najpierw dobrze się rozejrzyj.

– Będę uważała. Nie przejmujcie się, za chwilę was uwolnię.

Alinea teraz bardziej przypominała stajennego chłopca niż królową.

Wspięła się na schody z beczek, wokół których stali jej przyjaciele, i otworzyła luk.

– O, najjaśniejsza pani – nerwowo jęknął Trenn. – Wolałbym cię za-stąpić.

Durwin się uśmiechnął.

– Nie ma potrzeby. A po za tym z twoją obecną figurą nie zmieścił-

byś się w tym luku. Chodźcie, przygotujemy się do wyjścia.

Theido, Durwin i Trenn wchodzili po stromych stopniach, prowadzących do zaryglowanych drzwi. Słyszeli ciche stąpanie Alinei.

– Co widzisz? – zapytał Theido, kiedy królowa stanęła przy drzwiach.

– Wszyscy twardo śpią, oprócz kucharza i jego pomocnika, którzy z kiwającymi się głowami siedzą przy dzbanku z rumem po drugiej stronie pokładu.

– Czy mogą nas stamtąd zobaczyć?

Królowa przez chwilę milczała.

– Nie... nie sędzę. Tak czy inaczej wkrótce nie będą mieli siły wstać, a co dopiero mówić o walce z rycerzem.

– Musimy znaleźć klucze do tych kłódek. Ile ich tam jest?

– Dwie... i zamek w drzwiach. Gdzie mogą być te klucze?

– Trzyma je chyba służący kapitana – podsunął Trenn. – O ile się nie mylę, to właśnie on otworzył tę ładownię, zanim tu weszliśmy.

198

– Masz bystre oczy, żołnierzu – rzekł Theido i zwrócił się do Alinei:

– Znajdź więc człowieka, który pierwszy nas przywitał. Ma granatową kurtkę i zeza.

– Prawdopodobnie będzie gdzieś w pobliżu kapitana – podpowiedział Trenn.

– Szukaj zatem kapitana.

Usłyszeli oddalające się kroki. Czekali. Minęła minuta, a potem jeszcze jedna i następna. Każda zdawała się dłuższa niż zwykle.

Wreszcie królowa wróciła.

– Nie mogę go znaleźć, choć odnalazłam Pyggina, ale on nie ma kluczy.

– Co robić? – zastanawiał się Theido.

– Gdybym tam był, znalazłbym tego pirata. Klucze na pewno są w którejś z jego kieszeni – odezwał się Trenn, zaciskając pięści.

Ledwie to powiedział, w oddali cicho zagrzmiało.

– Słyszeliście?! Co to było?

– Piorun – odparła Alinea. – Niebo jest czyste, ale widzę burzę zbli-

żającą się od wschodu. Właśnie się błysnęło. Wygląda, że zanoszą się na sztorm. Nadciąga bardzo szybko.

– Musimy znaleźć te klucze – mruknął Theido.

– A co z tym drugim lukiem? – zapytał Durwin. – Z tym głównym, towarowym. Tamtędy z łatwością moglibyśmy się wydostać.

– Alineo, spróbujemy wyjść przez główny luk. Na co on jest zamknięty?

Kiedy Theido mówił te słowa, w oddali ponownie zagrzmiało.

– Posłuchajcie – rzekł Trenn. – Wiatr się wzmaga.

Istotnie. Słyszeli, jak świszczę w olinowaniu. Był porywisty i coraz silniejszy.

– Lepiej obudzę Ronsarda – powiedział Durwin. – Może potrzebować trochę czasu na zebranie sił.

Obejrzawszy główny luk, Alinea wróciła.

199

– Pokrywa jest zamknięta na jeden zwykły skobel i nie trzeba żadnego klucza. W kłamrę wbili klin. Mogłabym go wyjąć, ale muszę coś znaleźć, żeby go obluźować.

Pośpiesznie ruszyła na poszukiwanie jakiegoś narzędzia.

– Chodźcie, przygotujemy się, byśmy mogli wyjść, jak tylko luk zostanie otwarty – rzekł Theido.

Z beczek, przeważnie pustych, we trzech szybko wzniesli piramidę, która jednak okazała się za niska. Theido stanął na jej szczycie, a Trenn i Durwin podawali mu przedmioty do budowy niepewnych schodów.

– Powiadam wam, że już jestem sprawny i mógłbym w czymś po-móc – żalił się Ronsard, siedząc z boku.

– Oszczędzaj mięśni, dzielny rycerzu – rzekł Trenn. – Kto wie, czy ci się nie przydadzą jeszcze tej nocy.

– Nie mniej niż wam.

– Tak, ale żaden z nas nie stał jedną nogą w grobie jak ty – przypomniał mu Durwin. – Nim ta wyprawa się skończy, będziemy mieli wiele do zrobienia. Skorzystamy z twojej pomocy, gdy nadejdzie pora.

Z góry dobiegały postukiwania Alinei pracującej przy skoblu. Piramida, wzniesiona z towarów, niebezpiecznie się chwiała w rytm kołysania statku na coraz wyższych falach.

Czekali wstrzymując oddech.

– Gotowe! – zawoła Alinea. – Hej, wycho...! Nagle gwałtownie urwała, jakby zatknięta jej usta.

– Coś się stało! – wykrzyknął Theido.

Wdrapał się na piramidę i otworzył luk. Wysunąwszy głowę nad pokład, zobaczył Alineę, którą trzymał za gardło jakiś duży niezgrabny mężczyzna. Wściekle walczyła, ale na próżno, był bowiem od niej silniejszy.

– Puść ją, łobuzie! – krzyknął Theido, wciągając się na pokład.

Pijany napastnik wolno się odwrócił. Wówczas pochylony Theido uderzył go czołem w żołądek niczym baran atakujący intruza, który niczego się nie spodziewa. Tamten tylko stęknął i jak kłoda zwałił się na pokład.

Ze wzrokiem wbitym w niebo spróbował unieść głowę, lecz zamroczony rumem nie mógł jej utrzymać, a kiedy z powrotem opadła mu na deski, zasnął.

– Kucharz? – spytał Trenn, zatrzymując się obok Theida, gotów do działania, gdyby jego pomoc okazała się potrzebna.

– Tak – odparła Alinea, z trudem łapiąc oddech.

– Och, miłościwa pani, czy nic ci się nie stało? – rzekł strażnik, wziął ją pod ramię i próbował nakłonić, by usiadła.

– O mnie się nie martw, dzielny żołnierzu. Nic mi nie jest. Ten człowiek był tak bardzo pijany... tylko troszkę mnie przestraszył.

– Chodźcie wszyscy! – zawołał Durwin, patrząc w niebo, kiedy wyszedł z ładowni. – Obawiam się, że ta burza zbyt szybko do nas dotrze.

Musimy stąd uciekać!

– Trenn! Pomóż mi spuszczać łodzie! – wykrzyknął Theido, biegnąc po pokładzie.

– Ronsardzie, idź z Alineą za nimi. Za chwilę do was przyjdę –

rzekł Durwin, odwrócił się i ruszył na poszukiwanie kabiny kapitana.

Rycerz z królową poszli tam, gdzie Theido i Trenn spuszczały łodzie. Okres świetności owych trzech dzieł sztuki skutniczej już dawno przeminął, a poza tym były bardzo zniszczone wskutek zaniedbania.

– Masz, trzymaj ją mocno – powiedział Theido, wciskając Ronsardowi w rękę grubą linę, drugim końcem przywiązaną do małej łódki bez pokładu. – Ta łódź wydaje się najmocniejsza.

Później wraz z Trennem pośpiesznie spuścili na wodę pozostałe dwie.

– Nie podobają mi się te chmury – oznajmił Ronsard. – Obawiam się, że nie umkniemy burzy.

Kiedy to mówił, pierwsze grube krople deszczu rozprysły się u ich stóp. Wiatr smagał olinowanie i statek zaczął się mocno kołysać na falach.

201

– Gdzie Durwin? – spytał Theido.

– Chyba poszedł szukać kabiny kapitana – odparł Ronsard.

– Cóż, wsiadajmy do łodzi, póki jeszcze można.

Theido przeszedł na drugą stronę relingu, jak niezgrabny pająk zsunął

się po sieci wiszącej na burcie i wskoczył do łodzi. Chwyciwszy wiosło, próbował utrzymać szalupę blisko statku, choć już podskakiwała na falach niczym korek.

– Twoja kolej, najjaśniejsza pani – rzekł, a potem zwrócił się do Trenna i Ronsarda: – Pomóżcie jej.

– Poradzę sobie – odpowiedziała.

Zeszła po sieci i przeskoczyła do łodzi jak wytrawny marynarz. Trenn i Ronsard patrzyli na nią z podziwem.

– Teraz wy dwaj, szybko! – krzyknął Theido.

Ronsard wolno i z niejakim trudem przedostał się do szalupy, a za nim Trenn.

– No, a gdzie ten nasz wścibski czarodziej? – niecierpliwił się Theido.

– Pozwól mi wiosłować, panie – rzekł Trenn, sadowiąc się na środkowej ławce.

– Możemy to robić we dwóch – zaproponował Ronsard, siadając obok niego. – Na takiej fali czeka nas dużo pracy.

Alinea zajęła miejsce na dziobie. Theido trzymał ster, rzucając niespokojne spojrzenia na reling, w każdej chwili bowiem spodziewał się ujrzeć nad nim okrągłą twarz pustelnika.

– Co go tam zatrzymuje? Lada chwila uderzy sztorm!

Rozległ się ogłuszający grzmot, gdy błyskawica rozdarła ciężkie czarne chmury. Bryzgi słonej wody z fal o białych grzywach moczyły ludzi w łodzi. Ostro zacinający deszcz bił coraz mocniej.

– Spójrzcie! – wykrzyknęła Alinea, a jej głos zagłuszyło wycie wiatru i uderzenie pioruna.

Wszyscy popatrzyli tam, gdzie wskazywała wyciągniętą ręką.

– Ratujcie nas, bogowie! – zawołał Theido; jego słowa od razu porwał wiatr.

W mroku ujrzeli groźną zieloną trąbę wodną, która pędziła wprost na nich, kręcąc się i wyginając niby ogromny żywy wąż. Ten przerażający słup wody, wysoki na pół mili, wił się i obracał wśród straszliwych błyskawic, za kurtyną potężnej ulewy, szarpaną huraganem, który ogłuszająco wył. Statek drżał pod uderzeniami bijących weń fal. Niewielka łódź

gwałtownie się kołysała na powierzchni wzburzonego morza, opadając w doliny fal i zaraz potem wspinając się na ogromne góry wody.

Wreszcie nad relingiem pojawiła się okolona bokobrodami twarz Durwina. Nawet nie zerknąwszy na pędzącą trąbę wodną, choć zdawała się przysłaniać świat, pustelnik przeskoczył reling i zaczął zsuwać się po sieci na burcie statku w głębokim przechyle.

– Uważaj! – krzyknął Theido.

Nikt go nie usłyszał, a słowo to odczytali z ruchów jego ust.

Zdradliwa mokra sieć wymykała się pustelnikowi z rąk. Nogi dwukrotnie mu się ześlizgnęły i nie wpadł do rozszalałego morza tylko dzięki-

ki temu, że zdążył wsunąć w oko sieci ramię zgięte na kształt haka.

– Skacz! – zawołał Theido.

Durwin widocznie pomyślał to samo, w tym momencie bowiem zmierzył odległość wzrokiem i skoczył do łodzi. Kiedy tylko pustelnik wylądował na dnie szalupy, Theido odepchnął ją od kadłuba statku.

Trenn z Ronsardem zaczęli wściekle wiosłować i łódka powoli od-płynęła. Theido napierał na mocny rumpel, kierując szalupę do brzegu.

Kiedy odważyli się obejrzeć za siebie, znowu zobaczyli trąbę, która ogromnie się rozrosła. Porywając ze sobą coraz więcej wody, kiwała się niczym jakiś gigantyczny palec, kreślący szlak śmierci w stronę ich niewielkiej łodzi.

Nieustannie walczyli z falami, które groziły pochłonięciem szalupy w dolinach i wywróceniem jej na szczytach. Theido jakoś zdołał utrzymać kurs do brzegu, a dzięki wytrwałemu wiosłowaniu Trenna i Ronsarda nieprzerwanie, choć wolno posuwali się naprzód. Durwin trzymał się burty tak mocno, że mu zbiełały palce, i z twarzą uniesioną ku niebu żarliwie się modlił.

– Panie wszelkiego stworzenia, pozwól nam przetrwać tę straszną burzę. Bezpiecznie doprowadź nas do brzegu, bez twojej pomocy bowiem niechybnie utoniemy.

Nikt w łodzi nie słyszał tych słów, lecz wszyscy wiedzieli, co robi pustelnik, i w myśli przyłączyli się do jego modlitwy.

Nagle uwagę wszystkich przyciągnął Theido, który wstał i coś krzyczał, wymachując rękami. Przez strugi deszczu popatrzyli tam, gdzie wskazywał, i z przerażeniem ujrzeni doganiającą ich trąbę wodną, która sunęła po wzburzonej powierzchni morza niczym jakiś oszalały potwór, wijący się z bólu.

Theido rzucił się na dno łodzi, pokazując innym, by zrobili to samo.

Oblewały ich potoki wody; ryk sztormu wypełniał uszy.

Kiedy trąba już miała ich dosięgnąć, z niewiadomej przyczyny wszystko nagle ucichło. Zapadła absolutna cisza. Deszcz ustał, a po-wierzchnia morza się wygładziła.

Durwin uniósł głowę i wyjrzał za burtę.

– Spójrzcie! Ona się nad nami prześlizgnęła!

Istotnie. Trąba wodna, która dopiero co groziła wciągnięciem maleń-

kiej łódki i jej pasażerów w straszliwy wir, teraz tańczyła w górze pod chmurami. Widzieli nad sobą słup zielonej wody, który wił się jak robak, zmierzając do wyspy.

Cisza trwała tylko kilka krótkich chwil, a potem wiatr i fale uderzyły z nowymi siłami. Łódka kręciła się bezradnie w strumieniach deszczu, ster bowiem trzasnął w rufę i spadł z zawiasów. Theido rzucił się, by go chwycić, ale było już za późno. W ręku został mu jedynie rumpel.

204

– Skały! – krzyknęła Alinea.

Wszyscy się odwrócili i ujrzeni poszarpany brzeg wyspy, zalewany spienionymi falami, w których zniknął, by za chwilę znowu się pojawić.

Skały tworzyły rząd ostrych zębów, osłaniających płytką zatoczkę.

Przy lepszej pogodzie nawet najgorszy żeglarz mógłby między nimi przepłynąć z łatwością. Teraz jednak morze tam aż się gotowało.

Wysoka fala uniosła łódź. Kiedy woda z szumem opadła, obok nich wyrosła skała. Ronsard zaparł się o nią wiosłem. Szalupa obróciła się bokiem i tylko lekko otarła kruchym kadłubem o twarde kamień.

Następna spieniona fala porwała łódź i cisnęła w stronę brzegu. Przy drugiej burcie Trenn wytarł z oczu bryzg szczypiącej piany i uniósł wiosło, by się nim odepchnąć od kolejnej skały. Jednakże nim ktokolwiek zdążył ujrzyć jej czubek wynurzający się z kipieli, rozległ się trzask, który ścisnął im

serce, łódź bowiem z całej siły uderzyła stępką w skałę, którą przed chwilą ominęli.

Zgruchotane dno było wgniecione, lecz szalupa została na skale, gdy fala opadła. Przez chwilę się kołysała, wisząc w powietrzu jak ryba na-dziana na kamienny szpikulec, a później, kiedy kadłub puścił, pochyliła się na burtę i zaczęła zsuwać.

W uszkodzoną łódź uderzyła ogromna fala, przełamała ją na pół, a pasażerów wyrzuciła do wzburzonego morza.



Nimrood, ubrany w rozwiany czarny płaszcz, chodził wielkimi krokami po blankach wysokich murów swego zamku. Pasemka siwizny w jego okropnie zmierzwionych kruczoczarnych włosach świeciły jak błyskawice na ciemnych burzowych chmurach, które z zachwytem obserwował.

205

W dolinie poniżej zamku odbijały się echem grzmoty piorunów, a każde ich uderzenie zły czarodziej kwitował chichotem.

– Dmij, wietrze! Bijcie, pioruny! Rozdzierajcie niebo, błyskawice!

Ja, Nimrood, wam rozkazuję! Cha, cha, cha!

Czarownik wcale nie miał żadnej władzy nad burzą, która się zerwała w sposób naturalny. Jej straszliwa siła zdawała się napełniać go dziwnym ożywieniem, kiedy tak patrzył w stronę zatoki, gdzie kotwiczył

statek Pyggina. Nimrood nie mógł dojrzeć statku – zamek znajdował się na szczycie najwyższej z poszarpanych gór, które wyrastały z morza, tworząc tę ustronną wyspę. Od zatoki dzieliła go w prostej linii mila albo i więcej.

Burzowe chmury, uformowane w wysokie kowadło na niebie, zbliża-

ły się od morza. Nimrood obserwował nawałnicę, a jego ciałem wstrzą-

sały paroksyzmy niezdrowej radości. Złą twarz oświetlały strzelające błyskawice. Czarodziej śmiał się, tańczył i podśpiewywał, aż drżąc z rozkoszy, jaką sprawiała mu burza. W końcu pierwsze grube krople deszczu uderzyły w ziemię. Nimrood nie chciał odejść, ale jeszcze bardziej nie chciał zmoknąć, popędził więc z powrotem do swojej komnaty.

– Euryku?! – zawołał zrzucając pelerynę. – Zapal kadzidła. Mam ochotę ruszyć za burzą.

Giermek zbiegł przed nim po kręconych kamiennych schodach do komnaty na dole. Była prawie pusta – na środku stał tylko pięciokątny ołtarz.

Euryk z pochodnią w rękę szybko obszedł ołtarz, zapalając kadzidła w naczyniach umieszczonych na niskich metalowych trójnogach, po jednym w każdym rogu.

– Zostaw mnie samego! – rozkazał Nimrood.

Czarodziej wyciągnął się na ołtarzu i skrzyżował ręce na piersi. Za-czął powoli wciągać do płuc unoszące się dymy kadzideł, a jego oddech stawał się coraz płytszy. Wkrótce Nimrood zapadł w głęboki trans i zdawało się, że przestał oddychać.

206

Wówczas jego dusza opuściła ciało i wzbijała się coraz wyżej, jakby unoszona kolorowym dymem kadzideł, który wkrótce zniknął. Leciąca wysoko nad ziemią, prosto w stronę czoła zbliżającej się burzy.

Nimrood zamknął oczy, a gdy je otworzył, zmienił się w pustułkę.

Szybując w burzliwym powietrzu, z emocji aż drżał. Nurkował w skłę-

bione chmury, by w mgnieniu oka znów się wzbić wysoko.

Fruwając tak z zachwytem obserwował wyspę. Pod sobą zobaczył

ciemną sylwetkę swego zamku na szczycie góry. Na zachód, w stronę morza opadały wzgórza gęsto porośnięte lasem, przypominające grzbiety dzikich zwierząt. Dalej połyskiwały wody półksiężycowatej zatoki.

Wtem coś w niej dojrzał, gdy nagle oślepiająco zaświeciła błyskawica.

– Ciekawe, co to może być? – pomyślał. – Trzeba przyjrzeć się z bliska.

Dał nurka i jak kometa poleciał ku ziemi, kierując się ku zatoce.

– Jakiś statek! – zaskrzeczał, kiedy następna błyskawica oświetliła morze. – Czyżby Pyggin? Tak wcześnie? Spodziewałem się go dopiero za tydzień.

Zawisł w powietrzu, unosząc się na wietrze, który szarpał mu skrzydła. Wówczas spostrzegł, że daleko w dole od burty statku odbija mała łódka.

– Aha, przybyli moi goście!

W tej samej chwili zawrócił, z wiatrem poleciał do zamku i przez otwór strzelniczy w ścianie wpadł do komnaty. Siadłszy na brzegu ołtarza, przeistoczył się w smugę szarego dymu, nim wniknął w swoje ciało, pogrążone w transie. Otworzył oczy i gwałtownie usiadł.

– Euryku! – zaskrzeczał. – Chodź tu natychmiast!

Wstał z ołtarza.

– Gdzież ten głupiec się podziewa?! – mruknął. – Euryku!

Usłyszał kroki sługi, który szybko nadbiegał korytarzem. Spotkali się w drzwiach.

207

– Wzywałeś mnie, najmądrzejszy z panów? – żalonym głosem spytał Euryk jak gdyby nigdy nic.

– Owszem, nędzna kreaturo! Mamy zajęcie. Właśnie przybywają nasi długo oczekiwani goście i

trzeba wyjść im na spotkanie. Wołaj stra-

że. Niech się zbiorą przed moim tronem. Wydam rozkazy. Pośpiesz się!

Nie ma czasu do stracenia!

Tego ranka już w trzeciej gospodzie próbowali zasięgnąć języka. By-

ła to portowa oberża przy nabrzeżu. Stojąc przed nią, Quentin i Toli wpatrywali się w zniszczony szyld, który skrzypiąc dyndał na silnym wietrze. Wielkie niebieskie litery, pieczołowicie wymalowane ręką karczmarza, oznajmiały wszystkim, że to gospoda „Pod Latającą Rybą”, a pod nimi widniało jego nazwisko – Baskin.

– To już chyba ostatnia gospoda w Bestou – zauważył Quentin. – Tu musieli się zatrzymać. Chodź.

Skinął głową na przyjaciela. Spojrzawszy na brzeg morza, Toli wszedł do środka drewnianym krokiem, opanowany nieprzyjemną tremą, jaką odczuwali wszyscy Jherowie w każdym mieście bez względu na jego wielkość.

– Przepraszam, panie. Czy zwiesz się Baskin? – grzecznie spytał

Quentin pierwszą napotkaną osobę.

Mężczyzna popatrzył nań znad kupki monet, które liczył, mrużąc oczy w świetle padającym z otwartych drzwi.

– Ależ, drogi przyjacielu! – wykrzyknął trochę zdziwiony.

– Czy zwiesz się Baskin, panie? – powtórzył Quentin, zaskoczony jego niezwykłym zachowaniem.

– A jakże! Do usług. Jeśli szukasz Baskina, to właśnie go znalazłeś.

Czym mogę paniczom służyć? – odparł rzucając Tolemu niezbyt przychylne spojrzenie.

– Poszukujemy grupy podróżnych, którzy jakiś czas temu tędy przejeżdżali... przez Bestou.

208

Mężczyzna z ubawioną miną podrapał się w głowę.

– Zapewniam, że wielu podróżnych odpowiada temu opisowi.

– Było ich czworo...

– To już lepiej... ale wielu kupców podróżuje w grupie.

– Wśród nich znajdowała się kobieta. Bardzo piękna.

– To jeszcze lepiej... lecz nikogo takiego sobie nie przypominam. Z

kim odpłynęli?

– Ja... nie wiem, panie.

– Powiadasz, że tutaj się zatrzymywali?

– Może... ale nie jestem pewien. To w Bestou ostatnia gospoda, w której mogli się zatrzymać.

– Zaraz, zaraz... – rzekł Baskin, palcami gładząc się po brodzie. –

Szukacie ludzi, którzy przybyli tu nie wiadomo kiedy, zatrzymali się nie wiadomo gdzie i odpłynęli nie wiadomo z kim. No nie?

Quentin się zaczerwienił i spuścił oczy.

– O, nie zwracaj na mnie uwagi, młodzieńcze. Chcę tylko ustalić fakty...

– Przepraszam, że cię niepokoiłem, panie – rzekł chłopiec, ruszając do wyjścia.

– Jesteś pewien, że niczego więcej nie pamiętasz? – rzucił za nim Baskin.

Quentin się zatrzymał i przez chwilę zastanawiał.

– Oni mieli płynąć na Karsh.

Na to słowo karczmarz zerwał się z taboretu, obszedł stół i podbiegł

do chłopców.

– Sza! Nie wymieniaj tu tej nazwy. To przynosi pecha!

Ale..., hmm... – Potarł dłonią po wysokim czole. – Teraz chyba ich sobie przypominam. Taaa... Trzej mężczyźni i kobieta. Jeden wysoki, niecierpliwy. Wyglądał mi na krewkiego. Drugi duży, gruby. Ubrany trochę jak kapłan, choć nigdy żadnego kapłana nie widziałem na oczy.

Mieli jakiegoś służącego. Kawał chłopca. Prawie się nie pokazywał. No i ta kobieta... może i piękna, ale według mnie trudno by ci było to

udowodnić, bo cały czas nosiła męskie stroje. Czyżby dla niepoznaki?

– To oni! – wykrzyknął Quentin.

– Tak przypuszczam. Chcieli popłynąć na... na tę wyspę. Mieli kłopoty... któż by ich nie miał... ze znalezieniem jakiegoś przyzwoitego kapitana, żeby ich tam zabrał.

– Znaleźli kogoś?

- Chyba tak. Musieli, bo opuścili gospodę wczesnym rankiem pierwszego dnia, kiedy można było wypłynąć. Wieczorem zapłacili rachunek, a o świcie się wynieśli razem ze wszystkimi.
- Kiedy to było? – spytał Quentin z ulgą, wreszcie bowiem dowiedział się czegoś o przyjaciółach.
- O, z tydzień temu. Co najmniej tydzień. Może nawet wcześniej.

Chwileczkę...

Karczmarz wrócił do stołu, obok którego stała szafka z przegródkami, pogrzebał w jednej z nich i w końcu wyjął jakiś pergamin.

– No, wreszcie to znalazłem. Teraz już pamiętam. Zostawili konie u kowala. Wszystko tu stoi napisane.

Podsunał chłopcu pod nos pergamin.

– Nie wspominali, czym statkiem mieli płynąć na...?

– Nic takiego nie słyszałem, ale według mnie są tacy, co za odpowiednią ilość złota byliby gotowi tam popłynąć, choć twierdzą, że wielu by odmówiło. – Rzucił Quentinowi znaczące spojrzenie. – Chyba się tam za nimi nie wybieracie, prawda?

Odpowiedź wyczytał z oczu chłopca, nim tamten zdążył się odezwać.

– Dajcie sobie z tym spokój. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Powiem wam to, co im mówiłem: trzymajcie się jak najdalej od tej wyspy i wracajcie tam, skądście przybyli. Nawet się do niej nie zbliżajcie. To zła ziemia.

Jaspin pędził licznymi korytarzami zamku Erlott do sali, gdzie już trzeci dzień bezskutecznie obradowała Rada Regentów. Księżciu towarzyszyło dwóch ludzi z jego straży przybocznej, niosących halabardy na długich drzewcach, z których powiewały królewskie proporce. Jaspin wybrał ten moment, by przypomnieć krnąbrnym regentom o swojej sile i prestiżu.

Za nim maszerował także Onteskusz, niosąc małą ozdobną szkatu-

kę. Pochód zamykał jakiś mężczyzna w znoszonym stroju żołnierza, idący niepewnym krokiem. Rozbieganymi oczami rzucał spojrzenia we wszystkie strony, jakby miał nieczyste sumienie.

Zbliżyli się do wysokich drzwi wielkiej sali, które teraz były zamknięte i pilnowane przez trzech ludzi. Jednym z nich był naczelnik straży rady.

– Stać! – ryknął. – Odbywa się posiedzenie.

– Obrady utknęły w martwym punkcie – obłudnie powiedział ksią-

żę. – Dysponuję środkami potrzebnymi regentom do przełamania tego impasu. Wpuście mnie!

Naczelnik wydał policzki, jakby chciał się sprzeciwić, gdy ktoś od wewnątrz zapukał w drzwi.

– Odsuń się, panie – rzekł do Jaspina i odwrócił się, by je otworzyć.

– Naczelniku, rada udzieli głosu księżciu – oznajmił Bran, kiedy drzwi się uchylily, i cicho powiedział do Jaspina: – Przepraszam, panie, ale wiadomość od ciebie otrzymałem dopiero przed chwilą, bo inaczej wydałbym rozkaz tym durniom, żeby cię natychmiast wpuścili.

– Hm! – parsknął książę. – Jesteś gotów?

Bran skinął głową, kiedy przekraczali próg.

– A inni?

– Wiedzą, co mają robić. Znają swoje role i wystąpią we właściwym czasie. Nie przejmuj się, panie.

211

Wchodząc za nimi, Onteskusz ręką dał znak człowiekowi w żołnierskim stroju, by został w korytarzu. Kiedy wielkie drzwi zamknęły się z trzaskiem, wszyscy regenci odwrócili głowy, chcąc zobaczyć, kto zakłó-

ca im obrady.

– Protestuję! – zawołał ktoś, przekrzykując pomruk towarzyszący wejściu Jaspina, który naruszył zasadę tajności posiedzeń rady. – Protestuję przeciwko obecności księcia!

To Holben zerwał się na równe nogi i wyrażał swój sprzeciw, oskar-

życielskim gestem wskazując Jaspina.

– Przybywam tu z dobrej woli, pragnąc dostarczyć radzie potrzebnego jej dowodu – oznajmił ksiązę.

Holben podparł się pod boki zaciśniętymi pięściami i schylił głowę, by się naradzić z przyjaciółmi.

– Rada przedstawi swoje własne dowody – powiedział ostrym tonem.

Regenci z aprobatą pokiwali głowami.

– Oczywiście – rzekł Jaspin, słodko się uśmiechając. – Rada może jednak rozpatrzyć też dowody z innych źródeł... jeśli tak postanowi.

Regenci kiwali głowami z jeszcze większym uznaniem.

– A w ogóle skąd ci wiadomo, że rada potrzebuje takich dowodów?

– gniewnie spytał Holben, ledwie panując nad głosem. – Zdajesz się mieć niezwykle długie uszy, mości ksiązę, ale według mnie to wśród nas jest jakiś osioł!

– Licz się ze słowami, panie! – krzyknął Bran.

Zrobił ruch, jakby chciał się rzucić na Holbena, który stał, trzęsąc się z gniewu.

– Przestańcie, szlachetni panowie! – zawołał Naylor, marszałek rady. – Rada ma prawo zadecydować, czy dopuści dowody księcia czy nie.

– Rozejrzał się po zebranych. – Co wy na to, mości panowie?

Zaczynając z prawej strony marszałka, regenci kolejno wypowiadali swoje życzenie w sprawie rozpatrzenia dowodów księcia. Ciekawość kusiła, więc przeważały głosy za.

212

– Chylę głowę przed waszą rozważą – rzekł ksiązę z niskim ukłonem. Uśmiechał się, ale patrzył kamiennym wzrokiem na Holbena i jego zwolenników. – Doszły mnie słuchy, że obrady utknęły w martwym punkcie z powodu braku dowodów śmierci króla. Choć napawa mnie to żalem, nawet nie wiecie jak głębokim, muszę przekazać wam bardzo smutną wiadomość. Zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym stał z boku i nic nie uczynił, mając możliwość rozwiania waszych wątpliwości.

Wokół stołu znów się rozległ szmer uznania. Ksiązę kolejno spoglą-

dał na swoich płatnych stronników.

– Ledwie kilka godzin temu otrzymałem niezbity dowód śmierci króla. Chociaż ów dowód sprawi

ogromny ból tym wszystkim z nas, którzy nie poddawali się rozpacz i mieli nadzieję, że pewnego dnia król wróci, to jednak potwierdza słusność zwołania tej narady. – Przebiegł

wzrokiem wokół sali. – Potwierdza również nasze najgorsze obawy.

Skinął palcem na Onteskiusza, który się zbliżył ze szkatułką wysadzaną klejnotami. Jaspin wziął ją i postawił przed Naylorem.

– Sądzę, że to, co w niej znajdziesz, zakończy sprawę – rzekł wręczając mu kluczyk.

Marszałek bez słowa włożył go do dziurki i przekręcił. Zaległa taka cisza, że szczęknięcie zamka słyhać było w całej sali. Wyjąwszy kluczyk, Naylor ostrożnie uniósł wieko. Na widok tego, co ujrział w środku, zbladł jak ściana. Zatrzasnął szkatułkę i z zamkniętymi oczami opadł na fotel.

Małą złotą skrzynkę zaczęto przekazywać sobie z rąk do rąk wokół stołu. Regenci kolejno do niej zaglądali, a książę obserwował, jakie wrażenie wywiera na nich jej zawartość. Niektórzy patrzyli z niedowierzaniem, inni z głębokim smutkiem jak Naylor, a jeszcze inni z przerażającą ciekawością. Wszyscy prócz Holbena zdawali się uznawać ten do-wód śmierci króla za dostateczny.

– Myślisz, książę, że ta okropność nam wystarczy? – spytał półgłosem i wziął głęboki oddech. – Toż to parodia! – wykrzyknął ciskając szkatułkę.

213

Spod otwartego wieka wypadł na stół i potoczył się po blacie odcięty, gnijący palec z dużym złotym pierścieniem. Pierścieniem króla Eskevara.

– Widziałem go u króla jegomości! Na własne oczy! – zawołał ktoś.

– Ja też! Przysięgam, że jest prawdziwy! – poparł go inny. Pozostali zawtórowali im zgodnym chórem. Holben jednak obstawał przy swoim.

– Pierścień może być prawdziwy, mości panowie. W istocie nawet palec może należeć do króla, ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Abso-lutnie niczego!

– Racja – rzekł szlachcic siedzący obok niego. – Choćby to był pier-

ścień króla i palec króla, to jednak ani jedno, ani drugie nie świadczy o jego śmierci. Ich brak nie przeszkadza mu żyć.

Na kilku twarzach pojawił się cień wątpliwości.

– Żaden król nie oddałby pierścienia, symbolu swej władzy, chyba że w godzinę śmierci. Król Eskevar walczyłby do ostatniego tchu, nimby pozwolił go sobie odebrać. Mnie to wystarczy – odezwał się Grenett i usiadł z triumfującą miną, jakby już wygrał.



Jednakże Holben pozostał nieugięty.

– Zaręczam, że król Eskevar wolałby raczej tysiąc razy zginąć, niż oddać ten pierścień, lecz nasz monarcha król może nie mieć z tym nic wspólnego.

Utkwił w księciu gniewne, wyzywające spojrzenie. Jaspin wolno po-kręcił głową i zaczął mówić z udawanym ociąganiem.

– Łudziłem się nadzieją, że oszczędzę wam tych przerażających szczegółów, ale skoro moi Holben chce skalać pamięć o naszym wielkim królu swym chorobliwym brakiem poszanowania...

Odwrócił się i dał znak Onteskuszowi, by wprowadził świadka. Onteskusz stał już gotów przy drzwiach. Mocno w nie zapukał, a wtedy naczelnik straży wpuścił czekającego żołnierza.

– Ten nieszczęśnik, którego tutaj przed sobą widzicie, towarzyszył

naszemu monarsze w wyprawie do obcych ziem i walczył u jego boku.

214

Był z nim do samego końca, kiedy to wrogowie zabili Eskevara i odrąba-li mu palec wraz z pierścieniem.

Żołnierz zwiesił głowę i starał się sprawiać wrażenie, że jest bardzo smutny.

– Opowiedz, jak wszedłeś w posiadanie tego pierścienia? – łagodnie spytał Naylor.

– Jeśli to cię zadowoli, szlachetny panie. Widok martwego króla, le-

żącego na polu bitwy, tak zasmucił żołnierzy, że wpadliśmy w szal i wyrznęliśmy wrogów, którzy go zabili i już się oddalali, by świętować zwycięstwo. Właśnie wtedy odzyskaliśmy pierścień.

– Czy widziałeś, jak król padł?

– Tak, panie.

Żołnierz niespokojnym wzrokiem popatrzył na twarze regentów.

– A ten pierścień... jak doszło do tego, że znalazł się w twoich rękach?

– Wojna już się skończyła i wszyscy wracaliśmy do domu. Byłem na pokładzie pierwszego statku, wyruszającego do kraju, ale ostatniego, który odpływał przed zimą. Zgłosiłem się na ochotnika, że wezmę pier-

ścień ze sobą.

– Wkrótce więc przybędzie reszta wojska?

– Tak, panie, pierwszymi statkami wiosną.

Naylor ponownie zamknął oczy, jakby był bardzo znużony.

– Dziękuję ci, dobry człowieku.

Zwolnił go skinieniem głowy. Żołnierz z ukłonem cofnął się od stołu.

Jaspin ukradkiem dał mu znak, żeby wyszedł.

– A gdzie jest twój przełożony? – spytał Holben. – Dlaczego ten dowód nie dostał honorowej eskorty? Odpowiadaj!

– Ten człowiek jak najszybciej zgłosił się bezpośrednio do mnie –

oznajmił księżę, ignorując pytania Holbena, a tymczasem świadek zdą-

żył opuścić salę.

215

– Tak, oczywiście – przyznał zmęczony Naylor, a później głosem pełnym wzruszenia oświadczył: – Szlachetni panowie, uważam, że widzieliśmy i słyszeliśmy już dosyć, byśmy się zdecydowali. – Podniesieniem ręki uciszył protestującego Holbena. – Osobiście jestem skłonny wierzyć w to, co zobaczyłem i co tu powiedziano. Nie widzę innego wyjścia, jak tylko zająć się sprawą, dla której tutaj przybyliśmy.

– Z tym możemy jeszcze poczekać – nalegał Holben. – Niech pierwej wróci reszta wojska, choćby członkowie przybocznej gwardii króla albo ci, co go pochowali...

– Ilu ci potrzeba, żebyś uwierzył? – spytał Bran. – Jeśli nie chcesz wierzyć własnym oczom, to czy uwierzysz oczom innych?

– Radę zwołano w sprawie nie cierpiącej zwłoki – wtórował mu Grenett. – Królestwu pilnie potrzeba silnego władcy.

– I ty to mówisz, mości Grenett? – szydził Holben. – Od kiedy to tę-

sknisz za silną władzą? Ty z tą swoją złodziejską hałastrą!

– Uważaj, posuwasz się za daleko. Jesteś w gorącej wodzie kąpany.

Tu nie miejsce do roztrząsania naszych sporów – ofuknął go Grenett opanowanym głosem.

– Masz rację, mości Grenett – wtrącił się Naylor. – Ani miejsce, ani czas na osobiste porachunki.

Mości Holben, masz prawo głosować przeciw, ale pozwól reszcie tego zgromadzenia głosować według własnej woli. Zechciej, książę, opuścić tę salę, abyśmy mogli spełnić nasz obowiązek. W ciągu godziny powinniśmy cię zawiadomić o decyzji rady.

– Uważam, że najbardziej by mi odpowiadała koronacja w najdłuż-

szym dniu lata – rzekł ucieszony książę, powróciwszy do swoich komnat. – Jak myślisz, Onteskiuszu? Wprost nie posiadam się z radości. Nareszcie spełnią się moje życzenia! Wina! Potrzebujemy wina! Chcę to 216

uczcić! Wyślij szambelana, niech otworzy beczkę najlepszego...

– Już to zrobiłem – odparł Onteskiusz. – Pragnę złożyć ci gratulacje, a przy okazji wspomnieć o pewnej twojej obietnicy. Ustaliliśmy...

– A fe! W tej chwili nie jestem w nastroju do rozmów o takich drob-nostkach. Pogadamy o tym później. Mamy jeszcze mnóstwo czasu. Teraz świętujemy.

– Oby nie przedwcześnie – chłodnym tonem rzekł Onteskiusz.

– Przedwcześnie, powiadasz? Bzdura! – wykrzyknął książę, lecz oczy mu przygasły i uśmiech znikł z jego warg. – Jednakże, skoro uwa-

żasz, że powinniśmy się z tym wstrzymać, to zaczekamy. Tak, oczywi-

ście, nawet lepiej. Będę świętował wspólnie z naszymi przyjaciółmi.

Tak, właśnie tak.

Jaspin opadł na fotel, w którym spędził niespokojną godzinę w oczekiwaniu upragnionej wiadomości. W końcu szambelan wetknął głowę w uchylone drzwi i oznajmił mu, że delegacja regentów chce się z nim widzieć.

– Wpuść ich, durniu! – ryknął książę.

– Dobre wieści, najjaśniejszy panie! – powiedział Bran, w podskokach wchodząc do komnaty, a za nim Grenett i kilku innych. – Rada Regentów poleciła mi cię zawiadomić, że zostałeś powołany na tron Askelonu, tron władcy królestwa Mensandoru.

– Rada z zadowoleniem oczekuje twojej decyzji w sprawie koronacji – dodał Grenett. – Niech więc usłyszę to postanowienie, by natychmiast można było je ogłosić.

– Hmmm... W istocie jeszcze o tym nie myślałem – rzekł Jaspin, wykrzywiając mięsiste usta w nieszczerym grymasie. – Sądzę jednak, że najbardziej by mi odpowiadał najdłuższy dzień lata. Tak, niech to ogło-szą.

### 33.

Quentin siedział na zimnych kamieniach nabrzeża, piętami kopiąc w gęsty zielony mech. Toli z rękami skrzyżowanymi na piersiach stał obok jak cień i patrzył na morze. Nad ich głowami krążyły skrzeczące mewy, protestując przeciwko owym dwóm intruzom, którzy nie pozwalali im wygrzewać się w słońcu.

– Statki odpłynęły – westchnął Quentin.

Przeciągnął wzrokiem po rozległym basenie pustego portu.

Niemal wszystkie statki wyszły w morze przed tygodniem – pozosta-

ły tylko dwa. Oba wymagały remontu i w najbliższym czasie nigdzie nie popłyną. Quentin już o nie pytał.

– Na pewno wrócą – odparł Toli, który o oczywistych rzeczach zwykł mówić w najbardziej tajemniczy sposób.

– Niewątpliwie. Wrócą, ale może dla nas za późno.

Quentin wstał z niskiego pochyłego muru, który na ogół dostatecznie zabezpieczał nabrzeże Bestou przed zalaniem morską wodą.

– Nie wiem, co teraz robić – znowu westchnął i rękami otrzepał spodnie.

– Wisi thera ilya murenno – odezwał się Toli, wciąż patrząc daleko w morze.

– Wiatr powiada, że... co?

Quentin nie potrafił tego przetłumaczyć.

– Wiatry wieją tam, dokąd on je kieruje – odparł Toli.

Odwrócił się, by spojrzeć na przyjaciela, który dostrzegł w jego oczach jakiś dziwny blask.

– Kto?

– Whinoek.

– Aha – rzekł zamyślony Quentin. – W takim razie zdajmy się na niego. Chodźmy zobaczyć, jak tam konie. – Zerknąwszy w stronę słońca ocenił, że zbliża się południe. – Chętnie bym coś zjadł. A ty?

Wspinali się długim zboczem wzgórza, na którym zbudowano Bestou. Stok ciągnął się od lasów aż do samego morza. Chłopcy zostawili konie pod opieką jakiegoś wieśniaka na przedmieściach, nie wiedzieli bowiem, czy będą mile widziane w portowym mieście.

Wkrótce znaleźli się poza jego granicami. Bestou leżało wąskim pasem na brzegu zatoki. Najbliżej morza stały domy kupców, nieco dalej zamożnych właścicieli statków, a za nimi rozproszone kamienne i drewniane domki mieszkańców wzgórz i wieśniaków.

Chłopcy bez pośpiechu szli w stronę walącej się chaty. Kiedy do niej dotarli, Quentin zaczął rozmawiać z gospodarzem, którego żona się uparła, by zjedli z nimi obiad. Toli napoił konie, a potem wypuścił je na świeżą trawę, rosnącą wokół domu.

Wspólnie z wieśniakami zabrali się do jedzenia ogromnych grzanek z razowego chleba, opiekanych nad paleniskiem przez gadatliwą gospodynię, oraz kawałów bladożółtego sera. W czasie swobodnej rozmowy na różne tematy gospodarz kilkakrotnie napomknął o koniach, podziwiając szczególnie siłę Baldera.

– Idę o zakład, że nadaje się do pracy – powiedział takim tonem, jakby objawiał jakąś nieznaną prawdę.

– To koń bojowy – tłumaczył Quentin. – Szkolony do walki.

– Zgoda, ale jest bardzo silny.

– No cóż... – Quentin mrugnął do Tołego. – Macie tu jakąś robotę dla konia? Zobaczmy, co on potrafi.

– Nie, skądże znowu. Nawet o tym nie myślałem... chociaż... na po-lu jest pniak... Jednak nie... Sądzisz, że dałby radę?

– Można by spróbować – odparł Quentin, z trudem wstając. Nie jadł

tak obfitego posiłku od wyjazdu z Dekry, a przecież od tego czasu minę-

ło już wiele dni. – Przynajmniej w ten sposób odwdzięczymy się wam za uprzejmość.

– Nami się nie przejmuj – powiedziała żona gospodarza. – Wasze towarzystwo nas rozwesela. Żyjemy tu samotnie i swoją obecnością sprawiacie nam wielką radość.

219

Quentin jednak spostrzegł, że oboje byli bardzo zadowoleni z jego propozycji. Cieszył się, że może im pomóc. Zrobiło mu się lekko na duszy. Przydam się, pomyślał.

– Ten pniak od dwóch lat daje mi się we znaki. Sterczy w samym środku mojego nowego pola – wyjaśnił wieśniak, gdy ruszali.

Konie rzadko się spotykało na Tildeenie, choć je tam znano. Nikt nie podróżował nimi po wyspie, bo nie było dokąd jechać, a w Bestou, jako że to miasto portowe, korzystano z nich tylko w niewielkim zakresie.

Jedynie kilku spośród wieśniaków, którym się lepiej powodziło, używało ich do pracy na roli, ale tacy szczęściarze byli w istocie bardzo nieliczni.

Dla Baldera sporządzono uprząż ze skórzanych pasów i lin. Nebo, ów wieśniak, taskał gruby konar, który miał służyć za dźwignię. Quentin prowadził Baldera, a Toli niósł uprząż. Tisha, żona wieśniaka, biegła za nimi.

Po kilku przymiarkach chłopskiej uprzęży, należało ją bowiem dopasować, Balder schylił łeb i pociągnął. Liny się naprężyły, grożąc zerwaniem. Nebo, Quentin i Toli wisieli na końcu gałęzi, zgiąwszy ją niemal w pół, a Tisha stała przy głowie konia, czule doń przemawiając.

Rozległ się głośny przeciągły trzask. Mięśnie Baldera napięły się pod gładką, lśniącą sierścią, i po chwili karcz leżał na boku, a jego wilgotne korzenie, pokryte ziemią, dyndały w ciepłym wiosennym powietrzu.

– Ho, ho! – wykrzyknął wieśniak. – To najsilniejsze zwierzę, jakie widziałem! Coś podobnego! Niech no tylko Lempy się o tym dowie! No, no...

– A teraz, Nebo – odezwała się jego żona – pamiętaj, że obiecałeś złożyć ofiarę Arielowi, gdyby ci się udało pozbyć tej karpki przed sie-wami. Już jej nie ma, więc oddaj bogu, co mu się należy.

– A, tak. Rzeczywiście obiecałem – niechętnie mruknął wieśniak. –

W ofierze zaniosę do świątyni srebrny puchar. – Zawahał się. – Choć wolałbym raczej kupić nowy lemiesz.

Quentin, który słuchał tej rozmowy, doznał osobliwego uczucia.

220

– Proszę, nie składaj ofiary Arielowi – rzekł. – Nikt tego nie potrzebuje. Lepiej pomagaj innym, kiedy tylko możesz. To będzie twoja ofiara.

Oboje dziwnie nań popatrzyli. Quentin nagle poczuł się głupio. Żałował, że się odezwał.

– Czy aby nie jesteś kapłanem, paniczu? – ostrożnie spytał wieśniak.

– Dawniej służyłem Arielowi w jego świątyni – przyznał Quentin. –

Teraz jednak wierzę w potężniejszego boga, a jemu nie oddaje się czci srebrem.

Na szerokiej dobroduszej twarzy Neba pojawiła się ulga.

– Wobec tego złożę ofiarę zgodnie z twoją propozycją i życzeniem twego boga – powiedział wesoło, zadowolony jak nigdy.

Nic dziwnego – pozbył się uciążliwej karpki i nie wyda pieniędzy na srebrny puchar. Bardzo mu zaimponował ten nowy bóg. Nebo klasnął w ręce z dziecinną radością.

– Jestem znużony – oznajmił Quentin. – Za dużo zjadłem i od tego słońca jestem senny.

– A więc ogłaszam drzemkę – rzekł Nebo. – Dobrze się trochę przespać.

Quentin niechętnie otworzył oczy. Powietrze było chłodniejsze, ale jeszcze czuł na twarzy ciepło słońca, które zakreśliwszy łuk na niebie, przeświecało przez czubki drzew, chyląc się ku zachodowi. Obok chłop-ca spokojnie siedział Toli – on też niedawno wstał ze snu.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś? – zapytał Quentin, unosząc się na łokciu.

Znajdowali się za chatą wieśniaka, na niewielkim pagórku, porośniętym trawą.

– Czas wracać do portu – odparł Toli.

Quentin spojrzał nań, pochylając na bok głowę.

– Już? Dlaczego tak twierdzisz?

Toli wzruszył ramionami.

221

– Czuję, że powinniśmy tam iść. Coś mi tutaj mówi – rzekł i wskazał na swoją pierś.

– No, to chodźmy. Konie na razie zostawimy tutaj.

– Nie. Myślę, że trzeba je zabrać.

– Jak sobie życzysz.

Quentin na to przystał, choć uważał, że nie ma sensu prowadzić koni do miasta, bo przecież muszą tu wrócić. Mogłyby sobie odpocząć. Uznał

jednak, że nie ma się o co spierać w takie piękne słoneczne popołudnie.

Pożegnawszy się więc z życzliwym wieśniakiem i jego żoną, ruszyli kamienistą ścieżką do Bestou. Schodząc widzieli jak na dłoni całe miasto i port, a za nimi błękitne morze, połyskujące w oddali.

Szli w milczeniu, prowadząc za sobą konie, których kopyta stukały na kamieniach. W powietrzu unosił się zapach świeżej trawy i ziół. Quentin pomyślał, że tutaj, w tak piękny dzień, mógłby zapomnieć o swoim zadaniu, o królach i czarodziejach, o ukrywaniu się i walce. Błądziłby po tych wzgórzach, zasłuchany w jednostajne brzęczenie pszczół wśród dzikich kwiatów, których różowe i żółte główki kołysały się przy drodze w podmuchach wiatru.

Chłopiec wyrwał się z zadumy. Odwrócił głowę, by zadać przyjacielowi pytanie, i już otwierał usta, lecz słowa uwięzły mu w gardle, gdy zobaczył jego minę.

W ciemnych oczach Jhera znowu dostrzegł tamten dziwny blask, któ-

ry zdawał się rozświetlać mu twarz. Quentin miał wrażenie, że Toli spogląda w przyszłość, pokonując czas i przestrzeń. A może tylko patrzy bardzo daleko?

– O co chodzi? Co tam widzisz?

– Nadpływa jakiś statek – oparł Toli rzeczowym tonem.

– Statek?

Quentin rzucił szybkie spojrzenie na port, ale niczego nie zauważył.

Popatrzył daleko w morze, lecz horyzont był pusty. Daremnie przebiegał

wzrokiem w lewo i w prawo aż po wzgórza ograniczające zatokę.

– Nie widzę żadnego statku – przyznał w końcu.

222

Toli nic nie odpowiedział i dalej schodzili w milczeniu. Minęli pierwsze domy, szli brukowanymi ulicami z kramami kupców, a potem nabrzeżem, by w końcu dotrzeć do miejsca, gdzie siedzieli rano. Quentin jeszcze raz przeszukał wzrokiem horyzont, chcąc zobaczyć to, co Toli zdawał się widzieć całkiem wyraźnie.

W porcie panował duży ruch. Z całodziennych połowów wrócili ry-bacy w swoich długich, płaskich łodziach. Kobiety z trzcinowymi ko-szykami pośpiesznie chodziły po nabrzeżu i w grupkach otaczały męż-

czyn, którzy rozkładali na bruku złowione przez siebie ryby. W górze skrzeczały mewy, mając nadzieję, że im się trafi jakiś kasek.

Quentin obserwował to z umiarkowanym zainteresowaniem – wciąż odkrywał życie poza świątynią. Wszystko było dlań takie nowe; czuł się jak dzikie stworzenie, zaciekawione ludzką siedzibą i nie mogące się nadziwić, że ktoś żyje inaczej. Zwyczajnie, lecz obco, równocześnie dziwnie i banalnie.

Toli stał, jakby wrósł w ziemię, zapatrzony w jeden punkt gdzieś daleko.



Quentin nie chciał się o nic spierać z Jherem, zatem przywiązał konie do żelaznego pierścienia na kei, służącego do cumowania statków.

Usiadł obok i ponownie zajął się obserwowaniem ludzi.

Słońce za jego plecami świeciło nisko, rzucając cień nabrzeża na szarozieloną wodę basenu portowego. Quentin przyglądał się mężczyźnie z beczką małży, który sortował swój towar, oddzielając żywe mięczaki od martwych. W końcu chłopiec spojrzał na Tolego.

– Długo jeszcze będziemy czekać? – spytał prawie bez zainteresowania.

– Niedługo – odparł Toli i lekko skinął głową w stronę morza.

Quentin popatrzył w tamtym kierunku i w ciasnym wejściu do portu spostrzegł powoli wpływający statek, duży statek, którego żagle przed-wieczorne słońce barwiło na pomarańczowo. Chłopiec rozdziawił usta.

Oniemiały spoglądał to na statek, to na przyjaciela.

Jher wreszcie się rozluźnił i uśmiechnął.

223

– No i jest statek – oznajmił.

W jego głosie przebijała nuta triumfu, jakby wyczarował żaglowiec siłą woli. Quentin przypuszczał, że Toli ściągnął go w jakiś tajemniczy sposób i wcale by się nie zdziwił, gdyby rzeczywiście tak było. Wszak Jher miał wiele niezwykłych umiejętności, które chłopiec wciąż jeszcze odkrywał.

Statek się zbliżał i wkrótce Quentin już rozróżniał maszty, olinowanie i marynarzy krzątających się po pokładzie. Zauważył również, że płynie bardzo niepewnie, jakby działał się z nim coś złego. Żaglowiec, teraz już całkiem blisko, z trudem orał wodę, dziwnie kręcąc dziobem, i zamiast rzucić kotwicę w środku basenu, skierował się do nabrzeża.

Chłopcy patrzyli, dopóki nie przycumował bokiem do kei, a później odwiązali konie i ruszyli w jego stronę. Staęli, gdy się z nim zrównali.

– „Marribo” – przeczytał Quentin.

– To dobra nazwa – odparł Toli, wciąż sprawiając wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

– Wygląda na niezły – rzekł Quentin.

Nic nie wiedział o statkach, ale podobał mu się takielunek, zwoje lin na pokładzie i fachowy sposób, w jaki zwinięto żagle na drzewcach.

Miał wrażenie, że wszystko jest na swoim miejscu i w należytych po-rządki, a zatem dobry statek.

Opuszczono trap. Marynarze krzętałi się po pokładzie, sprawnie wykonując różne prace. Jakiś mężczyzna, którego Quentin wziął za kapitana, stał na dziobie i gromkim głosem wydawał załódze rozkazy. We wszystkim wyczuwało się pewien pośpiech, co chłopiec uznał za dziwne, zwłaszcza że statek skończył rejs.

– Panie kapitanie! – zawołał Quentin z mocno bijącym sercem, ze-brawszy się na odwagę. – Mógłbym spytać...

– Nie jestem kapitanem! – odkrzyknął tamten obojętnie.

Równocześnie jednak wskazał kciukiem mężczyznę ubranego w krótką granatową kurtkę, który schodził po trapie, rozmawiając z czło-wiekiem w skórzanym fartuchu, prawdopodobnie skutnikiem. Obaj stali 224

jeszcze przez chwilę, wymieniając jakieś uwagi, a potem skutnik po-

śpiesznie odszedł. Kapitan przysiadł na niskim murku przy skraju nabrzeża i zapaliwszy długą glinianą fajkę, obserwował swoją pracującą załogę.

– Czy jesteś kapitanem, szlachetny panie? – spytał Quentin, czując się już pewniej.

– Tak, młodzieńcze. Kapitanem tego oto statku. Jestem do waszych usług.

– A my do twoich – odparł chłopiec, kłaniając się również w imieniu przyjaciela. – Piękny żaglowiec.

– Znasz się na statkach?

Kapitan przyglądał się Quentinowi, wydmuchując dym.

– Nie... znaczy... dotychczas nigdy na żadnym nie byłem.

– To dużo straciłeś, paniczu. Ach, morze... Mógłbym ci opowiadać o nim bez końca... – Znów się otoczył kłębamii dymu. – Nazywam się Wiggam. Z kim mam przyjemność?

– Ja jestem Quentin, a to mój... mój przyjaciel, Toli.

Wciąż jeszcze krępował się określać go mianem służącego.

– Czego tacy szlachetni młodzieńcy mogą sobie życzyć od morskogo wędrownika? – spytał kapitan, wyciągając dużą dłoń, którą Quentin mocno uściskał.

– Powiedz nam, panie, czy nie zechciałbyś popłynąć...

– Bez steru nigdzie nie popłyniemy – przerwał mu kapitan. – Co za przekłety pech! Pół dnia drogi stąd złamała się oś steru. O, bogowie!

Kilka godzin zajęła nam zmiana kursu i straciliśmy cały dzień, żeby tu dopłynąć. – Umilkł i mocno pociągnął dym z fajki. – Szukacie kogoś, żeby was dokądś zabrał?

– Tak, panie kapitanie. Chcielibyśmy się dostać na Karsh – odpowiedział Quentin pewnym głosem, mimo przestróg karczmarza.

Wiggam gwałtownie uniósł brwi.

– Na... Karsh? – Znowu przyjrzał się chłopcu i zapytał podejrzliwie: 225

– A niby po co się tam wybieracie?

– Ja... nasi przyjaciele wpadli w tarapaty. Zamierzamy im pomóc.

Quentin nie wiedział, co im się przydarzyło, ale nie był daleki od prawdy.

– Skoro są choćby tylko w pobliżu Karshu, to muszą mieć kłopoty.

– Mógłbyś nas tam zawieźć?

– Ja? Tym statkiem? Nigdy! – wykrzyknął Wiggam i odwrócił twarz z nieugiętą miną.

Quentin milczał. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Jednakże kapitan, zawzięcie pociągając fajkę, zdawał się nieco mięknąć.

– Płyniemy do Andraj w królestwie Elsendor. Mogę was tam zabrać, jeśli sądzicie, że to coś da.

– Nie wiem, gdzie to jest, panie kapitanie.

– Naprawdę nie wiesz?

– Nie... Mieszkałem w świątyni. Jeszcze do niedawna. Byłem nowicjuszem.

– W której świątyni? Jakiemu bogu służyłeś?

– Arielowi... w głównej świątyni w Narramoor. Miałem być kapłanem...

Quentinowi się wydawało, że w jasnoszarych oczach żeglarza spostrzegł błysk zainteresowania. Przez chwilę kapitan milczał, rozważając odpowiedź chłopca. Słysząc było odgłos uderzeń młota i plusk fal omywających kadłub statku.

– Ariel jest bogiem pomyślności i przeznaczenia, a zarazem dobro-czyńcą żeglarzy. Nie wypada odrzucać prośby jego sługi. – Wiggam opróżnił fajkę z popiołu, stukając nią o murek, i wstał. – Oto, co ci powiem: z Andraj zawiozę was do Valdai wokół półwyspu. Nic więcej nie odważę się zrobić. W Valdai są tacy, co czasem pływają na Karsh. Może znajdziecie kogoś, kto zawiezie was dalej, bo ja się boję.

Kapitan popatrzył na chłopców. Zauważył niewyraźną minę Quentina.

226

– Jeszcze coś? – spytał

– Brak nam pieniędzy i nie możemy ci zapłacić.

– Aha, rozumiem. Już nie musicie o tym myśleć. „Marribo” przewozi towary, choć czasami bierzemy pasażerów.

– I mamy konie – dodał Quentin, wskazując je nieznacznym gestem, jakby chciał zmniejszyć ich liczbę i wielkość.

Kapitan mrugnął do chłopca i wzrokiem ocenił wierzchowce przywiązane do pierścienia cumowniczego kilka kroków dalej.

– To kłopot – rzekł.

Jego poważny ton sprawił, że Quentina ogarnęło zwątpienie. Wówczas Wiggam znów do niego mrugnął i powiedział:

– Ale dla nas to małe piwo. Już przewoziliśmy konie. Wszak to statek towarowy.

Roześmiał się, a Quentin mu zawtórował z ulgą i wdzięcznością.

– No, a teraz, chłopcy, muszę dopilnować naprawy. Starkle was zaokrętuje. Powiedzcie mu, że ja kazałem.

Odwrócił się, wszedł na pokład i ruszył w stronę rufy.

– Kiedy odpływamy?! – krzyknął za nim Quentin.

– Najszybciej jak tylko się da... gdy ster będzie gotowy. Przenieście swoje rzeczy na statek. Wieczorem odbijamy.

## 34.

Durwin się ocknął. Kaszląc wypluł piasek. Leżał z twarzą zanurzoną w obrzydliwych ciernistych wodorostach, cuchnących zepsutą rybą. Na całym ciele, a przede wszystkim na głowie, czuł ostre ukłucia. Chyba właśnie ból sprawił, że oprzytomniał.

Znowu bolesne ukłucie. Sięgnąwszy ręką do głowy, zepchnął mewę, która odskoczyła z gniewnym skrzekiem.

– Jeszcze nie jestem pokarmem dla ptaków – mruknął pod nosem.

Uniósł się na łokciach i czekał, aż w głowie przestanie mu pulsować.

Zapiaszczoną dłonią przetarł oczy i niepewnie rozejrzał się dokoła.

227

Leżał sam na plaży obok skały, która wystawała z piasku jak kieł z dzia-  
sła starzejącego się smoka. Tak samo jak Durwin była pokryta cuchną-  
cymi wodorostami.

Słońce jeszcze nie wstało, ale różowy blask nad horyzontem zapowiadał, że wkrótce rozpocznie się nowy dzień. Fale sztormu wyrzuciły pustelnika daleko na brzeg. Kiedy tam siedział, rozglądając się dokoła, poczuł na sobie czyjś wzrok i wówczas nie opodal spostrzegł chmarę podpełzających doń krabów, których oczy połyskiwały w świetle brzasku.

– Znajdźcie sobie martwą rybę! – wykrzyknął. – Moja skóra wciąż jest mi potrzebna.

Z trudem się podniósł i stanął niepewnie na nogach. Oparłszy dłoń o skałę, spojrział w lewo i w prawo na poszarpany kamienisty brzeg.

– Oj, to naprawdę zła wyspa – mruknął.

Chwiejnym krokiem podszedł do wody, która teraz cichutko pluskała, jakby nigdy nic nie zakłóciło spokojnej powierzchni morza. Zanurzył

ręce, obmył twarz i szyję. Wytrząsnąwszy piasek z włosów i brody, ruszył brzegiem w poszukiwaniu towarzyszy, obawiając się najgorszego.

Nie uszedł nawet dziesięciu kroków, gdy zauważył kształtną stopę, wystającą zza niskiej omszałej skały.

– Alineo! – zawołał i popędził do niej. Zamrugła powiekami i otworzyła oczy.

– Durwin? Och, co się stało? Niedobrze mi.

Skrzywiła się.

– Prawdopodobnie opiałś się morskiej wody, tak jak ja.

Dochodziła do siebie.

– A gdzie pozostali... Theido, Trenn i Ronsard? Odnalazłeś ich? Czy oni...

– Ćśśś... wszystko w swoim czasie – uspokajał ją. – Pierwszą ciebie znalazłem. Reszta nie może być daleko. Poszukamy ich razem. – Zawahał się i po chwili dodał: – Albo sam to zrobię, jeśli wolisz. Będziesz mogła sobie odpocząć.

228

– Nie, pójdę z tobą. Potrafię spojrzeć prawdzie w oczy. Czekanie jest gorsze.

Durwin pomógł królowej wstać. Była przemoczona i uwalana piaskiem.

– Posiedź chwilę na skale i głęboko oddychaj. To ci dobrze zrobi.

– Pewnie wyglądam jak córa Orphe... bardziej pasuję do towarzystwa ryb niż ludzi.

– Na pewno wszyscy musimy doprowadzić się do porządku, lecz żyjemy, a nie ma nic piękniejszego. Po takiej nocy...

– Och, Durwinie... – powiedziała królowa, ściskając go za ramię, i dech jej zaparło.

Pustelnik odwrócił głowę, by spojrzeć na to, w czym utkwiała wzrok i co przedtem wziął za kupę wodorostów leżących na plaży. Teraz spostrzegł, że one mają ludzką postać. Alinea ze zgrozą patrzyła na dziesiąt-ki krabów, dobierających się do otwartej rany. Szczypcami odcinały małe kawałki różowego ciała z boku ofiary.

– Precz! – krzyknął pustelnik, biegnąc w stronę towarzysza.

Zaczął odpędzać granatowe i zielone kraby. Podskakując, szybko uciekały bokiem.

– To Trenn! – zawołał odwróciwszy ciało. Przytknął ucho do piersi mężczyzny. – Chwała bogu, żyje.

Palcami zbadał ranę – była długa, głęboka i miała postrzępione brzegi, ale nie krwawiła. Upływ krwi powstrzymała słona woda.

– Wyzdrowieje? – spytała Alinea, powoli się zbliżając.

– Tak sędzę. Rana jest głęboka, lecz chyba niezbyt groźna. On jednak może mieć inne obrażenia, o których nie wiemy.

Alinea wzdrygnęła się na wspomnienie krabów.

– Widziałam, jak wrywały ciało... Myślałam...

– Ja też to widziałem. Ale popatrz. Mimo wszystko oddały mu przysługę. Oczyszczyły ranę i teraz szybciej się zagoi.

229

Durwin mówił pewnym głosem, lecz gdy spojrzął na nieprzytomną twarz Trenna, w jego wzroku pojawił się cień wątpliwości.

Nagle z lasu przylegającego do plaży dobiegł jakiś trzask. Durwin podniósł głowę i zobaczył krąg tępych twarzy, z których patrzyły na nich oczy o złowrogim wejrzeniu. Około dwudziestu zbrojnych w kolczugach i hełmach trzymało włócznie wymierzone w Durwina i królową. Na każdym hełmie widniał herb okrutnego pana owych żołnierzy – czarny kruk z otwartym dziobem, godło czarodzieja Nimrooda.

Z lasu wyskoczył jeździec na czarnym nakrapianym koniu. Przyjrzał

się rozbitkom ze złośliwym uśmiechem. Sina blizna przecinała mu twarz od czoła po brodę, wskutek czego miał krzywy nos.

– Brać ich! – krzyknął szyderczym głosem.

Obojętni żołnierze rzucili się na Durwina i królową. Szarpiąc ich, zmusili do wstania i brutalnie związali, a później popędzili do lasu, nie szczędząc kuksańców.

– Żyje? – zapytał jeździec, wskazując głową nieruchome ciało Trenna, leżące na piasku.

– Tak, żyje – potwierdził Durwin. – Ostrożnie z nim. Jest ranny.

– Szkoda. Lepiej, żeby zdechł. – Jeździec spiął narowistego konia ostrogami i przemykając obok więźniów zawołał: – Zabrać go!

Wszystkich troje wpakowano na wóz z wysoką skrzynią. Ostrożnie położywszy Trenna na jej dnie, Alinea i Durwin usadowili się możliwie najwygodniej.

– Ani słowa o reszcie – ostrzegawczo szepnął Durwin.

– Jazda! – ryknął jeździec z blizną, który wydawał się dowódcą żołnierzy.

Wóz szarpnął i potoczył się w głąb lasu. Zaczął się chybotać, jakby zaraz miał się wywrócić. Ani woźnica, ani czterej żołnierze eskorty nie zwracali na to najmniejszej uwagi. Wóz jechał przez rzadki niezdrowy las, w którym rosły jedynie drzewa cienkie jak drut i bujne pnącza. Z

230

podłoża wystawały kamienie o ostrych krawędziach, co sprawiało, że jazda była niezwykle uciążliwa. Choć słońce już wzeszło, ten straszny las zdawał się odpychać jego światło, pozostając w wiecznym mroku.

– Ponure miejsce – zauważyła królowa.

– Rzeczywiście. Jednakże wszystko, co należy do Nimrooda, jest ponure i obawiam się, że znacznie gorsze.

Wóz podskakiwał na wystających korzeniach i odłamkach skał.

Wreszcie dotarli do marnej kamienistej drogi. Las rzedł, w miarę jak się nią posuwali. Wkrótce się okazało, że jadą wzdłuż pobliskiego strumienia, słyszeli bowiem plusk płynącej wody. Po obu stronach szlaku cią-

gnęły się wzgórza pokryte gęstą, lecz chorowitą roślinnością o nieprzyjemnym wyglądzie. W dolinie, którą biegła droga, panowała niesamowita cisza, zakłócana jedynie skrzypieniem nie nasmarowanych osi wozu i od czasu do czasu dalekim krzykiem jakiegoś ptaka.

Po godzinie, a może później – czas zdawał się tam nieistotny – wóz skręcił na szerszą stromą drogę, która pięła się pod górę. Alinea szeroko otworzyła przerażone oczy.

– Nie obawiaj się, pani – uspokajał ją Durwin. – On nie ma aż tak strasznej mocy, żeby nie można było stawić mu czoła. Zło zawsze stara się nam ukazać w fałszywym świetle. Lepiej pomódl się za tamtych.

Theido i Ronsard mogą jeszcze uciec. W tym nasza nadzieja.

– Zrobię, o co prosisz, choć nie wiem, jak się zwracać do twego bo-ga.

– Nieważne są słowa. On słucha głosu serca.

Po długiej wspinaczce wóz wtoczył się na poziomą półkę, wykutą w zboczu stromej góry. Stamtąd nieszczęśni więźniowie popatrzyli w dół

na szczyty wzgórz, przez które niedawno jechali. Słońce stało już wysoko, lecz blade i dalekie. Mgła, spowijająca wzgórza i gęstniejąca w dolinach, nadawała im ponury wygląd. Ta ziemia wydawała się okryta śmiertelnym całunem i opuszczona. Gdzieś rozległ się przejmujący krzyk jakby wołanie straceńca żądającego uwolnienia.

231

– To tylko mewa – powiedział Durwin, patrząc w górę, lecz jego głosowi brakowało pewności.

Znowu zaległa cisza. Wtem dał się słyszeć cichy jęk. Durwin spojrzał

na królową, a później na Trenna, który zamrugał powiekami i poruszył



dłonią.

– Ho, ho! Odzyskuje przytomność! – rzekł pustelnik.

Ręce miał związane na plecach, więc nic nie mógł zrobić, by ułatwić rannemu powrót do świata żywych. Zbliżył usta do ucha Trenna i szepnął:

– Leż spokojnie. Nie obawiaj się, jesteśmy z tobą. Nie śpiesz się.

Strażnik królowej otworzył oczy i z trudem odwrócił głowę.

– Powiązali nas jak kurczaki, co?

– Och, Trenn... Widzę, że się dobrze czujesz.

– Tak – odparł i skrzywił się z jękiem, gdy próbował usiąść. – Ale czułbym się lepiej, gdybym mógł choć trochę się rozejrzeć.

– Masz okropną ranę – rzekła Alinea. – Powinieneś leżeć.

– A gdzie reszta?

– Ćśś! – ostrzegł go Durwin. – Nie wiemy. Rano nie mogliśmy ich znaleźć – odparł z niepewną miną. – Jednakże nie mieliśmy czasu na szukanie.

– Gdzie jesteśmy? To banda Nimrooda?

– Zdaje się, że jedziemy na spotkanie z nim.

– Nie powinieneś tyle mówić – szepnęła Alinea. – Odpoczywaj, póki możesz.

Potem długo milczeli. Zajmowali się swoimi myślami, walcząc ze strachem, który narastał w nich jak tępy ból w miarę zbliżania się do odrażającej siedziby Nimrooda.

– Widać zamek! – odezwał się Durwin, spoglądając w przód obok woźnicy.

Alinea odwróciła głowę i zobaczyła fortecę czarodzieja, która niczym szerniała czaszka tkwiła na szczycie skały.

– Co za wstrętne ruiny – rzekła królowa.

– Istotnie.

niej cały labirynt schodów i przejść niby tuneli wydrążonych przez robaki. Wieże o dziwnych kształtach i różnej wysokości sterczały nad kopułą sklepienia głównej sali, wokół której znajdowały się komnaty z otworami okien i drzwi ziejącymi pustką jak oczodoły trupiej czaszki. W zimnym powietrzu nad zamkiem z trzepo-tem fruwały czarne ptaki, przeraźliwie skrzecząc na widok zbliżającego się wozu.

Kręta droga do zamku biegła stromą granią. Była tak wąska, że mie-

ścił się na niej tylko wóz z idącymi obok żołnierzami. Z obu stron niemal pionowo opadały stoki góry. Grań kończyła się na krawędzi zawrotnej przepaści tuż przed długim i wąskim mostem zwodzonym, wzmocnionym żelaznymi kłami.

Wóz zatrzymał się przed podniesionym mostem, na skraju otchłani tak głębokiej, że zapierała dech w piersiach. W dole ogłuszająco szumiał

wodospad. Woda biła w skały z łoskotem, który przypominał gwałtowne uderzenia miecza w tarczę.

Z przeciągłym zgrzytem most zaczął się opuszczać, a wreszcie z głuchym hukem połączył brzegi przepaści. Wóz ruszył. Turkot kół i klekotanie podków niosły się echem w głąb otchłani jak dźwięk żałobnych dzwonów.

Trzęsąc i skrzypiąc, wóz przetoczył się po moście i wjechał do bramy pod złowieszczym spojrzeniem sowy siedzącej na belce. Było tam mroczno i wilgotno jak w pieczarze. Woda sącząca się z sufitu spływała po kamiennych ścianach jakby z drwiącym chichotem.

Trenn, który zdołał już usiąść w wozie, cicho gwizdnął.

– Pod tym tunelem jest pusta przestrzeń – rzekł, gdy echo gwizdnięcia

ucichło. – To mi się nie podoba.

– Odwagi, przyjaciele. Wróg chce złamać naszego ducha. Nie wolno się poddawać. Nie ulegajcie strachowi.

– Nie boję się żadnego śmiertelnika, ale to czarodziej... – odparł

Trenn drżącym głosem.

233

– On też jest śmiertelny, jak każde z nas. Owszem, ma wielką moc, lecz można go zwyciężyć, można mu się przeciwstawić.

– Tu jest król – odezwała się Alinea. – Jak długo, och, jak długo jeszcze będzie więziony w tym strasznym, ohydny zamku?

W ciemności Durwin nie widział jej twarzy, ale po głosie poznał, że jest bliska łez.

– Nie trać serca, pani. Król to człowiek silny i nie dał się złamać.

Wytrzyma.

– Słuszne słowa – odparła Alinea, łykając łzy. – Jestem królową i ja także wytrzymam.

Nagle wóz oblało światło, gdy się wytoczył z mrocznego tunelu na brzydki zaniedbany dziedziniec. Czekał tam jakiś człowiek w sobolo-wym płaszczu, ciemnej tunice, ciemnych spodniach i wysokich czarnych butach.

– Wprowadźcie ich – rozkazał, odwrócił się na pięcie i zniknął w ziejącym wejściu do zamku.

Wysadziwszy więźniów, żołnierze powiedli ich labiryntem korytarzy i przejść. Zdawało się, że nikt tu nie mieszka, po drodze bowiem spotkali tylko nielicznych służących. Nagle bez żadnych ceremonii wepchnięto więźniów do sali tronowej Nimrooda.

Czarodziej ich oczekiwał. Zdawał się drzemać. Z półprzymkniętymi oczami siedział wciśnięty w wielki czarny tron, jakby rzucony tam nieznaną potworną siłą. Z pochodni umieszczonych za tronem i rozsiewają-

cych migotliwe światło unosił się gęsty czarny dym.

– Witajcie na Karshu, przyjaciele – zadrwił czarownik, lecz ani drgnieniem powiek, ani ruchem dłoni nie potwierdził ich obecności. –

Czekałem na was. Wystarczy mi tylko czekać, a wreszcie wszystko do mnie przyjdzie.

– Nawet śmierć i zniszczenie... nadejdzie też koniec twoich intryg –

spokojnie rzekł Durwin.

– Milcz, głupcze, bo każę wyrwać ci język! – wykrzyknął Nimrood.

234

Zerwał się na równe nogi i stał, rzucając więźniom gniewne spojrzenia. W rękach ścisnął błyszczącą różdżkę z czarnego marmuru.

– Albo nie – powiedział nagle słodkim głosem. – Pleć te głupstwa.

To dziecinna gadanina. Jedynie puste słowa bez żadnej mocy. Bawisz mnie. Proszę, mów dalej.

Durwin milczał.

– Nie masz już nic więcej do powiedzenia? Zobaczmy, czy potrafię rozwiązać ci język! Do lochu z nimi!

Uniesioną różdżką machnął nad głową i żołnierze, którzy przyprowadzili więźniów, pośpiesznie wygonili ich z sali drzewcami włóczni. Wychodząc usłyszeli chichot Nimrooda.

– Wkrótce będziecie mieli towarzystwo... Wasi przyjaciele długo nie zdołają mi umykać, chyba że zginęli. Chi, chi, chi! Zresztą to bez różnicy. Żywi czy martwi dotrzymają wam towarzystwa. Chi, chi, chi!

Toli obudził przyjaciela, lekko potrząsając go za ramię. Quentin zerwał się przestraszony. Uspokoiło go skrzypienie kadłuba statku, zdał

sobie bowiem sprawę, że na pokładzie „Marribo” płynie do Val dai.

– Kenta, krzyczałeś przez sen – rzekł Toli.

– Czyżby? Nie pamiętam – odparł Quentin, przecierając oczy dłońmi. Nagle sobie przypomniał. – Toli, już wiem, co mi się śniło.

W mroku widział oczy przyjaciela, w których jak w stawie odbijało się rozgwieżdzone niebo. Księżyc już zaszedł, pozostawiając cały niebo-sklon gwiazdom migocącym niczym latarnie rybackich łodzi nocą na bezkresnym morzu.

– Więc mi opowiedz, nim znowu zapomnisz.

– Cóż, stałem na jakiejś górze. Spoglądałem na ziemię całkiem po-grażoną w ciemności. Czułem, że ta ciemność jest niby zwierzę. Obserwuje i czeka.

235

Opowiadając Quentin ponownie ujrzał to, co widział we śnie, lecz tym razem wyraźniej, bardziej realistycznie – daleki ląd, rozciągający się pod czarnym pustym niebem. Ląd tak stary, że nie sposób zliczyć jego lat, i ciemność przyczajoną jak polujące zwierzę.

– Nagle w tej ciemności pojawiło się światło jak płomień świecy –

mówił dalej. – Żółta iskra spadająca z nieba. – Znowu zobaczył punkcik światła w przestrzeni, łukiem sunący ku ziemi coraz niżej i niżej. – W

zatknięciu z ziemią światło to wybuchło tysiącem iskier, które opadały na nią, rozpraszając mrok. Po prostu deszcz światła. Każda z tych iskier zaczęła płonąć tak samo jak ta pierwsza i w końcu ciemność ustąpiła przed jasnością. To wszystko. Wtedy się obudziłem.

Quentin umilkł, przypomniawszy sobie ów deszcz oślepiającego światła. Miał wrażenie, że ten sen ma coś wspólnego z jego osobą. Spojrzał na przyjaciela, który patrzył nań z podziwem.

– To sen o władzy.

– Tak uważasz? W świątyni miewałem podobne sny... nazywaliśmy je sennymi widzeniami... ale myślałem, że już się skończyły. Od czasu, gdy ją opuściłem, nie widziałem żadnego omenu ani nie miałem żadnych snów, nie licząc Dekry. – Znów na chwilę umilkł. – Jak sądzisz, co ten sen może znaczyć?

– Moi ziomkowie powiadają, że światło to prawda.

– A ciemność to zło. My też tak mówimy. Nadchodzi więc prawda, może już tu jest, i przeciwstawi się ciemności.

– Sny mają wiele znaczeń i wszystko może się sprawdzić.

– Myślisz, że to się sprawdzi?

– To twój sen i w sobie znajdziesz jego sens.

– Chyba tak... Wszystko wyglądało jak na jawie... Ja tam byłem i to widziałem...

Quentin leżał na grubym słomianym sienniku. Rozmyślał o swoim śnie i w końcu znów poczuł senność.

236

– Lepiej się trochę prześpijmy – rzekł. – Rano dopływamy do Valdai...

Toli jednak go nie słyszał, już bowiem głęboko zasnął.

Kiedy Quentina obudziła świeża woń słonego powietrza, w oddali było widać port w Valdai. Słońce wstało, zalewając złotym światłem błękitne niebo, po którym tu i ówdzie sunęły nieliczne strzępki chmur.

Toli wcześniej się obudził i zdążył oporządzić konie. Teraz stał przy relingu, patrząc na zbliżający się port.

– Spójrz – powiedział, gdy Quentin go znalazł i zatrzymał się obok.

– Tamten statek też płynie do portu.

Tuż przed nimi jakiś żaglowiec pruł fale, zostawiając za sobą spieniony ślad. Był mocny, pękaty i miał głęboko zanurzony kadłub. Wyglą-

dał całkiem normalnie, Quentin jednak odniósł dziwne wrażenie. Czuł, że jest w nim coś niezwykłego... ale co? Nagle zrozumiał.

– Toli, on ma czarne żagle!

Jher tylko skinął głową.

– To dziwne – powiedział Quentin. – Bardzo mało wiem o statkach, lecz jeszcze nie słyszałem, żeby któryś z nich miał czarne żagle. Ciekaw jestem, skąd płynie.

– I słusznie – odezwał się jakiś głęboki głos za jego plecami.

Quentin się odwrócił, by pozdrowić Wiggama.

– To chyba żaglowiec z Karshu – ciągnął kapitan. – Tak. Miejcie go na uwadze.

Kapitan Wiggam bardzo polubił Quentina w ciągu kilku dni ich krótkiego rejsu. Martwiły go plany chłopca, który chciał dogonić przyjaciół.

– Zapomnij o Karshu – rzekł, z obrzydzeniem patrząc na obcy statek. – Popłyn z mną. Zrobię z ciebie marynarza i zobaczysz cały świat.

– Nie mogę zapomnieć o przyjaciółach – odparł Quentin jak zwykle, kapitan bowiem już nieraz mu to proponował. – Ale kiedy wrócimy...

237

– Oczywiście – powiedział Wiggam ze smutkiem. – Szukaj mnie w każdym porcie, a gdy znajdziesz, to sobie razem popływamy.

Kapitan założył ręce za plecami i ruszył wzdłuż relingu w stronę rufy.

– Chciałby nam pomóc, ale się boi – odezwał się Toli, kiedy Wiggam odszedł.

– Myślisz? – spytał Quentin, patrząc na oddalającą się sylwetkę, i wzruszył ramionami. – Tak czy inaczej on nie ma w tym interesu, to nasza sprawa.

– To sprawa każdego, kto ją uzna za swoją – z przekonaniem odparł

Toli.

W Valdai, choć to portowe miasto było mniejsze od Bestou, panował

taki sam duży ruch. Elsendor, królestwo dużo większe od Mensandoru, miało wiele takich portów na zachodnim wybrzeżu. Służyły całemu światu.

– O, tam jest „Czarny Statek” – powiedział Quentin, wskazując drugi koniec portu.

Dobili do nabrzeża w jego północnej części, a „Czarny Statek”, tak bowiem go sami nazwali, jako mniejszy wpłynął dalej i zacumował przy południowym końcu. Quentin widział, jak marynarze zwijają czarne żagle.

Wkrótce spuszczone trap i chłopcy zaczęli się żegnać z załogą.

Sprowadziwszy konie na keję, pomachali kapitanowi, który patrzył na nich z pokładu, ćmiąc fajkę. Odpowiedział im jednym skinieniem dłoni, a potem się odwrócił.

– Musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie można by zostawić konie –

rzekł Quentin, któremu zaświtał pewien plan. – Chyba mają tu kowala.

Poszukajmy go. Zapewne nam pomoże.

Poszukiwania nie trwały długo. Znacznie trudniej przyszło im porozumieć się z kowalem, by przekazać mu swą prośbę. Mieszkańcy Elsendoru, choć pod wieloma względami podobni do sąsiadów z Mensandoru, używali własnej gwary, od której plątał się język.

238

Skromna znajomość ich mowy, jaką dysponował Quentin, szybko się wyczerpała. Kowalowi się zdawało, że zrozumiał dziwną dlań prośbę, i chciał konie podkuć.

– Nie, żadnych podków. Pragniemy, byś przechował nasze konie lub powiedział, kto to może zrobić.

Krzepki mężczyzna z osmoloną twarzą wciąż się uśmiechał, ale znów pokręcił głową. Wstał, zbliżył się do Baldera, poklepał go w szyję i się-

gnął do kopyta. Obejrzał podkowę, postukał w nią młotkiem. Mruknął

coś stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, puścił nogę zwierzęcia i pytająco rozłożył ręce, patrząc na chłopca.

Toli, który gdzieś się zawieruszył, teraz wrócił i oznajmił:

– Za kuźnią jest stajnia, a także woda i siano.

– Chodź – rzekł Quentin do kowala, po czym zaprowadził konie na podwórze. – Przechowasz je?

Wskazał palcem Baldera i Elę, tak bowiem Toli nazwał swego wierzchowca, a później stajnię. Twarz kowala powoli rozjaśniało zrozumienie.

Zaczął kiwać głową i po chwili wyciągnął dłoń, stukając w nią brudnym palcem.

– Chce pieniędzy. I co my teraz zrobimy? – zastanawiał się Quentin.

W tym momencie przed kuźnią pojawiła się znajoma postać.

– To Wiggam! Hej, kapitanie! – zawołał chłopiec.

– Pomyślałem sobie, że mogę się wam przydać – zwyczajnie powiedział marynarz. – Rozumiem, że chcecie, by ten człowiek zajął się waszymi końmi. Doskonale.

Odwrócił się do kowala i szybko coś mu powiedział.

– Załatwione. Na długo? – spytał chłopców.

– Nie wiem – odparł Quentin, gdyż jeszcze nie zdążył się nad tym zastanowić.



Wiggam wyjął z kieszeni jakąś monetę i wręczył ją kowalowi, który mu podziękował skinieniem głowy.

– Już dobrze. To powinno wystarczyć, by przez jakiś czas opiekował się końmi. Odbierzecie je po powrocie.

– Dziękuję, panie kapitanie. Na pewno spłacę ten dług, kiedy tylko będę mógł.

239

– Nie ma o czym mówić. Gdybym znalazł się w tarapatkach na Karshu, uchowajcie bogowie, chciałbym, żeby ktoś taki jak ty próbował mnie ratować. Jesteś bardzo dzielnym młodzieńcem. Naprawdę.

Chłopiec lekko poczerwieniał – nie uważał się za dzielnego.

– Pomyśleliście już o tym, jak dotrzecie na tę przeklętą wyspę? –

zapytał kapitan, gdy wychodzili na ulicę.

– Owszem, pomyśleliśmy – odparł Quentin i przedstawił swój plan Wiggamowi, który słuchał, kiwając głową.

– Na gapę, he? – mruknął rozważając to, czego się dowiedział. –

Może się uda. Na statku jest mnóstwo miejsc, w których łatwo się ukryć takim spryciarzom jak wy. Ale jak zamierzacie dostać się na pokład, żeby was nikt nie widział?

– Poczekamy do zmierzchu i wdrapiemy się po burcie.

– Chyba jest lepszy sposób. – Puścił do chłopca oko. – Ale... Ho, ho! – wykrzyknął, patrząc na południowe słońce. – Twierdzą, że najlepiej będzie się nam o tym rozmawiało przy rybackim gulaszu. Co wy na to? Czyście kiedykolwiek jedli tę potrawę? Nie? No to idziemy. Kapitan pokaże wam coś wspaniałego.

Wiggam zaprowadził ich na wąską uliczkę, brukowaną kocimi łbami, przy której znajdowały się najrozmaitsze sklepy. Panował tam tak straszny ścisk, że Quentin i Toli ledwie za nim nadążali. Wszędzie było pełno przepychających się i pokrzykujących marynarzy, kupców i mieszczan, wskutek czego chłopcy niemal stracili z oczu kapitana, który parł naprzód jak okręt pod pełnymi żaglami. W końcu stanęli przed gospodą tak zatłoczoną, że kilku gości wyległo z kuflami piwa na ulicę.

– Ach! Czy czujecie ten rozkoszny zapach, przyjaciele? Wąchaliście kiedykolwiek coś równie cudownego?

Z tymi słowy kapitan wcisnął się do środka, pomagając sobie łokciami, i zaczął wołać karczmarza, z którym wydawał się zaprzyjaźniony.

Wkrótce wszyscy siedzieli przy stole w towarzystwie trzech wilków morskich – kapitanów, jak zaznaczył Wiggam. Po kilku chwilach przy-niesiono głębokie miski, pełne duszonej ryby z jarzynami, zapieczonej 240

na brązowo, a do tego jasne piwo. Quentin szybko opróżnił swój kufel napoju, który uderzał do głowy.

– Jeszcze tylko tu wpadniemy – zapewniał Wiggam.

Obiecywał to już czwarty raz. Quentin niespokojnie zerkał na słońce, które chyliło się ku zachodowi, rzucając długie cienie. Biegali tak tu i tam całe popołudnie, rozmawiając z różnymi kupcami. Chłopiec się do-myślał, że kapitan szuka jakiejś szczególnej informacji i chyba wreszcie ją znalazł.

– Oto, czego się dowiedziałem – oznajmił Wiggam, skręcając w niewielką stromą uliczkę. – Ten żaglowiec pływa jedynie między wyspami, co odgadłem po jego wielkości. To statek dostawczy, nadający się tylko do krótkich rejsów, a Karsh leży w odległości zaledwie jednej doby drogi. Często zawija do Valdai, by uzupełnić zapasy, i właśnie dlatego tu przybył... No, jesteśmy na miejscu.

Zatrzymali się przed otwartym podwórzem. Po wiórach na wytartym kamiennym bruku Quentin odgadł, że to warsztat ciesielski.

– Alstrop! Gdzie jesteś, stary druhu?! Pośpiesz się, masz klienta!

– Słyszę, słyszę! Nie musisz tak wrzeszczeć! – padła odpowiedź zza chybotliwej sterty beczek.

Potem ukazała się jakaś kędzierzawa siwa głowa i bystre oczy spojrzały na przybyszów.

– Wiggam, stary wilku morski!

Kiedy cieśla wyszedł zza beczek, Quentin zobaczył, że to mężczyzna silny i pełen życia, mimo siwych włosów. Miał duże dłonie i muskularne ramiona.

– Chyba nie uszkodziłeś znów tego swojego wraka? Choć wyszłoby ci to na dobre – rzekł podchodząc, by uścisnąć kapitanowi rękę.

– Nie. Muszę jednak przyznać, że kilka dni temu bardzo byś mi się przydał... poszła oś steru.

241

– No proszę! Nie mówiłem? Stale ci powtarzam, daj mi „Marribo” na jeden tydzień, a doprowadzę go do porządku. A ty co? „Nie. Jestem zbyt zajęty”. O, bogowie!

– To mocny statek. Wystarczająco mocny. Ręczę, że nawet ciebie przetrzyma.

– Ba! – odparł cieśla, rozkładając ręce. – Ale co cię tu sprowadza?

– Mam tu przyjaciół, którzy potrzebują twojej pomocy. Dwie takie beczki załatwią sprawę.

Wiggam wyjaśniał, o co mu chodzi, Alstrop zaś z powagą kiwał głową, drapiąc się po brodzie, a jego jasnoniebieskie oczy patrzyły kolejno na niebo w górze, wióry pod nogami, Quentina, kapitana, Tołego i beczki. Kiedy kapitan skończył mówić, cieśla na chwilę się zamyślił.

– Tak, plan jak plan – powiedział wreszcie. – Chyba sam go wymy-

śliłeś, bo któż inny mógłby wpaść na taki głupi pomysł. Śmiechu warte!

Odwrócił się, podreptał do warsztatu i przyniósł drewnianą miarkę, którą nazywał swoim pomocnikiem. Rytmicznie uderzał się nią w otwartą dłoń.

– Właściwie beczki mogłyby się nadać, rzeczywiście, ale wymagają pewnych przeróbek. Nie pomożecie mi ich zdjąć? Pójdziemy tam razem.

Mam ręczny wózek. Reszta potem. A teraz szybko do roboty! Jest mało czasu.

Zapadał zmierzch i na niebie już się pojawiła pierwsza wieczorna gwiazda, kiedy dwaj mężczyźni, stojący przy wózku, na którym były dwie duże beczki, skinęli do siebie głowami.

– Jedziemy – powiedział cicho jeden z nich w stronę beczek. –

Niech bogowie wam sprzyjają.

Wytoczyli wózek z bramy i ruszyli wyboistą ulicą w kierunku nabrzeża, gdzie statek z czarnymi żaglami szykował się do drogi.

– Hej, ty tam! – zawołał cieśla do jakiegoś marynarza na statku Nimrooda.

242

Tamten spojrzał nań spode łba, ale się nie odezwał.

– Powiedz swojemu kapitanowi, że przywieźliśmy towar do załadowania.

Marynarz rzucił im długie niechętnie spojrzenie i zniknął. Po chwili wrócił z jakimś mężczyzną, który trzymał w ręku krótki skórzany bat.

– Ty jesteś kapitanem? – spytał Alstrop.

– Kapitan jest zajęty – odburknął człowiek z batem. – Wychodzimy w morze. Jazda stąd!

– Mamy tu beczki do załadowania.

– Już skończyliśmy załadunek – odparł tamten, potrząsając batem.

– Możliwe – spokojnie rzekł cieśla. – Te beczki jednak muszą znaleźć się na pokładzie. Rusz głową i przyprowadź kapitana, żeby to załatwił.

– Sam potrafię to załatwić, chamie! Wynocha stąd!

Odwrócił się i gestem nakazał stojącym wokół marynarzom, by dalej szykowali się do wypłynięcia.

Wiggam mrugnął do cieśli.

– Świetnie, zabierzemy je z powrotem – powiedział głośno. – Nie chciałbym jednak być w skórze tego, co zapomniał wziąć dwie beczki od mojego pana, a to są właśnie one.

Skinął głową na cieślę, który zaczął pchać wózek w stronę ulicy.

Marynarz z batem wrócił i kilkakrotnie uderzył nim w reling, patrząc na nich gniewnym wzrokiem.

– Poczekajcie! – zawołał. – Co jest w tych beczkach?

Wiggam wzruszył ramionami.

– Chyba nic ważnego... – odparł i podążył za Alstropem.

– Stać! – krzyknął tamten.

Skinął głową na kilku swoich ludzi i po chwili z burty zsunął się trap.

Dwaj marynarze wyskoczyli na keję i podbiegli do wózka.

Wkrótce beczki znalazły się na pokładzie.

243

– A teraz jazda stąd! – warknął człowiek z batem.

– Uważajcie na te beczki – przestrzegł cieśla. – Nie ja będę odpowiadał za te towary. Ty zapłacisz, jeśli coś się uszkodzi.

Wiggam z Alstropem patrzyli, jak beczki ostrożnie przeniesiono na rufę, a potem jak statek powoli odpływał z wieczorną bryzą.

– Pomyślnych wiatrów, młodzi przyjaciele – rzekł kapitan.

– I niech bogowie pozwolą wam jak najszybciej wrócić – dodał cie-

śla.

Po tych słowach odeszli w gęstniejący mrok. Gwiazda wieczorna świeciła wysoko nad horyzontem obok księżyca, który niedawno pokazał się na niebie.

– O, to dla nich dobra wróżba – odezwał się cieśla.

– Tak – odparł kapitan. – Chłopcom jednak trzeba czegoś więcej niż tylko dobrych wróżb, aby nic im się nie stało. Przede wszystkim pomocy jakiegoś boga.

## 36.

– Nie można się stąd wydostać, najjaśniejsza pani – oznajmił Trenn głosem pełnym rozpacz. – Dokładnie wszystko sprawdziłem... Nie ma stąd innego wyjścia jak tylko przez te drzwi, do których klucz ma Nimrood.

Królowa nawet nie podniosła głowy. Ze skrzyżowanymi rękami siedziała na podkurczonych nogach.

– Tegośmy się spodziewali – odparła z głębokim westchnieniem.

– Nie traćcie nadziei, przyjaciele – odezwał się Durwin, stojąc w wąskiej smudze światła padającego z niewidocznej strzelnicy. Podszedł

do Trenna i Alinei, którzy siedzieli skuleni. – Bóg nas uwolni z tego lochu.

– Od kiedy to jakikolwiek bóg troszczy się o śmiertelników? – zadrwił Trenn. – Popatrz na nas, czy ten twój bóg zajął się nami? Gdyby 244

naprawdę o nas myślał, toby nie dopuścił do tego, cośmy wycierpieli i jeszcze, obawiam się, wycierpimy.

– Bóg ma swoje własne drogi, nie znane człowiekowi.

– Nie opowiadaj mi tu o drogach bogów. Nie mogę już tego słuchać

– rzekł Trenn, odwracając twarz. – Dbam tylko o to, co potrafi zrobić człowiek.

– Nie mów tak, dzielny strażniku – uspokajała go Alinea. Położyła mu dłoń na muskularnym ramieniu.

– Tak czy owak musimy przyjąć nasz los z godnością.

– Czy wy tego nie rozumiecie? – spytał Durwin, unosząc otwartą rękę nad głowę. – To jego robota... owa beznadziejność, która nas ogarnia i sprawia, że zwracamy się przeciwko sobie. Otrząśnijcie się z tego.

To tylko sztuczka naszego wroga.

Trenn spojrział na Durwina kamiennym wzrokiem.

– Ponadto, dopóki Theido i Ronsard są na wolności, dopóty może-my mieć nadzieję. Pewnie już w tej chwili robią wszystko, by oswobodzić nas i króla.

– Jeśli nie zginęli – zauważył Trenn z goryczą. – Ten sztorm, żołnierze Nimrooda...

Durwin nic nie odpowiedział, tylko wrócił na swoje miejsce w smudze światła i począł się modlić.

Ich loch okazał się obrzydliwą norą w najniższej części zamku. Nie było w niej żadnych otworów, prócz wejścia, zamkniętego pordzewia-

łymi żelaznymi drzwiami, oraz niewidocznej zakratowanej strzelnicy.

Podłogę zastępowała goła ziemia, oślizgła wskutek wilgoci – woda są-

czyła się ze ścian i kapała z sufitu. W pęknięciach i szczelinach w fun-damentach zamku przemykały węże. Z mokrej podłogi unosił się zaduch stęchlizny połączonej z wonią tego, co zostało po dawnych okropno-

ściach, do jakich tu dochodziło. Pośrodku lochu więźniowie zebrali na kupę resztki słomy, która dawno temu służyła za posłanie, i usiedli.

W panujących tam ciemnościach tylko dzięki wąskiej smużce światła wiedzieli, że upływa czas. Obserwowali, jak wolno się przesuwa i wreszcie znika w wieczornym mroku.

245

Wówczas mocniej przytulili się do siebie, by łatwiej znieść niewygo-dy czarnej nocy.

Następnego dnia, kiedy smużka bladego światła znów się pojawiła na przeciwległej ścianie lochu, usłyszeli jakieś echo, które dotarło do nich labiryntem korytarzy biegnących pod wieżą i prowadzących do podziemnych pomieszczeń.

– Kroki! – powiedział Trenn i z trudem wstał, przyciskając dłoń do zranionego boku. Teraz słyszał je wyraźnie. – Ktoś tu idzie.

Istotnie, kroki rozbrzmiewały tak, jakby się zbliżał cały oddział wojska. Jakiś szorstki głos wydawał rozkazy, lecz nie mogli rozróżnić słów.

Po chwili coś zadźwięczało, zgrzytnęła zasuwa i drzwi otworzyły się szeroko.

W wąskim wejściu zobaczyli dwóch żołnierzy Nimrooda, niosących pochodnie, a za nimi trzeciego z groźną halabardą.

– Cofnij się! – warknął jeden z nich, gdy Trenn ku nim pokuśtykał.

W tym momencie w drzwiach zamajaczyła jakaś chwiejna, wysoka postać. Człowiek ten, ordynarnie pchnięty w plecy, stoczył się po kamiennych schodach i upadł twarzą w dół na cuchnącą podłogę. Jęknął i znieruchomiał.

Dwaj żołnierze z pochodniami zeszli do lochu, chwycili leżącego za ramiona i zmusili go, by ukląkł.

– Dalej będziesz utrudniał nam robotę? – warknął jeden z nich i kopnął go w plecy.

Mężczyzna miał ręce przywiązane do boków, nie mógł więc osłabić upadku. Zdążył tylko poderwać głowę i uderzył ciałem o podłogę. Żoł-

nierze odwrócili się i wyszli.

Zatrzasnęły się drzwi. Wkrótce kroki odchodzących ucichły. Durwin i Alinea błyskawicznie podbiegli do nowego więźnia. Trenn już się nad nim schylał. Podniósłszy wzrok rzekł cicho:

– To nasza nadzieja.

– Theido! – wykrzyknęła królowa Alinea, kiedy Durwin odwrócił leżącego.

246

Twarz rycerza była pobita i zakrwawiona; pod okiem i na skroni widniały sine guzy. Otwarte oczy patrzyły wzrokiem nieprzytomnym od niedawnych tortur.

– Gdybyśmy tak mieli choć odrobinę wody – westchnęła Alinea. –

Nic nie zostało z racji, którą dostaliśmy rano.

Lecz Durwin już zaczął działać. Położył dłoń na czole rycerza, palcami zrobił jakiś znak, mrużąc pod nosem dziwne słowa, a potem lekko dotknął każdego sińca. Z ust Theida wyrwał się bolesny jęk.

– Teraz będzie spał. Pomóżcie mi go rozwiązać.

W istocie jednak potężny rycerz prawie w ogóle nie spał. Obudził się, ledwie uwolnili go z więzów. Jego oczy nie były już zamglone i wydawał się przytomnieć. Zamrugał, spojrzał na twarze przyjaciół.

– Żyjecie! – wykrzyknął w końcu.

– Och, Theido, martwiliśmy się o ciebie – rzekła Alinea, poklepując jego dłoń.

– Powiedzieli mi, że wszyscy zginęli w katastrofie, żeście utonęli, więc zostawili wasze ciała na plaży, ptakom na pożarcie.

– A to łgarze! – odezwał się Trenn.

Twarz mu pociemniała z gniewu. Zgrzytnął zębami i zacisnął pięści.

– Gdzie jest Ronsard? – spytał Theido, powoli wstając z brudnej podłogi.

– Zatem ty też go nie widziałeś? – zdziwiła się królowa.

– Nie, nie widziałem nikogo, nawet tych, co mnie schwytali. Ścią-

gnęli mnie z plaży opitego morską wodą i półprzytomnego. Nawet nie słyszałem, jak nadeszli.

– Kiedy to było?

– Nie pamiętam... chyba około południa.



– Nas schwytano wczoraj o świcie – wyjaśnił Durwin. – Pewnie wrócili i dokładniej przeszukali plażę.

– Czyżby zatem Ronsard zginął? – spytała królowa drżącym głosem.

247

– No, nie mamy pewności. Może jeszcze żyje... mógł się uratować tak jak my.

– Ale on był ranny – powiedział Trenn smutnym tonem. – Ronsard nie żyje.

– Na razie o tym nie myślmy – poradził im Theido. – Trenn, czy zbadaleś ten przeklęty loch? – Powoli rozejrzał się w mroku, kiedy strażnik królowej skinął głową i bezradnie rozłożył ręce. – Rozumiem...

zatem...

– Słuchajcie! – przerwał mu Durwin, w głębi korytarza znów bowiem usłyszał zbliżające się kroki. – Wracają.

– Pewnie po to, żeby wziąć kogoś z nas na tortury – rzekł Trenn. – Z

przyjemnością pójdę pierwszy.

– Nikogo nie wezmą – odparł Theido. – Będziemy walczyć.

Kroki zatrzymały się przed wejściem do lochu. Ponownie zgrzytnęła zasuwą i z piskiem porzewiałych zawiasów otworzyły się drzwi.

Znowu dwaj pochyleni żołnierze wysunęli przed siebie pochodnie, w których światło błysnęła długa halabarda trzeciego. Za nimi, nieco z boku, stała jakaś niska przygarbiona postać. Zza jej pleców wysunął się ciemny kształt, przemknął przez drzwi i zatrzymał w kręgu światła pochodni. Więźniowie dostrzegli krucze włosy z pasmami siwizny.

– Nimrood! – wykrzyknął Durwin.

– Nikt inny – odparł czarodziej z fałszywym uśmiechem. – Widzę, że towarzystwo już w komplecie. – Przyjrzał im się po kolei, a później raptownie wyprostował i wrzasnął: – Głupcy! Z Czarnoksiężnikiem Nimroodem nie ma żartów! Spalę wszystkich was na popiół!

Zbiegł schodami. Peleryna powiewała za nim w wilgotnym powietrzu jak skrzydła nietoperza. Zatrzymał się przed Theidem, który stał bez obawy, nawet nie drgnąwszy.

– Zacznę od ciebie, arogancki rycerzu, mój ty Jastrzębiu. No wła-

śnie! – syknął widząc błysk w jego oczach. – Wiesz, od dawna cię obserwuję. Nie spłoniesz jak pozostali. Wobec ciebie mam inne zamiary.

Spotka cię lepszy los, znacznie lepszy. Dla ciebie wymyśliłem coś specjalnego, mój rycerzu.

– Prędzej umrę, niż będę ci służył – odparł Theido lodowatym tonem.

– Owszem, umrzesz. Śmiem twierdzić, że na pewno tak się stanie –

rzekł czarodziej chichocząc. – Najpierw jednak zobaczysz śmierć swoich przyjaciół. Będą umierali z krzykiem.

Toczył pianę z ust. Rzucił kilka przerażających spojrzeń pozostałym więźniom, zakręcił się na pięcie i pędem wbiegł na schody. Niczym upiór znów pojawił się w kręgu światła pochodni. Już chciał wyjść, ale zawahał się i cofnął.

– Od razu bym się wami zajął – powiedział z takim samym fałszywym uśmiechem jak przedtem. – Jednakże muszę z tym poczekać. Biorę udział w koronacji... która pewnie was zainteresuje. Po jej zakończeniu będę miał mnóstwo czasu na rozrywki.

– W jakiej koronacji? – spytał Durwin.

– Och, nie udawajcie, że nie wiecie, ale wam powiem... naturalnie księcia Jaspina. W najdłuższy dzień lata. Wkrótce Askelon będzie miał

nowego króla! Cha, cha, cha! Natychmiast tam się wybieram. Przekażę księciu wasze najserdeczniejsze pozdrowienia. A ty, królowo Alineo, myślisz, że cię nie poznałem? Książę się zastanawia, gdzie zniknęłaś.

Zawiadomię go, na co się porwałaś... opowiem mu o was wszystkich, a także o moich planach wobec was.

Nimrod odwrócił się i zniknął za drzwiami, a po nim przygarbiony człowiek i żołnierze. Więźniowie słyszeli jego szalony śmiech, dobiegający z korytarza. Śmiech ten docierał do nich wielokrotnym echem niczym grzmot.

– Cha, cha, cha! Niedługo wrócę i możemy zaczynać! Cha, cha! Ale nowy król Askelonu się ucieszy! Cha, cha, cha! Tymczasem smacznie sobie śpijcie, moje dzieci. Cha, cha, cha! Śpijcie smacznie!

Odgłosy towarzyszące rozmieszczaniu zapasów na statku powoli zamarły. Quentin przyłożył ucho do klepek beczki. Nie słyszał nic oprócz cichego plusku fal przy burtach jakby z daleka, lecz niewątpliwie bardzo blisko. Chwilami do uszu chłopca docierał krzyk morskich ptaków, unoszących się wysoko. Wszystkie dźwięki dochodzące z zewnątrz grubej dębowej beczki były stłumione i niewyraźne.

Czas oczekiwania w tym ciasnym mrocznym więzieniu chłopiec wypełniał drzemką i nasłuchiowaniem. Marzył o wyciągnięciu nóg, ale nie śmiał nawet drgnąć. Wreszcie, gdy już nie mógł wytrzymać, pozwolił

sobie na zmianę pozycji, miał bowiem dość miejsca. Skoro raz zebrał się na odwagę, by to zrobić, i nic się nie stało, poruszał się częściej, lecz w dalszym ciągu zachowywał ciszę.

Od czasu do czasu lekko wypychał szpunt, by wpuścić trochę świe-

żego powietrza do dusznej beczki. Przystawiał oko do wąskiej szparki, ale nie mógł dostrzec, co się dzieje na statku. Pomyślał, że to zarazem dobrze i źle. Częściej bowiem odświeżał sobie powietrze bez obawy, że ktoś zauważy nieznaczny ruch szpuntu, lecz z drugiej strony, w razie wykrycia jego obecności, nie będzie wiedział, że do tego doszło. Ponadto, nie widząc nawet kawałka pokładu, nie zorientuje się, kiedy dopłyną do celu podróży. Wobec tego polegał wyłącznie na słuchu.

Quentin akurat spał, gdy beczkę dźwignięto i zniesiono ze statku.

Obudzony nagłym kołysaniem bez żadnego ostrzeżenia, był tak zaskoczony, że ze strachu omal nie krzyknął.

Potem rzucono go na plażę – beczka nie zadudniła jak wówczas, gdy stawiano ją na pokładzie – domyślił się więc, że towary wyładowywano na piasek. Potem czekał nasłuchując, aż ucichły odgłosy towarzyszące wyładunkowi i zrzęczenie mężczyzn przeklinających swoją pracę.

Dopiero wtedy odważył się zaryzykować i wyrzeć przez otwór na szpunt. Widok, jaki ujrzał przez to małe okienko, napawał otuchą.

250

Jego beczka stała nie opodal drewnianego pomostu, na który patrzył z dołu. Chłopiec się domyślił, że ten chybotały pomost, wchodzący w zatokę, stanowi prowizoryczny port Nimrooda.

Za pomostem zobaczył kawałek brzegu omywanego łagodnymi falami, lecz z oddali dochodził głośny szum przyboju. Na plaży dostrzegł

kilka skał, które rzucały długie cienie, sięgające zatoki, z czego wywnioskował, że słońce już chyli się ku zachodowi, a więc wkrótce zapadnie wieczór. Nie widział żadnych marynarzy, strażników ani niczego, co mogłoby wskazywać na ludzką obecność.

– Bardzo dobrze – powiedział do siebie. – Zaczekam, aż się całkiem ściemni.

Wetknął szpunt do otworu i na powrót skulił się w beczce, gdy usłyszał coraz głośniejsze podzwanie, a później szmer rozmowy. Domy-

ślił się, że nadchodzą dwaj mężczyźni. Potem dotarło doń parsknięcie konia i chrzęst piasku pod kołami. Aha, pomyślał, przyprowadzili tu wóz.

– No, do roboty – powiedział jeden z głosów, stłumiony przez beczkę.

Quentin wyjął szpunt, by lepiej słyszeć.

– Nie śpiesz się! – odparł drugi. – Za chwilę przyjdą inni, to nam pomogą.

– Ale niedługo zapadnie zmrok. Nie chcę jeździć tym wozem po ciemku. Nawet za dnia na tej wyspie jest wystarczająco nieprzyjemnie.

– W takim razie przenocujemy tutaj. Co za różnica? Strach cię obleciał?

– Dobrze ci tak gadać. Nie byłeś tu tak długo jak ja, nie widziałeś i nie słyszałeś tego co ja. Mówię ci...

– Znowu zaczynasz? Zamkniesz się wreszcie czy nie? Mam już dość tych twoich bajek. Na Zoara! Ale z ciebie słabeusz!

– Powiadam ci, że wiem, co tu się dzieje. Jeśli boję się tej wyspy, to dlatego, że widziałem różne rzeczy...

– Nie widziałeś tu nic takiego, czego nie można by zobaczyć gdzie indziej. Więc się zamknij! Nie chcę tego słuchać.

251

Po tej gniewnej wymianie zdań drugi mężczyzna zaczął coś mrużyć do siebie. Quentin nie mógł rozróżnić słów, ale wiedział, że musi się szybko zdecydować. Miał do wyboru: albo załadują go na wóz razem z innymi towarami, albo spróbuje uciec, nim nadejdą pozostali. Powoli wetknął szpunt na miejsce i przez moment się wahał – zostać czy uciekać?

Postanowił czekać. Lepiej niespostrzeżenie dostać się do zamku, niż błądzić wokół matecznika wroga. Jednakże w chwili, gdy powziął tę decyzję, musiał dokonać innego wyboru.

– Hej! – wykrzyknął jeden z mężczyzn koło wozu. – Przy tamtej beczce coś się poruszyło.

– Ty znowu swoje! Będziesz cicho?! Już zasypiałem – gniewnie warknął drugi.

– Mówię ci, że tamta beczka się poruszyła! – obstawał pierwszy.

– Do Hoetha z tobą i tą twoją beczką! Pokażę ci, że tam nic nie ma.

Która to?

Quentin usłyszał coraz bliższe kroki mężczyzny, idącego po grząskim piasku.

– Tam, ta na końcu – wskazał przestraszony robotnik zza pleców odważniejszego kolegi.

Przybliżyli się o trzy kroki. Quentinowi waliło serce. Miał wrażenie, że jego uderzenia niosą się po plaży jak bicie w bęben.

Kroki zatrzymały się obok. Chłopiec usłyszał oddech i szelest ubrania, gdy mężczyzna pochylał się nad beczką.

– Na Zoara! Tu nic nie ma!

– Przed chwilą coś widziałem.

– Pewnie cień.

– To nie był żaden cień. Te beczki dziwnie wyglądają.

– Popatrz no! Tu w ogóle nic nie ma! O bogowie! Mam je otworzyć, żeby ci to udowodnić?

Quentinowi struchlało serce. Usłyszał chrobot jakiegoś ciężkiego przedmiotu na pokrywie. Zrozumiał, że otwierają beczkę.

252

Sprężył się, podciągając pod siebie stopy. Pokrywa drgnęła.

– Patrzcie no! – powiedział robotnik. – Ta pokrywa ledwie się trzyma.

W tej samej chwili Quentin z głośnym krzykiem wyskoczył z beczki.

Drewniana pokrywa uderzyła mężczyznę w twarz. Chłopiec kątem oka dostrzegł przerażonego robotnika, który rzucił się do ucieczki. Ten drugi, niemal równie przestraszony widokiem wrzeszczącego stwora, upadł

plecami na plażę, pokrywa bowiem ugodziła go w skroń.

– Toli! – zawołał Quentin. – Uciekaj! Odkryli nas!

Jher świetnie zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje, więc natychmiast wyskoczył i popędził w stronę lasu.

Robotnik, który teraz siedział między beczkami, przyszedł do siebie, gdy chłopcy odbiegli. Drugi ukrył się pod wozem i schował głowę w piasek.

– Idą żołnierze Nimrooda! Złapią ich! – wykrzyknął ten pierwszy.

Quentin obejrzał się biegnąc. W niewielkiej odległości za robotnika-mi, którzy gwałtownie gestykulując, wskazywali chłopców, zobaczył

oddział maszerujących żołnierzy. Kilku trzymało włócznie, pozostali wyciągnięte miecze.

Schylił głowę i popędził ile sił.

– Biegnij, Toli! Uciekaj! Są tuż za nami! Prowadź!

Jher zwolnił tylko na jedną krótką chwilę i uważnie się rozejrzał po rzadkim lesie. Później, niczym umykający jelen, pognął w stronę gęściej porośniętych rejonów.

Quentin nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko dotrzymywać kroku przyjacielowi. Toli zaś, czujny i z wyostrzonym instynktem, znowu był

w swoim żywiole. Zdawał się przemykać w gęstym podszyciu zupełnie bez wysiłku – kluczył po lesie, przeskakując gałęzi i powalone drzewa.

Początkowo Quentinowi plątały się nogi; potykał się i padał jak długi.

Kiedy jednak zaczął dokładnie naśladować Tołego, spostrzegł, że biegnie mu się łatwiej. Zapomniał o strachu, nabrał swobody ruchów, a ucieczka napawała jego serce dziwną radością.

253

Słyszał żołnierzy z trzaskiem przedzierających się przez las. Biegli wachlarzem, by łatwiej śledzić uciekających. Hałaśliwie przebijając się przez gąszcz klęli, gdy stawały im na drodze cierniste krzaki i nisko zwisające gałęzie.

Toli dwa razy się zatrzymał na krótki odpoczynek i nasłuchiwał. Od-głosy pogoni coraz bardziej cichły w wieczornym lesie.

– Wkrótce się ściemni – rzekł.

Spojrzał na niebo, które jeszcze było jasne, ale gęsty las wokół nich szybko pogrążał się w mroku. Quentin już z trudem odróżniał grube pnie drzew od ciemnego tła.

– Długo nie będą mogli nas gonić... chyba ich zgubiliśmy – powiedział niepewnym głosem, jakby czekając na potwierdzenie.

– Teraz nas nie złapią – oświadczył Toli. – Musimy jednak biec dalej.

Trzeba znaleźć jakieś miejsce do przenocowania.

Rozejrzał się, pochylił na bok głowę i nasłuchiwał, czy nie nadchodzą ich prześladowcy.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedział i znowu puścił się biegiem.

Zmienili kierunek ucieczki i zaczęli się wspinać stokiem wzgórza.

Ścieżka wznosiła się coraz bardziej stromo, więc musieli skrócić krok.

Toli zwolnił, ale ciągle parł naprzód.

Hałasy w lesie zamarły. Quentin się domyślił, że albo żołnierze zrezygnowali, albo zgubili ich ślad. Teraz musiał całkowicie zdać się na słuch, jako że zielenie liści i mchów oraz brązy drzew i ziemi zlały się z granatowymi cieniami w jedną bezkształtną masę. Do uszu chłopca dotarły inne dźwięki – odgłosy wielkiego lasu, budzącego się do życia wraz z nadejściem nocy. Quentin sunął za Tolim po omacku, wyętzając słuch.

W pewnym momencie zaczepił nogą o wystający korzeń i upadł na twarz. Usłyszawszy, co się stało, Toli zawrócił.

– Przestańmy – zaproponował Quentin. – Tylko na chwilę. Jest zbyt ciemno, żeby tak biec.

– Zapomniałem, Kenta... przecież ty nie widzisz w nocy.

254

Toli znieruchomiał nasłuchując. Quentinowi się zdawało, że jego przyjaciel węszy.

– To bardzo niedobre miejsce. Nie możemy tu zostać – powiedział

Jher.

Wyciągnął rękę i pomógł Quentinowi wstać. Potem ruszył w dalszą drogę, tym razem wolniej.

Ścieżka ciągle biegła w górę, a później nagle stromo opadła. Znaleźli się na dnie jakiegoś wąwozu, wyłobionego przez deszcze. Quentin słyszał szum wezbranego strumienia, który przepływał nieopodal. Z ziemi dokoła nich zaczęła się podnosić cuchnąca mgła, której strzępy przywie-rały im do nóg, gdy rozrywali jej pasma przypominające chwyтлиwe macki.

Gdzieś nad ich głowami zahukała sowa, a druga odpowiedziała jej z oddali.

Kiedy chłopcy szli przez las pogrążony w nocnych ciemnościach, z suchych liści pod mijanymi krzakami dobiegały dziwne szmery i szele-sty, jakby się ktoś skradał; czasami rozlegał się trzepot niewidocznych skrzydeł.

W pewnej chwili Quentinowi coś musnęło twarz, przemykając koło głowy. Odskoczył, jakby go ktoś uderzył, a gdy dotknął policzka, poczuł

wilgotną, lepłą substancję. Wytarł ją z obrzydzeniem i poszedł dalej.

Smrodliwa mgła gęstniała, wznosiła się coraz wyżej, kłębiąc się i wirując. Chłopiec miał wrażenie, że chwyta go za nogi, jak gdyby chciała go powstrzymać. Już nie widział swoich stóp.

Wytrwale, choć niepewnie podążał za Jherem, który zdawał się na nic nie zwracać uwagi. Quentin pragnął skrócić z tej nieprzyjemnej ścieżki i wyjść z wąwozu, jednak ciągle szedł za przyjacielem.

Potknął się o gnijącą gałąź. Odgłos głuchego uderzenia wypełnił wą-

wóz. Nagle z prawej strony, niemal spod stóp, wyskoczył nań jakiś bezkształtny stwór, biały jak otaczająca ich mgła, a jego głośny skrzek niósł

się po lesie niesamowitym echem. Quentin zasłonił twarz rękami przed atakującym stworem, lecz nic nie poczuł. Opuściwszy je, zobaczył białe skrzydła odlatującego ptaka.

255

– Toli, nie ma lepszej drogi?

Jher stanął i zaczął się rozglądać, by ocenić przebytą odległość.

– Owszem. Wkrótce zejdziemy z tej ścieżki. Jeszcze kawałek.

Toli dotrzymał słowa i wkrótce ruszył w górę stromym zboczem, po-rośniętym pnączami. Wspinali się w ponurym miejscu, gdzie między kamieniami, pokrytymi czarnym śluzowatym mchem, sączyły się wąskie strużki smrodliwej wody.

Quentin poślizgnął się, stracił równowagę i upadł w błoto. Przytrzymał się palcami wbitymi w ziemię, a później podciągnął, chwytając kępki chwastów.

Wreszcie wyszli z wąwozu i stanęli na rozległej polanie, otoczonej drzewami. Za plecami mieli wąwóz z jego cuchnącą mgłą, a przed sobą wzgórze z gęstym lasem.

Toli bez słowa zaczął długą wspinaczkę stokiem wzgórza. Quentin w milczeniu ruszył za nim – nie było sensu pytać, dokąd zmierzają i po co.

Toli zapewne miał swoje powody, a Quentin nie potrafiłby zaproponować nic lepszego.

Kilka godzin bez przeszkód szli pod górę ciemnym lasem. Nagle chłopiec zauważył coś, co wzbudziło w nim trwogę, choć sam nie wiedział dlaczego. Nie powiedział o tym przyjacielowi, ale idąc dalej, wpatrywał się w miejsce, gdzie to zobaczył. Znów jakby coś tam mignęło.

Zadarł głowę i ujrzał to jeszcze raz – nikłe światełko wysoko w górze.

Poruszył głową, a wtedy zamigotało, pojawiając się i znikając. Z każdym krokiem zdawało się oddalać. Ścieżka stale biegła w górę i wkrótce Quentin się upewnił, że to nie duch.

– Spójrz tam – rzekł wskazując ręką korony drzew. – Wysoko nad nami. Coś błyszczący.



Po kilkunastu krokach już wiedział, że to ogień. Ktoś palił ognisko.

Ostrożnie się zbliżali. Toli chciał je obejść z daleka, lecz Quentin uważał, że należy sprawę zbadać. Jak najciszej zaczęli się powoli skradać.

256

Po godzinie męczącego pełzania znaleźli się przy małym obozowisku, tuż poza kręgiem światła padającego z ogniska. Ktokolwiek je rozpalił, nigdzie go nie było. Obserwowali, cierpliwie czekając. Nikt się nie pojawiał.

– Żołnierze?

Toli pokręcił głową.

– Nie tutaj. A poza tym oni by rozpalili większe.

Zbyt późno usłyszeli kroki. Na ścieżce za nimi rozległy się jakieś szmery i ciężkie stąpanie. Nagle schyliła się nad nimi jakaś ogromna postać.

Rzucili się do ucieczki. Toli skoczył w bok, lecz Quentin został

schwyty. Wielkolud wrzucił go do obozowiska, ryknął, jakby z bólu, i zasypał gradem ciosów.

Chłopiec upadł przy ognisku i wił się pod licznymi uderzeniami. W

pewnej chwili błysnęła mu twarz prześladowcy, a potem usłyszał jego głos.

– Nie ruszaj się stamtąd!

Rozkaz ten był wydany surowym, ale spokojnym tonem, choć ze śladami obawy, które szybko zniknęły. Quentin wolno otworzył oczy i zobaczył potężnego mężczyznę z pałką w ręku.

Chłopca uderzyło coś znajomego w imponującej postaci tego męż-

czynny, grożącego mu roztrzaskaniem głowy pałką. Jeszcze raz przyjrzał

się twarzy w migotliwym blasku ogniska.

Niemożliwe, żeby to był on, pomyślał. W tej samej chwili jednak doszedł do wniosku, że to całkiem prawdopodobne, w tak niesamowitym miejscu należało się bowiem spodziewać spotkania z duchem. W ślad za tym spostrzeżeniem pojawiło się następne – przecież duchy nie używają pałek ani nie biją nimi swoich ofiar.

I ta twarz... Było w niej coś bardzo znajomego. Gdzieś już ją widział... w innym miejscu i bardzo dawno temu.

W końcu sobie przypomniał, lecz nie wierzył własnej pamięci. A jednak go poznał, choć nie miał pewności.

– Ronsard? – odezwał się cicho drżącym głosem.

Serce mu zamarło, słyszał tylko trzask ognia.

257

Mężczyzna padł obok chłopca na kolana i pochylił nad nim twarz, niepewnie wyciągając dłoń.

– Ronsardzie, to ty?

## 38.

– Tak, jam Ronsard – odparł mężczyzna, klęcząc przy ognisku. – A tyś kto, że znasz moje imię na tej przeklętej wyspie? – spytał ostrożnie.

Dopiero teraz, gdy tamten pochylił się nad nim w świetle ogniska, Quentin zobaczył te same kwadratowe rysy, tę samą wysuniętą szczękę, znamionującą siłę i zdecydowanie. Rycerz jednak sprawiał wrażenie wyczerpanego. W kącikach oczu i ust miał głębokie zmarszczki.

– Nie pamiętasz mnie? Jestem Quentin... ten nowicjusz, któremu da-  
łeś list do królowej.

Twarz rycerza rozjaśnił szeroki uśmiech, usuwając z niej znużenie. W  
oczach pojawiły się błyski.

– Czy to możliwe? Quentin?... Tak, pamiętam... ale jak...

Pytanie zamarło na ustach wielkiego rycerza, któremu zdumienie odebrało mowę.

– Wyjdź, Toli! – zawołał chłopiec.

Był pewien, że jego przyjaciel ukrył się gdzieś blisko i mógł w każdej chwili się pojawić. Jher  
wyslizgnął się z krzaków i stanął obok Quentina.

– Wszystko w porządku. To jest Ronsard... rycerz, o którym ci opowiadałem.

– Wiem, ten posłaniec... i wielki wojownik – odparł Toli w swoim języku, głęboko się kłaniając  
zgodnie z naukami przyjaciela.

Ten ceremonialny ukłon w takiej scenerii sprawił, że Ronsard się uśmiechnął, a Quentin zachichotał.

– Witaj, przyjacielu lasu – przemówił Ronsard. – Jeszcze nigdy nie spotkałem żadnego z twych  
ziomków. Prawdę mówiąc, nie słyszałem, że mają tak wytworne maniery.

258

– Obaj jesteście do twoich usług – z ogromną ulgą rzekł roześmiany Quentin.

– A ja do waszych – odparł rycerz. – Moi przyjaciele, mamy sobie wiele do powiedzenia. Trzeba  
omówić mnóstwo spraw. Po pierwsze, jakeście tu dotarli? Theido wspominał, że zostałeś w Dekrze,  
ciężko chory. Martwili się, że w ogóle nie odzyskasz przytomności.

Quentin dokładnie mu opisał, co się wydarzyło od chwili, gdy opuścił  
świątynię, a także co robili po wyjeździe z Dekry. Opowiadając miał

wrażenie, że mówi o kimś innym, jakby sam został w świątyni. Na myśl o niej poczuł lekki żal, jednak wiedział, że już nie ma tam dla niego miejsca.

Ronsard wysłuchał wszystkiego cierpliwie i z uwagą.

– Jesteś niezwykłym młodzieńcem – oznajmił, kiedy chłopiec skończył. – Byłby z ciebie świetny rycerz.

Quentin się zaczerwienił, słysząc taką pochwałę.

– Najważniejsze, że żyjesz i jesteś zdrowy – odparł.

– Życ to żyję, ale zdrowy dopiero będę... wkrótce. Gdyby mnie nie porwali i gdyby łódź się nie rozbiła, byłbym już krzepki jak dawniej.

Teraz z kolei Ronsard zaczął opowiadać, jak ze świątyni porwał go Pyggin ze swą bandą i w ten sposób pozbawił opieki Biorkisa.

– Przebywałem tam jakiś czas i akurat zaczynałem zdrowieć, gdy oni mnie zabrali. Strażnicy świątyni nie stanowili żadnej przeszkody dla rzezimieszków uzbrojonych w miecze, ja sam zaś jeszcze nie mogłem się bronić. Wrzucili mnie na wóz, który tak strasznie trząsał, że omal nie umarłem, i zawieźli do Bestou, gdzie czekał ich żagłowiec. Zastanawiające, jak zdołali schwytać Durwina, Theida i resztę... choć byłem im wdzięczny za towarzystwo.

Opowiedział o burzy, rozbiciu łodzi i o swoim czuwaniu w samotności na wyspie.

– A teraz w środku nocy znów spotykam mojego znajomego ze świątyni – śmiejąc się dodał Ronsard.  
– Szczerze mówiąc myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę... byłem pewien, że mój list nie dotrze do

259  
królowej. Wygląda jednak na to, że bogowie połączyli nasze losy.

Toli słuchał ich rozmowy, starając się ją zrozumieć. W końcu znużony ziewnął, zwinął się w kłębek przy ognisku i usnął.

– Cóż, mnie też chce się spać – rzekł rycerz. – Właśnie zbierałem chrust na całą noc, a wracając ścieżką, niczego nie zauważyłem ani nie słyszałem, póki omal się o was nie potknąłem. Oczywiście wszystko mi się rozsypało.

– Czyżby? – spytał Quentin, pamiętając o razach, jakie otrzymał, zanim upadł. – Myśmy też ciebie nie słyszeli, kiedy nadchodziłeś.

– Będzie źle, jeśli ktoś się dowie, że kręcicie się po wyspie. To nie jest najbezpieczniejsze miejsce.

Quentin kiwnął głową.

– A co się dzieje z resztą?

Już wcześniej chciał zadać to pytanie, lecz nie miał odwagi. Wspomnienie o przyjaciółach sprawiło, że ponownie zaczął myśleć o teraz-

niejszości i czekającym go zadaniu.

– Porozmawiamy o tym jutro, za dnia.

Ronsard ziewnął i ułożył się do snu.

– No to dobranoc – powiedział Quentin, a zasypiając dodał: – Bardzo się cieszę, że znów cię spotkałem.

– Ja również. Dobranoc.

Rano, ledwie Quentin otworzył oczy, natychmiast się zorientował, że Toli wstał o świcie, a może nawet wcześniej. Wokół ogniska zobaczył

koszyczki z trawy, pełne jagód i jadalnych korzonków, obmytych i ładnie poukładanych. Na rożnie dopiekały się dwa mizerne króliki, a na półmisku ze świeżych liści leżał plaster miodu ociekający złocistym nektarem – przysmak nad przysmaki.

– Wygląda na to, że twój przyjaciel zrobił nam śniadanie – zauważył

Ronsard.

Quentin sennie przetarł oczy i usiadł.

– Rzeczywiście. A gdzie on jest?

260

W tej samej chwili na biwaku pojawił się Toli. W jednym ręku ostrożnie niósł jakieś trzy podłużne zielone przedmioty, a w drugim kilka jabłek.

– Oto woda – rzekł wręczając przyjaciółom naczynia z dużych zwiniętych liści, pełne krystalicznie czystego płynu, a potem szybko zajął

się królikami.

Pałaszowali wszystko, jakby nigdy nie widzieli jedzenia, napychając sobie usta i ze smakiem połykając każdy kęs. Przy miodzie, który zebrał

największe pochwały, wyrazili uznanie dla umiejętności Jhera.

– Jeszcze nigdy nie miałem takiej uczty w lesie – stwierdził Ronsard. – Siły mi wracają jak na skrzydłach, a bardzo ich potrzebuję. Dziś musimy dotrzeć do gniazda Nimrooda.

Quentin całkiem zapomniał o czarodzieju, a przynajmniej o nim nie myślał. Uwaga rycerza sprawiła, że poczuł w sercu chłód.

– Daleko stąd do zamku?

– Owszem, jeszcze spory kawałek... ale w prostej linii nie więcej niż mila lub dwie. Leży na szczycie wysokiej góry, więc czeka nas długa wspinaczka. Prowadzi tam wyraźna droga. Wiem, bo ją sobie obejrza-

łem.

– No to się zbierajmy – powiedział Quentin.

Toli, który zdążył już wstać, zgasił ognisko, rozsypał popiół i zatarł

wszelkie ślady biwaku.

Wyruszyli dalej tą samą ścieżką, którą wieczorem przyszli chłopcy.

Wkrótce opadła i połączyła się z szerszą drogą. Widać było, że niedawno ktoś z niej korzystał, zobaczyli bowiem ślady żołnierzy, kół wozu i koń-

skich podków, prowadzące w obie strony.

– Wyślę Tołego przodem – zaproponował Quentin. – Niech obserwuje, czy ktoś nie nadchodzi. Drzewa rosną tak blisko, że zdołamy się ukryć, nim ktokolwiek nas zauważy.

– Dobry pomysł. Wobec tego ja będę obserwował tyły, choć wątpię, żeby ktoś nas ścigał.

261

W ten sposób szybko pokonali odległość dzielącą ich od szczytu gó-

ry, gdzie znaleźli się tuż przed południem. Wychodząc zza ostatniego zakrętu, ujrzeli Kazakh, zamek czarodzieja.

– Nareszcie – rzekł Ronsard, przysłaniając oczy dłonią. – Widywa-

łem ładniejsze.

Quentin przyglądał się zamkowi z taką obawą i ciekawością, jakby patrzył na jadowitego węża, który się wiję między kamieniami.

– Ohydny – powiedział w końcu.

Toli cofnął się za skałę gęsto porośniętą pnączami.

– Od strony zamku nadchodzą wojownicy złego – odezwał się do Quentina, który przetłumaczył to Ronsardowi. – Schowajmy się i zo-baczmy, dokąd zmierzają.

Ronsard wskoczył w krzaki koło drogi, a Quentin znalazł dobrze ukryte miejsce obok niego, skąd świetnie ją widział.

Usłyszeli jakiś szmer, a potem trzask, jakby ktoś odłamywał gałązkę.

Kiedy Quentin odwrócił głowę, zobaczył Tolego, który wybiegł na drogę z dużym liściem paproci i zacierał nim ich ślady tam, gdzie przed chwilą stali rozmawiając.

– On nie zostawia nic przypadkowi – szepnął Ronsard. – Jest sprytny i szybki. Podoba mi się ten chłopak. Oni muszą już być bardzo blisko.

Quentin chciał ostrzec Tolego, ale się pohamował w obawie, że żoł-

nierze go usłyszą. Zagryzł wargę, w tej samej chwili bowiem do jego uszu dotarł odgłos licznych kroków i podzwanianie końskiej uprzęży.

Toli był już obok niego, gdy na drodze pojawił się pierwszy żołnierz.

Jechał na czarnym nakrapianym koniu i właśnie odwrócił się w siodle, by wydać swoim ludziom jakiś rozkaz. Na jego twarzy Quentin spostrzegł ogromną bliznę, która zdawała się dzielić ją na pół.

– Ja go już widziałem – szepnął Ronsard. – Na plaży.

Za jeźdźcem ukazał się wysoki konny wóz, a dalej oddział złożony z około czterdziestu żołnierzy, którzy maszerowali niedbałym krokiem.

Dwóch siedziało z tyłu wozu, dyndając nogami.

262

– Niezdyscyplinowani – szepnął Ronsard. – I pewni siebie.

– Szukają nas.

Obserwując przechodzących żołnierzy, Quentin przypomniał sobie, jak się ich bał poprzedniego dnia.

– Skąd wiesz?

– Bo to właśnie oni nas gonili, kiedy uciekliśmy do lasu. Oddział

posuwał się leniwie.

Po jego przejściu Ronsard odczekał kilka minut, a gdy nikt więcej się nie pojawił, ruszyli dalej.

Szybko dotarli do długiej drogi, która wiała się na grani. Stojąc w ukryciu za ostatnimi drzewami, rycerz powiedział:

– To mi się wcale nie podoba. Będą nas mieli jak na dłoni. – Uważ-

nie się rozejrzał, wzrokiem zmierzył odległość dzielącą ich od siedziby przewrotnego czarodzieja. – Widzę, że jedynie tędy da się dotrzeć do zamku. Możemy tylko wybierać, czy czekać, aż zmrok nas osłoni, czy śmiało iść teraz i liczyć na los szczęścia.

– Jeśli będziemy czekać, mogą wrócić żołnierze. Poza tym nie chciałbym być przyłapany na skradaniu się nocą – odparł Quentin i za-drżał na samą myśl.

– Dobrze mówisz. Ja zaś, gdybym był tam więźniem, nie chciałbym czekać na uwolnienie ani chwili dłużej – rzekł Ronsard.

– Załatwione. Idziemy natychmiast.

Chłopiec sięgnął do rękojeści złotego sztyletu za pasem. Zaciskał na niej dłoń, gdy doganiał rycerza, który już szedł dużymi krokami w stronę grani.

– No, na razie szczęście nam sprzyja. Nie widać żadnego strażnika ani dozorca – zauważył Ronsard.

Przycupnęli za jednym z dwóch kamiennych słupów po bokach drogi tam, gdzie się zaczynał potężny most zwodzony, łączący brzegi przepa-

ści. Na szczytach obu słupów rozdziawiały paszcze rzeźbione gryfy.

263

Ostrożnie wychyliwszy głowę, Quentin ujrzał za mostem mroczną czeluść tunelu. Z tego, co zobaczył, również tam nikogo nie było.

– W bramie też nie ma żadnej straży – zameldował.

– No, to zaczynamy! – powiedział rycerz. – Lepsza okazja może się nie trafić.

Quentin chciał zaprotestować. Uważał, że w każdym razie powinni mieć jakiś plan, a nie działać tak pochopnie, całkiem bez przygotowania.

Kto wie, kogo spotkają. A nuż sam Nimrood czeka, aż znajdą się po drugiej stronie przepaści?

Jednakże Ronsard już pędził przez most zwodzony, a za nim Toli jak cień. Quentin też puścił się biegiem, nie chcąc zostać z tyłu.

Ostrożnie szli tunelem. Kiedy dotarli do jego końca, wyjrzeli na dziedziniec.

– Nikogo tu nie ma... dziwne – rzekł rycerz, marszcząc nos. – Co to tak śmierdzi?



W powietrzu czuło się stęchliznę i silniejszy od niej, słodkawy odór.

Prawdopodobnie dochodził z dziedzińca.

– No, trzymajcie się blisko mnie. Idziemy!

Ronsard wypadł z tunelu na światło i po kilku krokach nagle się zatrzymał. Quentin, który biegł tuż za nim, także stanął jak wryty. Czyżby w końcu ktoś ich zobaczył? Wówczas rycerz odwrócił ku chłopcu straszliwie wykrzywioną twarz.

– Co... – zaczął Quentin i urwał.

Potworny fetor uderzył go w nos. Chłopiec miał wrażenie, jakby dostał cios ogromną pięścią. Czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła i zaczął się krztusić. Kolana się pod nim ugięły, padł na czworaki. Z

oczami pełnymi łez słyszał, że rycerz dusi się od kaszlu, a Toli gwałtownie oddycha.

Kiedy fala mdłości minęła, Quentin powoli uniósł głowę, by się rozejrzeć. Zobaczył, że dziedziniec jest niezwykle zapuszczony. Między kamieniami bruku rosły chwasty, zewsząd wyzierał brud, w rynsztokach stała woda, a nad nią unosiły się roje bzyczących much.

– Och, nie... – jęknął Ronsard.

264

Chłopiec spojrzał tam, gdzie stał rycerz wpatrujący się w jakiś przedmiot. Quentin z oddali nie widział, co to jest, więc się zbliżył.

– Podły drań! – zaklął rycerz odwracając się.

Chłopiec spojrzał na ziemię i zobaczył dwa padłe konie, gnijące w słońcu i poszarpane przez ptaki. Wciąż były przywiązane do żelaznych kółek, umocowanych w skale – najwyraźniej zagłodzono je na śmierć.

To właśnie stąd rozchodził się ów odrażający smród.

Quentin odszedł, pociągając za sobą Tołego. Jher milczał, ale oczy mu pociemniały i patrzył kamiennym wzrokiem.

Wnętrze zamku wyglądało tak samo jak dziedziniec – było puste i straszliwie zaniedbane. Gdziekolwiek spojrzeć, panował nieporządek.

– Głupie niechlujstwo! – prychnął Ronsard, kiedy we trzech ostroż-

nie posuwali się naprzód.

Quentinowi ścierpła skóra, sam poczuł się brudny i miał wrażenie, że się zaraził jakąś wyniszczającą chorobą. Zdawał sobie sprawę z obecno-

ści butnego, zuchwałego zła, co zmroziło mu krew w żyłach.

W milczeniu szli długim krętym korytarzem, aż dotarli do wielkiego łukowatego przejścia na jego końcu.

– Dziwne, że jeszcześmy nikogo nie spotkali – odezwał się rycerz, niedowierzająco kręcąc głową.

– Nimrood chyba nie ma zbyt wielu przyjaciół – zażartował Quentin.

Ronsard spojrział nań ze zrozumieniem.

– Tu pewnie jest wejście do lochu – powiedział wskazując ciężkie okute drzwi z żelazną zasuwą. – Sprawdźmy.

Szarpnął zasuwę, która dość łatwo się otworzyła, choć nie tak cicho, jakby tego sobie życzył. Za drzwiami ujrzeli spiralne kamienne schody, wiodące do mrocznego podziemia. W uchwycie na ścianie tkwiła pochodnia, a obok niej migotała niewielka świeczka. Ronsard wyjął pochodnię, zapalił ją od świeczki i ruszył w dół, a za nim obaj chłopcy.

265

Quentinowi się zdawało, że schody nie mają końca, lecz wreszcie dotarli do podestu, z którego zobaczyli ogromną salę.

Była pełna beczek i skrzyń. Na posadzce leżały stosy pancerzy oraz jeszcze nie używanych mieczy i włóczni.

– On pewnie zbroi jakąś armię! – wykrzyknął Ronsard. – To tylko piwnica. Loch musi być niżej.

Ruszyli dalej krętymi schodami, które skończyły się przy jakimś wej-

ściu. Ronsard stanął, wręczył pochodnię Quentinowi i zajrzał.

W lewo i w prawo biegł niski, szeroki korytarz z celami wzdłuż ścian. Na wprost był jeszcze jeden, krótszy, a jego koniec ginął w mroku.

Rycerz odebrał pochodnię i rzekł:

– Musimy przeszukać wszystkie cele. Ja pójdę na lewo, a wy na prawo.

Nie zabrało im to wiele czasu, cele bowiem okazały się puste. Cała trójka wróciła do miejsca, gdzie krzyżowały się korytarze.

– Został nam tylko... – powiedział Ronsard i nagle urwał. – Słuchajcie!

Od strony schodów rozległo się człapanie.

– To ty, Euryku?! – zawołał ktoś. – No, poświęć mi, człowieku! Euryku!

Quentin z bijącym sercem zamarł na chwilę, a potem przypadł do ściany. Ronsard położył palec na ustach i mrugnął do chłopca.

Kiedy obcy wychodził zza rogu, rycerz postąpił ku niemu, wysoko unosząc pochodnię, i uderzył go pięścią w twarz. Tamten padł bez przytomności. Nigdy nie będzie wiedział, kto zadał mu ten cios.

– To na pewno strażnik lochu – odezwał się Quentin, wskazując dużą pałkę i pęk kluczy u pasa mężczyzny.

– Tak, mamy szczęście – odparł Ronsard, który wziął leżącego pod ramiona i zaciągnął do najbliższej celi. – A teraz chodźmy. Droga powinna być wolna.

Cicho i szybko ruszyli w głąb krótszego korytarza. Zbiegli po 266

kamiennych schodkach i znaleźli się przed wąskimi drzwiami, zamknię-

tymi na rygiel z wielką kłódką. Więźniowie usłyszeli pośpieszne kroki, zgrzyt klucza, odsuwanie rygla i wreszcie drzwi się otworzyły.

– Ronsard! – wykrzyknęła królowa, która pierwsza go poznała. –

Znalazłeś nas, dzielny rycerzu!

– Wiedziałem, że przyjdiesz – odezwał się Durwin.

Trenn i Theido tylko wytrzeszczyli oczy, zdumienie bowiem odebrało im mowę.

Potem do lochu wpadł Quentin, a za nim Toli. Kiedy chłopiec spojrział na swych przyjaciół, oczy wypełniły mu się łzami.

– Quentin! – zawołał Durwin.

Pustelnik wyciągnął ramiona i podbiegł do chłopca. Quentin objął go jak własnego ojca. Pozostali otoczyli ich kołem i klepali go po plecach, a królowa ucałowała w policzek.

Wszyscy jednocześnie zadawali pytania, lecz Quentin zdawał się niczego nie pamiętać – tylko stał, rozmazując łzy, które spływały mu po policzkach. Było to najmiłsze spotkanie w jego życiu.

Tę chwilę zapamięta na zawsze.

## 39.

Ku zdumieniu Quentina ucieczka z zamku okazała się łatwa. Szybko wydostali się z lochu, przebiegli korytarzami, potem przez cuchnący dziedziniec między murami, tunel, bramę i zwodzony most.

Byli wolni.

W każdej chwili chłopiec się spodziewał, że Nimrood szykuje jakąś pułapkę i ich uwięzi, a co najmniej spróbuje im przeszkodzić. Tymczasem nie spotkali ani żywej duszy, choć słyszeli głośnie śpiew, gdy mijali korytarz prowadzący do kuchni.

– Hulanka? Tutaj? – zdziwił się Ronsard.

267

– Tego drania nie ma – odparł Durwin i wyjaśnił, że Nimrood jest na koronacji księcia.

– Księcia? Księżę Jaspin królem? Sprawy mają się zatem gorzej, niż oczekiwałem.

– W rzeczy samej! – potwierdził Durwin.

– Cóż, teraz nic na to nie poradzimy – odezwał się Theido. – Trzeba będzie się tym zająć w odpowiednim czasie. W tej chwili musimy jak najszybciej uwolnić prawdziwego króla.

– Istotnie – przyznał Ronsard. – Pora na naradę wojenną.

Skupieni pod kamiennymi słupami na końcu mostu zwodzonego, szukali najlepszego sposobu odnalezienia i uwolnienia Eskevara.

Quentinowi niezbyt się spodobało wyznaczone mu zadanie, które polegało na tym, że z Tolim zaprowadzi królową, Trenna i Durwina do miejsca, gdzie droga wchodzi w las. Miał tam czekać, by dać znak, gdyby żołnierze nadeszli przed powrotem Ronsarda i Theida.

– Czekać! – z posępną miną skarżył się Durwinowi, kiedy szli w stronę kryjówki w lesie. – Przebyliśmy taką drogę tylko po to, by teraz czekać, aż oni uratują króla. To niesprawiedliwie.

Choć dotychczas o tym nie myślał, uważał to za oczywiste, że będzie obecny przy wyzwoleniu króla. Teraz, gdy mu tego odmówiono, czuł się oszukany.

– Przyznaję, że to niesprawiedliwie – współczująco rzekła Alinea. –

Wiedz jednak, że twoją królową raduje towarzystwo takiego obrońcy.

– Przepraszam – odparł Quentin. – Nie chciałem...

– Wiem – przerwała mu. – Miałeś pełne prawo tam być, ale wszyscy musimy wykonywać pewne wyznaczone nam zadania. Dodam, że naprawdę jestem wam bardzo wdzięczna. Nie mogłabym

wytrzymać w tym okropnym lochu ani chwili dłużej. Jeszcze raz oddaliście waszej królowej ogromną przysługę. Nigdy o tym nie zapomnę.

Słyszac tę słowa, Quentin trochę się rozchmurzył i zaczął poważniej traktować swoje zadanie. Podczas marszu granią nic się nie wydarzyło.

268

Trenn z ponurą miną szedł na końcu, również poirytowany tym, że dołączono go do grupy jego zdaniem złożonej ze słabeuszy.

Zatrzymali się na niewielkiej, dobrze ukrytej polance, skąd bez trudu widzieli straszny zamek na skale, a także drogę wzdłuż grani. Każdy wygodnie się usadowił, a Durwin zamknął oczy i natychmiast usnął.

Czekali. Czas im się przeraźliwie dłużył. Minęła godzina, a potem druga. Quentin nie mógł tego znieść i często wyskakiwał na drogę, by zobaczyć, czy ktoś nie nadchodzi. Trenn był pewien, że musiało się stać coś złego, więc należy wrócić i pomóc towarzyszom.

Słońce wolno się obniżało na popołudniowym niebie. Quentin obserwował długi ciąg chmur napływających od zachodu. Postanowił, że kiedy ostatnia z nich znajdzie się nad zamkiem, ruszy przyjacielom z pomocą wbrew wszelkim rozkazom.

Przed zaniebdaniem obowiązków uchroniło go pojawienie się na grani sylwetek ludzkich.

– Idą! – wykrzyknął.

Toli, który był na zwiadach w lesie, natychmiast przybiegł, a królowa i Durwin wyskoczyli na drogę.

– Rzeczywiście ktoś nadchodzi, ale nie widzę, ilu ich jest. Możesz mi powiedzieć? – spytał Trenn, mrużąc oczy w słońcu, świecącym teraz nad granią.

Quentin też nie widział z takiej odległości, więc zwrócił się do Tołego, który uważnie popatrzył i oznajmił:

– Lea nol epra. Rhunsar en Teedo.

– Co on powiedział? – niecierpliwie dopytywał się Trenn.

Królowa w milczeniu chwyciła się obiema dłońmi za brodę i zamknęła oczy.

– Mówi, że jest tylko dwóch. Ronsard i Theido. Króla z nimi nie ma

– odparł Quentin. – Przykro mi, najjaśniejsza pani.

Rycerze wkrótce nadciągnęli, zasapani po wspinacze stromą drogą.

269

– Nie ma go tam. Gdzieś przepadł – rzekł Theido, ciężko dysząc. –

Przeszukaliśmy cały zamek... nawet zmusiliśmy szambelana, który uci-nał sobie drzemkę, by nam otworzył zamknięte komnaty. Twierdził, że wszystkich zabrał Nimrood, ale nie wiedział, kto był wśród nich.

– Jesteście pewni? – spytał Trenn z niepokojem, który dzielili z nim pozostali. – Tam mogą być tysiące miejsc, gdzie da się ukryć człowieka.

– I myśmy wszystkie sprawdzili – oschłym tonem odparł Ronsard, chmurząc czoło. – Powiadam wam, że go tam nie ma.

– Tak, masz rację – odezwał się Durwin.

Pustelnik przez cały czas był niezwykle spokojny. Quentinowi się zdawało, że on śpi.

– Szukałem w eterze jakiegoś znaku i nie wyczułem śladu obecności króla. Chyba szambelan Nimrooda mówił prawdę. Ten przewrotny czarodziej zabrał swą zdobycz ze sobą. Powinienem domyślić się tego wcześniej.

– Na to wygląda – z żalem przyznał Ronsard. – Pewnie właśnie dlatego nie natrafiliśmy na żaden opór, wchodząc do twierdzy.

– Ani wychodząc – dodał Theido. – Teraz musimy znaleźć jakiś sposób, żeby się wydostać z tej przeklętej wyspy.

– To nie powinno być trudne – oświadczył Quentin. – Statek, który przywiózł tutaj Tolego i mnie, może jeszcze nie odpłynął.

– Wspaniale! Quentin załatwił nam żaglowiec. Na plażę!

– Ale on nie jest zbyt duży – zastrzegał się Quentin.

– Wszystko jedno. Niech to będzie nawet balia z wiosłami, byleby-

śmy stąd odpłynęli – z radością odparł Theido. – Prowadź!

Toli z Quentinem wskazywali drogę. Jher popędził naprzód na zwiady, by sprawdzić, czy żołnierze nie wracają. Droga jednak okazała się pusta i przed zmierzchem dotarli do rzadkiego lasu nad zatoką.

– Jeszcze tylko kawałek – szepnął Quentin. – Za tamtymi drzewami.

Toli pójdzie się rozejrzeć.

Dał znak przyjacielowi, który w okamgnieniu zniknął, jakby stapiając się z plamami światła i cienia. Po chwili wrócił i zaczął meldować Quentinowi. Wszyscy niecierpliwie patrzyli na chłopców. Wreszcie Quentin się odwrócił.

– Statek jest... – zawahał się, jakby nie chciał odebrać nadziei nie-dawnym więźniom. – Ale są tam również żołnierze. Toli mówi, że roz-

łożyli się obozem na plaży.

– Dziwne – powiedział zaintrygowany Theido. – Po co mieliby to robić?

– Przynajmniej wiemy, dlaczego nie widzieliśmy ich w zamku –

mruknął Ronsard.

– Hm! – prychnął Trenn. – Ilu ich tam jest? Każdy z nas poradzi sobie co najmniej z dziesięcioma.

– Zgodziłbym się z tobą, gdyby nie to, że nie mamy żadnej broni.

– Wkrótce zapadnie zmrok – wtrącił Durwin. – Być może nadarzy się jakaś okazja.

Wszyscy usiedli, by czekać na noc, która zapewni im osłonę. Jednak-

że ledwo zdążyli się wygodnie usadowić, Durwin zerwał się na równe nogi.

– Mam! Znalazłem na nich sposób! – wykrzyknął.

– Ćśś! Nie pomoże nawet najlepszy sposób, jeśli zdradzisz tym psom, gdzie jesteśmy – ostrzegł go Trenn.

Pustelnik nie zwrócił na niego uwagi. Zerknął na skrawek nieba prze-

świtujący między gałęziami.

– Szybko! Pozostało nam niewiele czasu. Musimy nazbierać trochę różności.

Nakazał wszystkim szukać w lesie następujących rzeczy: kory pewnych drzew, szczególnego rodzaju liści, wszelkich kamieni oraz zwykłego chrustu.

– Pośpieszcie się! Przynieście mi tego jak najwięcej.

Nim słońce zaszło, Durwin zgromadził sporo potrzebnych mu surowców. Zaczął je rozdrabniać, ścierać na proch, łamać, mieszać i dzielić 271

na kupki. Skończył, gdy zaświeciła pierwsza wieczorna gwiazda.

– No, wreszcie gotowe – oznajmił, a potem zwrócił się do Theida i Ronsarda: – Podczołgacie się do plaży i wykopiecie dołki. O, takie –

pokazał ich wielkość rękami. – Dwa po bokach ścieżki, a jeden w jej środku. Quentin i Toli, weźcie trochę tego i chodźcie za mną. – Odgarnął

dwa naręczna mieszaniny. – Alineo i Trennie, nazbieracie jeszcze chrustu i przyniesiecie go tam, gdzie będziemy kopać.

Po tych słowach każdy zaczął działać. Kiedy dołki były już wykopa-ne i Durwin uznał je za dostatecznie głębokie, wypełniono je mieszaniną przezeń przygotowaną, cierpliwie i dokładnie układając kolejne warstwy. Wówczas Durwin wziął swój skórzany mieszek i wysypał jego zawartość na trzy kopczyki.

Tymczasem żołnierze rozniecili na plaży ognisko i gotowali kolację.

Ich rubaszny śmiech i strzępki rozmów docierały tam, gdzie w ciszy pracowali przyjaciele pod czujnym okiem Trenna, stojącego na straży, gdyby któryś z tamtych miał ochotę wybrać się do lasu.

– A teraz trzeba to zapalić – rzekł Durwin.

– Zaczekaj chwilę – poprosił Ronsard. – Najpierw powiedz nam, co tu się wydarzy.

– Czyżbym jeszcze o tym nie mówił? A zatem, przygotowaliśmy smoka dla rozrywki żołnierzy. Zapewniam was, że rozpierzchną się z krzykiem. Podpalcie te stosy i dobrze ukryjcie się z dala. Kiedy tamci uciekną, biegnijcie na statek. Wkrótce do was dołączę.

– A ty co będziesz robił? – spytał Theido.

– Ktoś nadchodzi! – zaalarmował ich Trenn.

– Przecież smok musi ryczeć – wyjaśnił Durwin i pośpiesznie ruszył

w głąb lasu.

– Zaczekaj! – głośnym szeptem powstrzymał go Ronsard. – Nie mamy czym skrzesać ognia.

– Co?! – wykrzyknął zaskoczony Durwin. – Ale to nic nie szkodzi, wszak jeszcze coś potrafię.

272

Z tymi słowy schylił się i wyjął gałązkę z najbliższego stosu. Trzymając ją przed sobą, uniósł drugą rękę nad głowę i z zamkniętymi oczami wypowiedział jakieś zaklęcie. Szybko opuścił rękę i w tej samej chwili błękitna iskierka przeskoczyła z jego dłoni na gałązkę, która buchnęła jasnym płomieniem.

– Proszę! Natychmiast nią zapalajcie. Nie czas na wyjaśnienia. Kiedy droga będzie wolna, biegnijcie



na statek i rzucajcie cumy.

– Szybko! – ponaglał ich Trenn. – Zbliżają się i wkrótce nas zobaczą.

Theido podpalił pierwszy stos.

– Schowajcie się i bądźcie gotowi. Na mój sygnał biegiem do statku.

Podpalił dwa pozostałe stosy i ukrył się nie opodal ścieżki.

Z plaży dobiegał hałaśliwy śmiech. Widocznie żołnierze poczęstowali się antąkiem wina i zaczęli odczuwać skutki. Jeden z nich poszedł do lasu, by sobie ulżyć, i kilku innych ruszyło za nim.

Quentin patrzył na stosy płonące w dołkach. Nie widział nic szczególnego – dym snuł się kilkoma smugami, prawie niedostrzegalnymi w ciemnościach, które zapadły nad lasem.

Nagle z każdego stosu wzbija się wielka chmura. Wszystkie trzy się rozdeły, spłaszczyły i zaczęły sunąć nad piaskiem w stronę plaży.

– Spójrz – szepnął Quentin do Tolego, który przykucnął obok. –

Tchnienie smoka!

Ze stosów wydobywały się teraz kłęby niebieskawego dymu i pełzły tuż nad ziemią niby mgła. Było ich coraz więcej, podświetlonych zielonymi płomieniami ognia palącego się w dołkach. Dym wirował i tworzył

pokręcone macki, kiedy rozlewał się po plaży, spływając w stronę morza.

Pierwszy żołnierz, który wyśpiewywał na całe gardło jakąś nieprzyzwoitą piosenkę, zatrzymał się i pijanym wzrokiem spojrzął pod nogi na dym liżący mu stopy. Cofnął się tak gwałtownie, że omal nie wpadł na swoich kolegów. Chwilę wszyscy przyglądali się tajemniczej mgle, 273

ta zaś gęstniała, szybko się rozprzestrzeniając.

Nagle rozległ się niski, wibrujący pomruk. Quentin czuł jego drgania w klatce piersiowej. Miał wrażenie, że skała obok również zadrżała.

Pomruk z każdą chwilą stawał się głośniejszy, a przy tym było słychać przeraźliwy syk, jakby ze szczeliny w ziemi wydobywała się para wodna albo jakiś ogromny wąż szykował do ataku.

Wtem lasem wstrząsnął potworny ryk. Krzaki zaszeleściły niczym na wietrze, lecz przecież wiatru nie było. Z drzew opadły liście.

Quentin poczuł dreszcz emocji. Spojrzął wytrzeszczonymi oczami na przyjaciela, który odpowiedział mu uśmiechem.

– To ryk smoka.

Trzej żołnierze, początkowo zaintrygowani, teraz stracili odwagę i zaczęli się cofać. Odwrócili się, żeby uciec, lecz nogi jakby wrosły im w ziemię. Śpiewy na plaży ucichły. Kilku żołnierzy stało, patrząc w stronę lasu.

Znowu rozległ się ryk, tym razem głośniejszy. Gdzieś z głębi lasu buchnęło światło – czyste niebo przecięła błyskawica. Przez tę krótką chwilę Quentin widział przerażone twarze mężczyzn na plaży. Nowy-powiedziany strach, który dostrzegł w ich oczach, zasiał lęk w sercu chłopca. Może tam rzeczywiście jest smok?

Z lasu zaczęły dochodzić dziwne dźwięki – trzask łamanych drzew i głuchy odgłos padających pni. Na plaży podniosły się okrzyki trwogi.

– Bogowie, ratujcie! Smok! Smok nadchodzi!

Pełznąca mgła dotarła do zbitej gromady wystraszonych mężczyzn.

– To oddech smoka! Biada nam!

Dwaj żołnierze z wrzaskiem przybiegli do obozu, zostawiając w lesie trzeciego, który padł na kolana, dłońmi zatkał sobie uszy i śmiertelnie przerażony zacisnął powieki. W końcu, żałośnie łkając, upadł twarzą w piasek.

274

– Wszyscy zginiemy! – zawołał ktoś.

Konie, przywiązane z tyłu wozu, zerwały się z uwięzi. Dziko rżąc, z obłędem w oczach, stawały dęba i rzucały się z kopytami na każdego, kto się do nich zbliżył. Żołnierze w popłochu miotali się po obozie, chwytając leżącą broń.

Nagle dymiące stosy rozjaśniło dziwne światło, które zalało las i pla-

żę niesamowitym zielonym blaskiem. Znow się rozległ potworny ryk, aż zadrżały gałęzie drzew.

Tym razem Quentin był pewien, że ziemia też się zatrzęsła. Niespokojnie obejrzał się przez ramię. Wydawało mu się, że dostrzega jakiś ogromny czarny cień, wypełzający z głębi lasu. Wzmogły się trzaski łamanych drzew i tratowanego podszycia. Powietrze wypełniła smrodliwa woń palącej się siarki. Nagle ze stosów, rzucających niesamowitą poświatę, buchnęły snopy iskier i popiołu, przemieniając się w języki ognia.

Konie zerwały się do galopu. Rozproszeni żołnierze, ogarnięci paniką, krzyknęli wniebogłosy. Po chwili wahania rzucili broń i zaczęli uciekać. Niektórzy w popłochu wskakiwali do morza, szukając schronienia w jego falach, inni pędzili brzegiem, by ukryć się wśród skał. W ciągu kilku sekund na plaży nie było nikogo prócz tych, co padli na piasek.

– Ruszamy! – krzyknął Theido.

Quentin uświadomił sobie, że zanim to usłyszał, nogi już niosły go w stronę statku.

Przebiegł po chwiejnym drewnianym pomoście i wskoczył na burtę.

Potykając się na pokładzie, dopadł cumy i próbował ją odwiązać. Nawet nie spojrzał na Tolego, gdy poczuł, że Jher gorączkowo mu pomaga.

– Czy wszyscy już są?! – zawołał Theido.

Na końcu pomostu stał Ronsard z naręczem mieczy i kilkoma tarczami.

– Nie widzę Durwina, ale pewnie już idzie! – odkrzyknął.

Quentin spojrzał na las. Zdawało mu się, że w zielonej poświacie dymiących stosów widzi ogromnego czarnego smoka, ociężale 275

wychodzącego na polanę. W ciemnościach nocy błyszczały jego wielkie oczy. Ponownie rozległ się ryk mrozący w żyłach krew, a później, w niewytłumaczalny sposób, nagle z dymu wyłonił się Durwin i susami pobiegł ścieżką w stronę statku.

Książę Jaspin obserwował z balkonu ostatnie przygotowania do koronacji. W dole, na zielonych błoniach Askelonu, stało sto dużych kolo-rowych namiotów, przypominających kwiaty. Szlachcice ze swymi da-mami przechadzali się po trawie, a wśród nich nerwowo biegała służba, wykonując pilne zadania.

W powietrzu unosił się zapach tysiąca bukietów, a także smakowita woń pieczonego mięsa i słodczy przygotowywanych na to wielkie święto.

Gdziekolwiek zwrócił wzrok, widział wspaniałe barwy i uroczysty nastrój. Choć miał zmęczone oczy, zachwycał się tym olśniewającym widokiem. Zatarł grube dłonie i z zadowolenia skulił ramiona.

Już wyglądał jak król – na wszystkich palcach obu rąk grzechotały pierścienie, z szyi zwisały złote łańcuchy, a okrągłą figurę opinał lśniący brokatowy żakiet z szerokimi koronkowymi rękawami. Płaski kapelusz haftowany złotem przykrywał głowę; brązowe włosy, specjalnie ufryzowane na tę okazję, opadały w długich lokach na ramiona. Na nogach trzewiki z poślacanej skóry i przepiękne pończochy. Krótkie aksamitne spodnie były zapięte przy kolanach na srebrne guziki. Całość przedstawiała idealny obraz króla.

Poprzedniego dnia książę wjechał do miasta nie mniej okazale, iście po królewsku. Wszyscy rycerze w najpiękniejszych zbrojach i na swoich najlepszych koniach towarzyszyli mu w tej triumfalnej defiladzie. Ulice były zatłoczone widzami wznoszącymi stosowne okrzyki, które osoba postronna mogłaby uznać za niezbyt szczerze. Jaspinowi, zachwyconemu pompą, wydawały się jednak tak bardzo spontaniczne i życzliwe, że mimo swojego skąpstwa, rozwiązawszy sakiewkę, ciskał złote i srebrne 276

dukaty w tłum. To naturalnie wzmogło aplauz gawiedzi, złożonej przeważnie z biedniejszych mieszkańców królestwa. Ci, co nie darzyli księ-

cia szczególną sympatią, w ogóle nie przyszli.

Bezstronny obserwator z pewnością by spostrzegł, że okrzyki na cześć księcia dobywały się z gardeł ludzi, których można by nazwać podejrzaną hałastrą. Jednakże w oczach Jaspina byli to szlachetnie urodzeni panowie i damy godne szacunku.

Wieczorem rozpoczęła się maskarada. Ucztowano do późnej nocy.

Książę wbrew swoim zwyczajom wcześniej poszedł spać, żeby nadmiar wina nie zepsuł mu tak długo oczekiwanego dnia.

Teraz patrzył na miejsce swojej przyszłej chwały, promieniejąc niczym słońce i spoglądając na spacerujących ludzi z rzadką u niego do-brotliwością.

Wtem jakiś cień przemknął mu po twarzy. Książę podniósł wzrok i zobaczył wielkiego szybującego

ptaka. Wszedł do komnaty, by się ostatecznie przygotować do uroczystości, które wkrótce się zaczną i potrwać kilka dni. Wówczas z balkonu dobiegło go krakanie, a gdy się odwrócił, ujrzał tego samego ptaka, jak siada na balustradzie. Nim Jaspin zdążył

otworzyć usta, ptak zmienił się i urósł. W okamgnieniu na progu stała straszliwa postać Nimrooda, zasłaniając światło słońca. Książę poczuł w sercu mróz.

– Czego chcesz? – wykrztusił.

– Dajże spokój! Obaj to dobrze wiemy. Dlaczego udajesz? – odparł

czarodziej z jadowitym uśmiechem i dodał przymilnie: – Pragnę tego, co mi obiecano.

– A cóżem ci obiecywał ponad to, co już dostałeś? Pragnąłeś króla i go masz. Taka była umowa.

– Sądzisz, że się tym zadowolę? Jakże jesteś naiwny. – Czarne oczy Nimrooda zapłonęły gniewem, a jego zmierzwione włosy poruszyły się jakby na wietrze. – Nie! Obiecałeś część królestwa każdemu, kto ci do-pomoże zdobyć tron. To ja ci dałem ten tron. Słyszysz?! Ode mnie go dostałeś! – wrzeszczał, wściekle krążąc po komnacie. – Teraz żądam zapłaty!

277

– A co byś chciał otrzymać? – ostrożnie spytał Jaspin.

Był gotów bronić swojego bogactwa tak samo zaciekle, jak czarodziej nalegał.

– Połowę królestwa – odrzekł Nimrood z dziwnym uśmiechem. –

Dokładnie połowę, księciuniu.

– Na Azraela, nie dam! Jak śmiesz żądać aż tyle?! Idź precz, nędz-niku...

Słowa nagle uwięzły mu w gardle. Jaspin trwożnie patrzył w zmrużone oczy Nimrooda, które nabiegły krwią.

– Mógłbym cię zgnieść jak robaka, książę. Nie igraj ze mną. To ja jestem twoim panem. Chcesz być królem? Proszę bardzo, będziesz nim, lecz tylko za cenę, jaką wyznaczyłem.

– A jeśli odmówię? – jęknął przygnębiony Jaspin.

– Nie możesz tego zrobić.

– Czyżby? – spytał książę z narastającą zawziętością. – Niby co mo-

że mnie powstrzymać? Zostanę królem na przekór wszystkiemu. Od dziś za dwa dni będę nosił koronę.

– Ciekaw jestem, czy twoi wspaniali regenci tak chętnie by ci ją włożyli, gdyby nagle zjawił się Eskevar.

– Przecież mówiłeś, że on nie żyje. Nawet przysłałeś jego pier-  
ścień...

– Bo to tak, jakby nie żył. Jest niedaleko stąd, dobrze ukryty... nie znajdziesz go. Zapewniam cię, że jednak można przywrócić mu życie, by się upomniął o swój tron.

– Nie zrobisz tego, bo byś zniszczył to, co już osiągnąłeś – drwił ksiązę. – Wzięłyby w łeb wszystkie twoje plany.

– Owszem, ale bardzo by mnie pocieszył widok dwóch braci, zwar-tych w śmiertelnym boju. Chyba nie muszę ci mówić, kto by zwyciężył.

– Oczy Nimrooda błysnęły triumfująco, kiedy się prostował. – Więc co wybierasz? Koronę czy powrót Eskevara w najmniej odpowiednim momencie.

278

– Ty zdradziecki wężu! – zawołał Jaspin i wyrzucił ręce w górę. –

No, dobrze, już dobrze! Będziesz miał to, czego chcesz, ale jakie dostanę gwarancje? Skąd mogę wiedzieć, czy dotrzymasz słowa?

– Gwarancją, ksiązę szakali, jest to, co zrobię, jeśli mnie zawie-dziesz. A poza tym nic. Nimrood się nie zniża do tego, by cokolwiek ręczyć zwykłemu śmiertelnikowi.

Jaspin poczerwieniał z wściekłości, lecz nie śmiał okazywać mu gniewu. Powodowany strachem, rozsądnie trzymał język za zębami.

– A więc umowa stoi – łagodniej odezwał się Nimrood. – Za dwa tygodnie wrócę, by na piśmie otrzymać potwierdzenie, że jestem właścicielem mych nowych posiadłości. Przywiozę ze sobą prezent, który bę-

dzie ci przypominał twoje zobowiązania... oraz to, co może się z tobą stać, jeśli ich nie dotrzymasz.

Nimrood raptownie się odwrócił, powiewając opończę, wybiegł na balkon i wskoczył na balustradę, a potem rzucił się w dół, odprowadzany przerażonym wzrokiem księcia. W tej samej chwili jednak z powrotem zmienił się w ptaka tak szybko, jakby zawsze był czarnym krukiem, który teraz wzbijał się w niebo.

# 41.

Quentin spał krótko, a do tego niespokojnie. Przez sen rzucał się i przewracał jak w gorączce, słysząc głosy, które wołały go po imieniu, lecz gdy się obudził, nikogo nie było, tylko dziób statku pruł fale z mo-notonnym pluskiem. Straciwszy nadzieję na odpoczynek, chłopiec poszedł na rufę i zajął miejsce obok Durwina siedzącego przy sterze.

– Sterowanie według gwiazd nie jest trudne, jeśli się to umie – odparł pustelnik na pytanie Quentina.  
– Jak we wszystkim potrzeba wiedzy.

– Czy wieczorem, tam na plaży rzeczywiście był smok? Chodzi o to, że coś widziałem, ale niewyraźnie.

279

– To jedynie złudzenie. Trochę dymu i nic więcej.

– Naprawdę? A ten straszny ryk, dziwne światło i smród siarki? –

Quentin zmarszczył nos na samo wspomnienie. – Jak ty tego dokonałeś?

– Wspomniałem kiedyś, że byłemu czarodziejowi, który zrezygnował ze swej mocy, wolno zrobić kilka rzeczy, jeśli w razie potrzeby występuje w dobrej sprawie, ale nawet wtedy za to płaci. Moc zawsze ma swoją cenę. Potężniejsze moce są już poza moim zasięgiem i bardzo dobrze się stało, że z nich zrezygnowałem.

Quentin w milczeniu zastanawiał się nad tym przez jakiś czas.

– Dlaczego zrezygnowałeś? – spytał w końcu.

– Z moich mocy? To bardzo proste. Nie można służyć dwóm panom. Moc jest strasznym panem. Wymaga, by jej poświęcić całe życie.

– A kto jest tym drugim panem?

– Ten, którego już znasz. Najwyższy bóg. Jedyne. On też wymaga całkowitego poświęcenia. Jednak to w nim jest życie, a nie śmierć, do której w końcu zawsze prowadzi moc.

– Nie można jej spożytkować w dobrym celu, jak dziś wieczorem na plaży?

– Ależ tak, lecz tam użyłem jej tylko w bardzo małym stopniu. Istnieje pokusa, by coraz więcej z niej korzystać i coraz bardziej się jej poświęcać, a choć nią władasz, to jednak jest twoim panem. Kończy się to niewolą i śmiercią. Prędzej czy później ta moc niszczy wszystko, z czymkolwiek się styka.

– Ciebie też zniszczy?

Quentin nie chciał o tym myśleć, ale pragnął wiedzieć. Durwin za-

śmiał się cicho.

– Kto wie? Być może.

– Ale mówiłeś, że z niej zrezygnowałeś.

– Istotnie, lecz przez wiele lat posługiwałem się nią, używając jej do własnych celów, a jak zdążyłem ci już wspomnieć, trzeba za to płacić.

Chciałem ją odzyskać w Dekrze, jednakże mądrzejsi ludzie mi to 280

odradzili. Uważali, że nawet gdyby królestwo upadło, nie warto tracić duszy. Choćby tak godnej pożałowania jak moja.

Znów się zaśmiał.

– Ale skoro tej mocy się pozbyłeś, jakże ci może szkodzić?

– Któż to wie? Dziś wieczorem na plaży użyłem tylko resztek moich dawnych umiejętności. Już czuję chęć posługiwania się nimi w większym stopniu... aczkolwiek to trawi duszę do cna. A bóg jest zazdrosny.

Straciłem wiele z tego, co mogłoby do niego należeć. Kto wie, kim bym się stał, gdybym nie zmarnował aż tyle na poznawanie czarów.

Chociaż Durwin mówił normalnym głosem, to jednak Quentin wyczuwał w jego słowach pewien smutek, jakby pustelnik tęsknił za czymś niegdyś utraconym i wiedział, że nigdy tego nie odzyska.

– Weźmy na przykład ciebie – ciągnął, swobodnie trzymając rumpel oparty na kolanie. – Jeszcze wszystko przed tobą... jesteś taki młody. Dla mnie jest już za późno.

Słowa te zasmuciły chłopca, zrozumiał bowiem, o czym myśli pustelnik.

– Poznałem tego jedyne boga – rzekł.

– Naprawdę? Jak?

– Miałem widzenie, w którym się z nim spotkałem. W Dekrze.

Yeseph i Starsi udzielili mi błogosławieństwa Arigów. Było to wieczorem poprzedzającym mój wyjazd.

– Opowiedz mi o tym.

Quentin ze wszystkimi szczegółami opisał mu swój pobyt w Dekrze, zakończony najważniejszym wydarzeniem – uroczystą ceremonią błogosławieństwa. Durwin przysłuchiwał się z największą uwagą, kiwając głową i pomrukując z aprobatą.



Chłopiec znów miał to samo uczucie, którego doznał owego wieczora. W tej chwili zdawało mu się, że to było bardzo dawno. Opowiedział

pustelnikowi, jak wyglądał i co mówił Świetlisty.

281

– „Twoje ramię będzie silne, dłoń sprawiedliwa” – powtórzył jego słowa i w jednej chwili ogarnął go nastrój tamtego widzenia. – „Ja ci dam siłę i oświecę ci drogę. Nie zaprzyj się mnie, a przyniosę ci wieczny pokój”.

– Więc go widziałeś – wreszcie odezwał się Durwin. – Teraz już wiesz. Żaden z tych, co naprawdę go ujrzeli, nie może wrócić na drogę, którą przedtem szedł.

– A tobie często się to zdarza?

– Jeszcze nigdy go nie widziałem – odparł Durwin bez ogródek.

– Nigdy?

Quentin był wstrząśnięty. Przypuszczał, że spośród wszystkich ludzi pustelnik ma najbliższe kontakty z jedynym bogiem.

– Tak, nigdy. Jednakże wcale nie muszę go widywać, by wiedzieć, że istnieje, i kroczyć jego drogą. Wystarczy, że jestem jego sługą. Mnie to zadowala.

– A ja myślałem... Tyle o nim wiesz.

– Chyba rzeczywiście dużo o nim wiem. On wyznacza każdemu człowiekowi pewne zadanie w życiu i daje swoje błogosławieństwo, by je wykonał. Ciebie wybrał do jakiegoś wyjątkowego zadania, więc do-stąpiłeś szczególnego błogosławieństwa. Mnie nigdy się nie ukazał. Tak, tobie udzielił błogosławieństwa mocy, jak by to nazwał Yeseph.

Quentin oniemiał. Durwin nigdy nie widział boga, a mimo to tak wiernie mu służył? W głowie chłopca odbijały się echem słowa pustelnika: „Wystarczy, mnie to zadowala”.

Pogrążył się w myślach nad tym, co oznaczały. Ocknął się dopiero wówczas, gdy usłyszał za sobą kroki.

– Obaj musicie się trochę przespać, zanim nadejdzie ranek – rzekł

Theido, zbliżając się do nich. – Teraz ja posteruję. Idźcie odpocząć.

Wkrótce świt, a około południa wchodzimy do portu w Valdai. – Za-

śmiał się. – Oczywiście, jeśli pogromca smoków nie wywiódł nas za daleko w morze.

– Celuj dziobem w tamtą najniższą gwiazdę tak, aby księżyc mieć z prawej strony. Ten kurs powinien doprowadzić nas do celu. Dobranoc.

Trzy wielkie statki kotwiczyły w porcie Valdai, który przy nich wydawał się karłem. Ronsard powiedział, że to okręty wojenne, lecz ze względu na zbyt dużą odległość nie mógł stwierdzić, do kogo należą. Na tle zamglonego portu widać było jedynie ich wysokie maszty i ogromne kadłuby. Ronsard z Trennem niecierpliwie wychylali się daleko za burtę, szukając wzrokiem jakiegokolwiek znaku, po którym mogliby rozpoznać okręty: flagi, proporca, herbu, koloru czy kształtu.

– Król Selric! – wykrzyknął Ronsard, gdy zbliżyli się na tyle, że dostrzegł flagę powiewającą na najwyższym maszcie. – To jego bandera wojenna. Znam ją jak własną.

– Tak, wyglądają na okręty Selrica – potwierdził Trenn.

– Ileż to czasu upłynęło od chwili, gdy ostatni raz słyszałem jego imię.

– A jak myślisz? – spytał Theido. – Czy nie wówczas, kiedy pierwsze wojska wracały z wyprawy?

– Ależ tak! Prawie o tym zapomniałem! – wesoło wykrzyknął Ronsard.

Quentinowi, choć właściwie nie wiedział dlaczego, udzieliło się podniecenie towarzyszy. Kiedy robili zwrot i wpływali do portu, cały czas obserwował okręty, przy których ich niewielki stateczek z czarnymi żaglami wydawał się zabawką. Z nie ukrywaną ciekawością chłopiec gapił się na szerokie kadłuby i strzeliste maszty. Jeszcze nigdy nie widział tak ogromnych żaglowców, tu zaś ujrzał aż trzy jednakowe. Pysniły się wdzięcznymi liniami, świadcząc o potędze i waleczności swego właściciela.

– Ciekawe, jak długo tu są? – zastanawiał się Theido.

– Chyba niedługo – odparł Ronsard. – Nie było ich w czasie pobytu Quentina, boby je zapamiętał.

Chłopiec potwierdził skinieniem głowy.

– Na pewno dopiero co przyплыnęli! – wykrzyknął Trenn. – Spójrzcie! Wyładowują wojsko. Armia Selrica wysiada na brzeg.

Wskazał ręką i wszyscy zobaczyli, że ma rację. Długie łodzie wiosłowe przewoziły kolejnych żołnierzy na nabrzeże, kiedy rozładowywano ostatni z trzech okrętów.

– Jeśli dobrze znam Selrica, to powinien być tam – odezwał się Ronsard, wskazując najdalszy okręt. – Nie opuści pokładu, aż ostatni żołnierz zejdzie na brzeg. To ci dowódca!

Sam pilnuje wszystkiego do końca.

Nie tracąc ani chwili, popłynęli szukać Selrica. Kiedy go znaleźli, stał

na rufie, obserwując wyładunek swych żołnierzy, zgodnie z przypuszczeniami Ronsarda. Spostrzegłszy Theida, Ronsarda i królową, natychmiast zbiegł po drabinie, by przywitać ich na pokładzie. Królowa coś doń rzekła i wówczas zaprosił wszystkich na rozmowę do swojej kabiny.

Tam Alinea opowiedziała mu o zdradzie Jaspina i niedoli króla Eskevara.

Chociaż nikt o tym nie wspomniał, przyjaciele oczekiwali, że w tej sytuacji Selric okaże im współczucie. Tymczasem władca Drinu nie tylko bardzo im współczuł, ale również wybuchnął niepohamowanym gniewem, kiedy usłyszał, co się działo w czasie, gdy on ze swoimi wojskami zimował na wybrzeżu Pelagii w oczekiwaniu wiosny, by z pierwszym pomyślnym wiatrem pożegłować do domu.

– Bezczelny drań! – krzyknął i uderzył się pięścią w dłoń, gniewnie przemierzając kabinę. – Ma większe ambicje niż możliwości. Zapłaci głową, jeśli wolno mi coś powiedzieć w tej sprawie.

– Zatem pomożesz nam, wasza wysokość? – spytała królowa.

– Czy pomogę? Oczywiście, że tak! Klnę się na wszystkie bogi nieba i ziemi!

Rozjątrzony, a był znany z gwałtownego charakteru, tak bardzo poczerwieniał, że twarz przypominała barwę jego płomiennorude włosy.

284

W dalszym ciągu wściekle krążył po kabinie.

– Czy wiecie, że Eskevar uratował życie mnie i moim żołnierzom więcej razy, niż mógłbym spamiętać? Na Zoara, teraz nie odmówiłby mu pomocnej ręki żaden z tych, co kiedykolwiek walczyli z Gorrem!

Quentin uważnie przyglądał się Selricowi, był to bowiem pierwszy król, jakiego widział. Fascynował go ten szczupły władczy mężczyzna z ognistorudą czupryną, wprost tryskający energią.

Król Drinu ani przez chwilę nie pozostawał w bezruchu. Nawet gdy siedział, co rzadko się zdarzało, żywo gestykulował, a jego rozbiegane oczy nieustannie rzucały błyskawiczne spojrzenia, którym nie umknął

najdrobniejszy szczegół.

Teraz Selric przypominał wściekłego lwa na polowaniu. Quentin za-drżał, wyobrażając sobie walkę z takim przeciwnikiem.

– Kiedy moglibyśmy wyruszyć? – spytał Theido.

– Jak to kiedy?! Natychmiast! Wieczorem!

– Ale twoi żołnierze właśnie zeszli na ląd – zauważył Ronsard.

– No to co? – prychnął Selric. – Całą zimę przesiedzieli na łądzie!

Zaraz każę trębaczom ich wezwać! – Dwoma długimi susami podskoczył do drzwi i zawołał: – Kellaris!

Od razu zjawił się jakiś wysoki mężczyzna z twarzą pokrytą głębokimi dziobami. Skłoniwszy głowę wszedł do kabiny.

– Do usług, najjaśniejszy panie – rzekł chyląc czoło.

– Kellaris, przed chwilą otrzymałem straszne wieści. Poślij trębaczy na brzeg. Niech chodzą po całym mieście i grają sygnał na zbiórkę. Żoł-

nierze muszą jak najszybciej wrócić na pokład. Wyjaśnię później. Zawiadom mnie, kiedy wszystko będzie gotowe.

– Jak sobie życzysz, wasza wysokość – odparł mężczyzna, znów pochylił czoło i wyszedł.

285

Quentin przysunął się do Tolego i coś mu szepnął. Jher kiwnął głową, a potem obaj wymknęli się z kabiny, nie zauważeni przez pozostałych, którzy na nowo zajęli się rozmową o najbliższej przyszłości.

Wieczne niebo jarzyło się migotliwym światłem tysięcy mrugających gwiazd, a każda z nich wyglądała niczym klejnot na królewskim płaszczu.

Skończył się długi dzień, długi i wspaniały, pomyślał Jaspin. Nie mógłby sobie życzyć, aby koronacja wypadła lepiej – odbyła się z niezwykłą pompą. No i wreszcie został królem. Bez przerwy o tym myślał, wolno spacerując po balkonie Wielkiej Sali, wychodzącym na przepyszne ogrody. Noc wciąż jeszcze tchnęła ciepłem dnia, a w powietrzu unosił

się odurzający zapach niezliczonych kwiatów w girlandach, które zdobi-

ły wszystkie komnaty, gdziekolwiek spojrzeć.

Król Jaspin aż wzdychał z głębokiego zadowolenia, kiedy tak się przechadzał z rękami założonymi z tyłu, mrucząc coś do siebie.

Tysiące jego gości dalej ucztowało i tańczyło w Wielkiej Sali albo spacerowało, jak on, po balkonie czy ogrodach w łagodnym świetle księżyca.

Jaspin jednak pragnął chwili samotności, więc opuścił rozbawione tłumy i szukał bardziej odosobnionego miejsca. Ruszył po schodkach do niewielkiego wykuszu nad balkonem. Tutaj podczas wojny stał na straży żołnierz, który obserwował wewnętrzny dziedziniec.

Nim zdążył wejść na ostatni stopień, usłyszał wyraźny syk i cichy szmer, jakby coś przesuwano się po kamieniu. Strwożony zamarł. Na karku zjeżyły mu się włosy.

W srebrzystym świetle księżyca zobaczył grubego czarnego węża, ślizgającego się po szarej kamiennej balustradzie.

286

Widział jego kanciastą trójkątną głowę i wpatrzone weń oczka, błyszczące jak koraliki.

Wąż podpełznął bliżej, zwinął się i przemienił w wirującą smugę dymu, ta zaś w bezkształtną masę, która zawisła tuż przed nosem przerażonego Jaspina. Wkrótce dostrzegł w niej zarys twarzy znanej mu aż za dobrze. Po chwili nie miał już żadnych wątpliwości.

– Nimrood! – powiedział głośnym szeptem, nie chcąc przyciągnąć nikzyjej uwagi, gdyby ktoś przypadkowo znalazł się w pobliżu.

Obraz we mgle stawał się coraz wyraźniejszy, aż wreszcie wyjrzało straszne oblicze Czarnoksiężnika, który popatrzył na Jaspina złym wzrokiem.

– Nie mam czasu na wymianę uprzejmości – mruknął słabym głosem, dochodzącym jakby z oddali.

A kiedykolwiek miałeś? – w duchu spytał Jaspin.

– Przybyłem tu jedynie po to, by cię ostrzec, że moi więźniowie uciekli.

– A co mnie to obchodzi?

– Nie igraj ze mną, królu szakali!

Pomimo zamglenia widać było, że oczy Czarnoksiężnika rzucają błyskawice. Jaspin poczuł ich straszliwą moc, zeszywniał i umilkł.

– Teraz lepiej. Pamiętaj, że jesteśmy współnikami, mój tępy przyjacielu. Nigdy o tym nie zapominaj. Przecież dzielisz ze mną władzę. Po-

łowa całego Mensandoru należy do mnie albo wkrótce będzie moja.

Kiedy więc zadaję sobie trud, by cię ostrzec, możesz być pewien, że chodzi o twoje sprawy. I to jeszcze jak!

– Więźniowie, powiadasz? – odezwał się Jaspin, próbując okazać stosowne zainteresowanie, co w tych okolicznościach było trudne.

– Już zapomniałeś, czy niczego się nie domyślasz? – Bystre oczy Nimrooda wyczytały odpowiedź z twarzy księcia. – Ty głupcze! Sądzi-

łem, że jesteś inteligentniejszy. Nie wiedziałeś, że miałem u siebie w lochu tego buntownika Theida, i paru jego przyjaciół? Była tam królowa 287

Alinea oraz kilku innych, przede wszystkim twój strażnik i pewien pustelnik, niejaki Durwin. Przypuszczalnie Ronsard też by się znalazł

wśród nich, ale chyba utonął.

Jaspin starał się jak mógł, by znaleźć związek między tymi ludźmi a jakimkolwiek zagrożeniem dlań z ich strony, chociaż oczywiście wydawali mu się bardzo podejrzani. Zamrugał powiekami i tępym wzrokiem patrzył na Nimrooda.

– Myślałem, że ukrywali się w Dekrze.

– Oj! Nie wiem, po co ja sobie tobą głowę zawracam! Uciekli i jadą tutaj. Reszty się domyśl... jeśli potrafisz. Tymczasem weź pod uwagę moje ostrzeżenie, skoro nie chcesz utracić korony. Śpieszę ich zatrzymać. Już rozesłałem szpiegów, żeby się wywiędzieli, gdzie oni są. Długo nie pozostaną na wolności.

– Ale... – zaczął Jaspin, lecz urwał, jako że mgła, w której majaczy-

ło przewrotne oblicze czarodzieja, zniknęła w mroku nocy, rozplywając się na wietrze.

Ciałem księcia wstrząsnął lodowaty dreszcz strachu. Jaspin w popłochu odwrócił się i uciekł. Biegając, ukradkiem się rozglądał, by sprawdzić, czy ktoś zauważył, co się przed chwilą wydarzyło.

– Jakże byłem głupi! – złorzeczył sobie, śpiesząc do swoich apartamentów. – Niepotrzebny mi był ten zjadliwy czarodziej! Sam bym sobie poradził! Teraz tylko wciąga mnie w swoje intrygi.

Więc oni tu wracają, pomyślał. Theido i królowa, a także Ronsard, który mimo wszystko żyje. Ale kim jest ten Durwin? Zastanawiał się, czy są z nimi jeszcze inne, nie znane mu osoby, lecz stwierdził, że to bez różnicy. W jaki sposób mogliby mu teraz przeszkodzić? Koronacja się odbyła i już jest królem. No i dobrze, niech przybywają. Jest na to przygotowany.

Wszystkie te myśli kłębiły się w głowie Jaspina, kiedy biegł do swoich komnat, ale gdy uznał, że nic mu nie grozi, stanął i zawrócił, by dalej cieszyć się uroczystościami na jego cześć.

288

Utwierdzony w przekonaniu, że jest bezpieczny, powrócił do Wielkiej Sali Askelonu. Natychmiast otoczył go rój sympatyków i rozbawio-nych gości.

Równomierna bryza wybrzuszała żagle „Pędziwiatra”, okrętu flagowego Selrica. Quentin stał przy relingu prawej burty i spoglądał na księ-

życ wolno zanurzający się w morzu. Głęboko wdychał powietrze o zapachu soli, słuchając cichego plusku spienionych odkosów. Zza pleców dobiegł go zbliżający się gwar rozmowy. Obejrzawszy się chłopiec zobaczył, że Theido, Ronsard i król Selric idą w jego stronę po pokładzie.

Odwrócił się, by popatrzeć na migocące gwiazdy, które zdawały się wznosić i opadać w rytm kołysania okrętu.

Mężczyźni zatrzymali się niedaleko chłopca. Dość wyraźnie słyszał

ich rozmowę, choć prowadzili ją półgłosem, poufnym tonem, co mu się niezbyt podobało. Wkrótce znużyło go podsłuchiwanie. Wpadł w melancholijny nastrój, westchnął i odszedł.

– Co cię gnębi, paniczu? – odezwał się ktoś z cienia za masztem.

Quentin się obejrzał, ale nikogo tam nie spostrzegł. Dopiero gdy sam znalazł się w cieniu, zobaczył Kellarisa, który siedział na starannie zwiniętej linie, opierając plecy o beczkę.

– A, to ty.

– O wiele serdeczniej zwracałeś się do mnie w ciągu dnia – zauważył najbardziej zaufany rycerz króla Selrica.

– Przepraszam – bąknął Quentin bez przekonania.

– Chyba coś ci dolega. Choroba morska?

– Nie.

– Wobec tego co?

– Przed chwilą słyszałem, jak moi przyjaciele rozmawiali z twoim królem. Właściwie ich podsłuchiwałem – przyznał się Quentin.

– Jeśli ktoś nieproszony podsłuchuje czyjąś rozmowę, nic dobrego z tego nie wynika.

289

– To się stało mimochodem. W każdym razie mówili o królu...o Eskevarze... znaczy... – urwał nie mogąc znaleźć słów, które by mu pozwoliły dokładnie się wyrazić.

– Pewnie myślą, że próżne są nasze nadzieje i że już nic mu nie po-może. Czy tak?

Quentin tylko skinął głową, siadając po turecku na pokładzie. Czuł

się, jakby miał w niej całkowitą pustkę. Nawet nie podniósł wzroku, gdy usłyszał, że ktoś się zbliża lekkim krokiem.

– Ta rozmowa jest wyłącznie dla mężczyzn, czy też damie wolno się przyłączyć? – spytała Alinea, była to bowiem ona.

Kellaris zerwał się na równe nogi, chłopiec zaś wstał powoli.

– Błagam, siedźcie. Odejdę, jeśli przeszkadzam.

– Ależ skądże! Bardzo prosimy, wasza wysokość. Rada królowej w sprawie, którą omawialiśmy, będzie mile widziana.

– Jesteś niezwykle uprzejmy. W takim razie zostanę na chwilkę. –

Siadła obok Quentina i objęła swoje kolana smukłymi ramionami. – A więc cóż to wymaga mej rady?

– Quentin się obawia, że jego króla wkrótce spotka najgorsze, co może się stać.

Chociaż Kellaris mówił oględnie, chłopiec poderwał głowę i rzucił

mu ostrzegawcze spojrzenie, jakby rycerz zdradził głęboką tajemnicę lub nadużył jego zaufania.

– To rzeczywiście bardzo możliwe. Ja też się tego obawiam.

Quentin podniósł oczy na królową, spokojnie siedzącą obok. Mimo że podzielała jego obawy, w głosie Alinei nie było rezygnacji, z jaką on podchodził do tej sprawy.



– Ale dziś był najdłuższy dzień lata... książę Jaspin koronował się na króla... – zabrakło mu słów.

– My zaś nie wiemy, gdzie jest Eskevar. O to ci chodzi? – spytała królowa.

Znów Quentin jedynie skinął głową.

– Odwagi, drogi przyjacielu. Nie wszystko stracone. Jeszcze wiele 290

można dokonać. Gdybyśmy tylko umieli zajrzeć w przyszłość, co czasami wydaje się robić Durwin, pewnie byśmy patrzyli na to całkiem inaczej niż teraz. Aczkolwiek nie wiemy, co się stanie, miejmy nadzieję.

Dotychczas nas nie zawiodła, więc jej nie porzucamy.

– Najjaśniejsza pani dobrze mówi – odezwał się Kellaris. – Te słowa płyną z odważnego serca.

Quentin musiał to przyznać. Alinea od samego początku okazywała nadzwyczajną odwagę. Nagle chłopiec bardzo się ucieszył, że jest noc, ukryła bowiem jego twarz, którą oblał rumieniec wstydu.

– Dziękuję ci, najjaśniejsza pani, za słowa otuchy – rzekł, powoli wstając.

Tylko tyle zdołał wykrztusić, zanim niespiesznie odszedł.

– Ten młodzieniec niezwykle się przejmuje losem wszystkich ludzi

– powiedział Kellaris, spoglądając za Quentinem, który zniknął w mroku.

– Owszem. I nie uskarża się na swój – szepnęła Alinea. – Bije w nim najszlachetniejsze z serc, odporne na wszelkie zło.

Tej nocy, leżąc na posłaniu we wspólnej kabinie, Quentin modlił się już drugi raz.

– Boże najwyższy, pozwól swemu słudze choć trochę zajrzeć w przyszłość, a jeśli nie, daj mu nadzieję, która odpędza strach.

Potem zmorzył go sen.

Obudziły go nawoływania i tupot stóp na pokładzie. Po skośnych promieniach, wpadających do kabiny, zorientował się, że słońce już dawno wstało. Odrzucił koc i sprężyste zerwał się na równe nogi. Przez chwilę kręciło mu się w głowie, jak zawsze, gdy budził się na morzu.

Wychodząc usłyszał, że okrzyki i bieganina przybierają na sile. Pewnie stało się coś złego. Zaintrygowany wypadł na główny pokład i niemal się zderzył ze stojącym Trennem.

291

– Spójrz tam, paniczu – odezwał się strażnik królowej, wskazując oczami i wysuniętą brodą. – To mi wygląda na zły znak.

Początkowo Quentin niczego nie zauważył. Jednakże później aż przysiadł i nie mógł się nadziwić, że od razu tego nie spostrzegł.

Wprost przed sobą ujrzał ogromny wał mgły, szybko sunący ku nim z trzech stron. Morze było spokojne; wiała lekka bryza. Chłopiec miał

wrażenie, że tę gęstą, kłębiącą się mgłę coś z tyłu popycha.

Owa ciemna, brudnoszara masa zdawała się rosnąć i już sięgała wysoko. Obserwując ją, Quentin widział, jak pierwsze smugi przysłaniają słońce.

Podbiegł do relingu i wychylił się za burtę. Dwa bliźniacze okręty zbliżyły się do „Pędziwiatra”, którego załoga bezskutecznie próbowała przerzucić na nie liny, by żaden z nich nie zgubił się we mgle. Właśnie stąd ten rozgardiasz wynikający z pośpiechu, choć bowiem tamte żaglowce miały jeszcze wspaniałą pogodę, płynąc pod błękitnym niebem w pełnym słońcu, to jednak prowadzący okręt Selrica już niemal całkowicie spowijały szare tumany.

Quentin uważnie obserwował, jak przewalająca się masa zakrywa ostatnie skrawki czystego błękitu. Słońce stało się zamazaną jasną plamą, a potem ściemniało i całkiem zgasło. To rzeczywiście jest zły znak, pomyślał chłopiec, gdy skłębiona mgła pochłonięła okręt i zasłoniła pozostałe żaglowce.

Odwrócił się i ze zdumieniem stwierdził, że nie widzi nawet drugiej burty. Mgła była tak gęsta, że na chwilę zupełnie stracił orientację. Za-gubiłby się całkowicie, gdyby dość dobrze nie znał rozkładu okrętu.

– Trenn! – zawołał i zdziwił się, słysząc odpowiedź z bliska.

– Jestem, paniczu – strażnik podszedł do relingu. – Nie podoba mi się ta mgła. To sprawka tego złego czarodzieja. Wierz mi, że za tym wszystkim stoi Nimrood. Nawet ja to czuję.

292

Choć Trenn znajdował się tak blisko, jego głos był stłumiony, jakby dochodził do chłopca z daleka. Poblądła twarz strażnika ledwie majaczy-

ła we mgle, co podkreślało malujące się na niej przerażenie. Quentin zadrżał.

– Trenn, to tylko mgła – rzekł. – Na pewno wkrótce z niej wypłyniemy.

– Jestem skłonny zgodzić się z Trennem – odezwał się ktoś za nimi.

Quentin tak się wystraszył, że o mało nie wyskoczył za burtę, nie słyszał bowiem żadnych kroków i nikogo nie zobaczył. Głos jednak wydał

mu się znajomy, a po chwili chłopiec dostrzegł niewyraźną sylwetkę Durwina.

– O tej porze roku mgły na morzu nie występują – rzekł pustelnik i na dłuższą chwilę umilkł. – Uważam, że za tym kryje się jakaś nieczysta siła. Wszystko na to wskazuje. To nie jest zwykła mgła, lecz czary.

Durwin nie musiał już nic więcej dodawać. Tylko jedna osoba potrafiłaby zaskoczyć ich w ten sposób. Trenn głośno powiedział jej imię, czego Quentin nie śmiał zrobić.

Z upływem dnia mgła stawała się coraz bardziej ohydna i zimna. Z

każdą godziną ciemniała, tak że wczesnym popołudniem wydawało się, jakby zapadał zmierzch. Ubrania tych, którzy odważyli się wyjść na pokład, nasiąkały lodowatą wilgocią. Ni stąd, ni zowąd zerwał się mroź-

ny wiatr i smagał swoje ofiary po twarzach to z jednej strony, to z drugiej. Żołnierze Selrica, dobrze wyćwiczeni i zahartowani, z determinacją zaciskali szczęki, ponuro milcząc, ale w ich spojrzeniach krył się rosnący strach.

Quentin siedział na materacu, pogryzając jabłko. Wcale nie miał na nie ochoty, lecz po prostu chciał się czymś zająć, by odpędzić niepokój, który wszyscy odczuwali. Jedyne Toli wydawał się obojętny. Drzemał

na swym pośłaniu i od rana nic nie mówił.

Wówczas zaczęły się te głosy.

293

Quentin uświadomił je sobie tak, jak człowiek, który nagle stwierdza, że zerwała się wichura, choć dłuższy czas musiała niezauważalnie narastać, by uderzyć z pełną siłą. W taki sam sposób zaczęły się owe głosy.

Początkowo były to ledwo słyszalne szepty, później stawały się coraz głośniejsze, aż wreszcie przeciągłe świdrujące wycie poniosło się echem przez morze.

Chłopcy na palcach wyszli na pokład i chyłkiem ruszyli w stronę grotmasztu, ciasno otoczonego marynarzami. Wśród nich był Theido, Ronsard, król Selric i Durwin.

Cuchnące powietrze wypełniały jęki i wrzaski. Chrapliwe wołania i dudniące krzyki przetaczały się górą. Wokół rozlegały się szepty, sko-wyty i bulgocące rżenie. Kakofonia niesamowitych głosów atakowała ich z każdej strony, jakby dusze wszystkich potępieńców wyszły z piekła i tutaj się zebrały.

Spośród tych przejmujących wrzasków, jęków i krzyków nagle wyrwał się śmiech, który Quentinowi zmroził w żyłach krew.

Zrazu cichy i daleki, począł narastać. Później zaś ów obłądny i niepohamowany chichot rozbrzmiewał coraz głośniejsze i głośniejsze, wprawiając w drżenie cały okręt. Z rękami przyciśniętymi do uszu chłopiec stopami czuł wibrowanie pokładu od tego straszliwego śmiechu szaleńca.

W żaden sposób nie potrafił się uchronić przed tym dźwiękiem, który świdrował mu czaszkę. Pomyślał, że jeśli ów śmiech nie ustanie, będzie zmuszony wyskoczyć za burtę, by zagłuszyły go fale.

– Odwagi, marynarze! – zawołał ktoś pewnym, śmiałym głosem. –

Odwagi!

To król, który przedtem rozmawiał z Durwinem, gdy Quentin do nich podchodził, wspiął się na maszt i dodawał otuchy swojej załodze jak podczas bitwy.

– Te krzyki to tylko czarodziejska sztuczka, a nie głosy zmarłych.

Jedynie złudzenie, nic poza tym. Odwagi!

Słowa króla zdawały się pomagać. Quentin spostrzegł, że strach w oczach marynarzy słabnie. Selric zsunął się z masztu i wrócił na swoje 294

miejsce. Chłopcy, którzy dotychczas stali jak sparaliżowani, teraz wolno do nich podeszli.

– Jak długo to może potrwać? – spytał Ronsard.

Quentin rozpoznał go wyłącznie po głosie, w tej ohydnej mgle bowiem prawie nic nie widział.

– Trudno powiedzieć – odparł Durwin, który stał bliżej. – Dopóki nie osiągnie celu, chociaż nie jestem pewien, jaki on ma cel.

– Chce nas powstrzymać? Zmusić do zmiany kursu? – wtrącił Theido.

– Być może, ale chyba chodzi mu o coś innego.

Quentin poczuł, że lodowaty wiatr się wzmaga.

– Partro! – wykrzyknął Toli. Quentin natychmiast przetłumaczył.

– Wszędzie pełno tych czarujących głosów, a on mówi „słuchajcie!”

– zadrwił Theido.

– Nie! Ma rację! – zawołał Durwin. – Posłuchajcie! Czy oprócz tych głosów niczego nie słyszycie?

Quentin nadstawił uszu i po chwili dobiegł go odgłos rozbijających się fal.

– Płyniemy na skały! – krzyknął Theido.

– Rozbijemy się! – zawołał Selric. – Ster lewo na burt!

– Nie! – sprzeciwił się Durwin. – Selricu, każ sternikowi trzymać kurs. Nie wolno mu zboczyć.

Król ze zdziwieniem spojrział na pustelnika. Zaczął protestować.

– Roztrzaskamy się o te skały. Są coraz bliżej. W każdej chwili...

– To podstęp! Zostań na tym kursie.

Król zawahał się na moment, a potem rozkazał:

– Sternik, trzymać kurs!

Skuleni nad słuchiwali, czy nie rozlegnie się trzask drewna rozdziera-nego przez zdradliwe skały jednej z Wysp Tajemniczych, w których stronę zdawali się dryfować. Czekali z dręczącą obawą, że okręt gwał-

townie zatrzyma się ze zgrzytem i wszyscy wpadną do morza.

295

Choć ciągle słyszeli wokół odgłos fal rozbijających się o niewidoczne skały, to jednak do spodziewanego zderzenia nie dochodziło. Okręt dalej pewnie płynął we mgle.

Minęło kilka długich godzin. Wszyscy z napięciem na twarzach siedzieli kręgiem na pokładzie. Co jakiś czas ktoś odchodził i wtedy inny zajmował jego miejsce, ale czuwanie trwało do wieczora.

Kiedy nadciągnęła noc, czego domyślili się po tym, że mgła jeszcze bardziej ściemniała, choć panował mrok, król Selric kazał umieścić na relingu pochodnie, by nikt nie wypadł za burtę. W ich świetle przygnę-

bione towarzystwo dalej czekało, przycupnąwszy na pokładzie.

Quentina, który zapadł w niespokojną drzemkę, siedząc na wilgot-nych deskach, obudziło raptowne zamieszanie – słyszał bliską bieganię i wołanie na alarm, a z pewnej odległości straszne odgłosy

katastrofy.

Skoczył na równe nogi, gwałtownie pokręcił głową, by do reszty otrząsnąć się ze snu, i za innymi pobiegł na rufę.

– Jeden z naszych okrętów wpadł na skały! – wykrzyknął jakiś marynarz. – Tonie!

Chłopiec próbował przebić mgłę wzrokiem, lecz niczego nie dostrzegł. Dobiegł go tylko trzask łamiącego się masztu, a potem jęki przygniecionych ludzi, które nagle umilkły. Słyszał wołania tonących. W

poczuciu bezradności tylko zaciskał dłonie na relingu, aż mu zbieleły palce. Ktoś powinien im pomóc!

Selric kazał zrobić zwrot i spuścić szalupy, by ratować tonącą załogę rozbitego okrętu. Wówczas Durwin, który stał obok króla, położył mu rękę na ramieniu.

– Nie, odwołaj swoje rozkazy. Tam nic się nie dzieje. Trzymaj kurs.

Rozglądając się w skłębionej mgłę, król spytał o zdanie pozostałych, lecz Theido mu nie odpowiedział, a Ronsard odwrócił głowę. Wówczas uderzył pięścią w reling i odwołał wydane rozkazy.

296

– Byłoby dobrze, gdyby twój trębacz dał sygnał tamtym okrętom, że nie zmieniliśmy kursu.... Jeśli są dostatecznie blisko, to usłyszą.

Selric posłuchał rady pustelnika i trębacz w bocianim gnieździe gło-

śno zagrał jakąś melodię. Wkrótce ją powtórzył, jakby chciał przypomnieć, że wszystko w porządku i nie należy zmieniać kursu.

Okręt spokojnie płynął dalej, pozostawiając za sobą okrzyki rozbitków stopniowo cichnące we mgłę.

## 44.

– Powinniśmy ich ratować – upierał się Quentin. – To było nie-uczciwe, że pozwoliliśmy im zginąć. Należało pomóc.

– Uczyniliśmy tak, ufamy bowiem Durwinowi – łagodnym głosem odparła Alinea.

– Ale ty, pani, nie słyszałaś, jak tamci ludzie strasznie krzyczeli...

Chłopiec znalazł królową, gdy wychodziła ze swojej kabiny pod pokładem. Chociaż mówiła głosem pewnym i spokojnym, od razu spostrzegł jej zaczerwienione oczy świadczące, że cierpiała jak wszyscy, lecz wolała to znosić samotnie.

– Nie wątpię, że Durwin miał dostateczne powody. Chodź, może chciałbyś chwilę odpocząć? – Odwróciwszy się wprowadziła chłopca do swojej kabiny, by ochłonął i trochę się przespał. – Potrzebny ci sen.

Quentin skinął głową jak w transie. Nogi mu ciążyły; piekły go oczy.

Sen. Mimo że słowo to niosło ze sobą spokój, chłopiec się zastanawiał, czy ktokolwiek z nich ponownie go zazna. Sam już od dawna nie wiedział, co to prawdziwy odpoczynek, a śpiąc przeżywał tortury wskutek strasznych koszmarów.

Jednakże kiedy przekroczył próg i zaczął schodzić do kabiny, usłyszał głos sternika.

– Mgła znika! Przed dziobem czyste morze!

297

Obejrzał się i zobaczył, że silny wiatr rozdmuchuje mgłę na strzępki.

Wracając na pokład, uniósł wzrok – jej rzednące opary ustępowały, jakby ręka olbrzyma odsuwała z nieba zasłonę.

Wysoko w górze wesoło migotały gwiazdy. Quentin pomyślał, że nigdy nie widział, by świeciły tak jasno. Przeciąwszy ostatnie pasmo mgły, snujące się nisko nad morzem, okręt wypłynął na czyste wody.

Chłopiec z rozkoszą wciągnął świeże powietrze głęboko do płuc. Nie mógł się powstrzymać i chwycił królową za rękę. Mocno ściskając jej dłoń, aż zatańczył z radości.

– Mgła znikła! – wykrzyknął. – Jesteśmy wolni!

Następnego ranka na pokładzie nie było osoby szczęśliwszej od Quentina. Okropne przeżycia z poprzedniego dnia zatarł długi zdrowy sen i teraz, w krystalicznym świetle nowego dnia, wydały się odległe i nierealne – pozostał z nich tylko cień. Chłopiec miał wrażenie, że to jedynie wspomnienia sennych koszmarów zmęczonego umysłu, lecz dobrze wiedział, co się wydarzyło.

Najbardziej zdumiał go i uradował widok, jaki ujrzał, gdy tylko wyszedł na pokład. Patrząc na horyzont, nad którym po błękitnym niebie, zalanym słońcem, sunęły białe obłoczki, wprost nie wierzył własnym oczom, kiedy dostrzegł dwa okręty płynące za rufą – okręty króla Selrica.

Pobiegł do Durwina, by wyjaśnił mu ten cud. Pustelnik stał przy relingu na rufie. Pograżony w myślach, patrzył w niebo.

– No i proszę! Jak widzisz, żaden z nich nie zatonął – odparł na pytanie chłopca.

– Ale ja słyszałem, jak okręt się rozbił... te błagalne wołania o pomoc i trzask łamiących się drzewc. Słyszałem wyraźnie. Wszyscy słyszeli.

– Istotnie. Jednakże ta katastrofa, tak samo jak owa mgła i dziwne głosy, wszystko to były czary. Chodziło tylko o to, byśmy zeszli z kursu, 298

pogubili się i w końcu rzeczywiście zderzyli.

– Więc nie było żadnej katastrofy ani skał?

– Czemu akurat to cię dziwi? Dlaczego tak łatwo uwierzyłeś, że mgła i głosy to czary, a katastrofa nie?

– Bo to wyglądało jakoś inaczej... subtelniej. Wydawało się takie prawdziwe.

– Tak samo jak żołnierzom ten smok na plaży. – Durwin uśmiechnął

się tajemniczo. – Wiele zależy od nastawienia.

– Przepraszam cię – powiedział Quentin, uznając w końcu, że to w istocie były czary.

– Przepraszasz? Za co?

– Myślałem, że jesteś... – chłopiec nie zdołał wykrztusić tego słowa.

– Sądziłeś, że jestem nieczuły na krzyki tonących i dlatego nie chciałem, byśmy zawrócili. Przez chwilę uważałeś mnie za takiego samego drania jak Nimrod. Tak?

Quentin potwierdził skinieniem głowy, unikając wzroku Durwina.

– Hm, nie przejmuj się. To ładnie z twojej strony, że chciałeś im pomóc.

– Ale skąd ty wiedziałeś, że to czary?

– Wyczułem to. Czarodziej potrafi odróżnić czary. Wszystko wyglądało tak, jakby Nimrod chciał nam przeszkodzić. Resztę dopowiedziało mi serce.

– Więc nie wiedziałeś tego na pewno?



– Nie, nie byłem całkiem pewien. Na tym świecie jest bardzo mało rzeczy pewnych. Musisz się nauczyć słuchać swego wewnętrznego gło-su. W ten sposób bóg cię prowadzi. Niezwykle rzadko robi to bezpo-

średnio.

Quentin odszedł, zastanawiając się nad słowami pustelnika. Jeszcze tak wiele trzeba się nauczyć. Ten bóg bardzo się różnił od tych, których chłopiec dobrze znał, choć bowiem tamci swoją wolę ujawniali bez wątpienia mętnie, to jednak za pomocą słów i znaków, nie zaś wewnętrznego głosu.

299

Otrzymawszy wyrocznie, człowiek miał przynajmniej na co się po-wołać.

Jednakże w tym momencie sobie przypomniał, że kiedy był nowicjuszem w świątyni, kapłani wiele razy przekazywali pielgrzymom fałszy-we wyrocznie, dopiero co przygotowane. Tak, pomyślał ze smutkiem, naprawdę jest bardzo mało rzeczy pewnych. Wówczas ponownie zabrzmiały mu w uszach słowa Alinei: „Uczyniliśmy tak, ufamy bowiem..” Należy więc ufać, bez względu na to, co się uważa.

Tego dnia, a także przez następne trzy, już nic godnego uwagi się nie wydarzyło. Quentin coraz częściej miał wrażenie, jakby wszystko, co się stało od opuszczenia świątyni, było tylko snem albo dotyczyło kogoś innego, ale czując pod stopami pokład, uświadamiał sobie prawdziwy stan rzeczy.

Po jakimś czasie, gdy okręt przepłynął wiele mil, chłopiec zaczął

wpadać w zmienne nastroje. To tryskał humorem, to znów ogarniały go ponure myśli i w najczarniejszych barwach widział przyszłość. Przebłyski radości wkrótce całkiem znikły.

Aczkolwiek nie wiedział, co ich czeka, kiedy dotrą do Askelonu, lecz się domyślał, że nie będzie to przyjemne ani najprawdopodobniej łatwe do zniesienia. Dotychczas opierali się mocy Nimrooda. Wkrótce będą musieli stanąć z nim oko w oko i ta myśl budziła w chłopcu złe przeczucia.

Toli w milczeniu chodził za nim po pokładzie. Wierny Jher już zrezygnował z prób zajęcia swego pana czymś, co mogłoby ulżyć jego udręczonej duszy, w każdej bowiem chwili wytchnienia Quentina znów ogarniała melancholia.

Wreszcie na horyzoncie ukazała się nikła czerwobrunatna smuga –

mieli przed sobą Mensandor. Pomimo tamtej mgły, która uniemożliwiała orientację, cały czas płynęli właściwym kursem i w zdumiewająco krótkim czasie osiągnęli cel. Żegluga w pobliżu Siedmiu Wysp Tajemniczych jeszcze raz udowodniła słuszność porzekadła, że mieszkańcy Drinu rodzą się na morzu.

300

W czasie narady wojennej, zwołanej po dostrzeżeniu ziemi, zdecydowano nie dobijać do brzegu i nie maszerować z Lindalii do Askelonu ani nie opływać półwyspu, by uderzyć z Hinsenby, natomiast

wybrano najlepszy i najbardziej śmiały plan, który zaskoczy wroga, a mianowicie pożeglować w głąb łądu zachodnią odnogą leniwej rzeki Wilst.

– Czy to w ogóle jest możliwe? – zdziwił się Theido.

Siedzieli w kabinie króla Selrica, zapatrzeni w dużą mapę, wymalowaną na pergaminie. Byli do tego stopnia skoncentrowani, że nie drgnął

ani jeden mięsień ich twarzy.

– Zwyczajni żeglarze z tym sobie nie poradzą, ale moi tak. Nasze okrę-

ty mają wprawdzie długie i szerokie kadłuby, lecz niewielkie zanurzenie.

Bądź co bądź są to okręty wojenne, a na wojnie zdarzają się różne sytuacje i czasem trzeba pływać rzekami.

– Ręczę za sprawność żeglarzy króla i umiejętności jego skutników

– odezwał się Ronsard. – W czasie wojny z Gorrem nieraz widziałem, co potrafią, i mogę ich polecić. Lepszych od nich nie ma.

– Istotnie – potwierdził pustelnik. – Od Lidalii popłyniemy w głąb łądu rzeką. Czy jednak uda nam się pokonać rozwidlenie w miejscu, gdzie Herwydd wpada do Wilstu? Gdyby nie, może od razu lepiej nadło-

żyć drogi, chociaż będzie to trwało dłużej, pożeglować do Hinsenby i podejść łądem?

– Jestem przekonany, że nam się uda – zapewniał Selric.

– Tak – poparł go Theido. – Dobrze znam te okolice. Herwydd to rzeka stara i głęboka. Tam gdzie łączy się z Wilstem, woda wyłobiła głębokie koryto. Brzegi są wysokie, skaliste. W tym miejscu – pokazał

na mapie – wody obu rzek się mieszają i są silne prądy. Jeśli zdołamy pokonać rozwidlenie, później nie będzie żadnych kłopotów.

Quentin, który siedział skulony w kącie kabiny, nic nie mówił. Cieszył się jednak, że nareszcie coś robią, choć były to jedynie plany i rozmowy.

301

Z każdą godziną coraz wyraźniej widzieli brzeg Mensandoru. Bliskość łądu podniosła chłopca na duchu, tak samo jak narada, lecz ciągle jeszcze drżał ze strachu na myśl o tym, co ich czeka.

W wyobraźni jawiła mu się tylko krew i zguba, szczęk broni, ogień, ból i śmierć.

– Przestań jęczeć! Jesteś królem, więc zachowuj, się jak król!

Nimrood wymachiwał Jaspinowi przed nosem długim kościstym palcem. Księżę się skulił i opadł na tron.

– Nie doszłoby do tego, gdybyś... – odezwał się płaczącym głosem.

– Nie będziesz mnie tu sądził! To właśnie ten przeklęty święto-szek... ten Durwin. On pokonał moje czary i zapłaci mi za to. Zobaczysz, jak się będzie wił! Oni wszyscy będą się wili u moich stóp. Jeszcze gorzko pożałują, że nie utonęli w morzu.

Nimrood z rozwianym włosom biegał po sali tronowej jak szalony.

Aż kipiał z wściekłości, niezbyt skutecznie wyładowawszy swój gniew na roztrzęsionym słabym księciu. Nagle się zatrzymał i wbił w niego zły wzrok. Przestraszony Jaspin niepewnie zerkał w jego stronę, nie śmiejąc spojrzeć mu prosto w oczy.

– No, co? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Przestań! Nie lubię tego!

– jęknął Jaspin.

Niespokojnie się wiercił, kurczowo zaciskając dłonie na poręczach złotego tronu.

– Niech przybywają – mruknął Nimrood.

Jego czarne oczy miały ogień, a po ustach przemknął jadowity uśmiech.

– Coś powiedział? – spytał Jaspin z przestachem.

– Niech przybywają. Skoro nie możemy zatrzymać ich czarami, zrobimy to siłą. I ty to uczynisz, królu szakali! Ilu masz żołnierzy?

– No, tylko trzy tysiące albo coś koło tego.

302

– A rycerstwa?

– Czterdziestu, pięćdziesięciu... może więcej. Jeszcze nie zdążyłem szczegółowo tego rozpatrzeć... nie było czasu...

– Dość!

Zły czarodziej ponownie zaczął krążyć, rzucając przez ramię pytania.

– Ilu szlachciców trzymasz w garści?

– Co najmniej kilkunastu. Nie mam wątpliwości, że także pozostali dadzą się przekonać, jak już

jestem królem – z dumą powiedział Jaspin.

– Oszczędź sobie tych czczych przechwałek... męczą mnie. – Nimrood założył ręce i stanął przed księciem. – Mamy więc trzy dni na zgromadzenie wojska. Zbierz swoich szlachciców i wszystkich zbrojnych pod ich rozkazami. Musimy być dostatecznie silni, by od razu ich zmiażdżyć.

Porwał duże zielone jabłko z półmiska owoców na pobliskim stoliku, wysoko uniósł je w kościstej dłoni, a potem ścisnął.

Ku niepomiernemu zdumieniu księcia jabłko buchnęło żółtymi płomieniami. Wkrótce zaczął opadać popiół niczym płatki śniegu.

– Cha, cha! Widzisz, co z nimi zrobię!

Czarodziej rzucił na posadzkę szerniałe resztki spalonego owocu, z którego tylko to pozostało.

– Razem byłoby ponad dziesięć tysięcy ludzi... rycerzy i pieszych –  
natychmiast obliczył księżę. – Tego nie da się zrobić. Za mało czasu.

– To musi być zrobione!

– Ale kto będzie dowodził taką wielką armią? Nie przypuszczam, żebym...

– Nie, nie ty, marny robaku. Mam już gotowego dowódcę. Musi tylko dołączyć do mojego nieśmiertelnego legionu.

Na te słowa upiorna bladość pokryła twarz zuchwałego księcia. Jaspin zmartwiał.

– Byle nie Legion Śmierci. Nie trzeba.

303

– Zamilcz! Tym razem zrobimy po mojemu i wreszcie będzie koniec. Gdybym zostawił tę sprawę tobie, znowu byś wszystko pokpił.

Z uśmiechem błakającym się po wargach zły czarodziej utkwiał w Jaspinie wzrok.

– Tak, marionetko. – Zachichotał złowrogo. – Teraz będzie z nimi koniec!

## 45.

Trzy okręty dotarły do czerwobrunatnego wybrzeża Mensandoru przed zapadnięciem nocy. Barwę taką miały skaliste ściany po obu stronach ujścia wezbranej rzeki Wilst, wyrastające pionowo za plażą. Gładkie urwiska z czerwonego piaskowca połyskiwały szkarłatem w gasną-

cym świetle dnia, odbijając echo mewich krzyków.

Okręty zakotwiczyły na noc nie opodal dużej trójkątnej skały, strzegącej ujścia rzeki jak żołnierz na wiecznej warcie. Skała ta, znana jako Strażnik, była schronieniem dla niezliczonych ptaków. Szare wody Wilstu tworzyły u jej podstawy plamę na zieleni morza, zwanego przez pierwszych mieszkańców tych okolic Gerfallonem.

Następnego dnia okręty wolno popłynęły w górę rzeki na oczach cie-kawskich mieszczan, którzy wylegli z Lindalii, by obejrzeć niezwykłą paradę. Żaglowce sunęły wzdłuż skał, napędzane siłą muskularnych ramion wioślarzy.

Pod koniec drugiego dnia armada Selrica dotarła do rozwidlenia opi-sanego przez Durwina. Wszystko wyglądało tak, jak mówił Theido –

mieszające się wody dwóch potężnych rzek wyłobiły rozległy basen, otoczony wysokimi umocnieniami z pali. Pnącza i inne rośliny pokrywa-

ły strome brzegi, zwisając z nich jak zielone wodospady.

Okręty po kolei skierowały się na głębszą wodę i walcząc z prądem, wolno posuwały się naprzód. Wreszcie najeźdźcy wypłynęli na szeroką 304

rzekę Herwydd i spokojnie ruszyli w stronę nizin. Wszędzie zalegała cisza, niemal namacalna, jakby niesiona miodowym światłem, padają-

cym z góry.

Z każdą milą wysokie brzegi krętej rzeki stopniowo się obniżały.

Trzymając się głębi pośrodku nurtu, okręty w ciszy sunęły między gęsto zalesionymi stokami. Z rzadka mijały grupkę prymitywnych chat, z któ-

rych lękliwie wyglądali wieśniacy, zaintrygowani jazgotem łaciatych kundli, obszczekujących z brzegu żaglowce.

Quentinowi czas zdawał się ciągiem obrazów. Chłopiec stał na po-kładzie i bez szczególnych emocji obserwował przesuwany się pejzaż.

Dręczący lęk ustąpił miejsca niejasnemu przecuciu. Quentin miał wra-

żenie, że jakaś siła do czegoś go pcha, czegoś znanego, lecz nie umiał

tego nazwać. Chwilami dostrzegał to przelotnie w błysku światła odbijającego się w wodzie lub przenikającego gałęzie drzew, złotego światła na srebrzysto-granatowym tle. A potem widział jedynie mrok. Taki przebłysk zawsze w ten sposób się kończył.

Chłopiec pomyślał, że może należałoby się rozejrzeć za jakimś znakiem, ale przecież już zrezygnował z szukania tego rodzaju wróżb. Czy rzeczywiście? Nie przypominał sobie, by świadomie powziął taką decyzję, lecz również nie pamiętał, kiedy ostatni raz na serio próbował znaleźć jakiś omen. Zaprzestał tych praktyk samoistnie i nawet tego nie zauważył.

A więc w Dekrze zmieniło się więcej, niż przypuszczał. Zastanawiał

się, co jeszcze mogło się w nim zmienić. Resztę dnia rozmyślał o jedynym bogu, który potrafi przekształcać swych wyznawców – rzecz nie-spotykana u żadnego z innych bogów, jakich kiedykolwiek poznał.

Trzeciego dnia okręty dotarły do równin Askelonu. Płaskie niziny ciągnęły się aż po zamek na wysokim wzgórzu, leżący w odległości mili od rzeki. Na tych rozległych polach stoczono wiele bitew. Tutaj również zaczynały się i kończyły liczne wyprawy.

305

Od południa, wzdłuż rzeki Herwydd, nizina graniczyła z Pelgrińskim Borem i Selric postanowił założyć obóz właśnie tam, pod osłoną drzew na skraju lasu.

Z chwilą gdy okręty dobiły do brzegu, raptownie skończyły się dni oczekiwania i beczynności. Zaroilo się od żołnierzy wyładowujących zapasy, broń, namioty i inny sprzęt. Z pokładów sprowadzano objuczone konie. Kiedy wszystko, co trzeba, znalazło się na brzegu, wśród drzew wyrosło niewielkie miasto. Bór rozbrzmiewał nawoływaniem żołnierzy rozbijających namioty i uderzeniami siekier wycinających podszycie.

– To dobre miejsce – powiedział król Selric, zwracając się do Theida. – Tyły zabezpiecza nam rzeka, od przodu równina. Niełatwo nas zaskoczyć.

– Podejdźmy kawałek. Może zdołamy stąd dostrzec zamek.

Zrobili krótki spacer między krzątającymi się żołnierzami, przygotowującymi obóz. Spod drzew na skraju boru ujrzeli nizinę, nad którą w oddali, niczym nieruchoma chmura, wznosił się zamglony ogromny zamek na szczycie góry. Ledwie jednak tam dotarli, zupełnie stracili ochotę do oglądania widoków. Przed nimi bowiem na równinie rozłożyła się cała armia Jaspina.

– Żeby go Azrael pokręcił! – złorzeczył król. – Ten lis już na nas czeka!

Skonsternowany popatrzył na pustelnika. W tym momencie, usłyszawszy za plecami trzask łamanej gałązki, obaj się odwrócili.

– Istotnie! – rzekł Durwin, spoglądając na setki namiotów rozległego obozu i ogniska, które zaczęły płonąć na równinie. – Należało się tego spodziewać. Przez cały czas wiedzieli, że nadchodzimy.

– Teraz nie uda się ich zaskoczyć – stwierdził Theido.

– I nie możemy wystąpić przeciwko takiej sile z naszą garstką żoł-

nierzy. Jak sądzicie, ilu ich tam jest? – spytał pustelnik, rozglądając się po równinie.

306

– Chyba z dziesięć tysięcy.

– Wobec tysiąca naszych... – Selricowi załamał się głos.

W milczeniu powrócili do obozu. Już zapalono ogniska i po ciemniejącym lesie rozchodził się dym, unosząc woń pieczonego mięsa i duszo-nych jarzyn.

Od momentu lądowania obaj chłopcy byli dziwnie czymś zajęci, a teraz się zbliżali, prowadząc jakiegoś bojowego kasztana. Ich przyjaciele odpoczywali przy ognisku przed pasiastym, biało-niebieskim namiotem króla.

– Czy w tym zacnym towarzystwie znajduje się pewien rycerz, niejaki Ronsard? – odezwał się rozpromieniony Quentin.

Ronsard uniósł głowę i spojrzał nań zdziwionym wzrokiem.

– Paniczu, dobrze wiesz, że tu jestem. Przecież to właśnie ja.

Quentin się roześmiał.

– Zatem wstań, panie rycerzu, i żądaj zwrotu swego konia!

Podał oszołomionemu Ronsardowi wodze, cofnął się i patrzył, co wyniknie.

– Balder! Czy to możliwe?! – wykrzyknął uszczęśliwiony rycerz.

Jedną ręką objął muskularną szyję wierzchowca, drugą zaś klepał go po łopatkę. Później odstał na krok i głaszcząc łeb konia powiedział: –

Więc przez cały ten czas troszczyłeś się o niego, by go zachować dla mnie?

Quentin przytaknął skinieniem głowy, po raz pierwszy czując żal, że musi rozstać się z Balderem.

– Zdradzę ci pewien sekret – rzekł rycerz, patrząc chłopcu prosto w oczy. – Balder nie jest moim koniem. Swojego rumaka straciłem w tamtej zasadzce na króla. Ten wspaniały wierzchowiec należał do jednego z moich towarzyszy... – urwał, lecz po chwili dokończył pewnym głosem:

– ...który go już nigdy nie będzie potrzebował. Zatrzymaj konia.

– Ale ty byłeś jego ostatnim panem. Jest twój, tym bardziej że wła-

ściciel odszedł spośród nas.

307

– Nie, nie mogę go przyjąć. Zresztą takie szlachetne zwierzę, jak to, samo wybiera sobie pana. – Ronsard poklepał konia po gładkiej żuchwie. – Sądzę, że on już sobie wybrał. Ciebie.

Quentin nie wierzył własnym uszom, ale wszyscy poparli Ronsarda.

– Każdy dzielny rycerz powinien mieć wierzchowca równie dzielnego, jak on sam – odezwał się Theido. – Moim zdaniem Balder jest dla ciebie jedynym koniem.

– Wyrosłeś i stałeś się prawdziwym jeźdźcem. W niczym nie przypominasz młodego nowicjusza ze świątyni, którego znalazłem zwiniętego w kłębek przy moim kominku i który zostawił konia samopas! –

śmiejąc się powiedział Durwin.

Quentin poczerwieniał na to wspomnienie, ale z wdzięcznością przyjął wodze od Ronsarda i skwapliwie odprowadził konia na miejsce noclegu.

Później w milczeniu spożyli prostą kolację, którą chłopiec uznał za wyjątkową, od chwili bowiem, gdy dostrzegli łąd, mężczyźni przyjaciele nie mieli spokojnego wspólnego posiłku. Nawet teraz królowa Alinea zosta-

ła w swym namiocie, a Trenn szybko zjadł, mruknął coś i poszedł jej pilnować.

Pozostali kolejno udali się na spoczynek. Quentin wiedział, że stało się coś złego, lecz nie miał serca niepokoić przyjaciół, nie chcąc, by jego pytania jeszcze bardziej ich przygnębiły. Zastanawiał się, czy ponura atmosfera przy ognisku nie była odbiciem nastroju, któremu sam ulegał

w ciągu ostatnich kilku dni. Ciągle jeszcze o tym myślał, leżąc pod nisko zwisającymi gałęziami jodły, gdzie Toli przygotował im poślanie w pobliżu koni.

Odpoczywał, ale nie mógł zasnąć. Odgłosy obozowego życia wkrótce ucichły, gdy żołnierze poszli spać. Chłopiec się podniósł i wrócił do ogniska, gdzie zastał Durwina. Pustelnik siedział samotnie i skubał brodę, zapatrzony w gasnące płomienie.

– Co się dzieje? – cicho zapytał go Quentin.

308

– Nie wiesz? – odparł Durwin, nie odrywając wzroku od ognia. –

Idź więc i sam zobacz.

Wyciągnął rękę w stronę równiny.



Quentin wstał, przeszedł między drzewami i zatrzymał się na skraju lasu. Jak okiem sięgnąć setki ognisk migotały niczym gwiazdy. Przez chwilę się zastanawiał, co to może znaczyć, i nagle zrozumiał. Coś go ścisnęło za gardło, pierś przeszło bolesne ukłucie. Przygnębiony, wrócił chwiejnym krokiem do czuwającego pustelnika.

– Są ich tam tysiące. Tysiące...

– Istotnie! Należało to przewidzieć. Powinienem wiedzieć – rzekł

Durwin i znów umilkł.

– Dlaczego nie uderzyli na nas w chwili lądowania? – zapytał Quentin po kilku minutach.

Wyglądał, jakby pilnował ognia, ale myślami był bardzo daleko.

– Sam się temu dziwię. Cały czas się nad tym zastanawiam. Rzeczywiście, dlaczego? – odparł pustelnik, a potem nagle wypalił: – Wiem!

Bo na kogoś czekają. Tak, z pewnością. Mają nad nami ogromną przewagę liczebną i mogliby nas niezwłocznie pozabijać, lecz się wahają.

Dlaczego? Chyba to wymaga czyjejś obecności. Dowódcy? Być może, ale w każdym razie ktoś musi przybyć, zanim bitwa się rozpocznie.

Sprawa wydała się oczywista, kiedy Durwin ją tak przedstawił. Quentin się dziwił, że sam o tym nie pomyślał. Dogasający ogień rzucał czerwony blask na twarz pustelnika, który jakby zapomniał o całym świecie, gdy szukał odpowiedzi w żarzących się węglach. Chłopiec wstał i doło-

żył jedno polano. Wkrótce ognisko znów trzaskało, świecąc żółtymi płomieniami.

Pustelnik ani drgnął. Zdawał się przewiercać wzrokiem ziemię, by tam znaleźć odpowiedź. Quentin obserwował go w napięciu. Wtem spokojne rysy Durwina zaczęły się stopniowo zmieniać. Jego twarz powoli stawała się maską strachu.

W tym momencie chłopiec poczuł chłód, aż ścierpła mu skóra. Mi-mowolny dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

309

Durwin z wysiłkiem oderwał wzrok od ognia. Poblady, spojrzął na Quentina oczami wytrzeszczonymi z przerażenia.

– Stało się. Ty również to poczułeś w tej samej chwili. Przybywa...

Legion Śmierci. Nadchodzi...

Quentinowi zakolała serce. Popatrzył na księżyc w pełni, który wisiał nad czubkami drzew i oblewał ich zimnym, nieprzyjemnym światłem, sprawiając wrażenie, jakby z obawy przed czymś się skurczył albo został odepchnięty niewidzialną ręką. Chłopca znów przeszedł dreszcz.

Durwin już wstał, schwyciwszy długą prostą gałązkę, podobną do czarodziejskiej różdżki. Jego przerażona twarz czerwieniała w blasku ogniska.

– Królu Selricu! – zawołał tubalnym głosem, który zabrzmiał jak pobudka.

Podszedł do namiotu, by wyrwać ze snu króla i resztę przyjaciół.

– Wyślij najszybszego jeźdźca na południe, do Hinsenby – rzekł do Selrica, gdy ten zaspany wyszedł z namiotu.

– Co się dzieje? – pytali wszyscy, natychmiast gromadząc się wokół pustelnika.

– Widziałeś coś? – odezwał się Theido.

– Legion Śmierci – odparł Durwin i ponownie zwrócił się do króla:

– Wyślij najszybszego posłańca na wybrzeże. Może tam spotka powracające wojska Eskevara. To nasza jedyna szansa.

– W każdym razie pomoc byłaby mile widziana – odrzekł Selric – ale ten...

– Nie boję się tego przeklętego legionu Nimrooda! – wykrzyknął

Ronsard.

– Bo nic o nim nie wiesz – powiedział na to Durwin, wolno kręcąc głową, jakby rozpamiętywał jakąś wielką tragedię. – Jest tak przerażają-

cy, że odpycha wzrok. Składa się z największych rycerzy tego wieku, którzy zginęli i po śmierci służą Nimroodowi. Nie można ich zabić. Nie pokona ich ani miecz, ani strzała. Walczą bez zmęczenia, sił im bowiem dodają nieczyste moce ich pana.

310

– Zatem cóż wobec nich znaczy najlicniejsza armia? Gdyby nas było dziesięć razy więcej, też by nas pokonali – rzekł oszołomiony Selric i westchnął.

– Ale z posiłkami może uda nam się zdobyć jakąś przewagę. Bez nich nie zdążymy nawet spróbować – upierał się Ronsard.

– Pojedzie Kellaris – oznajmił Selric. – Wezwij go, a ty przygotuj najszybszego konia – rozkazał swoim żołnierzom. – Najlepiej daj mu mojego – dodał. Kiedy żołnierze pośpiesznie się oddalili, spytał przyjaciół: – Czy ten wybór wam odpowiada?

– Ja chętnie pojadę – zaofiarował się Ronsard.

– Zostań, panie. Tu zapewne bardziej nam się przydasz.

– Zastanawia mnie, czy ten koń będzie dostatecznie szybki, nawet gdyby miał skrzydła – powiedział Theido. – Jak uważasz, długo oni będą obozować tam, na tej równinie? – spytał Durwina, który z namysłem zmarszczył brwi.

– Trudno powiedzieć, ale sądzę, że dzień... choć pewnie dłużej.

Chyba tak. Czuję, że Legion Śmierci nadchodzi, lecz jeszcze jest daleko.

Mimo to zostało nam mało czasu.

– W takim razie jutro o świcie pojadę z Ronsardem na rozpoznanie pozycji nieprzyjaciela – oświadczył Theido. – Spróbujemy znaleźć jakieś słabe punkty w obronie, które można by wykorzystać.

– Dobra myśl – rzekł Selric, ale usłyszawszy podzwanianie wędzidła niecierpliwie stąpającego konia, zmienił temat. – A, jest Kellaris!

Pędź z wiatrem w zawody, dzielny rycerzu! Wracaj z pomyślnymi wieściami.

– Wolałbym zostać tutaj, przy tobie, najjaśniejszy panie.

– Ja zaś nie życzyłbym sobie lepszej kompanii, ale jesteśmy w wielkiej potrzebie. Ruszaj w drogę i nie zawieź.

Rycerz oddał honory uniesioną ręką, zawrócił konia i zniknął w mroku. Jeszcze przez dłuższy czas Quentinowi się wydawało, że słyszy daleki tętent.

311

Wszyscy się rozeszli, każdy w swoją stronę. Chłopiec razem z pustelnikiem wrócił do ogniska.

– Cóż to jest ten Legion Śmierci? – spytał, kiedy znów siedzieli przy tańczących płomieniach. – Nigdy o nim nie słyszałem.

– Byłoby najlepiej, gdyby nikt o nim nie słyszał – odparł Durwin z westchnieniem.

Pustelnik był bardzo wyczerpany. Obliznął wargi z taką miną, jakby miał ugryźć gorzki owoc. – W

swych czarach Nimrood przekracza wszelkie granice. Decyduje się na wszystko i niczego się nie boi. Tam gdzie inny się cofa, on bez wahania prze naprzód. Od najmłodszych lat ma do czynienia ze złem. Przystudiował zło na wylot i zdobył nad nim władzę. Od dawna jego specjalnością jest omotywanie czarami tych, co umarli. W ten sposób zgromadził najsprawniejszych wojowników, najdzielniejszych rycerzy, jakich kiedykolwiek widział świat. Kiedy tylko ginęli w boju, on jakoś się o tym dowiadywał i za pomocą czarów przenosił ciała do swojego zamku. Tam ich trzyma w gotowości, by służyli mu po śmierci. Takich rycerzy jest sześciu czy siedmiu, może więcej, ale tego nie wiem. Różne pogłoski czasami obijały mi się o uszy, lecz już od wielu lat nic na ten temat nie słyszałem. Nawet nie przyszło mi do głowy, że ktokolwiek mógłby tego dokonać... nawet Nimrood. Jednakże, kiedy się znaleźliśmy w jego lochu, wyczułem ich obecność. Wówczas zrozumiałem, że to prawda...

Pustelnik umilkł ze wzrokiem utkwionym w ognisku, wzdrygając się, jakby samo wspomnienie było zbyt przerażające, żeby o tym myśleć.

– I nic nie powiedziałaś?

– Nie powiedziałem. Selric, Theido i pozostali już oczywiście wszystko wiedzą. Nikogo więcej nie chciałem martwić. Przyznaję, zachowałem się dość głupio, mając nadzieję, że Nimrood ukrywa swój legion, by go użyć w jakimś innym celu.

– Czy nie ma na nich żadnego sposobu?

– Jeśli jest, to ja go nie znam... chyba żeby Nimrooda spotkała śmierć. Gdyby on zginął, ich dusze pewnie zostałyby uwolnione, to jego 312

czary bowiem zatrzymały je na ziemi. Jednakże, jak sam widzisz, wróg liczy sobie dziesięć tysięcy żołnierzy wobec naszej garstki... Cóż, Nimrood jest całkiem bezpieczny. O, gdybym tylko miał moją dawną moc...

Niepocieszony Durwin zapatrzył się w ogień. Quentin widział bezradność malującą się na jego twarzy. Wreszcie pustelnik drgnął i powoli wstał z bladym uśmiechem.

– Mimo wszystko będę czuwał do rana. Może znajdę tu coś, co nam się przyda – rzekł pukając się w głowę. – Dobranoc, Quentinie.

– Dobranoc.

Chłopiec miał ochotę podbiec do Durwina, paść mu do nóg, a następnie razem z nim popłakać sobie i wzajemnie się pocieszać. Został jednak przy ognisku, pustelnik zaś, pogrążony w myślach, już odszedł w mrok.

Siedząc przy dogasającym ognisku, Quentin poczuł się bardzo samotny. Kiedy wreszcie wstał, by wrócić na posłanie, miał wrażenie, że dotychczas nigdy nie był tak osamotniony.

Kiedy Quentin się obudził, słońce było jeszcze zamgloną czerwoną kulą, która ledwie wyglądała zza wzgórz. Chłopiec leżał i słuchał odgłosów wstającego dnia: dalekich nawoływań ptaków, brzęku żelaznych garnków w rękach kucharzy, cichego rżenia i parskania koni oraz świstu ich ogonów.

Próbował odgadnąć znaczenie swych snów i właściwie nie wiedział, dlaczego wsłuchuje się w te dźwięki. Całą noc coś mu się śniło. Był to dziwny chaotyczny sen, który już kiedyś miał, ale tym razem jakby wyraźniejszy niż przedtem, co jednak nie przybliżyło chłopca do odgadnięcia jego znaczenia.

Widział w nim przeważnie grę kolorów – połyskliwe zielenie wszelkich odcieni mieszały się z błyszczącym złotem; zimna biel z szarozielonymi plamami; srebrzysto-granatowe cienie, przechodzące w czerń.

313

Barwy te wirowały, przenikały się wzajemnie i zmieniały jedna w drugą, lecz zawsze wszystko kończyło się głęboką czernią.

Przez cały czas jego trwania słyszał jakąś muzykę – dźwięczne tony o wysokim brzmieniu. Dzwon? Możliwe, ale nie miał pewności. Tam, skąd dochodziła, kryło się coś nieuchwytnego, niepokojącego. Starał się nie patrzeć w kierunku jej źródła w obawie przed tym, co mógłby zobaczyć.

Sen ów przynosił również straszliwą tęsknotę, wrażenie zupełnego osamotnienia, nie odwzajemnionego uczucia. Obudziwszy się Quentin miał po tym wszystkim dziwną pustkę w sercu.

Minęło kilka minut. Wreszcie chłopiec wstał i poszedł się umyć w rzece. Zimna woda całkiem go otrzeźwiła i stopniowo zapominał o swym śnie, lecz pustka w sercu pozostała.

Nabierając w dłonie czystej wody, którą spryskiwał sobie kark i ramiona, usłyszał w obozie jakieś poruszenie. Zerwał się z płaskiego kamienia, gdzie leżał, i popędził z powrotem, ociekając wodą.

Zbliżył się do dużej grupy, otaczającej jakiegoś jeźdźca na spienionym koniu. Nie mógł go dostrzec przez tłum. Wówczas zauważył po-

śpiesznie odchodzącego Jhera.

– Toli, kto to? Są jakieś wieści?

Przyjaciel spojrzał nań zmartwionym wzrokiem.

– Kellaris, posłaniec króla Selrica. Wrócił...

– Jak to?! Tak szybko? Przecież by nie zdążył.

– Nie przedostał się – powiedział ktoś za ich plecami.

Quentin obejrzał się i zobaczył Trenna, ciężkim krokiem wychodzącego z tłumu.

– Wszędzie są żołnierze Jaspina. Kellaris natknął się na nich nocą.

Ścigali go... Jesteśmy w pułapce.

W uszach Quentina słowa te brzmiały jak zapowiedź rychłej zguby.

Trenn poszedł zawiadomić królową. Chłopiec popatrzył na Tolego, który odpowiedział mu obojętnym spojrzeniem swoich okrągłych czarnych

oczu. Z twarzy Jhera Quentin nie mógł wyczytać, o czym myśli. Już chciał mu zaproponować, żeby zjedli śniadanie, gdy coś sobie przypomniał.

– A gdzie są Theido i Ronsard? – spytał.

Toli zamrugał.

– Czyżbyś nie wiedział? Przed świtem wyjechali z pięcioma rycerzami na zwiady. Skierowali się brzegiem rzeki na południe.

– A więc tam, skąd wrócił Kellaris! – wykrzyknął Quentin z trwogą.

– Jeszcze wpadną w zasadzkę i zginą! Ktoś musi ich ostrzec! Szybko, siodłaj Baldera!

W pierwszej chwili Toli się zawahał, jakby nie chciał wykonać polecenia swego pana. Otworzył usta, lecz od razu je zamknął i popędził do koni, a za nim Quentin.

W mgnieniu oka Balder był gotowy. Wsiadając nań, Quentin zobaczył, że Jher lekko wskakuje na grzbiet swojego wierzchowca.

– Jazda! Poszukamy ich razem! – zawołał.

Wypadli z kręgu namiotów i pokłusowali przez obóz.

Spostrzegli Durwina i Selrica, naradzających się z Kellarisem.

– Jedziemy ostrzec Theida i Ronsarda! – wykrzyknął do nich Quentin, spinając konia.

– Nie! Poczekajcie! – ryknął za nimi Durwin.

– Zatrzymać ich! Wracać! – wtórował mu król.

Chłopcy jednak pędzili już galopem i wkrótce zniknęli wśród drzew.

– Niech ich bóg prowadzi – powiedział Durwin z westchnieniem.

Prowadził Toli, bystrym okiem tropiciela wypatrując śladów zwiadowców. Wydawało im się, że jadą tak od wielu godzin. Quentin już ochłonął i teraz wiedział tylko, że należy się śpieszyć, jeśli bowiem wkrótce ich nie znajdą, może być za późno.

Słońce stało wysoko, rozświetlając las. Żłociste promienie padały na ścieżkę, z której pod ich dotknięciem zniknęła mgła, unosząca się nad

ziemią. Las pachniał zielenią i wilgotną glebą. Gdzieś w pobliżu rosła mięta – w powietrzu wyczuwało się jej orzeźwiająca woń.

Wtem usłyszeli przed sobą konie jadące przez zarośla – pobrzękiwanie wędzideł, ciche skrzypienie popręgów. Kiedy do chłopców dotarły strzępy rozmowy prowadzonej półgłosem, Toli ściągnął wodze swojego łaciatego wierzchowca. Quentin osadził Baldera tuż za nim.

– Myślisz, że to oni? – spytał Quentin z nadzieją.

Toli zmarszczył brwi.

– Trzeba najpierw znaleźć jakieś miejsce, z którego można by niespostrzeżenie ich zobaczyć.

Wjechali w las. Zatoczywszy półkole, wyprzedzili tamtych i ponownie znaleźli się nie opodal ścieżki. Stanęli i czekali.

Jeźdźcy byli coraz bliżej. Quentin słyszał ich głosy, choć nie rozróżniał słów.

Toli zsunął się z konia i podczołgał na skraj szlaku. Wówczas ich ujrzeli. Quentin widział jasne sylwetki, przesuwane się jedna za drugą.

Zbliżając się zniknęły za drzewami, które go osłaniały.

Chłopiec cichutko przejechał na Balderze kilka kroków naprzód.

Ciemne liście ocieniały mu twarz. Po chwili stanął obok niego Toli.

Jeźdźcy, a było ich czterech, zatrzymali się na niewielkiej polance.

Zdawało się, że czegoś szukają. Jeden z nich klęczał na ścieżce, a reszta przeczesywała wzrokiem las, jakby wypatrując śladów.

– Wrogowie – szepnął Toli.

A więc natknęli się na oddział żołnierzy Jaspina, którzy widocznie kogoś tropili.

– Pewnie chcą złapać naszych zwiadowców – powiedział Quentin. –

Jedźmy. Może odnajdziemy ich wcześniej niż oni.

Z tymi słowami zawrócił Baldera i opuścił kryjówkę. Przez jakiś czas kluczyli po lesie, trzymając się blisko ścieżki, a skręcili na nią dopiero wówczas, gdy uznali, że są dostatecznie daleko od wrogów. Prawie natychmiast znów usłyszeli przed sobą jeźdźców.

316

– To pewnie nasi! – ucieszył się Quentin.

Spiął Baldera i szybko pokonał zakręt. Nagle znalazł się oko w oko z pięcioma obcymi rycerzami, którzy jechali wprost na nich. Zmartwił.

Toli skierował konia w bok, pociągając za sobą przyjaciela. Przez chwilę wydawało się, że nieznani rycerze nie dostrzegli chłopców, spokojnie bowiem rozmawiali, patrząc w dół na ścieżkę, lecz w momencie, gdy Quentin skręcał między drzewa, jeden z nich podniósł wzrok, w którym chłopiec dojrzał zaskoczenie.

– Patrzcie! – wykrzyknął tamten do swoich towarzyszy.

Jednakże przyjaciele zdążyli rzucić się do ucieczki.

– Szpiedzy! – zawołał inny. – Za nimi! Nie pozwólmy im umknąć!

Koń Tolego pędził już jak strzała, gdy Balder z opuszczonym łbem skoczył jego śladem w las. Leżąc na falującym grzbiecie rumaka, Quentin nieustannie pochylał głowę, żeby gałęzie nie wysadziły go z siodła.

Z tyłu dochodziły odgłosy pogoni – okrzyki ścigających zakłócały le-

śną ciszę. Toli raz po raz zerkał za siebie, by sprawdzić, czy Quentin za nim nadąża.

Żelazne podkowy Baldera wyrzucały kawałki darni wysoko w górę.

Jeżyny rozdrapywały skórę na gołych nogach Quentina, lecz on tego nie czuł. Galopowali dalej, uciekając przed swoimi prześladowcami. Prze-skakiwali powalone pnie i omijali nisko zwisające gałęzie.

Quentin usłyszał za sobą trzask, rzenie wystraszonego konia i przekleństwa. Któryś z rycerzy wpadł na konar i wyleciał z siodła, drugi zaś próbował go wyminąć. Obejrzawszy się chłopiec zobaczył wstającego konia i leżącego w trawie rycerza. Uśmiechnął się smutno.

Kiedy znów popatrzył przed siebie, nigdzie nie widział Tolego. Ścią-

gnął wodze Baldera tak gwałtownie, że ledwo utrzymał się w siodle.



Przez krótką chwilę nasłuchiwał, lecz bez rezultatu, a potem coś zaszele-

ściło w krzakach przed nim z lewej strony i doszedł go głuchy tętent konia przyjaciela. Wówczas zrozumiał, że Toli skręcił.

317

Pochylił się i skierował tam Baldera, który przysiadł na zadnich nogach, parsknął i skoczył naprzód. Nagle chłopiec usłyszał świst; poczuł

piekący ból w nodze. Balder zarżał i zerwał się do galopu.

Spojrząwszy tam, skąd dobiegł go świst, Quentin dostrzegł jednego z prześladowców, który napinał kuszę, by ponownie z niej wystrzelić.

Popatrzył na swoją nogę i zobaczył strzałę – przeszła mu łydkę, a jej grot utkwiał w muskularnej łopatce Baldera. Był więc przypięty do konia.

Ranny Balder, pozbawiony bezpośredniej kontroli swojego pana, ruszył w stronę przeciwną niż Toli. Quentinowi z bólu ćmiło się w oczach.

Z trudem utrzymywał się na koniu, który z rozwianą grzywą i powiewającym na wietrze ogonem pędził przez las. Balder sam wybierał sobie drogę i teraz mknął w dół stromą ścieżką.

Migający obok las począł się chłopcu zamazywać. Błękitne niebo, złote światło słońca, ciemnozielona trawa i szare pnie drzew wydawały się zlewać w jedną barwną plamę. Quentin słyszał za sobą ścigających go rycerzy, którzy głośnymi okrzykami zachęcali swoje konie do szybszego biegu. Odgłosy pogoni z wolna się oddalały, a w końcu całkiem ucichły, gdy Balder w swobodnym biegu znacznie się odsądził.

Ścieżka skręciła i jeszcze bardziej opadła. Chłopiec pomyślał, że pewnie zbliża się do rzeki, choć zupełnie stracił orientację. Na wprost przed nim pojawił się wąski strumień. Quentin lepiej go słyszał, niż widział, kiedy Balder nad nim przeskakiwał, a potem galopował jego brzegiem.

Koń pędził dalej ścieżką. Choć chłopiec był zamroczony bólem, to jednak spostrzegł, że las zgęstniał i pociemniał. Domyślił się, że ucieka w głąb Pelgrińskiego Boru – poznał sędziwe, rozłożyste dęby. Z góry przez ich gęste liście sączyło się zielonkawe światło.

Wtem tuż przed sobą ujrzał wysoki ziemny wał, który zagroził mu drogę niczym zielona ściana, porośnięta na szczycie gęstym ostrokrzewem.

Quentin już by nie zdążył zatrzymać konia. Rzucił się do przodu, chwycił wodze i zacisnął zęby.

318

Lekko niby jelen Balder wzbił się w powietrze i przefrunął nad wa-

łem, ledwie muskając krzaki brzuchem. Zgrabnie wylądował po drugiej stronie nasypu, otaczającego kręgiem rozległą, płytką nieckę w środku lasu. Tam stanął.

Wówczas Quentin puścił wodze, obrócił się w siodle i z trudem chwycił strzałę, która tkwiła mu w nodze. Mocno pociągnął, lecz wysunęła się tylko kawałek. Szarpnął jeszcze raz i wtedy ją wyrwał. Kiedy się wyprostował, nawet nie zobaczył, gdzie jest, w oczach mu bowiem pociemniało. Nagle poczuł zawrót głowy.

Brakowało mu tchu. Ciężko dysząc, zachwiał się i runął na ziemię.

Jeszcze tylko ujrzał nad sobą Baldera, spokojnie nań patrzącego swoim ciemnym, wilgotnym okiem, a potem zawirowało niebo i stracił przytomność.

Durwin siedział na kłodzie, podpierając głowę dłońmi. Minęło wiele godzin od chwili, gdy chłopcy sami pogalopowali w las. Spodziewał się najgorszego.

– Rozprosz swe obawy, dobry pustelniku – pocieszała go Alinea. –

Sam powiadasz, że zawsze trzeba mieć nadzieję. Powierzmy więc ich bezpieczeństwo bogu, tak jak powierzamy nasze.

– Twoje słowa są pełne prawdy, najjaśniejsza pani, lecz serce nie sługa – odparł podnosząc wzrok na piękną królową.

– Ale popatrz! – zawołała, zrywając się na równe nogi. – Coś się tam dzieje! Jada rycerze! Theido i Ronsard! Wrócili zdrowi i cali!

– To dobra nowina – rzekł, wolno wstając.

Podszedł do grupy osób, które się gromadziły, by usłyszeć meldunek zwiadowców. Wkrótce na pełnej nadziei twarzy Durwina znów pojawiła się rozpacz.

319

Niczego nie powiedziawszy, Theido przecisnął się przez tłum, a tuż za nim Ronsard.

– Chodź – zwrócił się do Durwina. – Pójdziemy do Selrica. Ciebie też zapraszamy, najjaśniejsza pani.

Kiedy weszli do namiotu, król pochylał się nad dokładnymi mapami tego rejonu, wykreślonymi na skórze i pergaminie.

– Chwała bogom, wróciliście! Jakie nowiny? Coście znaleźli?

– Nic dobrego – odparł Ronsard. Był jeszcze zgrzany, za kołnierz spływał mu pot. – Objechaliśmy cały obóz. Jesteśmy odcięci. Otoczyli nas.

– Jaspin wzmacnia swe oddziały ze wszystkich stron.

Król Selric spokojnie przyjął te informacje.

– Rozumiem – rzekł krótko.

– W istocie to dla nas nic nowego – odezwał się Durwin.

– Jak to? – spytał Theido.

– O świcie wrócił Kellaris – wyjaśnił król. – Nie mógł się przedostać. Twoje słowa tylko

potwierdzają jego spostrzeżenia. – Wskazał na mapy. – Dokładnie je przestudiowałem, szukając miejsca dogodnego do obrony. – Westchnął głęboko. – Żadnego nie znalazłem.

– I co teraz? – spytała Alinea pewnym głosem, choć z nutą niepokoju.

– Będziemy z nimi walczyć – odparł Theido wprost. – Wyraźnie chcą nas zniszczyć. To pewne. Jaspin nie okaże łaski, skoro nawet nie pozostawił nam możliwości honorowego odwrotu.

– Tutaj chce nas wyrznąć – gniewnie mruknął Ronsard.

– Kiedy? – dopytywała się Alinea.

– Trudno mi powiedzieć – odrzekł Theido. – Nieprzyjaciel w dalszym ciągu się przygotowuje. Może zaatakować w każdej chwili.

– Jeszcze nie przybył straszliwy legion Nimrooda. Oto, na co czekają – stwierdził Durwin.

320

– Kazałem żołnierzom sypać szańce pod lasem. Może zdążą je skończyć. To nam pozwoli osłaniać tyły, gdy przyjdzie się wycofać na okręty – rzekł Selric.

– Nie za wcześnie mówimy o odwrocie? Raczej zginę, niż odstąpię

– oświadczył Ronsard.

– Tak, oczywiście, ale ja myślałem o królowej – spokojnie odparł

Selric i spojrzał w jej ciemne oczy, w których pojawiły się błyski buntu.

– Przykro mi, pani...

– Będę walczyła ramię w ramię z moimi przyjaciółmi i zginę, jeśli trzeba. Nie chcę uciekać. Skoro memu królowi życia nie stało, na cóż mi korona? Bez niego żadna ze mnie królowa, a z tego kraju żadne królestwo. Pragnę walczyć!

Dzielni przyjaciele spoglądali po sobie, w duchu ślubując, że oddadzą życie za jej sprawę.

– A więc załatwione – cicho powiedział Theido.

W tym samym momencie żołnierze na zewnątrz zawołali, że przybiegł posłaniec. Selric wyszedł z namiotu, by go przyjąć.

– Wróg się zbliża, najjaśniejszy panie. Jest tylko o pół mili stąd.

– Do broni! Do broni! – gromkim głosem wykrzyknął król i natychmiast wezwał trębaczy. – Grajcie na alarm! Wszyscy do broni!

Niemal natychmiast w obozie powstał tumult – wszędzie połykiwała stal i rozbrzmiewały podniecone głosy, gdy królewscy żołnierze podnosili miecze i tarcze, a rycerze nakładali zbroje.

– Zbierz rycerzy! – zwrócił się Theido do króla, przekrzykując zgiełk. – Mam dla nich pewien plan, który może pozwoli nam grać na zwłokę.

Sam zdążył już błyskawicznie wdziać zbroję i teraz, z tarczą zawieszoną na ramieniu, stał przed namiotem Selrica, wysoko unosząc miecz.

W ciągu kilku minut wrzawa ucichła. Żołnierze obsadzili szaniec, usypany przez nich rano i wzmocniony zaostrzonymi palami. Rycerze, zaledwie sześćdziesięciu, pod wodzą Theida i Ronsarda rozdzielili się na dwie grupy, które zajmą pozycje na flankach, by ruszyć na zbliżającego 321

się wroga. Zgodnie z planem Theida owe dwa ruchome oddziały niczym nożyce będą się przesuwać w tę i z powrotem wzdłuż linii obrony, nęka-jąc nieprzyjaciela i osłabiając jego atak, nim dotrze do szanca.

Selric dowodził pieszymi, a także wraz z Trennem strzegł królowej, mimo jej sprzeciwu. Ona ze swej strony zdawała się tym nie przejmować, jakby niczego nie widząc – uzbroiła się w lekki miecz i puklerz, który bardziej pasował do jej ręki niż cięższa tarcza rycerza. Miała na sobie kolczugę i hełm z przyłbicą jak wszyscy zbrojni króla.

Czekali.

W oddali słyhać było dźwięki trąbek dających armii Jaspina sygnał

do ataku. Spod stóp piechoty i końskich kopyt wzbiły się w niebo tumany kurzu. Zatrzepotały barwne sztandary na długich drzewcach i proporce na kopianach rycerzy. W słońcu błysnęły wyciągane miecze i opuszczone przyłbice. Taki widok ujrzeli żołnierze oczekujący starcia.

Nieprzyjaciel był coraz bliżej. Wiatr przynosił odgłos jednostajnych uderzeń w bębny, zlewających się z ciężkim miarowym krokiem pięć tysięcy maszerujących ludzi. Pociemniało, słońce bowiem zakryła chmura pyłu. W górze krążyły sępy, szykując się do uczt.

Trenn wykręcał szyję, węsząc na wszystkie strony.

– Jest! – mruknął do Selrica. – Wiedziałem, że coś czuję. Popatrz tam.

Nad nimi sunęły pierwsze cienkie smużki dymu. Król skwitował to skinieniem głowy.

– Podpalili las za nami – stwierdził zacisnąwszy dłoń na rękojeści miecza. – Niech im będzie!

– Gdzie Durwin? – spytała królowa, rozglądając się dokoła. – Dawno go nie widziałam.

– Umknął za namioty, więc go nie widać – odparł Trenn. – O ile go znam, wymyśla swoje sztuczki.

Bębny wybijały teraz szybsze tempo. Na równinie rozległ się ryk z tysięcy gardeł.

– Ruszyli! – zawołał Selric i począł wywijać mieczem nad swoją kędzierzawą rudą czupryną. – Za honor! Ku chwale! Za króla i królestwo!

Odpowiedziały mu bojowe okrzyki żołnierzy.

Chyżo napierające wojska tworzyły klin. Przodem jechali rycerze na koniach, a za nimi pędzili piesi, znacznie od nich liczniejsi. Reszta zgromadzonych armii trzymała się z tyłu, czekając na swoją kolej, by ruszyć do boju.

Kiedy ostrze tego klina już dosięgało obrońców, w lesie przy obu końcach szanów zerwał się krzyk – Theido i Ronsard ze swoimi rycerzami skoczyli naprzód, biorąc atakujących w dwa ognie. Tak błyskawicznie ku nim ruszyli, że tamci nie mieli czasu skrócić, a tym bardziej stawić im czoło w zwartym szyku. W ogólnym zamieszaniu szturm się załamał. Konie padały, przygniatając ciężkozbrojnych jeźdźców.

Okrążywszy ich, Theido i Ronsard sami przypuścili atak. Momentalnie rozległ się szcęk mieczy i krzyk umierających.

Widząc rozpaczliwą sytuację swej osłony, piesi zaczęli się bezładnie wycofywać. Theido skierował swój oddział za nimi, Ronsard zaś dalej walczył z rycerzami Jaspina. Już wielu z nich leżało w pyle, by nigdy nie powstać.

Konni księcia nie oparli się wściekle napierającym rycerzom Ronsarda i uciekli, połowę zostawiając na polu bitwy.

Wówczas Theido z Ronsardem natychmiast odwołali atak i wrócili, witani okrzykami żołnierzy z szan, wiwatujących na ich cześć.

– Widzieliście ich? – niespokojnie spytał Selric.

– Nie, nie było tam legionu Nimrooda – odparł Theido.

– Gdzież oni są?

– Pewnie czekają, by sprawdzić, jak sobie radzimy w polu – rzekł

Ronsard, podnosząc przyłbicę. – Teraz zaskoczyliśmy wroga, lecz następnym razem może nam się nie udać. Znam jednak pewien fortel, któ-

rego się nauczyłem, walcząc z Gorrem.

Szybko to omówili, a potem rycerze znowu wsiedli na konie.

– Pamiętaj, królu! – zawołał Theido. – Każ swym żołnierzom wypa-trywać rycerzy z legionu Nimrooda. Niech się trzymają od nich z dala, ustępują im, a walczą z tymi, co kryją się za ich plecami. Sądzę, że będą osłoną dla wojsk nieprzyjaciela.

Theido i jego podwładni ustawili się za rycerzami Ronsarda w taki sposób, że powstały jakby dwa mury, jeden za drugim.

Niedługo czekali na posunięcie wroga.

Wkrótce nastąpił drugi atak. Rycerze uderzyli dwiema grupami, spodziewając się, że obrońcy, jak poprzednio, znów ruszą na nich z boku.

Tymczasem ujrzeni mur, złożony z dwóch pancernych oddziałów, spokojnie oczekujących ich natarcia. Za konnymi posuwali się piesi, dep-cząc zwłoki poległych.

Kiedy galopujący rycerze zdali sobie sprawę, że tym razem nie zostaną zaatakowani z flank, zmienili kierunek – obie grupy się połączyły i natarły na Ronsarda, który tylko na to czekał. Dał sygnał do ataku i odskoczył ze swoim oddziałem w lewo. To samo w ostatniej chwili zrobił

Theido, tyle że w prawo.

Splószone konie wroga poniosły jeźdźców na szaniec, gdzie wpadły na zaostrome pale, sterczące niby kolce jeża. Żołnierze Selrica szybko się z nimi załatwili.

Theido z Ronsardem ponownie dopadli zbrojnych Jaspina i srogo ich ukarali. Jeszcze raz wojska księcia zachwiały się pod wściekłym natar-ciem i pierzchły.

– Odegnaliśmy wroga dwukrotnie – rzekł rozpromieniony Ronsard po powrocie, zbliżając się do króla. – Jakiego fortelu użyjemy, by znowu ich pobić?

– Mam jeszcze jeden – odparł Theido, który po dwóch wypadach był tylko lekko zdyszany. – Może okazać się skuteczny, jeśli nie ruszą na nas zbyt licznie.

Nastąpił kolejny atak i również tym razem niewielki oddział z powo-dzeniem unieszkodliwił przeważające siły Jaspina i jego szlachciców.

324

Kiedy wreszcie tamci się wycofali, pole bitwy było zasłane ciałami ludzi i koni, a ziemia pod nimi ściemniała od krwi.

W dużym namiocie z niebieskiego jedwabiu, ustawionym na podwyższeniu, by zapewnić dobry widok pola bitwy, na swym podróżnym tronie siedział Jaspin i zapluwał się z wściekłości, przywołując Grenetta, Brana, Orwena i Enmore'a. Wezwani rycerze i szlachcice, lepiąc się od potu i kurzu w zbrojach ze śladami cięć i krwi, podjechali do namiotu.

Księżę zerwał się z tronu i wyciągnął ku nim drżący palec.

– Durnie! – wrzasnął. – Bawia się z wami jak z dziećmi. Wyciąć ich! Zmiażdżyć!

– Łatwiej zmiażdżyć leżący kamień niż wijącego się węża albo ściąć młode drzewko niż umykający cień – odparł Bran.

– Nie chcą stanąć do walki w polu – narzekał Grenett. – Przed atakiem znikają, by później nagle się pojawić w środku naszych szeregów, co sprawia, że nasi słabo wyćwiczeni piesi wpadają w popłoch i nacierają na swoich.

– Zróbcie coś! Wkrótce będzie tu Nimrood, a ja miałem nadzieję zwyciężyć w tej bitwie bez jego pomocy.

– Za późno – szepnął Onteskusz. – Ten, o którym mówisz, już przybywa.

Jaspin się odwrócił i ujrzał ciemną postać, wyjeżdżającą zza namiotu.

Nimrood siedział na czarnym koniu, który sprawiał wrażenie półdzikiego, bił bowiem kopytami w ziemię i gniewnie parskał. Czarodziej był

ubrany w czarny hełm z koroną i skrzydłami, skierowanymi do tyłu, oraz długi czarny płaszcz ze srebrną lamówką. W rękę trzymał marmurową różdżkę, czarną jak heban, inkrustowaną srebrem w oplatające ją dziwne wzory.

– Nimroodzie, czekaliśmy na ciebie – powiedział Jaspin drżącym głosem.

– Czyżby? Na polu widzę stosy trupów... niewątpliwie umarli z nu-dy.

325

– Ci dranie zaatakowali nas bez uprzedzenia. Musieliśmy wziąć od-wet. Nie było wyboru – wyjąkał książę.

– Wygląda na to, że mieli niesłychane szczęście. Tysiąc atakuje i osacza dziesięć tysięcy. Ha! – sztywno obró-

ciwszy się w siodle, rzucił kilka rozkazów rycerzom i szlachlicom zebranych przed namiotem: – Natychmiast wracajcie do swoich żołnierzy.

Dodajcie im odwagi, podnieście na duchu. I czekajcie. Niedługo wrócę ze swoim legionem, który wam pokaże, jak należy walczyć. Teraz jadę po jego dowódcę.

– Czy on tu jest? – wykrztusił Jaspin, z drzeniem osuwając się na tron.

– Niedaleko – wycedził Nimrood. – Wracam najpóźniej za godzinę.

Tymczasem nic nie róbcie. Ta bitwa już dawno powinna się skończyć, lecz się nie przejmujcie, wkrótce to nastąpi. Ujrzyście widowisko nie do zapomnienia.



Z tymi słowy Nimrood spał swojego narowistego konia i pogalopował równiną w stronę lasu.

– Cóż to za legion, o którym wspomniał ten szalony czarodziej, najjaśniejszy panie? – zapytał Bran. – Niby dlaczego mamy czekać? Mo-

żemy od razu z nimi skończyć i zwycięstwo będzie nasze!

Machnięciem zwilgotniałej dłoni Jaspin odrzucił tę propozycję, z opadniętą szczęką patrząc tępych wzrokiem w dal. Po chwili oprzytomniał, niepewnie rozejrzał się dookoła i rzekł:

– Zaraz sam zobaczysz. Wszyscy zobaczycie.

– Ale tym razem uda nam się z nimi skończyć. Ja to wiem – upierał

się Bran.

– Nie! – ryknął Jaspin, zrywając się z tronu. Na usta wystąpiła mu piana; przypominał rozwścieczonego byka. – Za późno! Będziemy czekać!

Odprawił ich gestem, a potem znów padł na tron i siedział tam zgarbiony. Otarłszy twarz chusteczką, skinął na Onteskusza, by zasłonił

wejście do namiotu. Chciał zostać sam.

– Och, cóżem uczynił! – wykrzyknął w ogromnej udręce. – Cóżem najlepszego uczynił!

Quentin słyszał ostre, wysokie tony dzwoneczków, dochodzące skądś z oddali, jakby niesione wiatrem. I jeszcze jeden dźwięk, który przypominał cichy chichot.

Przez zamknięte powieki dostrzegł tańczące światło. Było mu ciepło i czuł się senny. Uświadomił sobie, że coś delikatnie łaskocze go w policzek i szyję.

Otworzył oczy.

Pomyślał, że znowu jest w Dekrze, ale wrażenie to natychmiast minę-

ło. Przez zielony baldachim w górze sączyło się migotliwe światło słoń-

ca. Dzwonienie okazało się świergotem ptaków fruujących z gałęzi na gałąź wielkiego, rozłożystego dębu, pod którym chłopiec leżał. Odruchowo dotknął dłonią policzka, a gdy ją cofnął, miał wilgotne palce.

Wówczas zobaczył, że Balder znów chce go trącić nosem.

– Dobrze, dobrze, staruszk, już nie śpię – mruknął.

Wolno uniósł się na łokciach. Po kilku sekundach zawrót głowy minął, ustąpiwszy miejsca tępemu, pulsującemu bólowi, który wydawał się promieniować z nogi na całe ciało. Chłopiec dotknął jej i nagle sobie przypomniał, jak doszło do tego, że leży na ziemi pod zielonym baldachimem liści.

Rana przestała krwawić i już zaschła. Quentin się domyślił, że przez jakiś czas był nieprzytomny. Chwycił konia za popręg, podciągnął się i wstał. Z pewnym wysiłkiem zrobił kilka kroków i stwierdził, że mimo bólu może chodzić, aczkolwiek początkowo dość sztywno.

Rozejrzał się. Choć miał pewność, że nigdy tu nie był, miejsce to wydało mu się dziwnie znajome. Zorientował się, że jest na skraju rozległej niecki, okolonej wysokim wałem. Przebiegł wzrokiem po jego gładkiej zielonej ścianie aż za kępę starych dębów, rosnących pośrodku.

Wszędzie stały białe rzeźbione kamienie – grube płyty wzrostu człowieka, zwietrzałe ze starości i pokryte cętkami szarzielonych porostów.

327

Niektóre rzucały na trawę cienie pod dziwnym kątem, były bowiem niebezpiecznie pochylone.

Spojrzenie chłopca pobiegło w głąb niecki i dopiero wtedy spostrzegł

mnóstwo tajemniczych kopców, przypominających ogromne ule, poro-

śnięte trawą. Wokół panowała cisza i spokój. Chłopca jednak przeszedł

dreszcz, jeżąc włosy na głowie.

Rzeczywiście już tu był – we śnie.

Śniło mu się to wielokrotnie. Wszystko wyglądało trochę inaczej, jakby patrzył na to z drugiej strony, lecz miał pewność, że bardzo dobrze pamięta ten widok. Nie wiedział tylko, gdzie jest. Zastanawiał się, czym są owe dziwne kopce.

Choć cały czas nie dawało mu spokoju poczucie, że należy się śpieszyć, nagle niemal o tym zapomniał, gdy doznał olśnienia, które podzia-

łało nań jak strumień zimnej wody. Stał rozglądając się dokoła.

– Ja tu miałem się znaleźć – pomyślał głośno.

Zostawiwszy Baldera skubiącego trawę pod dębem, pokuśtykał w stronę środka niecki. Zauważył, że kamienie są bardzo stare, o czym świadczyły spękane powierzchnie i zatarte napisy, zniszczone przez czas i żywioły.

Ktokolwiek je wykonał, musiał żyć bardzo dawno temu, być może za czasów budowniczych, którzy wzniesli owe tajemnicze kopce. To, co po sobie zostawili, przetrwało w odległych zakątkach kraju, tak jak te kopce o niespotykanym kształcie i dziwne napisy.

Usłyszał plusk wody płynącej po kamieniach. Rozchylił gęste liście i wszedł do naturalnej altany, gdzie tryskało niewielkie źródło, tworząc maleńki staw, przejrzysty jak kryształ.

Quentin ukląkł i zaczerpnął lodowatej wody dłonią. Kiedy się napił, zauważył białe kamienie, umieszczone wokół stawu, a tuż nad miejscem, z którego wypływała woda, kapliczkę z kamienną figurką boga źródeł, Pola. Dawniej wylałby mu kilka kropel na ofiarę, teraz tylko skinął głową przed obojętnym obliczem bożka i ruszył dalej.

328

Podszedł do najbliższego kopca i dokładnie go obejrzał – idealnie gładki, porośnięty trawą, jednakowy ze wszystkich stron, dwukrotnie od niego wyższy.

Teraz chłopiec widział, że niektóre kopce są większe od pozostałych.

Kilka z nich miało górną część spłaszczoną, jakby się zapadły, w czym przypominały groby.

Groby. Zastanawiał się nad tym słowem, jak gdyby słyszał je pierwszy raz. Wreszcie coś sobie przypomniał i wszystko się wyjaśniło. Już wiedział, gdzie jest. Znalazł się w Kręgu Królów, o którym wspominały legendy i pieśni. Było to cmentarzysko pierwszych królów Mensandoru, jedno z najświętszych miejsc. Tutaj pogrzebano budowniczych imperium, a te kopce to ich kurhany.

Quentin już chciał wrócić do Baldera i odjechać mimo bólu w nodze, gdy coś go powstrzymało. Wzruszywszy ramionami, poszedł dalej. Nie zrobił więcej niż cztery kroki, gdy znów postanowił

zawrócić.

Wówczas przyszła mu do głowy pewna myśl. Skoro ma jechać do obozu, będzie potrzebował jakiejś broni, a przynajmniej, tarczy, królów zaś, wedle zwyczaju, chowano razem z orężem i w pełnej zbroi, by mogli walczyć na tamtym świecie.

Uznał, że chyba nic się nie stanie, jeśli zaopatrzy się w miecz lub tarczę w którymś z kurhanów. Choć zdawał sobie sprawę, że nie wolno tego robić, zakłóca się bowiem spokój zmarłym, postanowił jednak spróbować.

W pierwszych trzech kurhanach nie znalazł żadnych wejść. Gdyby nawet były, to zapewne pieczołowicie je ukryto lub dawno zarosły.

Już chciał zrezygnować i wracać, kiedy jego spojrzenie zatrzymało się na dużym grobowcu w środku cmentarzyska. Pomyślał, że jeszcze raz spróbuje. Utykając szedł w jego kierunku wśród tajemniczych kopców niczym jakiś olbrzym między zielonymi wzgórzami.

Kurhan, który przyciągnął jego uwagę, różnił się od innych. Był

okrągleszy i bardziej przysadzisty, jakby spod ziemi wystawała ogromna 329

kula. Obchodząc go, potknął się o mały krzaczek, rosnący u podstawy po jego zacienionej stronie.

Runął jak długi. Coś twardego uraziło go w zranioną nogę.

Krzywiąc się z bólu, leżał na darni, gdy nagle poczuł, że grunt się usuwa. Rozległ się dziwny głuchy trzask, jakby pękającego korzenia, i chłopiec wpadł w mroczną czeluść, która się pod nim otworzyła.

Zaskoczony krzyknął i w tym momencie wyładował. Zakrztusił się ziemią. Wypluwając ją i przecierając oczy, słyszał toczące się w dół

kamyki.

Kiedy kurz opadł, chłopiec pozbierał się i zobaczył, że nie spadł z dużej wysokości. Skośne promienie słońca oświetliły kawałek posadzki, na której stał. Ujrzał jej prostą krawędź, a dalej ciemne schody. Zatem dzięki przypadkowi odkrył wejście do grobowca, które ktoś zamaskował

z wielkim trudem.

Uspokoiwszy roztrzęsione nerwy, Quentin powoli ruszył w dół po bardzo stromych stopniach i wkrótce znalazł się niemal w zupełnych ciemnościach – tylko wąska strużka światła z otworu, przez który wpadł, nieco rozpraszała mrok. Chłopiec wyciągnął przed siebie ręce i poszedł

dalej.

Kiedy schody wkrótce się skończyły, jego oczy już przywykły do ciemności i zobaczył kamienne drzwi, zamykające wejście do podziemnej komory. Szerniałe ze starości, były pokryte bogatym,

rzeźbionym ornamentem i starodawnym pismem. Oglądając je w mdłym świetle, przy lewej krawędzi spostrzegł zadrapania i odpryski, które świadczyły, że ktoś używał narzędzi, by dostać się do środka, i to całkiem niedawno.

Quentin przyłożył dłonie do zimnego, wilgotnego kamienia i pchnął.

Drzwi nadspodziewanie łatwo dały się otworzyć, zgrzytając na niewidocznych zawiasach.

Wszedł do komory grobu.

We wnętrzu było zimno i cicho. W słabym świetle, wpadającym przez drzwi, połyskiwały złote i srebrne naczynia, ustawione pod ścianami. Kurz, nagromadzony w ciągu stuleci, pokrywał grubą warstwą posadzkę, odbierając barwy kolorowej mozaice, która w gustownych 330

obrazach przedstawiała bohaterskie czyny zmarłego monarchy. Z lewej strony stały rzędami włócznie o srebrnych grotach oraz tarcze obite niedźwiedzią skórą, już zbutwiałą, z prawej zaś siodło z uzdą i końska zbroja, podparte skrzyżowanymi lancami.

Jeśli nawet znajdowały się tam również inne przedmioty, chłopiec już ich nie zauważył, jego spojrzenie bowiem przyciągnął kamienny stół

pośrodku komory. Leżał na nim spokojnie, jakby spał, król Eskevar, skąpany w tajemniczej niebieskiej poświacie.

Choć dotychczas Quentin nigdy go nie widział, w głębi serca wiedział, że właśnie jego znalazł. To nie mógł być nikt inny, o czym świadczyła dumnie wysunięta broda, wysokie, mądre czoło, głęboko osadzone oczy, znamionujące charakter, choć teraz zamknięte, i królewskie usta.

Chłopiec, oszołomiony swoim odkryciem, zaczął się zbliżać do kamiennych murów powoli jak we śnie. Król w błyszczącej zbroi leżał z rękami

skrzyżowanymi na piersiach i wyglądał na martwego.

A jednak...

Quentin wstrzymał oddech w obawie, że to, na co patrzy, może się okazać przywidzeniem. Jeszcze tylko parę kroków i zaraz się przekona.

Ostrożnie stawiał drżące stopy.

Wtem coś się za nim poruszyło. Poczł nagły wiew powietrza i usłyszał metaliczny szmer, a gdy instynktownie się odwrócił, ujrzał dwa świecące żółte punkty i coś go przewróciło.

Pole bitwy uspokoiło się niczym leżący na nim zabici żołnierze.

Umilkły echa bitewnego zgiełku i nad równiną zaległa cisza. W górze krążyły sępy, szukając sposobności rozpoczęcia makabrycznej uczty. Ich rozdzierające krzyki niosły się daleko nad Niziną Askelońską.

Podczas tej przerwy w walce rannych zgromadzono nad rzeką, gdzie lekarze Selrica zajmowali się nimi w miarę swoich możliwości. Zdolni do noszenia miecza czy włóczni byli opatrywani, a potem wracali na szaniec, by oczekiwać kolejnego ataku.

331

Durwin z podwiniętymi rękawami i szatą zatknietą za pas uwijał się wśród rannych leżących wszędzie, starając się pomóc jak największej ich liczbie dobrym słowem lub swoimi umiejętnościami. Gdziekolwiek się pojawiał, tam znikał ból i cierpienie. Pocieszał tych, którym już śmierć zaglądała w oczy, by spokojnie i z nadzieją odeszli na tamten świat.

Właśnie się pochylał nad nieprzytomnym żołnierzem, leżącym na trawiastym brzegu rzeki, gdy ktoś pociągnął go za pas. Odwróciwszy się ujrzał spoconego młodzieńca, ubrudzonego krwią, który kiwał na niego ręką.

– O co chodzi, chłopcze?

– Tam jakiś rycerz pragnie się z tobą widzieć, panie – odparł młody lekarz.

– Zatem prowadź – rzekł Durwin i obaj ruszyli pośpiesznie między rzędami rannych.

– Oto świątobliwy pustelnik, panie. Przyprowadziłem go, jak mi ka-załeś – szepnął lekarz do ucha rycerza.

Durwin sądził, że przyszedł za późno, wszystko bowiem na to wskazywało, więc bardzo się zdziwił, gdy ranny otworzył oczy i spojrzał nań przytomnym wzrokiem. Był młody, jeszcze nie miał dwudziestu lat.

– Mówią mi, że muszę umrzeć. A co ty mi powiesz?

Durwin schylił się nad nim, by obejrzeć ranę, straszliwie ziejącą w boku rycerza tam, gdzie topór rozciął kolczugę i wbił jej kawałki głąbo-ko w ciało. Pustelnik wolno pokręcił głową.

– Niestety, to prawda. Ta rana jest śmiertelna, dzielny przyjacielu.

Potrzebujesz jakiejś pomocy?

– Tego się obawiałem – odparł rycerz słabnącym głosem. – Obserwowałem cię, gdy krążyłeś wśród rannych, i widziałem, jak przynosiłeś im ulgę w strasznych cierpieniach i uspokajałeś tych, których

zabierał

Manes.

– Robię, co w mojej mocy – cicho rzekł Durwin.

– Więc mi powiedz, co powinienem wiedzieć o śmierci, bo nie jestem religijny. Ludzie mówią, że potrafisz zajrzeć na tamten świat, 332

panie. Zajrzyj tam dla mnie i opisz, co widzisz.

Choć Durwin już wiedział, co odpowie młodemu rycerzowi, skłonił

głowę i zamknął oczy, kładąc mu dłoń na sercu. Po chwili zaczął mówić:

– Widzę dwie drogi do wyboru: jedna wiedzie ku światłu, druga zaś ku ciemności. Ta mroczna jest drogą nieszczęścia. Tam, dokąd prowadzi, nigdzie nie zazna się spokoju, a ten, kto nią podąży, nigdy nie znajdzie spoczynku ni ukojenia dla swej zbolącej duszy. To droga samotności i goryczy. Ta druga zaś, jasna droga, prowadzi do wspaniałego miasta, gdzie wszyscy ci, co tam dotrą, będą się radować w obecności miłościwego władcy, który panuje wiecznie, bez końca. To królestwo spokoju, wolne od trosk i śmierci, i żaden z jego mieszkańców nigdy nie będzie wiedział, co to strach. Owe dwie drogi stoją przed tobą otworem, lecz już teraz musisz wybrać, którą pójdiesz.

– To łatwy wybór, dobry pustelniku. Pragnę iść do tego wspaniałego miasta i ślubować służbę owemu najwyższemu władcy. Zostanę tam, jeśli tylko potrzebuje takich jak ja. Jednakże nie wiem, jak to osiągnąć.

Obawiam się, że dotąd mogłem błędzić.

– Tym się nie martw. Uwierz, a ci się uda. Zaufaj temu władcy, kró-

lowi wszystkich królów i najwyższemu bogu. Wyjdzie ci naprzeciw i sam wprowadzi cię do swego miasta.

– Panie, naprawdę chcę ci wierzyć, ale twoje słowa są dziwne. Nie-podobne do tego, co kiedykolwiek słyszałem z ust kapłana. Jesteś kapłanem?

– Tak, przyjacielu. Kapłanem owego władcy, o którym ci mówiłem.

On nie odwraca się od żadnego z tych, którzy chcą do niego przyjść.

Obiecuje to wszystkim ludziom.

– W takim razie już do niego idę. – Głos rycerza stał się szeptem. –

Dziękuję ci, dobry pustelniku. Nie zapomnę, że byłeś mi życzliwy i pozdrowię od ciebie twego władcę. Żegnaj.

– Żegnaj, dzielny rycerzu. Na pewno kiedyś znów się spotkamy.

333

Przy tych słowach ranny zamknął oczy i wydał ostatnie tchnienie.

Durwin stał nad martwym ciałem, podziwiając odwagę i głęboką wiarę młodego rycerza.

– Dziś Najwyższy zyskał bardzo oddanego i nie mniej mężnego słu-gę – powiedział do siebie.

Kiedy pustelnik już nic więcej nie mógł zrobić dla rannych i umierających, wrócił na szaniec, gdzie stali Selric, Theido i Ronsard, naradzając się ze sobą.

– Straciliśmy wielu dobrych żołnierzy – rzekł Ronsard. – Nie wy-trzymamy kolejnego uderzenia, gdyby się zdecydowali podjąć ostateczne natarcie.

– Dlaczego zwlekają? – zastanawiał się Selric. – A może już nie bę-dą atakować?

– Nie – odparł Theido. – Znowu ruszą. Czekają na...

– Czekają, aż Nimrood przyprowadzi ten swój straszny legion –

przerwał mu Durwin, podchodząc do nich. – Jeszcze nie nadciągnął, ale jest już blisko.

– To znaczy, że Jaspin miał nadzieję zwyciężyć bez pomocy czarodzieja?

– Istotnie! Teraz jednak będzie zmuszony uznać Nimrooda za swego mistrza wobec tych wszystkich, którzy obwołali go królem.

– Zasłużył sobie na to – powiedział Ronsard. – Sądzę, że jeszcze będzie przeklinał chwilę, w której poznał tego czarodzieja.

– Czekanie jest gorsze od walki – zauważył Selric i spytał: – Czy tymczasem nie dałoby się czegoś zrobić?

– Owszem – rzekł Durwin. – Można się pomodlić do Najwyższego.

Teraz jedynie on zdoła nas ocalić.

Quentin nie widział uderzenia, które trafiło go w ramię i ścięło z nóg, aż się potoczył. Głową naprzód poleciał w ciemność i rozciągnął się jak długi na posadzce grobowca.

Próbował wstać, przytrzymując się krawędzi kamiennych murów, lecz nim się podniósł, jakaś siła zaczęła go ciągnąć gwałtownymi

szarpnięciami. Coś twardego objęło go w pasie. Kiedy to chwycił, okazało się śliskie, prężne i



falowało w jego uścisku.

W przypiływie strachu i obrzydzenia uświadomił sobie, że jakiś ogromny wąż unieruchamia go w swych miażdżących splotach.

Ramiona miał już skrępowane i teraz poczuł kolejny zwój na piersi. Z

trudem próbując się wyzwolić, nagle ujrzał przed sobą ohydny trójkątny łeb, powoli się zbliżający.

Wstrętne żółte ślepie o niesamowitym blasku groźnie wpatrywały się w chłopca. Czuł, że sploty coraz bardziej się zaciskają, odbierając oddech.

Bezskutecznie próbował chwycić węża i go od siebie oderwać, ciało gada bowiem ciągle się wyslizgiwało, choć paznokciami orał pokrywające je łuski. Każdy oddech kosztował chłopca wiele trudu i bólu. Quentin czuł, że zaraz się udusi. Usłyszał chrapliwy syk. Wąż przybliżył głowę i otworzył paszczę, ukazując podwójny rząd zębów ostrych jak szpilki i dwa wielkie zakrzywione kły.

Gorączkowo, na granicy paniki, chłopiec szukał wyjścia. Pomyślał, że musi zdobyć jakąś broń. Podnosząc oczy, które niemal wyszły mu z orbit wskutek uścisku węża, dostrzegł błysk miecza leżącego u boku króla.

Słabnąc z każdym uderzeniem serca, całym ciałem rzucił się pod marmur. Kiedy padał, sploty na moment się rozluźniły. Wówczas gwałtownie chwycił powietrze i uwolnił jedną rękę, nim znów się zacisnęły.

Wolno podciągnawszy nogi, przysunął stopy do kamiennej podpory muru. W chwili gdy wąż z wściekłym sykiem uderzył, chłopiec mocno się odepchnął i pokoziołkował razem z nim. Wprawdzie nad uchem usłyszał

potworne kłapanięcie szczęk, ale osiągnął swój cel. Leżąc na boku, wolną ręką sięgnął po miecz.

Wąż natychmiast to zauważył. Koniec jego ogona świsnął w powietrzu jak bicz, owinał się wokół nadgarstka i trzymał rękę chłopca w żelaznym uścisku.

335

W migotliwym blasku niebieskiej poświaty znów ujrzał przed sobą zarys czarnego łba, szykującego się do zadania śmiertelnej rany.

Wyteżając mięśnie, jeszcze raz uniósł rękę. Palce sięgające po miecz rozsadzał ból. Chłopiec czuł, że wąż coraz mocniej ściska mu nadgarstek

– dłoń zaczęła już omdlewać. Z wysiłku zamknął oczy i krzyknął. Miał

wrażenie, że zaraz serce mu pęknie. Wówczas jego palce dotknęły blatu.

Na moment przytrzymały się krawędzi.

Przesuwał je dalej cal po calu. Łamał paznokcie, rozdrapując kamień.

Już nie mógł oddychać. Zmęczona ręka gwałtownie dygotała. Zaczęło mu się kręcić w głowie; z trudem zachowywał jasność myśli.

Nagle miecz jakimś cudem znalazł się w jego dłoni. Quentin chwycił

zimną stal i ściągnął w dół, ale zupełnie stracił siły. Nie mógł unieść miecza, a tym bardziej zadać nim cios. Trzymał go w omdlałym ręku i po prostu patrzył na błyszczącą ostrą klingę wiedząc, że w ciemności czyha na niego rychła śmierć.

Pragnął jej, chciał już odejść tam, gdzie czekał na niego spokój.

Wtem coś usłyszał, jakby wiatr niósł wołanie tysięcy głosów. Otoczyły go chmury. Spadał.

Nagle chmury się rozstały i w dole ujrzął równiny Askelonu, a na niej walczące szeregi. Tam, na szanctu są jego przyjaciele. Widział szar-

żujących rycerzy i słyszał szczęk broni. Widzenie znikło. Po ciele chłopca rozchodziło się ciepło, ogarnęła go senność. Czuł, że zasypia...

– Nie! – wykrzyknął przytomniejąc.

Jego krzyk wrócił doń z wielokrotnionym echem, odbijając się od ścian grobowca.

Miecz leżał w bezwładnym ręku. Quentin zacisnął dłoń i poczuł, że ostra stal skaleczyła go w palec. Ból przywrócił mu jasność umysłu.

Podniósł głowę i zobaczył nad sobą kiwający się łeb gada. Potwór obracał ciało chłopca, by zadać śmiertelną ranę. Quentin przyciągnął

miecz do piersi.

336

Jarzące się ślepia gada patrzyły mu prosto w oczy. Czarny rozdwojony język zafurkotał, gdy wąż opuścił łeb. W tej samej chwili Quentin podniósł miecz.

Łeb gada śmignął w dół. Quentin poczuł, że coś wrywa mu miecz z ręki. Usłyszał wściekły syk. Kiedy otworzył oczy, zobaczył rękojeść tkwiącą w paszczy, a z tyłu łba wystającą klingę. Potwór sam nadział się na miecz.

Sploty się rozluźniły, gdy łeb opadł na posadzkę. Chłopiec uwolnił

drugą rękę i ukląkł. Odskokzył w bok widząc, że wąż zwija się w syczą-

cą kulę, jakby chciał się zgnieść we własnym uścisku. Potwór skręcał się i wił w słabnących

drgawkach.

Wreszcie wstrząsnęły nim straszliwe konwulsje i znieruchomiał.

Quentin klęczał z dłońmi na zimnej posadzce, pełnymi haustami wdychając chłodne powietrze. Naraz usłyszał dziwny dźwięk, jakby coś jednocześnie kipiało i skwierczało. Odwróciwszy głowę w tamtą stronę zobaczył, że ciało węża gotuje się i kurczy, zlewając w jedną masę.

Zdumiony chłopiec wytrzeszczył oczy. Z masy tej zaczął się wydobywać zielony dym, który ją pokrył, a wtedy zniknęła. Tam gdzie przedtem leżał straszliwy gad, unosiła się teraz nikła strużka dymu. Po chwili ona też zniknęła.

Zdyszany Quentin przysiadł na krawędzi mar i powoli wracał do sił.

Bolały go żebra i dłoń skaleczona mieczem. Spojrzawszy w dół zobaczył, że z palców kapie mu krew. Głęboko wciągnął do płuc powietrze i popatrzył na króla. Nie było już owej tajemniczej niebieskiej poświaty, wcze-

śniej spowijającej jego ciało, a wraz z nią zgasły resztki życia, które przedtem zdawało się w nim tlić.

Serce chłopca przejął dojmujący smutek, teraz bowiem wyglądało na to, że ponad wszelką wątpliwość król jest martwy. Nawet najpłytszy oddech nie poruszał jego szerokiej piersi. W ogóle się nie wyczuwało obecności monarchy.

337

Quentin odwrócił się, by wyjść. Nie miał tu nic więcej do zrobienia.

Uznał jednak, że nie wypada zostawić król, skoro go znalazł. Pochylił głowę i zaczął się modlić.

– Ojczy Życia, spraw, aby nasz król ożył – zwrócił się do boga, używając imienia, którym nazywał go Toli. Po chwili zastanowienia dodał:

– Wskrześ go, żeby nas poprowadził do zwycięstwa nad wrogiem...

Na tym poprzestał, nic innego bowiem nie przyszło mu do głowy.

Zbliżył się do ciała, chcąc dotknąć zimnej, martwej twarzy. Kiedy wyciągnął rękę, kropla krwi z palca spadła na usta króla.

Utkwił wzrok w szkarłatnej plamce.

Kiedy tak na nią patrzył w słabym świetle, wpadającym z wejścia do grobowca, wydało mu się, że czerwień tej kropelki rozplywa się po ca-

łym obliczu króla. Osłupiał na widok tej cudownej zmiany.

Ostre rysy króla zmiękły, zimne poszarzałe ciało nabierało żywej barwy. Chłopiec obserwował to z zapartym tchem. Widział, jak ręce skrzyżowane na piersiach zmieniają kolor. Na skroni dostrzegł pulsującą żyłkę.

Z twarzy króla zdawał się bić srebrzysty blask, ożywiający jego nieruchome rysy. Stał się tak jasny, że Quentin zasłonił ręką oczy, a gdy po chwili znów spojrział, blask już znikł. Chłopiec spostrzegł, że królowi drgnęła powieka, i usłyszał głębokie westchnienie.

Padł na kolana. Łzy spływające mu po policzkach rozpryskiwały się w kurzu na posadzce. Skłonił głowę i w milczeniu odmówił dziękczynną modlitwę. Kiedy rozległ się cichy jęk, wstał i pochylił się nad królem.

Westchnąwszy jeszcze raz, monarcha otworzył oczy.

Quentin nigdy nie był pewien, co potem nastąpiło i kto odezwał się pierwszy ani jakimi słowami. Miał wrażenie, jakby wszystko działo się jednocześnie.

338

Pamiętał jednak, że powiedział królowi o niebezpiecznej bitwie, która się rozgrywała na równinie. Pamiętał również, jak król niepewnie wstał z kamiennej płyty i z łoskotem upadł na posadzkę, a także swoją niewymowną radość, gdy władca położył mu dłoń na ramieniu, mocno je uści-snął i rzekł:

– Dobra robota, dzielny rycerzu.

Później wyszli z grobowca i ruszyli po Baldera. Z każdym krokiem Eskevar czuł się lepiej. Słońce już mocno świeciło wysoko na niebie, napełniając serce chłopca nadzieją i ochotą do działania, gdy z lekkim bólem nogi maszerował wśród zieleni.

Obaj wsiedli na Baldera. Jadąc za plecami króla, Quentin uzupełnił

szczegółami to, co już zdążył mu powiedzieć o swoich przygodach.

– Gdzieś jeszcze muszą być ludzie mi wierni! – wykrzyknął król swoim głębokim głosem, aż huknęło w lesie. – Odnajdziemy ich!

Quentin pomyślał, że jeśli nie znajdą dziesięciu tysięcy takich, co nie ukłękli przed Jaspinem, te poszukiwania mogą się okazać bezcelowe.

– Najpierw do Askelonu – rzekł Eskevar. – W potrzebie prosty lud stanie do walki za swego króla. Jeśli będziemy musieli, utworzymy ar-mię z wieśniaków i kupców!

Wyjechawszy z lasu, ruszyli drogą do Askelonu. Eskevar swobodnie trzymał się w siodle, a Quentin podskakiwał za nim uważając, by nie spaść.

Wydawało się, że minęło ledwie kilka chwil, a już kopyta Baldera klekotały na ulicach miasta. Eskevar skierował konia w stronę głównego placu, gdzie uniósł się z siodła, trzymając miecz wysoko nad głową.

– Rodacy! Wasz król wrócił! – zawołał, a jego głos zdawał się wstrząsać posadami miasta i zamku.  
– Ruszajcie za mną! Nasze królestwo jest w niebezpieczeństwie! Chwyćcie miecze i tarcze, kosy i widły, grabie i kije! Do broni! Za Mensandor!

339

Słyszac to, ludzie się zdumieli i padli na kolana. Kobiety płakały, a mężczyźni patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Podniósł się wielki krzyk.

– Król wrócił! Król smoków żyje!

Mężczyźni rozbiegli się po ulicach i wzywali wszystkich do broni.

Jakiś kowal pędem przyprowadził białego konia, który był już osiodłany i bardzo się niecierpliwił. Wskoczywszy na owego rumaka, Eskevar dał

ręką znak i jego nowa armia ruszyła.

Ledwie wyszli na drogę prowadzącą w stronę równiny, spotkali dużą grupę ludzi w ciemnozielonych tunikach. Mieli ze sobą włócznie i długie łuki, a na plecach kołczany pełne nowych strzał. Kiedy się zbliżyli, Eskevar i jadący tuż za nim Quentin zatrzymali konie. Ujrzawszy króla, przywódca tamtych padł na kolana i głośno zawołał:

– Jam ci wierny sługa, najjaśniejszy panie! Bierz moich ludzi pod swoją komendę!

Quentin odniósł wrażenie, że zna tego człowieka i jego obejście. Zastanawiał się, gdzie go widział. Wreszcie sobie przypomniał pewną mroźną noc w Pelgrińskim Borze i spotkanie z leśnymi ludźmi. Kiedy mężczyzna wstał z klęczek, chłopiec od razu poznał ogorzałą twarz Vossa, którego brać od tamtego czasu rozrosła się do kilkuset osób.

– Usłyszeliśmy, że toczy się bitwa – rzekł Voss, podchodząc do swojego ukochanego władcy. – Pomyśleliśmy sobie, że trzeba się przy-

łączyć do walki za króla i królestwo, aleśmy nie przypuszczali, że sam król smoków poprowadzi nas do boju.

– Wasza wierność zostanie nagrodzona, dziś bowiem ujrzyecie, jak król bije wrogów. Za mną!

Eskevar spiął konia i wszyscy ruszyli razem.

Ich liczba nieustannie rosła. Quentin dwukrotnie się obejrzał i ze zdumieniem patrzył na falujące w słońcu morze głów, nad którymi sterczały motyki, widły, grabie i inne narzędzia, teraz zamienione w broń do walki za mensandorskiego króla smoków.

W jasne niebo wzbijała się gromka pieśń, płynąca z głębi odważnych i szczęśliwych serc:

Oto idzie wielka armia,

Słysząc grzmot jej kroków,

A na czele z ostrym mieczem

Jedzie sam król smoków!

Wróg nie ujrzy nigdy więcej

Słońca ni obłoków,

Nas zaś czeka laur chwały

W służbie króla smoków!

## 50.

Jaspin patrzył na czarodzieja wzrokiem, w którym ulga mieszała się ze strachem i udręka z nadzieją.

– Ja... ja nie rozumiem... ja... – wyjąkał.

Oczy Nimrooda miały błyskawice, a jego głos zabrzmiał jak grom.

– Uciekł! Moja zdobycz zniknęła! – wykrzyknął i rzucił nienawistne spojrzenie tam, gdzie czekało wojsko króla Selrica. – Dziś nastąpi czarny dzień waszej zguby! Waszymi ciałami nakarmię się sępy, a wasze kości będą tu leżały do końca świata! Nie umkniecie przed zemstą Nimrooda!

Potem chwycił swoją marmurową różdżkę. Trzymając ją wysoko w górze, wypowiedział jakieś długie zaklęcie zawodzącym głosem. Czarny ogier, na którym siedział, potrząsał grzywą i bił kopytami w ziemię.

Nimrood nie zwracał na to uwagi. Uniósł się w siodle i powtórzył zaklęcie.

– Ratra Nictu deasori Maranna Raxis!

Zimny wiatr zatrzepotał jedwabiem namiotu Jaspina. Zafurkotały czerwono-złote sztandary i proporce, a na niebie pojawiła się mała 341

ciemna chmura. Nimrood z zamkniętymi oczami dalej wypowiadał

straszne słowa swojego zaklęcia, sycząc jak wąż.

Wiatr tężał, głośno trzepiąc sztandarami i proporczykami na lancach rycerzy. Skłębiona chmura przybrała kształt grzyba i zerwała się straszliwa burza. Świszcząca wichura gwizdała w linach podtrzymujących namiot księcia.

Na skrzydłach nawałnicy pędził Legion Śmierci.

Składał się z sześciu rycerzy – galopowali parami na ogromnych koniach, buchających parą z nozdrzy. Wyjechali z lasu od południa. Kiedy się zbliżyli, w wojsku Jaspina przeszedł szmer, a pierwsze szeregi gwał-

townie się cofnęły.

Jaspin obserwował nadjeżdżających rycerzy. Mieli na sobie czarne zbroje – czarniejsze od najciemniejszej nocy – i hełmy ozdobione grzebieniem czarnych piór. Nie patrzyli na boki, zmierzając równym galopem prosto do namiotu, przed którym się zatrzymali. W ciemnych szczelinach opuszczonych przyłbic, zasłaniających im twarze, nawet nie były-snęło oko.

Kłębiące się chmury zakryły słońce; ziemia utonęła w niesamowitym półmroku. Wszyscy zamarli.

Nikt nie śmiał się odezwać ani krzyknąć.

Dziesięć tysięcy ludzi stało kamieniem. Słysząc było tylko wycie coraz silniejszej wichury, trzepot flag i niecierpliwe uderzenia końskich kopyt.

Na znak Nimrooda pierwszy z sześciu rycerzy Legionu Śmierci podjechał do Jaspina i zatrzymał przed nim konia. Brzęk podków zabrzmiał

w uszach księcia niczym pogrzebowe dzwony. Wygląd czarnego rycerza sprawił, że uzurpator pobladł, ze wstrętem się skrzywił i cofnął.

– To będzie nasz dzień! – dumnie zawołał czarodziej tak głośno, by wszyscy go słyszeli. Potem odwrócił się do księcia i rzekł: – Spójrz w oczy śmierci i zapłac!

Jaspinowi serce tłukło się w piersi jak oszalałe, trwoga zmroziła mu w żyłach krew, gdy widmowy rycerz dłonią w czarnej rękawicy powoli unosił przyłbicę. Książę zamknął oczy i odwrócił głowę.

– Spójrz na moje dzieło! – wykrzyknął czarodziej.

342

Jaspin zerknął na widziąco i ujrzał jego szarą twarz, pozbawioną życia. Kiedy ze strachu cofnął głowę, rycerz wolno uniósł powieki. Uzurpator zacisnął dłonie na rzeźbionych poręczach tronu i wydał cichy okrzyk zgrozy – pod powiekami nie było oczu.

– Precz! – zawołał szlochając.

Durwin spojrział tam, skąd dał wiatr. Byстрыm wzrokiem obserwował

wielkie chmury, kłębiące się nad równinami Askelonu, i ciemniejące niebo, gdy pole bitwy okrył niesamowity półmrok.

– Przybył Nimrood. Jest tu razem ze swoim legionem – rzekł pustelnik. – Musimy być przygotowani na ostateczny atak.

– Ja jestem – odparł Ronsard pewnym głosem bez cienia strachu. –

Już wiele razy patrzyłem w oczy śmierci, a poza tym zbyt długo z nim walczę, żeby mieć drżeć na jego widok.

– Dobrze mówisz, szlachetny Ronsardzie – powiedział Theido. – Ja też jestem przygotowany. Niech się dzieje, co chce, ale czuję, że nas wszystkich czeka tam chwała. – Ruchem głowy i oczami wskazał pole bitwy. – Ja zamierzam sobie zasłużyć na tę jej część, która na mnie przypadnie.

– Tak jest – zgodził się z nim Selric. – I na miejsce w sercach ludzi, żeby mieli o czym mówić, gdy przy ognisku będą opowiadać o bohater-skich czynach.



Alinea, która długo milczała, podniosła wzrok na horyzont, by rzucić ostatnie spojrzenie na majaczące w oddali, zamglone mury Askelonu.

Obok niej wytrwale stał Trenn z zawziętą miną na chmurnej twarzy.

– Jestem kobietą i żaden ze mnie żołnierz – odezwała się cicho. –

Jednakże z miłości do króla będę rada pozostać u boku mych dzielnych towarzyszy, póki okrutny wróg nie wyśle mojej skołatanej duszy tam, gdzie czekają spokój.

343

Trenn nic nie powiedział, ale napięły się mięśnie jego silnego karku i mocno zacisnął dłoń na mieczu, dotykając rękojeścią serca.

Toli niedawno wrócił z lasu, gdzie przez wiele godzin bezskutecznie szukał zaginionego Quentina, a teraz chwycił długi łuk i przymierzał

strzałę do napiętej cięciwy. Jego nachmurzona mina wskazywała, że aż się pali, by pomścić śmierć swego pana.

W ciszy, która nagle zapadła nad równiną, towarzysze broni usłyszeli daleki grzmot kroków zbliżającego się wojska. Król Selric wyszedł

przed swoich żołnierzy i wskoczył na kamień, by do nich przemówić.

Uniósłszy ręce zawołał:

– Drinowie! Wojownicy! Wysłuchajcie mnie! Sprawiliście, że jestem dumny, będąc waszym królem. Zostało nam niewiele czasu, więc powiem jedynie, że nie mam większego życzenia, jak tylko ostatni raz poprowadzić was do boju. Wróg jest potężny, a choć może pokonać nasze ciała, to jednak nie złamie naszego ducha, który będzie nas po-krzepiał do samego końca. Walczcie mężnie, przyjaciele. Nie oglądajcie się do tyłu, patrzcie przed siebie. Dziś zdobędziecie sławę i chwałę. Za-służcie na to. Nie szcędźcie sił i nie okazujcie strachu.

Żołnierze, którzy dotychczas stali spokojnie, tysiącem głosów grom-ko wykrzyknęli:

– Ku chwale! Za honor! Za naszego króla!

Potem zaczęli bić mieczami w tarcze i śpiewać bojową pieśń w rytm tych uderzeń. Z Selrikiem na czele ustawili się w klin i wymaszerowali w pole, by tam oczekiwać nieprzyjaciela.

Theido z Ronsardem podjechali ze swoimi rycerzami i zajęli pozycje na flankach tego szyku. Konie rzucały łbami i parskały, gdy podmuchy wiatru przyniosły dym z lasu płonącego po drugiej stronie pola bitwy.

Ponownie usłyszeli bębny nadchodzącego wroga. Theido rozglądał

się za Durwinem, by pożegnać go spojrzeniem, lecz pustelnik znów gdzieś zniknął.

Wkrótce z dymu przewalającego się nad równiną wyłonili się nie-przyjaciele. Tym razem prowadziło ich sześciu rycerzy Nimroodowego 344

Legionu Śmierci, jadących w zwartym szyku.

Stanęli. Bębny zwiększyły tempo. Czarni rycerze pochylili kopie, a kiedy zagrała trąbka, spięli konie.

Legion pędził równiną, krzesząc kopytami iskry. Dalej galopowali rycerze Jaspina, za którymi z gromkim krzykiem biegli piesi.

Wojsko Selrica biło mieczami w tarcze, gotując się do starcia. Theido i Ronsard ruszyli naprzeciw atakującym.

Rozległ się straszny łoskot, aż zadrżała ziemia.

Tumany kurzu zasłoniły walczących. Dzikie rżenie koni mieszało się z dźwięcznymi uderzeniami stali o stal. Kiedy kurz się przerzedził, Selric zobaczył, że Theido i Ronsard ze swoimi jeźdźcami zdołali się przebić przez nieprzyjacielskie szeregi, odnosząc tylko niewielkie straty, a co więcej, udało im się zrzucić jednego Rycerza Śmierci. Jego koń kwiczał

z bólu, wijąc się na ziemi, a on sam ruszył dalej pieszo.

Ominąwszy czarnych rycerzy, Theido uderzył na jeźdźców Jaspina.

Ci, choć ten manewr ich zaskoczył, jednak przyjęli walkę. Po chwili wszystkich otoczył tłum pieszych, którzy też rzucili się do boju.

– Naprzód! – wykrzyknął król Selric.

Jego trębacz zagrał sygnał do ataku i tysiąc dzielnych żołnierzy po-pędziło w stronę walczących.

Piesi starali się wysadzić jeźdźców z siodeł, dopóki bowiem rycerz trzymał się na koniu, dopóty był dla nich prawie nie do pokonania.

Rycerze na przemian obsypywali gradem ciosów słabo chronione głowy pieszych i walczyli między sobą. Pozbawieni zaś koni, zbijali się w grupę i niczym żywa tarcza znów ruszali do boju.

Theido wyrąbywał sobie drogę w gąszczu nieprzyjaciół, ale jadący za nim towarzysze nie zdołali dotrzymać mu kroku i został odcięty. Otoczony rozszalałym morzem żołnierzy wroga, pochylił się, trzymając tarczę daleko przed sobą, i błyskawicznie walił ich po karkach. Nagle poczuł wstrząs, a kiedy spojrzał w dół, zobaczył włócznię wbity w bok 345

swego konia. Zwierzę z kwikiem stanęło dęba i runęło na napastnika, rozbijając mu głowę kopytami. Theido upadł na ziemię razem z konają-

cym rumakiem, a wtedy wysunęły się ku niemu chciwe ręce, by go wy-ciągnąć z siodła.

Ronsard spostrzegł upadek swego przyjaciela i skierował wierzchowca w stronę tego kłębowiska, wymachując mieczem, aż świszczało.

Wrogowie przypadli do ziemi, chcąc uniknąć jego śmiertelnych ciosów.

Nieustraszony rycerz natarł na nich i w jednej chwili trzech posiekał.

Reszta się cofnęła. Wówczas wciągnął przyjaciela na swojego konia.

– Bardzo ci dziękuję za ratunek – rzekł Theido.

– Rycerz bez konia to smutny widok, zwłaszcza jeśli dotyczy to przyjaciół – odparł Ronsard, gdy odjeżdżali.

Król Selric kładł wrogów pokotem, kiedy ze swoimi żołnierzami parł

tam, gdzie nieustraszony oddział Ronsarda mężnie walczył w okrążeniu.

Padło wielu dzielnych rycerzy. Kiedy Selric tam dotarł, pozostał już tylko jeden, skąpany we krwi przeciwników. Oddał honory królowi i swoim poległym towarzyszom, a potem znów rzucił się do walki.

Przeważające wojska Jaspina i Rycerze Śmierci z wolna wyczerpali siły obrońców. Widząc straszny koniec, szybko się zbliżający, król Selric dał sygnał, by resztki jego rozbitej armii utworzyły koło i za ścianą z tarcz jak najdłużej stawiały opór wrogowi.

Theido dosiadł jakiegoś samotnego konia i ze swym oddziałem pró-

bował się przebić do Selrica, który wraz z Alineą stał za tarczami.

– Bij! Naprzód, odważni rycerze! – ponaglał swoich towarzyszy.

Wtem drogę zastąpiło mu dwóch z Legionu Śmierci. Theido odskoczył w bok, by ich ominąć, lecz było już za późno. Błysnęła klinga i siekła go w ramię. Powstała głęboka rana. Theido wypuścił miecz z ręki i poczuł, że traci w niej siłę.

346

Spiął konia, ściągając wodze. Dobrze wyszkolone zwierzę stanęło dęba i zaczęło bić przednimi kopytami, ale czarni rycerze uskoczyli.

Znów błysnęło ostrze. Theido przypadł do szyi konia i usłyszał świst miecza przecinającego powietrze tam, gdzie przed chwilą miał głowę.

Rozpaczliwie szukał wzrokiem jakiejś broni, zasłaniając się pukle-rzem. Silne uderzenie omal nie

wytraściło mu niewielkiej tarczy. Kolejne rozcięło ją na pół. Jeszcze jeden taki cios i stanie się bezużyteczna. Theido obrócił się w siodle.

Kątem oka dostrzegł dziwny widok. Czarny rycerz z lewej strony zamachnął się mieczem, by zadać mu śmiertelny cios, ale w tym samym momencie ręka mu odpadła niby gałąź odcięta od drzewa. Jakiś topór ją odrąbał, lecz nie spłynęła nawet kropla krwi.

Theido usłyszał okrzyk radości i zobaczył chwacką minę rozpromienionego Trenna. W następnej chwili poczuł, że przyjaciel wciska mu topór do ręki.

Czarny rycerz z prawej strony nie zwrócił uwagi na położenie swego towarzysza i natarł, wywijając maczugą. Dwukrotnie uderzył w rozciętą tarczę, lecz przy trzecim ciosie Theido ją puścił. Maczuga, obciążona tarczą, poleciała dalej siłą bezwładności, a w tym samym momencie Theido, wykorzystując zaskoczenie wroga, potężnie ciął go toporem w napierśnik. Ostrze głęboko wbiło się w zbroję, prawie odrąbując rycerzowi głowę, lecz ten nawet nie jęknął ani nie osłabł. Theido nie wierzył

własnym oczom – każdy normalny człowiek natychmiast by padł.

Cios ten miał jednak pewien skutek – Theido zdążył odskoczyć, gdy tamten próbował sobie wyrwać topór z piersi.

Teraz armia Jaspina zaczęła miażdżyć topniejące wojsko Selrica, któ-

re zażarcie dotrzymywało jej pola. Odważny król znów zebrał swych rozproszonych żołnierzy, lecz ich szeregi rzedły, nieprzyjaciół natomiast ciągle przybywało.

– Obawiam się, że to koniec – powiedział, kiedy Theido z Ronsardem, porzuciwszy swoje konie, stanęli u boku mężnego władcy.

347

– Dobrześmy walczyli, więc się nie wstydzę zginąć w taki sposób –

rzekł Ronsard.

– Ani ja – dodał Theido, a gdy zobaczył, że wróg zrobił wyłom w murze tarcz, uścisnął przyjaciołom dłonie i krzyknął: – Zatem gińmy!

W tej samej chwili do ich uszu dotarł jakiś tajemniczy głośny śpiew.

– To król smoków! – zawołał ktoś.

Na dźwięk tych słów drgnęły im serca. Czy to możliwe?

– Widzę go! – wykrzyknął ktoś. – Król smoków nadciąga z woj-skiem!

– Król smoków żyje! Wrócił! – wołali wszyscy jeden przez drugiego.

I wtedy wyraźnie usłyszeli słowa donośnej pieśni: Oto idzie wielka armia,

Słysząc grzmot jej kroków,

A na czele z ostrym mieczem

Jedzie sam król smoków!

Atakujący się zawahali, spoglądając na siebie z przerażeniem. Nim zdążyli cokolwiek pomyśleć czy uczynić, rozległ się narastający szum niczym huragan. W jednej chwili zniknął nieprzyjemny półmrok, okrywający pole bitwy, w niebo poszybowała bowiem z rykiem kula oślepiającego światła.

Wówczas wszyscy zobaczyli króla – Eskevar w błyszczącej zbroi jechał na wielkim białym koniu, trzymając miecz wysoko nad głową.

Tego było za wiele dla żołnierzy Jaspina. Ogarnięci strachem, z krzykiem porzucili broń. Niektórzy padali na ziemię, inni pierzchali w nieładzie, potykając się o biegnących przed nimi. Dowódcy wojsk Jaspina daremnie starali się ich powstrzymać.

I wtedy znów zaszumiało. Następna ognista kula poleciała w niebo, zalewając równinę purpurowym światłem. Chwiejące się szeregi poszły w rozsypkę i cała armia Jaspina zaczęła się w popłochu cofać. Wrzeszcząc z przerażenia, żołnierze tysiącami uciekali do lasu.

348

W ogólnym zamieszaniu swoje zadanie wykonywali jedynie szlachcice, ich wierność bowiem Jaspin kupił sobie faworami, rycerze zaś zostając, nie odnieśliby żadnych korzyści, więc oni także rzucili się do ucieczki.

Na to wojsko ogarnięte paniką runął król Eskevar ze swoją chłopską armią. W purpurowym świetle ognistej kuli prości wieśniacy, uzbrojeni w widły i motyki, wydawali się uciekającym olbrzymimi rycerzami.

Z pierzchających szeregów księcia podnosiły się okrzyki trwogi, gdy tajemniczy zbrojni Eskevara z tym dziwnym orężem rzucili się do walki.

Nimrood, który z oddali obserwował atak, wrzeszczał jak opętany.

– Stójcie, psy! To tylko wieśniacy! Zwycięzimy! – Spiał konia i pogalopował na pole bitwy, by powstrzymać bezładną ucieczkę. – Wracajcie! Powiadam, że zwycięzimy! Zawróćcie i walczcie!

Nikt jednak nie słuchał nawoływań czarodzieja. Wojsko Jaspina, wzięte w dwa ognie między zażarcie się broniącymi żołnierzami Selrica i gwałtownie napierającą armią Eskevara, umykało z pola w stronę lasu i płynącej za nim rzeki. O zwycięstwo, które jeszcze przed chwilą wydawało się tak łatwe, walczyli jedynie szlachcice ze swymi pocztami oraz czarni rycerze Nimrooda.

Utworzyli klin, by zaatakować Selrica w nadziei, że zdołają rozbić jego żołnierzy, nim ci zauważą idącego im na pomoc Eskevara z wie-

śniakami. Klin uderzył na wytrwałych obrońców. Nagle w powietrzu głośno zafurkotało. To Voss ze swymi leśnymi ludźmi ustawił się z boku pędzącej kolumny i obsypał ją gradem strzał z długich łuków.

Groty strzał przeważnie ześlizgiwały się po pancerzach, choć niektóre trafiały w słabsze lub nie osłonięte miejsca. Kilka ugodziło konie, a te padając, pociągały za sobą jeźdźców i wywoływały zamęt w szeregach.

Klin stracił swoje ostrze i poszedł w rozsypkę.

Widząc niepowodzenie ostatniej próby rozstrzygnięcia bitwy na swoją korzyść, Nimrood zrozumiał, że wszystko stracone. Zawrócił konia i 349

odjechał galopem. Jeszcze nie zdążył się oddalić, gdy zatrzymał go jakiś jeździec, który wypadł z pobliskiego lasu.

– Stój, łajdaku! – zawołał tamten.

– A, Durwin... nieudany czarodziej i nieudany kapłan. Powinienem się domyślić, że to twoje te dziecinne sztuczki – syknął Nimrood, gdy otoczyli go następni jeźdźcy. – Z drogi, bo cię rozgniotę jak nadgniły owoc! Już dawno należało się cię pozbyć. Szkoda, że was wszystkich nie zabiłem, kiedy siedzieliście w moim lochu.

– Nie wysilaj się, Nimroodzie. Już nic nie możesz zrobić.

– Nie? No, to popatrz!

Czarodziej z wyciągniętym palcem obrócił się dokoła. W jednej chwili otoczyła go ściana ognia. Pustelnik wyleciał z siodła, gdy jego przerażony koń gwałtownie podskoczył i uciekł z obłędem w oczach.

– Cha, cha, cha! – zarechotał Nimrood. – Jeszcze na wiele mnie stać. A teraz czeka cię śmierć, na którą sobie zasłużyłeś swoim wścib-stwem!

Nimrood uniósł marmurową różdżkę i szybko wypowiedział jakieś zaklęcie. Przez ścianę ognia widać było, że różdżka zaczyna się jarzyć niby żelazo rozgrzane do czerwoności. Okrutny czarodziej skierował ją w stronę Durwina.

– Żegnaj się z tym światem, pustelniku! Może wezwiesz na pomoc swoich przyjaciół? Cha, cha, cha!  
– drwił Nimrood.

Z różdżki strzeliły iskry niczym błyskawice i natychmiast Durwin znalazł się na ziemi. Próbując się podnieść, stanął na czworakach. Czarodziej zaśmiał się złośliwie.

– To tylko przedsmak. A teraz...

Kiedy Nimrood unosił różdżkę po raz drugi, by zadać śmiertelne uderzenie, głos uwiązał mu w gardle. Nagle bowiem świsnęła strzała, która trafiła go w ramię, i różdżka wypadła z jego dłoni.

Nim zdążył się odwrócić, spadł z konia, trafiony drugą strzałą w kark.

Niemal w tej samej chwili przy Durwinie stanął Toli. Umieszczał na 350

ciężciwie trzecią strzałą. Podniósł łuk, napinając go ze wszystkich sił.

– Nie! – wrzasnął Nimrood. – Nie zabijaj mnie! Aaa!!!

Jher jednak nie zwracał uwagi na jego błagania. Strzała pomknęła przez ścianę ognia i utkwiała w sercu niegodziwca. Stary czarodziej zgiął

się w pół – upadł na ziemię jak czarny tobół. Drgnął, a potem znieruchomiał.

– Wreszcie nastąpił jego kres – powiedział Durwin.

Opończę miał okopconą tam, gdzie iskry osmały jego ciało. Toli podał mu ramię i razem wyruszyli na spotkanie z przyjaciółmi.

Tymczasem odgłosy bitwy szybko cichły.

Nie zrobili nawet dziesięciu kroków, gdy usłyszeli za sobą głośnie skwierczenie. Odwróciwszy się spojrzeli na leżącego Nimrooda i zobaczyli, że jego czarne szczątki płoną trzaskającym ogniem, z którego unosi się gęsta sadza. Nie dowierzając własnym oczom spostrzegli, jak z dymem wzbija się w powietrze ogromny czarny ptak.

W chwilę później jego czarne skrzydła zniknęły za drzewami w lesie.

Wkrótce do ich uszu dotarł chrapliwy skrzek kruka.

Po zniknięciu Nimrooda nastąpiło coś dziwnego. Sześciu rycerzy Legionu Śmierci nacierało na Selrica i jego żołnierzy, wywijając mieczami i maczugami. Nagle jakby osłabli. Wypuścili wodze z rąk, zachwiali się w siodłach i zsunęli pod kopyta koni, pędzących w tumanach kurzu. Ich czarne ogiery pogalopowały równiną, nareszcie wolne. Straszny legion bez ruchu leżał na ziemi.

Król Selric pierwszy podszedł do sześciu nieruchomych ciał w zbrojach. Ostrożnie się zbliżył, trzymając w gotowości swój zakrwawiony miecz. Ukląkł przy jednym z nich, spojrzał na zaciekawione twarze swoich żołnierzy, którzy już zebrali się wokół, i powoli uniósł jego przyłbicę.

Zobaczył puste oczodoły trupiej czaszki. Legion Śmierci na zawsze przestał istnieć.

351

Na polu bitwy, uświęconym krwią dzielnych żołnierzy, przez dłuższy czas wszyscy z szacunkiem milczeli. Później kolejno podnosili głowy słysząc, że ktoś nadjeżdża, i ujrzeli widok nappełniający ich serca szczę-

ściem, którego dawno nie zaznały – oto na białym koniu zbliża się do nich król smoków, a królowa Alinea biegnie mu naprzeciw.

Eskevar zdejmuje z głowy hełm, Alinea odrzuca tarczę i miecz. Król chwyta królową w swe mocne ramiona, unosi do góry i sadza na koniu, a potem trzyma w długim uścisku.

Nad równiną zrywają się głośnie okrzyki radości. Łzy szczęścia płyną strumieniami po umorusanych twarzach. Król smoków i jego piękna małżonka nareszcie są znów razem. Królestwo Mensandoru zostało ocalałe.

Quentinowi, podążającemu za Eskevarem, scena ta wydała się cu-downym snem. Oto królewska para zbliża się na koniu do wiwatującego tłumu najwierniejszych poddanych. Ona siedzi przed królem tak pro-mienna i śliczna, jak żadna z kobiet, które kiedykolwiek widział. Pomy-

ślał, że choć królowa ma potargane włosy i brudną, zapłakaną twarz, jest przez to jeszcze piękniejsza. Król zaś, połyskując zbroją, błyszczącą w złotych promieniach popołudniowego słońca, które nagle rozświetliło ponury półmrok, unosi swój wielki miecz wysoko nad głowę i dźwięcznym głosem triumfalnie obwieszcza zwycięstwo.

Potem chłopiec znalazł się w ramionach swych przyjaciół. Toli ścia-

gnął go z konia i omal nie zmiądzzył w mocnym uścisku. Theido, aczkolwiek jedną rękę miał świeżo zabandażowaną, to jednak drugą równie mocno klepał go po plecach, a tymczasem Durwin obiema dłońmi trzymał twarz chłopca i wprost tańczył z radości. Ronsard, Tremn i król Selric uściskali go i długo się śmieli, aż łzy pociekły im z oczu.

Quentin był za bardzo przejęty, by coś powiedzieć – miał wrażenie, że stracił głos. Rozpromieniony,



po prostu na nich patrzył zamglonymi oczyma, w których skrzyły się łzy radości. Nigdy jeszcze nie doznał

takiej pełni szczęścia.

352

Eskevar dał znak, że będzie przemawiał. Rozradowani przyjaciele odwrócili się doń, by go wysłuchać. Głos króla poniósł się echem nad równiną.

– Dziś będzie dzień żałoby po naszych poległych towarzyszach.

Wieczorem stosy pogrzebowe oświetlą ich mężnym duszom ostatnią drogę. Dzisiaj Heoth zabrała wielu wspaniałych żołnierzy. Pożegnamy ich z honorami, należnymi jedynie najmężniejszym.

Wszyscy wpatrywali się w króla jak urzeczeni, wielu bowiem wciąż jeszcze nie wierzyło, że naprawdę wrócił.

– Jednakże jutro – ciągnął Eskevar – w całym królestwie Mensandoru będziemy świętować! Wygraliśmy!

Po tych słowach nad równiną Askelonu rozległ się ogromny krzyk, a potem z tysięcy gardeł popłynęła pieśń zwycięstwa. Triumfalne śpiewy trwały do późnej nocy – umilkły tylko w czasie zapalania pogrzebowych stosów.

Kiedy z owych stosów pozostał tylko żar, Quentin i jego przyjaciele wyruszyli do Askelonu. Chłopiec patrzył na ostatnie błyski żałobnych ognisk na ciemnym polu, które przypominały gwiazdy gasnące na zawsze.

Następny dzień Quentin zachował w pamięci do końca życia. Obudziły go jasne promienie słońca, wpadające przez otwarte okno wraz z zapachem świeżych dzikich kwiatów, niesionym przez lekki wiatr.

Chłopiec przetarł oczy i wówczas sobie uświadomił, że spędził noc w askelońskim zamku.

Wskoczywszy z łóżka, zamiast swojego ubrania znalazł wytworny strój dla młodego księcia – białą brokatową tunikę ze srebrnymi guzikami i spodnie barwy królewskiego błękitu, a także bogato wyszywany płaszcz, przetykany złotą nitką, tak że świecił w słońcu, gdy Quentin obracał go w rękach. Była tam również złota brosza w kształcie jeleniej głowy oraz złoty łańcuch do spinania płaszcza. Jeszcze nie widział tak pięknych szat. A do tego idealnie pasujące buty z doskonałej skóry.

353

Służący przyniósł różaną wodę i czekał, aż chłopiec się umyje. Quentinowi drżały ręce, kiedy się ubierał. Wybiegł z komnaty, zapinając broszą płaszcz, całkiem zapomniawszy o bólu w nodze.

Theido i Durwin, którzy wyglądali dostojniej niż kiedykolwiek, akurat wychodzili z pokojów

naprzeciwko.

– Hej, paniczu! Dokąd pędzisz tak rano?! – zawołał Theido z szerokim uśmiechem.

– O ile wzrok mnie nie zawodzi, ten królewski wojownik śpieszy na spotkanie jakiejś nowej przygody – rzekł Durwin.

– Wszystko jest tak cudowne! Ja...

Chłopcu zabrakło słów.

– Owszem, owszem. Rzeczywiście cudowne – zaśmiał się pustelnik.

– Jednakże nie możesz powiedzieć, że widziałeś coś naprawdę cudownego, póki nie zobaczysz odświętnie przystrojonej Wielkiej Sali w zamku Eskevara.

– Więc natychmiast tam idźmy! – wykrzyknął Quentin. – Bardzo chciałbym ją ujrzeć.

– Nie tak szybko – powiedział Theido. – Najpierw śniadanie... choć należałoby się z tym trochę wstrzymać, jako że na pewno przez cały dzień przysmaków będzie aż nadto. Tymczasem przyłączmy się do innych.

– To może jednak pójdziemy do tej sali? – niecierpliwie zaproponował chłopiec.

– W stosownym czasie – ze śmiechem odparł Durwin. – Jesteś w gorącej wodzie kąpany. Mogłem zauważyć to wtedy, gdy konno pope-

dziłeś do lasu za obecnym tutaj Theidem i sprowadziłeś króla. Oj, tak, już wtedy należało to spostrzec!

– Musisz pozwolić służbie króla odpowiednio przygotować salę do takiej uroczystości – wyjaśnił Theido. – Zobaczysz, że się nie rozczarujesz. A teraz chodź, zjemy lekkie śniadanie, a potem zajmiemy nasze miejsca w sądzie. Dzisiaj bowiem król będzie wymierzał sprawiedliwość za zdradę tym, którzy wystąpili przeciw niemu.

354

Śniadanie zjedli w towarzystwie Ronsarda, Tolego i Tenna, odpowiednio wystrojonych. Jher wyglądał jak królewski giermek i uparł się, że będzie własnoręcznie obsługiwał Quentinowi. Chciał to zrobić już wcześniej, ale stanął mu na przeszkodzie jego własny służący, jako że również Toli należał do najbardziej szanowanych gości.

Quentin się spłonił, nieco zakłopotany entuzjazmem, z jakim był obsługiwany. Spostrzegł, że przyjaciel jest z tego bardzo dumny, choć Toli nie wspomniał o tym ani słowem.

W oczach Jhera Quentin nareszcie zajął miejsce księcia, które jego zdaniem słusznie mu się należało.

W dużej sali, gdzie odbywał się sąd, król Eskevar, siedząc na tronie, z poważną miną sprawiedliwie wysłuchał wszystkich zeznań świadczą-

cych o karygodnych czynach, popełnionych przeciwko niemu i jego ludowi w czasie, gdy on tak długo przebywał na wojnie.

Larcott i Weldon zostali wypuszczeni z lochu i znów w pełni cieszyli się łaską swego monarchy. Ich miejsce tam zajęli Grenett i Bran, póki się nie zmienią i nie zechcą ponownie ślubować królowi wierności.

Potem przed tronem stanął Jaspin. Był tak osłabiony wyrzutami sumienia, że straż musiała go podtrzymywać.

– Ciebie, Jaspinie, potraktuję łagodnie – rzekł Eskevar nie bez współczucia – choć niewątpliwie będzie ci trudno znieść tak surową karę. Już postanowiłem. Zostaniesz skazany na wygnanie z tego królestwa. Będziesz tułał się po świecie i szukał jakiegoś domu, póki ktoś cię nie przygarnie. Nigdy więcej nie sprawisz Mensandorowi kłopotu.

Jaspin jęknął, jakby ktoś go uderzył gorącym pogrzebaczem. Ze łzami błagał brata o litość.

– Pozwól, że zamknę się w mej twierdzy. Z czasem zapomnisz o przykrościach.

Jednakże Eskevar pozostał nieprzejednany.

– Możesz zabrać ze sobą jedną osobę... Onteskusza.

355

Skinął głową i straż przywiodła przed jego oblicze szlachcica, bełko-czącego coś pod nosem.

– Onteskuszu – przemówił król. – Ty, który chciałeś towarzyszyć królowi, będziesz towarzyszył swemu „monarsze”, dokądkolwiek się uda, prowadząc go na wygnaniu tak samo, jak pragnąłeś go prowadzić na tym tronie.

Onteskusz pobladł, ale bez słowa nisko się uklonił, przynajmniej wdzięczny za to, że ocalił głowę.

Następnie wprowadzono całą gromadę szlachciców i rycerzy, ujętych na polu bitwy. Każdy z nich musiał ponownie przysięgać królowi wierność, a także obiecać, że złoży okup i zapłaci dużą karę za bezprawnie otrzymane włości, ale natychmiast odzyskali wolność.

– Swoich wrogów potraktowałem zgodnie z prawem i łaskawie. Po-zwólcie, że teraz oddam sprawiedliwość moim przyjaciołom – oznajmił

król.

Pierwszego wywołano króla Selrica. Stanął przed obliczem Eskevara, który podniósł się z tronu, w ten sposób okazując przyjacielowi szacunek.

– Nie potrafię wynagrodzić twej odwagi i dzielności na polu bitwy ani przysługi, jaką ze swoimi żołnierzami oddałeś tej koronie, ale od dziś będę cię nazywał bratem, wykazałeś bowiem, że twoja przyjaźń jest więcej warta niż więzy krwi. Jednakże pozwól, że w dowód wdzięczno-

ści ofiaruję ci okup, który tamci szlachcice przyrzekli złożyć. Weź go i rozdaj swojemu wojsku, a także rodzinom poległych żołnierzy. Proszę, przyjmij ten dar jako skromną rekompensatę.

– Dziękuję ci, szlachetny Eskevarze – odparł Selric. – Jesteś mądry i sprawiedliwy, ale to ja odpowiadam za nagrodzenie moich żołnierzy i dysponuję zadowalającymi środkami. Nie ucierpią więc ani żołnierze, którzy walczyli, ani rodziny poległych. Jeśli zaś o mnie chodzi, wystarczy mi twoja przyjaźń i cieszę się, że mogę nazywać cię bratem.

Wówczas Eskevar zbiegł z podwyższenia, objął Selrica i serdecznie go uścisnął. Potem, w odpowiedzi na gromkie wiwaty wszystkich zebranych, obaj unieśli złączone dłonie.

356

Później wywołano Trenna, który podszedł i ukląkł przed tronem.

Kiedy powstał, miasto Askelon miało nowego wojewodę.

Po nim wystąpił Ronsard i został mianowany marszałkiem koronnym królestwa.

Theido odzyskał tytuł i włości odebrane mu przez Jaspina, a ponadto otrzymał dobra księcia w Erlott.

Teraz przyszła kolej na Durwina.

– Szlachetny panie, chciałbym cię wynagrodzić tym, co mogę: tytu-

łem, stanowiskiem, złotem. Powiedz tylko, czego sobie życzysz, a bę-

dzie twoje – zwrócił się do niego król.

– Twój szczęśliwy powrót i sprawiedliwe panowanie ludowi tego królestwa są dla mnie dostateczną nagrodą – odparł pustelnik z Pelgrin-

skiego Boru. – Chciałbym tylko wrócić do mojej chaty i żyć tam w pokoju.

– Nie pragniesz niczego więcej?

– Nie, moim jedynym życzeniem jest pozostać sługą uczciwego i sprawiedliwego króla – przerwał na chwilę i po namyśle dodał: – Choć właściwie mam pewną prośbę.

– Mów, a natychmiast ją spełnię.

– Obiecuj, że już nigdy nie zostawisz pustego tronu na tak długo.

Eskevar się roześmiał i uniół rękę.

– Niech ci będzie. Obiecuję – odparł, a potem rozglądając się po sali rzekł: – Jest tu jeszcze jedna osoba, którą chciałbym nagrodzić. Quentinie, wystąp!

Usłyszawszy swoje imię, chłopiec był bardzo zaskoczony. Drżąc z emocji, nerwowo podszedł do tronu. Jak inni ukląkł i oparł ręce na kolanie.

– Ciebie pragnę szczególnie wynagrodzić – oznajmił król wzruszonym głosem. – To właśnie ty pokonałeś rzucone na mnie czary i dzięki tobie wyrwałem się z objęć śmierci. Twoja krew i modlitwa zdjęły ze mnie klątwę nikczemnego Nimrooda. Ogłaszam, że wszystko, co mam, wszelkie skarby tego królestwa, są twoje, dziś bowiem biorę cię za syna i będziesz moim wychowankiem.

357

Oszołomiony Quentin podniósł wzrok pełen niedowierzania i wówczas ujrzał Alineę, znów w złotym diademie królowej; jej szmaragdowe oczy błyszczały. Wraz z królem podeszła do klęczącego chłopca i oboje go podnieśli.

– Niech się zacznie świętowanie! – wykrzyknął Eskevar donośnym głosem.

Natychmiast otworzono drzwi sali sądu i fanfary ogłosiły początek uroczystości. Ich dźwięczne tony rozniosły się po całym zamku, mieście i okolicznych wioskach, a każdy, kto je słyszał, od razu wiedział, że tego dnia będzie mile widziany i na przyjęciu u króla smoków.

Eskevar i Alinea wprowadzili Quentina do Wielkiej Sali. Chłopiec szedł między nimi, prawie nie dotykając podłogi.

Ogromna sala wyglądała tak, jakby fantazja stała się rzeczywistością.

Zdobiło ją dziesięć tysięcy czerwono-złotych sztandarów. Girlandy z kwiatów tworzyły kolorowe baldachimy, a przez szeroko otwarte okna wpadały złociste promienie słońca.

Ogród pod oknami zamieniono w olbrzymią jadalnię ze stołami peł-

nymi wszelkiego rodzaju pysznego jadła, przygotowywanego w dużych namiotach, przeznaczonych dla kucharzy i ich pomocników, którzy biegiem roznosili tace ze stertami mięsiwa, owoców i ciast.

Wszędzie panował świąteczny nastrój. Kiedy otworzono bramy zamku, wlały się tłumy ludzi, by wziąć udział w najwspanialszej uczcie, jakiej żaden z nich jeszcze nie widział.

Słońce już zachodziło, gdy Quentin i Toli, który nie odstępował go jak cień, mieli wreszcie dość ucztowania i zabawy. W blasku setek pochodni, oświetlających salę i ogród, Quentin odszukał Durwina. Stał

samotnie na długim balkonie nad weselącym się tłumem.

– Co ci jest? – cicho spytał go chłopiec, dostrzegłszy w jego oczach cień melancholii. – Dlaczego nie bawisz się z innymi?

358

– A, to ty, Quentinie. O, już się nabawiłem w miarę swoich możliwości.

Uśmiechnął się, aczkolwiek trochę smutno, a potem odwrócił głowę i spojrzał na gwiazdy, które kolejno się ukazywały na ciemniejącym nieboskłonie.

– Zwyciężyliśmy – szepnął z twarzą oświetloną migotliwym blaskiem pochodni. – W końcuśmy zwyciężyli. Istotnie! Wygraliśmy tę bitwę... ale się obawiam, że wojna jeszcze nie skończona.

– Nie skończona? O co ci chodzi?

– Rozejrzyj się wokół siebie, Quentinie. Pomyśl o tym, co ci się przydarzyło. Dawni bogowie ziemi i nieba odchodzą, a wraz z nimi stary porządek. Objawia się prawdziwy bóg, nastają jego rządy, lecz stare umiera opornie. To zmierzch bogów, ale jeszcze długo będą trwały ciemności, nim nadejdzie świtanie. Jednakże nadejdzie. Z całą pewno-

ścią! – Pustelnik popatrzył na chłopca i długo mu się przyglądał zamy-

ślonym wzrokiem. – Pamiętaj, Quentinie, o błogosławieństwie, jakie otrzymałeś. W tym wszystkim masz do odegrania jakąś rolę... wyznaczoną ci przez boga. Być może on właśnie ciebie wybrał, byś pomógł

wprowadzać jego nowy porządek. To, czego dokonałeś, jest ledwie początkiem. Zostało jeszcze wiele do zrobienia.

Quentin zamrugał oczami.

– Durwinie – rzekł, jakby go coś nagliło. – Chcę wrócić... do Dekry.

Jak myślisz, czy są jakieś przeszkody?

– Nie ma! Wychowankowi króla wolno się udać, dokąd sobie życzy.

Wszystkie drzwi stoją przed tobą otworem.

– Pojechałbyś ze mną?

– Niczego bardziej nie pragnę. Tak wiele chciałbym ci pokazać.

– Możemy wyruszyć natychmiast?

– Najszybciej jak się da, mój ty niecierpliwy paniczu. Uważam jednak, że dobrze byłoby jeszcze trochę pozostać w Askelonie, by dać Eskevarowi nieco czasu na wyrażanie ci wdzięczności, a

wyruszymy – odparł Durwin, lecz widząc rozzaloną minę chłopca dodał:

– Co? Jeszcze nie masz dość przygód? Tak ci pilno do następnej?

– Bo jest tyle do zrobienia i jeszcze wiele muszę się nauczyć!

– Mamy mnóstwo czasu na wykonanie naszego zadania. Będziemy o tym myśleć w odpowiednim czasie. Popatrz! Toli idzie tu z kimś, kto chciałby poznać bohatera dnia.

Quentin się odwrócił i zobaczył szybko zbliżającego się przyjaciela, a za nim jakąś dziewczynę. Drgnął, kiedy sobie przypomniał, że poznał ją zimą przed sklepem kuśnierza, ale miał wrażenie, jakby to było bardzo dawno temu. Podeszła uśmiechając się nieśmiało i wówczas Quentina uderzyło, jak niezwykle jest podobna do Alinei. Te same kasztanowe włosy i szmaragdowe oczy. Nim Toli zdążył ją przedstawić, pojawił się Theido, który wykrzyknął:

– A, tu jesteś, Brio! Cały dzień mnie zamęczasz, bym cię z nim poznał, lecz widzę, że sama sobie poradziłaś.

Chłopiec nisko jej się uklonił.

– Nazywam się Quentin – powiedział niezbyt pewnym głosem. – Jestem do twych usług, wasza wysokość.

Dziewczynie błysnęły zielone oczy, gdy dygając zaszeleściła długą bladoniebieską suknią, ozdobioną wstążkami.

– Dobrze, że dodałeś „wasza wysokość” – rzekł rozpromieniony Theido. – Czy wiesz, że zwracasz się do księżniczki?

Rycerz i pustelnik się roześmieli, a gdy chłopiec na nich spojrzał, już wracali do ogrodu, gdzie pod gwiazdami zaczęła grać muzyka.

– Jam księżniczka Bria – wyznała mu dziewczyna. – Nie chciałbyś posłuchać ze mną tej muzyki?

Quentin oniemiał, ale jego oczy mówiły więcej, niż sam by powiedział. Prowadząc onieśmiałoną parę, Toli wprost tańczył z radości, a jego ciemna twarz tryskała zadowoleniem. Kiedy tak szli, księżniczka chwyciła rękę Quentina gorącą dłonią i wtedy chłopiec zapragnął, by ten wieczór nigdy się nie skończył.

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)